

De I 1
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 142.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO-POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1876.

SERYA V.

Maj.

TOM II. — ZESZYT V.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 3 maja 1876 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Komedye Aleksandra hr. Fredry. (Odczyt publiczny Stanisława hr. Tarnowskiego, dnia 30 marca r. b. w wielkiej sali Ratuszowej w Warszawie).	249
II. Podróże i odkrycia geograficzne. (1874—1875).	260
III. Przegląd literatury Hiszpańskiej. Przez Sewerynę z Żoch. Duchińską.	269
IV. Synowie hetmańscy. Opowiadanie historyczne. Przez Wł. Chomętowskiego.	278
V. Przyczynek do elekcji Zygmunta I-go w Litwie i w Polsce. Przez K. P.	305
VI. Kronika lwowska.	317
VII. Podole. Przez Fryderyka Krauzego, (Podolanina).	337
VIII. Kronika Paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.	356
IX. Zabobony rolnicze. Napisał Zygmunt Gloger.	376
X. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez Lucyana Woyniłłowicza.	379

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

XI. Jan Śniadecki. Jego stanowisko w dziejach oświaty i filozofii w Polsce. Rzecz napisana przez dra. Maurycego Straszewskiego docenta fil. w Uniwersytecie Jagiellońskim. Przez F. J.	381
XII. Sprawozdanie z czynności Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1875. We Lwowie, 1876 (w 8-cce str. 220). Przez W.	394
XIII. Pamiętnik damy Polskiej z XVII wieku, (Urszuli z Ustrzyckich Tarnowskiej). Wydał W. T. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1876 r. z drukarni K. Pillera (w 8-cce str. 139). Przez R.	397
XIV. Umysł i ciało. Mniemania o ich wzajemnym stosunku. Przez Aleksandra Bain, profesora logiki przy uniwersytecie w Aberdeen. Z wyboru Biblioteki Naukowej Międzynarodowej. Tłumaczone z angielskiego. Warszawa. Nakład Spółki wydawniczej księgarzy. 1874 r. str. XVIII i 206. Przez T. Skomorowskiego.	398
XV. Ksiądz Jakób Falkowski założyciel Instytutu Głuchoniemych. Przyczynek do dziejów dobroczynności. Napisał Władysław Nowicki Magister Nauk Hist. Fil. b. Szkoły Głównej. W stuletnią rocznicę jego urodzin. (Z trzema drzeworytami). Warszawa 1876. (W 8-cce str. 81). Przez R.	405
XVI. Sylwetki, przez Kazimierza Chłędowskiego. We Lwowie nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1876. Przez Br. Z.	406
XVII. Zbiór rachunkowych wiadomości i objaśnień, dotyczących działań Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego od chwili zawinżania tegoż, to jest od r. 1826 do 1869 włącznie. Warszawa. W drukarni Jana Jaworskiego. 1875. (W 4-cce str. 381). Przez W.	409

(Dalszy ciąg na trzeciej stronie okładki).



De II. 1.
KOMEDYE

ALEKSANDRA HR. FREDRY.

(ODCZYT PUBLICZNY STANISŁAWA HR. JARNOWSKIEGO, DNIA 30 MARCA R. B.
W WIELKIEJ SALI RATUSZOWEJ W WARSZAWIE).

Jam bardzo smutny, jam bardzo znużony:
Dajcie mi zasnąć, przyjaciele moi!

Słowa te poety słyszy w duszy ten, kto się ośmiela mówić o Fre-drze. Zdaje mu się, że starzec poważny potrójnym majestatem: wieku, zdolności i godności. zapytuje go surowo, kto mu pozwolił podnosić gwar słów około jego imienia. „Szanuj moją starość” zdaje się mówić, „szanuj moje różne smutki i tę ciszę, w której staram się nie widzieć i nie słyszeć. Poczekaj aż umrę, wtedy będziesz sobie mógł gadać i chwalić. Żyjącemu daj pokój, dajcie mi zasnąć, przyjaciele moi.” Przerzywać tę ciszę, przerywać choćby grzmiącym oklaskiem, może to uczynek zuchwały i zły. Oklask? tryumf?—miał ich dość w życiu, a jeżeli młodość tego hałasu łaknie i za nim goni, to starość sprawiedliwego słucha ich z pobłażaniem może, ale z politowaniem, jak próżnej, bezmyślniej, dziecięcej wrzawy; a ten spokój, ten sen, który mu jest miły, to jedyny może przytułek dla tego, kto poza drzwiami domu, w którym się zamknął nic miłego zobaczyć i usłyszećby nie mógł. Ze drżeniem też przychodzi wymówić głośno to imię, które żąda około siebie milczenia: drży się nie o to tylko, choć i o to bardzo, czy się o takim przedmiocie godnie mówić zdoła, ale o to najwięcej, czy mówienie nie będzie natrętnem wdarciem się w ten spokój upragniony i niejako nakazany, czy uszanowanie nie będzie brakiem poszanowania tej woli nie wyrażonej, ale wyraźnej; czy ludziom czcigodnym godzi się cześć oddawać w czasie, kiedy i w sposób, w jaki oni tego nie chcą. A jednak idzie się wbrew tym wszystkim przestrogom instynktu, czy niepewnościom sumienia. Bo cóż ma robić, o kim ma mówić ten, co z powołania i obowiązku literaturą polską zajęty, ma z niej jeden szczegół, lub jedną postać wydobyć i tu o niej mówić? Chciałby, kiedy ma zaszczyt mówić w Warszawie, stanąć przed nią z czémś godnym i w hołdzie złożyć jej słowa małe zapewne, ale o wielkich rzeczach przynajmniej: przedmiotów małych, chwał jednodniowych, imion, które dziś niby świecą a jutro znikną, w niepamięci piasku wybraćby się wstydził.

O wielkich dziełach naszej poezji mówić nie pozwala czas. Cóż więc zostaje, jeżeli nie pisarz, który tyle chwał przeżywszy, jest dziś jedyną wielką chwałą, naszą literatury, którego siwizna młodsza od



wielu młodości tak pięknie jaśnieje z pod laurowych i dębowych wieńców, a dzieła mają zawsze ten powab młodości i świeżości, który od bogów Olimpu jeszcze był tylko śmiertelnym udziałem i cechą. Kto o nim mówi, ten może być pewnym, że, jeżeli nie dobrze, to przynajmniej o czemś dobrém mówić będzie i słuchacza nie obrazi wyborem obojętnego, niegodnego przedmiotu. A obawiać się może czego innego chyba: oto czy potrafi mówić o komedjach Fredry tak bezstronnie, jak się mówi o rzeczach obojętnych. Czy można będzie trzeźwo i zdrowo to, co się tak zna i lubi, jak rysy twarzy starego przyjaciela, jak horyzont rodzinnego miejsca: czy on piękny lub brzydki? nie wiem, zbyt do niego przywykłem, żebym mógł roztrząsać i śledzić; wiem tylko, że piękny lub brzydki, mnie jego widok jest miłym, że mógłby być piękniejszym wierzę, czy inny jak jest, choć piękniejszy, mnie mógłby się tak podobać, o tém wątpię. Zanadto jesteśmy oswojeni z komedjami Fredry, ich postacie zanadto są od dzieciństwa dobrymi znajomymi i poufałymi gośćmi naszej wyobraźni, iżbyśmy mogli patrzeć na nie obiektywnie (żeby się tak po niemiecku wyrazić). A dopieroż urok większy niż dzieł, urok autora! Kto może być pewnym chłodnej bezstronności swego sądu, kiedy widzi przed sobą tę postać imponującą rozumem i charakterem, czarującą wdziękiem, dowcipem i tą typowością ludzi dawniejszych, która na nas pygmeów robi takie wrażenie, jak żebyśmy przeniesieni w przeszłość, stali przed Fredrą z czasów Jana Kazimierza i Sobieskiego, przed „kamienną, dużą rycerską osobą” o której mówi poeta. Oto wśród naszych pokoleń i czasów tak wygląda jak ta figura „na rycerzy grobie” i takiego sądzić, krytykować brać ma egzamin, co lepiej a co gorzej napisał, czy to nie zuchwalstwo podobne jak tego Galla, co targnął za brodę rzymskiego senatora, czy nie czyn *laesae majestatis*?

A jednak nie. Dziki Gall nie wiedział kogo dotykał, a my do poważnego senatora naszej literatury zbliżyliśmy się z czcią, która jeżeli chwale jego nic nie doda, to jej i nie ubliży. Chwały on nie potrzebuje: milczące a zgodne zdanie dwóch już pokoleń świadczy za nią najwymowniej; lepszej sankcyi dla dzieł swoich żaden pisarz żądać nie może, jak to instynktowe a powszechne przywiązanie, które te dzieła otacza. Ale nie złe jest także, wrażenie instynktu i uznania poprzec i sądem refleksyi, dobrze rozważyć dzieła, zważyć talent, jasno zdać sobie z nich sprawę. Przy takiem roztrząśnieniu pewne niedoskonałości zawsze pokazać się muszą, ale jeżeli refleksya i sąd na rozumowaniu oparty ogółem wzięwszy zgodzą się z instynktowym wyrokiem wrażenia, jeżeli go potwierdzą, to sława pisarza na tém nie ucierpi, owszem pokaże się potem w świetle jaśniejszém niż przedtem. Dlatego więc, i dlatego, że jest tak piękną postacią, podobną do tych, które poeta widział „na rycerzy grobie” i dlatego że w dawnych ludziach złote serce miłuję, dla tego chciałem uczcić gród twój, „tą kamienną, dużą, rycerską osobą,” której rysowaćbym się nie powazył, ale na którą rzucić okiem i godzi się i wolno.

I.

„W dawnych ludziach złote serce miłuje”—mówi ten sam zawsze poeta—a te słowa przypominają się żywo, kiedy pomyśleć o tych, co tu przed nami żyli w początkach naszego wieku. Co za wielkie serca, i co za dzielne głowy, i jakie nieraz ręce silne! Ile zdolności wszelkiego rodzaju, naukowych i administracyjnych, wojskowych i poetycznych, ekonomicznych i krasomówczych; ile siły w ich twardej a nieznużonej pracy, ile rozumu i równowagi w umysłach, ile zwłaszcza zgody w ich postępowaniu. A w tym zastępie, którego pierwszy szereg składali Czacki i Staszic, Matuszewicz i Niemcewicz, Stanisław Małachowski i dwaj Potoccy, żeby innych nie wspomnieć, w którego drugim szeregu rósł Mickiewicz otoczony całą plejadą poetów, w tym czasie „ludźmi błyszczącym” myśl szuka ze szczególnem zajęciem i upodobaniem tego młodzieniaszka, który w szesnastym roku wstępuje do wojska, bije się, odznacza, dostępuje stopni i krzyżów i zaczyna tak ładnie zawód, który miał kończyć nie gorzej, ale zupełnie inaczej. Chciałoby się wiedzieć, odgadnąć, czy ówczesny „ułan jak słońceznik w błyszczącym kołpaku” przeczuwał, domyślał się w sobie przyszłego ojca polskiej komedyi? Czy za młodu zjawiały się w jego głowie *die schwancken den Gestalten*, z których kiedyś miała się złożyć *Zemsta* i *Stuby panińskie*. A jeżeli tak, jeżeli wiedział o swoim pisarskim talencie i powołaniu, to jakie były drogi jego kształcenia, jakie ulubione dzieła, co w literaturze swojej lub obcych mogło być jego wzorem lub ideałem, któremuby chciał być dorównać? Wszystko to rzeczy niewiadome dotąd, oby kiedyś wiadomemi się stały. Dziś tylko z jego wieku, z panującego u nas za jego młodości estetycznego smaku, z wychowania, jakie odbierali wszyscy, wnosić można, że jeżeli która z literatur obcych mogła na niego wpłynąć, to chyba francuzka; że jeżeli miał w rzeczach literackich stałe i wyrobione przekonania i upodobania, to klasyczne chyba i od późniejszego romantyzmu dalekie, (po jego dziełach i po jego stylu znać większe pokrewieństwo z Krasickim lub z Trembeckim niż z Mickiewiczem a nawet z Brodzińskim). Co jednak do prawdy najpodobniejszej, to że za młodu i w służbie wojskowej musiał myśleć mało o literackich kwestjach, a może wcale o swoim literackim zawodzie. Ale gdy się ta służba skończyła, czy z żołnierza zrobił się zaraz pisarz, czy jak Brodziński ledwo zdołał złożyć tornister, dobył z niego zaraz pióro i kałamarz; czy go widzimy czytającego Byrona, rozważającego teorye Lessinga lub Schlegla, usiłującego zmienić formy polskiej poezyi, wprowadzić wzory angielskie i niemieckie w miejsce francuzkich? Bynajmniej: nie widać go ani koło wielkiego ołtarza Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w orszaku Koźmiana, Osińskiego, Felińskiego i Wężyka, ani obok Brodzińskiego pomagającym mu w jego usiłowaniach, ani z Morawskim, kochającym klasyków, czującym silny pociąg do romantyków, a żartującym z jednych i z drugich: nie widać go wcale w tych latach. Owszem, gdy walka już na dobre

wybuchła i wszystkich zajęła, on sobie na boku pisze swoje komedye, ale o zasady i pojęcia, o estetyczne kodeksa i wyznania wiary nie troszczy się wcale, jak żeby nie wiedział, że koło niego toczy się wojna. Jedyńy to podobno z pisarzy téj generacyi tak zupełnie oddzielony od głównych literackich ruchów i prądów, tak nieprzystępny wpływom działającym na innych. Z jego współczesnych każdy jest klasykiem, albo romantykiem, a który nawet nie jest jednym ani drugim wyraźnie i stanowczo, to stojąc na jakimś stanowisku pośredniém i pojednawczém, przyznając obu stronom trochę słusności, robiąc obu koncesye, starając się zalety obu sobie przyswoić; jeszcze oddycha tém samém powietrzem, żyje i pisze pod wrażeniem, pod władzą tych przetwarzających się form i pojęć. Fredro, jak żeby o tém nie wiedział wcale, jak żeby należał do innéj literatury, do innego kraju, idzie swoją własną drogą, nie patrząc na lewo ani na prawo, nie oglądając się na to, co się wkoło niego dyskutuje lub tworzy, i w całym zbiorze jego dzieł nie znajdzie się jednego słowa, z którego można się domyślić, że te dzieła powstały w chwili, kiedy w poezyi polskiej odbywała się tak wielka, tak radykalna przemiana.

Niezależność to dziwna, i świadcząca niezaprzeczenie o wielkiej samoistności, oryginalności talentu, który w takiej burzy stał sam na sobie jak na kotwicy, i w żadną stronę nie dał się ani porwać ani nawet cokolwiek pochylić. Uznając wszakże samodzielność i oryginalność, nie można jéj saméj jednéj tylko uważać za przyczynę tego skutku. Od wpływu klassycyzmu, czy romantyzmu, od przedmiotu walki, Fredro był oddzielony samą naturą, samém polem i przedmiotem swego talentu. Jako poeta dramatyczny, jako tragic, byłby musiał i wpływem ulegać i stanąć po jednéj lub po drugiéj stronie; ale komedya nie była przedmiotem sporu, chodziło o formę natchnień poetycznych, nie o kształt, w jakim wystąpi dowcip, humor, obserwacya. Romantycy, Mickiewicz pierwszy, jak dowodzą kursa, patrzył bardzo z góry na komedya, jako na rodzaj sarkastyczny, negacyjny niby, poezyi pozbawiony; klassycy, rozumniejsi w tém od nieprzyjaciół umieli ją szanować i znali się na jéj wartości, ale nie zaczepionéj bronić nie potrzebowali. Szcześnie więc czy nieszcześnie dla siebie, ale naturalnie, samą siłą rzeczy, został Fredro po za szrankami turniejów, po za regionem wichrów klassycznych i romantycznych. A zatrzymał go na boku nie sam tylko rodzaj i przedmiot jego talentu, ale także i sam jego rodzaj i sposób pisanja i życia. Ze wszystkich naszych znakomitych pisarzy tego wieku, on jest najmniej literatem, najmniej pisarzem z professyi. On przez całą swoją pierwszą młodość nie domyśla się w sobie zdolności ani powołania, nie marzy jak inni o autorstwie, nie pisze wierszy na szkolnych zeszytach i nie kwapi się z wydaniem pierwszego ich zbiorku. On jest oficerem naprzód i nie myśli o nicém, jak o wojnie; po wojnie jest bogatym, młodym paniczem, żyjącym jak każdy życiem napół wiejskiém a napół światowém; nie woła jak Correggio *anch'io*, nie bije się w czoło jak Andrzej Chénier, może nie wie, że za tém czołem mieszka wyo-

braźnia pełna jak róg obfitości. Wię, że potrafi złożyć zgrabny wierszyk, bo tego już doświadczył, ale nie przywiązuje wagi do tego daru, który mu się wydaje nic nie znaczącym. Dopiero kiedy raz, przypadkiem, prawie od niechcenia napisał komedią, przekonał się, że jest na to stworzony. Ale młodość spędzona bez literackich zajęć i przyzwyczajęń zostawiła w nim ślad na zawsze. Zostało w nim już zawsze coś dyletanta, człowieka, który pisze od niechcenia, lub raczej od chcenia, kiedy jest ochota po temu, kiedy coś ciągnie, kiedy w głowie jest jakiś pomysł, który na świat chce wyjść koniecznie; ale pisarstwa swego nie uważa za zawód, za jedyne swoje prawo do bytu, nie zamyka w niem całej czynności, całego swego życia, całego siebie: on lubi się znaleźć w towarzystwie Muz i Apollina i znajdować się w niem umie, ale nie uważa wcale za swój obowiązek przepędzać całe życie w olimpijskiem gynecceum dziewięciu panien, na strojeniu lutni bożka. Jest w jego naturze i w jego sposobie tworzenia jakiś dyletantyzm, jakaś swobodna, oficerska i arystokratyczna disinvoltura, które sprawiły, że on do literackiego cechu tak mało należy i tak mało jest do niego podobny. Dyletantyzm u nas na nieszczęście tak powszechny i najczęściej tak szkodliwy, tym razem miał skutki błogosławione, bo jeżeli z niego zapewne pochodzą niektóre drobne usterki Fredry, jak naprzykład zdarzający się brak wykończenia jego komedyi, to z drugiej strony jego jest dziełem ten brak przymusu i rzemieślniczej roboty, ta swoboda, ta samorodność humoru i dowcipu, ta żywość pomysłów nigdy nie wołanych, ale powstających, kiedy chcą; ten brak zamiaru i założenia, brak tych wszystkich więzów i pętów, któremi pisarze najczęściej sami siebie krępują, ta zupełna niepodległość talentu, powód najsilniejszy zapewne żywości pomysłów, oryginalności i wdzięku dzieł.

Czy jednak on jest tak zupełnie oderwany od współczesnego świata, sam jeden, bez poprzedników i bez towarzyszy? Napozór, tak. Komedia jego wystrzela z ziemi znienacka, niespodzianie, w chwili kiedy jęj się nikt nie spodziewał i można powiedzieć nikt o nięj nie myślał; a przecież była ona rezultatem długich prac i usiłowań, plonem z dawnego i wytrwale powtarzanego posiewu. Powiedzieć, że poprzednikiem Fredry na tém polu był czy Bogusławski, czy Zabłocki byłaby rzecz niesprawiedliwa, bo tylko materialnie prawdziwa. Pisali oni komedye, i pisali je przed Fredrą to prawda, ale żaden na niego wpływu nie wywarł, żaden nie dopomógł, nie przyczynił się do wykształcenia jego talentu, i wspólnego nie ma między niemi nic, prócz tego, że pisali komedye. Ale jeżeli żaden z osobna nie ma prawa uważać się za jego poprzednika, za nauczyciela jego młodości; to wszyscy razem stanowią przecież ten geologiczny pokład gruntu, z którego komedia Fredry wyrosła, wszyscy są wyrazem i skutkiem tęj samęj dążności, szczeblami, po których komedia polska dochodzi do prawdziwego, oczywistego i uprawnionego bytu. Korzenie tego bujnego drzewa Fredrowskiej komedyi zachodzą głęboko i daleko w przeszłość naszęj literatury, sięgają tych czasów, kiedy w wieku XVIII ta literatura tak

pracowicie, tak energicznie dźwiga się z upadku; kiedy chce koniecznie odbić czas stracony i mieć wszystko co tylko mieć może, wszystko co mają, czém żyją i jaśnieją literatury oświeconych narodów. Ten popęd, który ożywił Krasickiego, Naruszewicza i cały liczny zastęp uczonych i pisarzy Stanisławowskich, który im kazał pisać wszystko od epepei do bajki, który później żył i działał w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, to dążenie i usiłowanie żeby literaturę polską z bogacić, wyposażyć wszystkimi rodzajami pisania, nie zapomniało i o komedyi. Żądali jęj, chcieli ją mieć koniecznie, tak jak chcieli mieć i dramat, i poemat bohaterński, i smutne elegie, i tkliwe sielanki, i szczytne ody. A jak w poezyi opisowej wielu pracowało długo, mozolnie i napozór daremnie, Krasicki nad „Wojną Chocimską,” Koźmian nad „Ziemiaństwem i Czarnieckim,” aż przyszedł Mickiewicz i zrobił w *Tadeuszu* to, o czém oni wszyscy myśleli: tak podobnie było i z komedją. Chciał ją pisać książkę biskup warmiński i pisał nie bez talentu, nie bez dowcipu zwłaszcza, ale prawdziwój nie napisał; był humor, był dar obserwacyi, była potrzebna szczypta sarkazmu: nie było pierwiastku dramatycznego.

Chciał i Trembecki: przerabiał na polskie komedye Woltera, robił z markizów kasztelaniców a z Doryn Agatki; lepiój od nich robił to samo Zabłocki, którego „*Firecyk*” jest już prawdziwą komedją. Niemcewicz próbował i pod tą formą rozszerzać swoje dążności i dał na scenę *Powrót Posła* w tym samym zamiarze, w jakim pisywał artykuły do swojej gazety, rozrzucał broszury i pamflety i zabierał głos na sejmie: a dawniej jeszcze przed niemi wszystkimi Wacław Rzewuski, hetman (wtedy jeszcze nie brodaty) w swoich „*Zabawkach wierszopiskich*” bawił się i komedjami. Było więc pragnienie komedyi długie, stałe i wyraźne. Komedyi polskiej jeszcze nie było, ale tylko mniej lub więcej zręczne a zawsze niewolnicze naśladowanie Moliera, z niektórymi tylko, jak u Zabłockiego, rzadkimi błyskami własnych pomysłów i samodzielnych kierunków. Dlaczego Bogusławski nie wykształcił ostatecznie polskiej komedyi? Talent miał i miał to zamiłowanie swojej sztuki, tę namiętność teatru, która go pędziła z miejsca na miejsce z trudem, z biędą, z poświęceniem kazała mu wszędzie dawać przedstawienia, która do podniesienia dramatu u nas z pewnością przyczyniła się wielce, a jego samego zrobiła niemal patryarchą i apostołem polskiego teatru, tak że ten biędny wędrowny aktor i przedsiębiorca jest jednym z bardzo zasłużonych ludzi w naszej literaturze. Ale, czy że zdolność choć prawdziwa, nie była dostateczną, nie było dość wykształcenia i smaku, czy wreszcie samo położenie dyrektora i przedsiębiorcy, konieczność dostarczania teatrowi sztuk coraz nowych, przez to brak swobody, pośpiech, przymus w pisaniu, wzgląd większy u dyrektora teatru naturalny i konieczny, ale u autora najczęściej szkodliwy, na publiczność i na efekt sceniczny, niż na jęj artystyczną wartość, może to wszystko razem; ale dość, że jakiegokolwiek były powody, skutek był ten, że pod ręką Bogusławskiego jeszcze komedya polska nie wyrobiła się tak, iżby można o nięj powiedzieć, że jest i stoi o własnych si-

łach. Ale już się coraz więcej do tój mety zbliżała, już coraz bardziej była w powietrzu: teatr warszawski, tak podówczas czynny i otoczony tak wielkiem powszechnym zajęciem i współczuciem, świetny znakomitemi talentami swoich artystów, pchał także silnie w tym kierunku; gotował drogi komedyi polskiej przez to, że zapoznawał umysły ze sztuką dramatyczną, że szerzył jój zamiłowanie przez sztuki oryginalne które grywał, nawet przez obce tłumaczone, które nieraz mogły posłużyć za wskazówkę, nauczyć mechanizmu komedyi, dać poznać jój warunki, wyrobić pojęcia. Zanosilo się więc na komedyę, oddawna i coraz bardziej, aż wreszcie ukazała się ona tam, gdzie jój się nikt nie spodziewał. Któż zgadnie jakimi drogami płyną, w których miejscach gromadzą się wody pod ziemią? Nieraz się za niemi szuka i kopie, a na zdroj natrafić nie można. Otóż oni wszyscy i Krasicki, i Zabłocki, i Niemcewicz, i Bogusławski, i wszyscy pomniejsi są jak ludzie, którzy kopią studnie; jeden w swojej znajduje wody mniej, drugi więcej, żaden dosyć, żaden tyle, żeby z jego studni śmiało poczerpać i napić się można. Źródło wytrysło samo z siebie na polu innego szczęśliwszego człowieka, który nie kopał. Ale ten silny i obfity promień wody niewidzialnie pod ziemią zebrał w sobie te wszystkie małe poniki, które na studnię wystarczyć nie mogły i niemi wzmocniony, wy dobył się na wierzch. Fredro nie był następcą a tём mniej uczniem ani Zabłockiego, ani Bogusławskiego, ale był rezultatem nieświadomym, ostatnią wypadkową tego dążenia do komedyi polskiej, które objawiało się ciągle i coraz silniej od pół wieku z górą.

Jaka była ta jego komedyja? Mówi Ludmir w Jowialskim, że komedyja Moliera przestała być prawdą, a Ludmir figlarz i pustak napozór, jest chłopiec dowcipny i bystry, który nieraz powie coś trafnego, coś jak żeby z myśli swego autora. Otóż rozumie on, że świat się zmienił od czasów Moliera, i pierwotne typy ludzkich natur zmieniły nie tło swoje i istotę, ale kontury i kształty. „W każdym człowieku dwie osoby, sceny musiały być zawsze podwójne jak medale i mieć dwie strony. Skąpiec dawniej chodził w przeniecowanej sukni i trzymał ręce w kieszeni: teraz sknera sknerą tylko w kacie, troskliwość o mniemanie przemogła miłość złota, i ubogiego hojnie obdarzy, byleby świat o tём wiedział. Zazdrosny gryzie wargi i milczy. Słowem wszystko zléwa się w kształty przyzwoitości, wszystkie charaktery wzięły jedną powierzchowność, nie ma wydatnych zarysów.” Powodem tego ma być nasze wychowanie, nasza ogłada, nasza cywilizacya, która pociągnęła wszystko i wszystkich grubą warstwą jednostajnego pokostu: a skutkiem dla komedyi miałyby zapewne być konieczność przedstawienia figur i sytuacji bardziej zawiłych. Charaktery proste i normalne, idące śmiało i prawie naiwnie za swoją górującą skłonnością, prosty skąpiec Harpagon, prosty mizantrop, te już nie mają w rzeczywistości ludzi do siebie podobnych; nawet Tartuff jest na nasze czasy za prostym może, za otwartym i zupełnym hypokrytą. Osobistość ludzka w naszym społeczeństwie jest produktem zawiłych stosunków moralnych, społecze-

snych i politycznych, i w nich rosnąc, musi być zawikłaną jak one, zmieszaną z tysiącem różnych pierwiastków, nieraz anormalną i krzywo wyrosniętą. Obraz jój w komedyi powinienby zatém odpowiadać jój, i figury Beaumarcha'ego na przykład zbliżają się bardziej może do nas ludzi XIX wieku, aniżeli proste, jeđnolite charaktery i sytuacye Moliera.

Że to zdanie może być prawdziwém, trudno przeczyć; przynajmniej nowsza komedya w Europie, i Musset i Feuillet i Dumas i Sardou stwierdza tę przepowiednię Ludmira. Ale czy ją stwierdza i komedya Fredry także? Czy powiedziawszy, że dawny jój kształt, zakrój i sposób przedstawienia zużył się, przeżył i przestał wystarczać, czy Fredro wprowadza komedya w nowe koleje, nadaje jój nowe kształty? Czy ma jakiś nowy a odrębny sposób malowania? Molier daje tylko najprostsze zarysy różnych ludzkich skłonności i zdrożności, tak jak one są same w sobie i jak się objawiają naturalnie: u nas skłonności i zdrożności zostały te same w gruncie, ale objawiają się inaczej, kontury się wypełniły i wycieniowały mnóstwem skłonności, zdrożności i śmieszności nowych nam właściwych, skutków całego naszego życia, wszystkich naszych pojęć, stosunków, dążności, wyobrażeń; wierzę że tak jest. Ale pytamy, czy Fredro w swój komedyi ten kontur wypełnił, czy to cieniowanie zrobił? Czy tę istotę zawiłą, która się nazywa człowiekiem XIX wieku uchwycił i przedstawił w całej jój zawiłości? Czy ujrzał i czy rozwinął, rozprostował wszystkie fałdy, odbił wszystkie odcienia natury ludzkiej tak, jak one się uformowały pod wpływem naszego wieku. Dramata Dumasa (syna) są najczęściej paradoksalne, przewrotne, a oprócz technicznych i scenicznych, zalet artystycznych nie mają; jednak nie można zaprzeczyć, że *Demi Monde* jest wizerunkiem pewnej strony naszego wielostronnego i różnorodnego świata i życia. Tak samo *Rabagas*, albo ciekawa w swoim rodzaju *Rodzina Benoitonów*. To są natury ludzkie wykształcone, widziane i malowane, pod różnemi warunkami czasu, to jest wycieniowanie konturów, i niezaprzeczenie *Rabagas* jest dziś typem żywszym niż *Tartuffe*, *Benoiton* spotyka się częściej niż *Harpagon*, sawantka nie zachwyca się nad jednym nędznym sonetem i nie ściska ludzi dla tego, że umieją po grecku; to spowszechniało, ona sama umie po grecku i wiele innych rzeczy, jest doktorką, rozprawia na meetingach o prawach kobiety; sawantka zmieniła modę i stała się w naszym czasie emancy pantką, a kto wie, czy i czarująca kokietka *Celimena*, tak rozumna, tak błyszcząca dowcipem, tak w obejściu wykwinтна, a w samój zalotności tak umiejąca siebie samą cenić wysoko, czy jest już tak samowładną panią towarzyskiego życia i serc męzkich, jak bywała niegdys; kto wie czy *baronowa d'Ange* w swoich śmiałych snach nie marzy czasem ambitnie o tém, że ją zrzuci z tronu i sama zajmie jój miejsce?

Popatrzmy teraz na Fredrę, jakimi rysami, jakim sposobem on charakteryzuje ludzkie natury i społeczeństwo? Weźmy którąkolwiek

z jego figur, co zobaczymy? Najprzód fizyognomię tak wyraźnie, tak niewątpliwie polską, że nie można się pod tym względem pomylić; wszyscy ci ludzie tu się tylko mogli urodzić i tu tylko żyć mogą; ale pod nią co się znajdzie więcej? czy natura, namiętność, skłonność, śmieszność ludzka poplątana i zawikłana rozmaicie rozlicznymi wpływami i stosunkami i w całej tej zawikłej plątaninie starannie i misternie wycieniana, lub też są to li różne fenomena ludzkiej natury w swoich kształtach prostych i przyrodzonych, nakreślone śmiało i wyrazistemi ale również prostemi pociągami pędzla, z wielką nawet oszczędnością dodatków? Oczywiście to ostatnie. Hypokryzja Milczka np. oddana jest najogólniejszemi rysami, jest sama w sobie, jest tak oddana, że każda hypokryzja w życiu zastosowana do jakichkolwiek celów i stosunków może być do niej podobną; ale ona w komedyi do takich zewnętrznych stosunków i celów się nie stosuje: to nie hypokryzja zastosowana do polityki jak u Rabagasa, ale raczej sama w sobie jak u Tartuffa. Łatka, jest tym prostym sknerą w wytartém odzieniu, o którym mówi Ludmir i do Harpagona bardzo podobnym. Klara nie ubiera się dziwacznie, nie jest poufałą z mężczyznami, nie zakłada się na wyścigach konnych, jak panny Benoiton, do czego przez złe wychowanie i przykłady ze swoją naturą dojść mogła: jest żywą, trochę niezależną, trochę kapryśną naturą dziewczęcia, w swoim wyrazie najprostszym i najogólniejszym. I poszukawszy, znajdziemy to samo we wszystkich prawie z bardzo małemi wyjątkami figurach Fredry, a z tego wynika, że choć zdaniem jego komedya Moliera przestała być prawdziwą, on przecież figury swoje kreślił tym samym sposobem co Molier, patrzył na nie z tego samego punktu widzenia, tego samego w nich szuka i dostrega, i że jego komedya podobniejsza jest daleko do dawniej, której Molier jest typem, aniżeli do tej nowszej, której początkiem a dotąd podobno i szczytem jest Beaumarchais.

A z tego wszystkiego cóż wynika? Że jest pokrewieństwo między Molierem a Fredrą? Jest niezaprzeczone i nieuniknione. Niezaprzeczone, widoczne w sposobie tworzenia, w stworzonych figurach, w rodzaju sytuacji, nieraz w budowie sztuki i w prowadzeniu intrygi: nie naśladowanie, ale podobieństwo. Nieuniknione, bo człowiek z tego pokolenia, a do tego Polak, wychowany oczywiście w znajomości i czci literatury francuzkiej, tak Moliera znał, tak się z nim oswoił, tak nim przesiąkł, że pisząc komedye, musiał je pisać pod jego wpływem. Ale nie o tę chodzi nam konkluzya, lecz o to by wiedzieć, czy ten sposób pisania komedyi, pojęcia i poczęcia jej postaci, wyszedł na szkodę autorowi, dziełom i naszej literaturze, czy to jest wada, czy zaleta talentu Fredry i jego komedyi? Niezaprzeczenie zaleta. Zapytajmy, co się stanie za lat sto, przędź, za pięćdziesiąt, może za trzydzieści, z temi komedjami, które nas dziś bawią, bo widzimy w nich fotografią naszych dzisiejszych chwilowo panujących śmieszności czy zdrożności? Zapytajmy czy pokolenie następne, które będzie miało swoje znów odmiennie, będzie się bawiło na „Rodzinie Benoitów“ np. czy panny

w dżokejskich czapkach i dzieci grające na giełdzie nie będą dla nich niezrozumiałe i obojętne, jak te karykatury z dawnych czasów, których przystosowania my już nie znamy? Zapewne tak, a tymczasem Molier choć stary, choć niektóre jego żarty nas już nie bawią, nie stracił na wartości ani na zajęciu. Czegoż to dowodzi? Oto, że to co jest dodatkowem i przypadkowem, powstałem pod wpływem czasu, to się zmienia i przemija: niezmiennie są tylko najprostsze i główne linie natur ludzkich. Kto ją takimi rysami maluje, ten może liczyć na to, że figury przez niego stworzone będą typami, będą zawsze podobne do żywych ludzi jakiegobądź pokolenia lub wieku. Kto zaś w dziele swoim przedstawia tylko te formy i symptomata, w jakich ta lub owa skłonność ludzka objawia się w jego czasie i pod warunkiem tego czasu, ten robi obraz, który na razie będzie się wydawał żywszym, bogatszym i bardziej efektywnym, ale zblednie, straci koloryt, stanie się obojętnym i nie zabawnym, jak przejdzie ten dany okres czasu i właściwe jemu formy, jeżeli się tak można wyrazić, mody ludzkich zdrożności czy śmieszności.

A ztąd wniosek, że typy komiczne Fredry jako proste i ogólne przeżyją i nasze pokolenie i nasz wiek może, że za lat dwieście będą u nas tak zrozumiałe, prawdziwe i komiczne jak są dziś, jak po dwustu latach jest dla całego świata *Orgon*, *George Dandin* lub *Celimena*.

Jest wszakże jeden warunek, pod którym Fredro zawsze naturę ludzką widzi, uważa i przedstawia: warunek nie czasu, ale miejsca. Rzecz jasna, że pisarz któryby chciał tworzyć postacie od wszelkiej rzeczywistości oderwane, naturę ludzką jak jest, w absolutnej czystości jej różnych rodzajów a nie wcieloną w indywidualia należące do pewnego wieku lub kraju, tworzyłby jakieś filozoficzne mary bez ciała i kości; jakieś ogólne definicje i formuły na ludzi, których w rzeczywistości byłoby tak mało, że ludzi naszych zwykle pierwiastek narodowy przeważa nad tamtym: w kreacyach samego Mickiewicza bije w oczy najprzód ich charakter polski, ich natura ludzka dopiero się poza tęp później odsłania. Fredro jest pod tym względem do wszystkich naszych poetów podobny. Niektóre z jego postaci, i to może najdoskonalsze właśnie, są tak specyficznie polskie, że cudzoziemiec w zupełności nie mógłby ich zrozumieć i ocenić: nie żeby w nich nie było ogólnej ludzkiej prawdy i rzetelnego dowcipu przystępnego dla wszystkich, ale nie mówiąc już o *Panu Jowialskim*, który w tym kierunku narodowej typowości dochodzi aż do narodowej idiosynkrazy, ale od *Raptusiewicza* aż do *Dyndalskiego*, od *Majorów* i *Kotmistrzów* aż do *Grzesiów* i *Rembów*, od ślicznej *Anieli ze Ślubów pannieńskich*, aż do strasznej *Anieli z Huzarów*, wszystko jest przedewszystkiem typem polskim. A nawet w tych komedjach, które nie nosząc na sobie żadnej cechy czasu, mogą być obrazem wszystkich czasów, a których jużby się w nich poznać nie mogło. Człowiek nie jest tylko człowiekiem, i nietylko dobrym lub złym, żywym lub powolnym, skąłym lub rozrzutnym i t. d. Ale jest zawsze oprócz tego częścią jakiejś zbiorowej całości: Francuzem, Anglikiem, Niemcem, Włochem

i t. d. a jako taki ma swoje właściwości narodowe, swoją fizyognomię moralną tak odrębną, jak odrębny bywa typ twarzy u różnych narodów. W poezyi, czy w powieści, czy w komedyi wreszcie, to co w naturze ludzkiej jest powszechnem i wspólnem, powinno przebijać przez tę fizyognomię odrębną, każdemu narodowi właściwą; postać w wyobraźni stworzona powinna mieć cechy narodu do którego należy, a nie przestać być typem ogólnie ludzkim. Połączenie to, na którym zawisł i narodowy charakter i powszechna prawda poezyi, rzadko bywa tak doskonale odmierzonym, żeby ani jeden ani drugi pierwiastek nie brał góry lub nie ponosił uszczerbku; proporcya najlepiej może jest zachowana u wielkich poetów niemieckich. U nich nie ma starych kontuszowych szlachciców, w takich jak *Śluby panińskie* właśnie lub *Mąż i żona*, które mogą się odbywać dziś tak samo jak przed laty czterdziestu, jak za lat czterdzieści, nawet w takich, choć one dla cudzoziemców mogą być, sądzę, tak samo jak dla nas przystępne, jeszcze charakter narodowy jest tak wyraźny i silny, że widocznie Gustaw, Radost, zwłaszcza Aniela i Klara, w wyobraźni autora Francuza lub Niemca, byliby musieli przybrać fizyognomię cokolwiek inną niż ta, którą mają. Ze przez ten tak silny i wybitny charakter narodowy, komedye Fredry mogą tracić nieco na swojej wartości ogólnej, dla całego świata, to być może. Wspólne im to jest zresztą z całą naszą nowszą poezją, która znaczenia uniwersalnego nie będzie nigdy miała w mierze takiej, do jakiej dawałby jęj prawo geniusz naszych poetów i piękność ich dzieł, dlatego, że pierwiastek narodowy góruje w niej bardzo nad ogólnie ludzkim. Fakt to, któremu nie ma się co dziwić, ani go żałować, konieczność, którą okoliczności dostatecznie tłumaczą: dla naszej zaś literatury i w ogóle dla całego naszego życia było to zbawiennem. Powszechna znaczenie i powszechna sława jest pięknym zbytkiem, o którym wtedy dopiero myśleć można, kiedy zaspokojona jest pierwsza potrzeba, jaką dla każdego narodu jest literatura własna, obejmująca wszystkie jego uczucia, odpowiadająca jego dążnościom. U nas tej potrzebie stało się zadosyć w drugiej ćwierci naszego wieku. Epoka to dziwnie świetna i płodna, podnosząca literaturę polską na wysokości, o jakich jęj się przedtęm nie śniło. Od najwyższych natchnień i form najpiękniejszych od *Pana Tadeusza* i *Irydyona*, aż do potocznej powieści, wydał ten okres wszystko, co literatura oświeconego narodu mieć może. A jakżeby na to, żeby, z jednym wyjątkiem tragedyi, nie brakło mu na żadnej chwale i zasłudze, w nim także wyrosła i dojrzała polska komedya. I nie będzie to wcale najmniejszą częścią chwały. Z naszych dzisiejszych wielkich reputacyj literackich wiele uschnie za czas niedługi, jak trawa i kwiat polny, że i miejsca gdzie były nie poznać. Ale kiedy potomni patrzeć będą ze czcią na prawdziwe wielkości naszego wieku i mówić, że dzielnym musiało być pokolenie, wśród którego powstał „Pan Tadeusz i Nieboska, Ojciec zadżumionych i Marya,” po tych wielkich imionach wspomni zawsze z sympatją i z przywiązaniem *Zemstę* i *Śluby panińskie*, a oprócz tych poetów,

którym wielkie geniusze i większe jeszcze serca zapewniają nieśmiertelność, jak Mickiewicz i Krasiński, oprócz mniejszych niż oni, lecz palających przecie świętym ogniem poczumi jak Słowacki i Malczeski, nie wiemy, kto w naszej literaturze pięknej mógłby pewniejszym być trwałego życia i pamięci, ktoby do nich więcej miał prawa, jak Fredro.

PODRÓŻE I ODKRYCIA GEOGRAFICZNE.

(1874—1875).

(*Geographical Society* (sprawozdania w *Athenaeum* 1875).—*Stanley How I found Liwingsstone*).—*Petermann*, *Mittheilungen* 1885 i 1876.—*Skertchley*. *The North West African expedition* 1875).

Afryka. Ogólny obraz odkryć.—*Dar-Fur*.—*Rzeka Ogowe*.—*Jezioro Nijanca* (*Wiktoryi*) i *Tanganyika*.—*Nil* i *Ukanda*.—*Odkrycia Stanleya*.

I.

Święta sprawa zdobywania przestrzeni na rzecz wiedzy, od pełnego czasu szczególnie skierowaną została do wnętrza Afryki. Usiłowania pojedyncze obok zbiorowych, w potężną wyprawę ugrupowanych sił, zwrócone ku tej zakłętą dziedzinie tajemnic i pomroki, trzymają uwagę publiczną w nierównie głębszym nateżeniu, aniżeli kiedyś zawiewające do Kastylii wieści od Kolumba. I Afryka, jedna z trzech brył starego ładu, z powodu wielu, a wielkich odkryć w niej dokonanych, jest dziś dla nauki prawdziwie „nowym ładem.”

Interes, jaki budzą w świecie odkrycia, wyprawy i podróże po Afryce środkowej—należy wypowiedzieć to na zaszczyt obecnej chwili—pochodzi nie tyle z widoków materialnych, jak raczej, i to głównie, z pobudek teoretycznych; jakkolwiek za tropem teorii snuje może nie swoją zysk i proza, jak snuła ją niegdyś za natchnionym Krysztosem z Genui.

Odkrycia dokonane przez Liwingstona i jego następców, przez Kamerona, przez Bartha, przez Stanley'a (wysłanego z ramienia wydawcy „*New-York Herald*” i londyńskiego „*Telegrafu*”), przez Long'a, przez członków niemieckiego Towarzystwa afrykańskiego i t. p.; odkrycia te zwały z przed naszych oczów dwa wielkie złudzenia: 1) o gotowości przyjęcia naszej kultury przez ludy wnętrza Afryki; 2) to złudzenie, jakoby owa nieprzezroczysta warstwa środkowego ładu Afry-

ki zawierała w sobie potężne i ucywilizowane, acz dotąd nie znane państwa. Otóż nie odkryto tam nigdzie ani owęj kolébkowéj społeczności, nad którój dziewictwem rozplakałaby się bogobojna królowa Izabella, iż jéj sen rajski przerwano; nie odkryto téż spodziewanych, wielkich ugrupowań politycznych. Przeciwnie, z jednój strony sprawdziły się mniemania o tysiącach plemionek, żadnym, nawet fizycznym węzłem jednósci nie połączonych, i o tyluż gwarach pozbawionych wszelkiéj organizacyi gramatycznój. Z drugiej strony odkryto dziksze nad wszelką pierwotność obyczaje: ludożerstwo, kupczenie ludźmi i sceny krwi, wniesione w poczet zwyczajnych rozrywek życia. Kupczenie żywymi, a co ważniejsza sprzedawanie umarłych za granicę, to jest przez jedno plemionko drugiemu, nie są to zapewne cechy pierwospołeczne!

Ludożerstwo (np. nad brzegami Ogowe) nie da się wytłumaczyć ślepą koniecznością tam, gdzie jest podostatkiem zwierząt, ptastwa, ryb i patatów, a więc równie pod skalę ciągłości cywilizacyjnój podciągniętóm być nie może.

Równie straszliwą zagadkę stanowią „sceny krwi,” które w połączeniu z kanibalizmem i handlem niewolnikami prowadzą do stopniowego znikania ludności. Smutném tego dowodem są wewnętrzne stosunki królestwa Dahoméj ¹⁾.

Oto są cechy złowieszcze, które pozostawia za sobą obraz środkowéj Afryki, utworzony z opisu i sprawozdań ostatnich. Cechy te jaskrawo ilustrują tradycyjny mit etnograficzny, osławiający wnętrze Afryki, jako byłą kotlinę, z którój morze ustąpiło ziemi, zostawiając jéj jakoby z mułu wylęglą rasę, ze wszystkimi instynktami staréj kreacyi.

Takie, powtarzamy, są cechy téj nieszczęśliwéj ludności, sąsiadującój z hipopotami; podejrzliwéj, zabobonnéj, krwiożerczój na zimno—ludności, dla którój przednią straż stanowi albo las dziewiczy, albo strzała zatruta, albo zabójcza gorączka żółciowa i *vomito nero*.

¹⁾ Naturalista angielski Skertchley przed pięcią laty przedsięwziął wy-cieczkę entymologiczną do Dahomeyu. Wyjednuawszy sobie za pośrednictwem zarządcy prowincyi pozwolenie wejścia do kraju, Skertchley musiał jednak zobowiązać się do tego, iż dłużej nad dni ośm obcować w nim nie będzie. Na nieszczęście król tak się okazał łaskawym dla entymologa, iż go przez cały czas dozwolonego pobytu przetrzymał przy swym boku, nie odstępując ani na chwilę. Szereg uczt i obrzędów gościnności uwieńczony został tańcami. Nasz badacz owadów zaszczycony godnością generała armii dahomejskiej i tytułem księcia, miał szczęście tańczenia z królem. Wkrótce jednak nastąpiła zmiana sceny. W ogromnych koszach wniesiono „ofiary balu” i poświęcano głowy nieszczęśliwym. Jego murzyńska mość król Gielele darował życie niektórym z ofiar. Czaszki nieulaskawionych posłużyły za puhary do spełniania toastów runom.

Podobieństwo typu, wspólna ludożerczość i uderzająca pokrewność językowa (podwajanie wyrazów), nasuwają myśl o tożsamości rodowej z plemionami Oceanii. Gdyby ta hipoteza sprawdziła się, wtedy nauka miałaby w ręku klucz do zagadki, wtedy w ludach Afryki środkowej poznalibyśmy dalszy ciąg grupy „odpadtęj” (zdziczałtęj).

Zwracamy się do ogólnego wyniku odkryć, szczególniej dotyczących środka Afryki. Przedewszystkiem zaznaczyć musimy fakta ogólne.

W roku zeszłym miała miejsce w Paryżu wystawa geograficzna (opisana obszernie w Bibliotece Warszawskiej, wrzesień 1875 r.), z której przedmiotów dotyczących Afryki, głównie zwróciła uwagę mappa geologiczna Sahary, ze względu, iż pokazuje charakterystycznie rozwój czwartowarstwowej i kredowej formacyi.

Również na zeszły rok przypadają „Statuta” świeżo ustanowionego Towarzystwa geograficznego w Kairze (Société Khédiviale). Towarzystwo składa się z członków rezydujących i korespondentów, którzy wnoszą rocznie po 300 piastrów podpisowych, i z członków honorowych, których zadaniem będą poszukiwania geograficzne dotyczące Afryki i przyległych jęj krajow Syrii i Arabii. Prezesa i sekretarza mianuje Khedywe, reszta są członkowie obieralni: wicekról, oprócz pensyi prezydenta, którą płaci ze swojego skarbu, przeznacza rocznie po 400 funtów wspomogi. Przytém odstąpił na użytek Towarzystwa pyszny lokal. Towarzystwo wydawać będzie „buletyn.” Prezydentem mianowanym został dr. Szwajnfurt, filar Towarzystwa geograficznego niemieckiego.

Jak wiadomo, wielką działalność w poszukiwaniach na tém polu rozwija niemieckie Towarzystwo afrykańskie. Polem działalności są poszukiwania zachodniej części Afryki. Wprawdzie w roku zeszłym poniosło ono dotkliwe ciosy. Dr. Güssfeld powrócił do Berlina złożony chorobą. Równie Homayer zmuszonym był pozostać w Loando na łożu choroby, jakkolwiek urządzona przez niego wyprawa prowadzoną była dalej z Kassauje do Matiamo (brzeg zachodni). Dr. Lenz odbył dwie wycieczki w górę i powrotnie po rzece Ogowe, dotąd znanej tylko przy ujściu i prześcignął granicę odkryć wszystkich poprzedników swoich, a nawet pana Compiègne.

Spółka niemiecko-abissyńska zawiązana niedawno, z powodów mniej nam znanych nie powiodła się. Professor Rohlfs dokonał podróży po pustyni Libijskiej, której wnątrze należy do rzędu najmniej znanych miejscowości. Rohlfs uważa ją za pełną ciekawych przedmiotów dotyczących geografii, geologii, botaniki i archeologii. Dzieło i karta tój podróży ogłoszonymi zostały. (W przewidywaniu braku wody prof. Rohlfs zaopatrzył był swoją wyprawę w 500 skrzyń wody, opancerzonych żelazem). Dr. Nachtigall przebiegł ogromny pas od zachodu ku wschodowi po obu stronach Dar-Furu, poczynając od Kuka (o blisko 19^o st.) aż do Chartum nad Nilem (na 32½^o st. długości wschodniej) to jest znaczną część państwa Wadai, niezależny kraj dzikich Massalitów; następnie Dar-Fur, gdzie zbadał mało znane pasmo

gór Marva, a w końcu Kordofan. Ważną jest także wycieczka d-ra Sz wajnfurta, odbyta w r. 1874 do oazy El-Charge położonej o 20 mil na zachód od starożytnych Teb; wycieczkę tę wzbogacono uwagami botanicznymi i geologicznymi. Uczony podróżnik opisał w niej mniej lub więcej zniszczone zabytki architektury, mało dotąd znane (świątynie, groby, tak zwane *borgi*, to jest domy gołębie i t. p.).

Oto są ważniejsze owoce działalności Towarzystwa niemieckiego. Wprawdzie nie odpowiadają one tej szczytnej normie, jaką miało przed oczyma dostojne ciało naukowe, ożywione duchem ofiary i trudów: ale z tem wszystkiem zasługi jego są wielkie. Afryki środkowej nie zdobywa się drogą zwykłych procesów terytoryalnych. Droga po tym gruncie, acz niskim, bo niekiedy na kilka metrów nad poziomem morza położonym, jest drogą stromą, gdzie nieraz przychodzi się obsuwać na wstecz i pracę rozpoczynać napowrót od zera. Podług ostatecznego obliczenia Towarzystwo ma jeszcze przed sobą do zbadania około 70,000 mil kwadratowych we wnętrzu Afryki zachodniej.

Nierównie pomyślniejszymi były przedsięwzięcia kierowane od Wschodu (z Zanzjbaru) i Północy (z Egiptu). Do rzędu pierwszych należą podróże Stanley'a i Kamerona. W ostatniej wycieczce swojej trwającej 32 miesiące, Kameron zwiedził południową stronę jeziora Tanganyika; wykrył jego związek z systematem wód zachodnich, spływających do Atlantyku, a mianowicie przez rzekę Kongo, z którą to jezioro łączy się przez swój wytok pośredni (Lukugu).

Ale prawdziwym bohaterem okresu jest Stanley, który nietylko zwiedził Jezioro Wiktorya, ale je opłynął po linii krzywej (przeszło 1000 mil wynoszącej), mało oddalając się od brzegów i tym sposobem przyszedł do znaczących odkryć etnograficznych. Niemniej ciekawe jest sprawozdanie z drogi przebytej do samego jeziora. Podróż ta jest prawdziwą Odysseą, na którą puścił się od wybrzeża w sile 300 ludzi. Żeglugę jego po zachodnim brzegu jeziora poparł król Ukandy, dodałszy mu ze swęj strony flotyllę.

Trzecim punktem wyjścia dla wypraw afrykańskich był Egipt. I tu mamy przed sobą misję polityczną od wicekróla, do wspomnianego przed chwilą króla Ukandy. Misja ta powierzona została panu Long. Podróż do Ukandy odbyła się lądem, powrotna zaś wodą po Nilu południowym. Sprawozdanie Longa obejmuje z jednej strony opis żeglugi (w górę rzeki) po Białym Nilu, z kataraktami, a z drugiej strony opis Ukandy, przylegającej z północo-zachodu do jeziora Wiktoryi. Tym sposobem dwie te wycieczki Longa i Stanley'a położyliśmy tu jedną po drugiej.

Darfur. W pierwszym dniu Nowego roku 1875 Kedywe otrzymał wiadomość, że państwo Darfur, w osobie ostatniego obrońcy swego Hasseballaha, poddało się zwycięzcy. Nieprzystępny dotąd kraj, stanął otworem dla badacza. Wiadomości, podane przez Browne'a w ostatnich latach zeszłego wieku, są nader skąpemi. Nierównie ważniejszymi są wiadomości, zebrane przez sultana Teima. Jego to pra-

ce posłużyły dr. Nachtygalowi za podstawę do poszukiwań w czasie podróży wymienionej na wstępie. Imię d-ra Nachtygala zaszczyca się wysokiem uznaniem w świecie naukowym; nadzwyczajna biegłość w potocznej mowie arabskiej, rozległe studia nad Afryką środkową, a nadewszystko głęboko wyrobiony takt podróżniczy, nadają jego odkryciom i sprawozdaniom owe rzadkie piękno, które nazwałoby można urzędową cechą prawdy naukowej. Dr. Nachtygal słusznie nazwanym został spadkobiercą Barta, tyle bowiem poczynił on odkryć we wschodnich dzielnicach Sudanu i Sahary, ile Bart w środkowych; dr. Nachtygal udał się w podróż do Dar-Furu z kraju *Wadai* graniczącego z Dar-Furem od Zachodu. Podróżujący z Wadai, ma, właściwie mówiąc, jedną tylko drogę karawanową, a mianowicie ze stolicy kraju *Abeszr*, (trzy i pół dnia drogi do granicy wschodniej) zwraca się on ku Południowi, mając po drodze góry *Kjelingien*; następnie przechodzi z kolei trzy strumienie, stanowiące zawiązek rzeki *B'eteba* i dochodzi do *Bir-Tuil*, rezydencyi zarządu nad zachodnim obwodem państwa. Tu karawana zatrzymuje się dla dopełnienia przepisów kontroli granicznej a zarazem zapewnienia sobie opieki policyjnej, przez gubernatora, odpowiadającego z urzędu za bezpieczeństwo karawany, albowiem na pograniczu obu państw, ciągnie się wazki pas ziemi, zajęty przez dzikie i niebezpieczne hordy *Massalitów*, nie uznających nad sobą władzy żadnego z dwojga państw. Z pomienionej rezydencyi gubernatora w ciągu kilku godzin podróży dostaje się na granicę kraju. Dr. Nachtygal zwiedził prawie wszystkie główne okolice Dar-Furu i pouczające sprawozdanie illustrował wyborną kartą geograficzną obejmującą oba kraje.

Nowa prowincya państwa egipskiego ma za swój punkt środkowy góry *Marra*, których największa wyniosłość wynosi około 3,500 stóp. Z gór *Marra* bierze początek mnóstwo rzek, spływających w kierunku zachodnim, południowym i południowo-zachodnim. Atoli jak w wielu krajach środkowej Afryki, tak i w *Dar-Furze*, uważać je należy nie za rzeki we właściwem znaczeniu wyrazu, ale raczej za chwilowe koryta wody deszczowej, czynne tylko w porze deszczów. Są to więc opatrne żyły, za pomocą swojej peryodycznej cyrkulacji przenoszące po zwirowém i piaskowém dnie urodzajną warstewkę humusu. Na szczególną uwagę pod tym względem zasługuje *Wady-Azum* (wady, jest to ogólne oznaczenie rzeki). Główne jego przytoki mają niekiedy 300 stóp szerokości.

Szczególny rozkład systematu wód, a mianowicie ich główny kierunek ku Zachodowi, Południu, i Południo-Wschodowi, pociąga za sobą wydatną charakterystykę tak pod względem fizycznych własności gruntu, jak i pod względem ogólnego stanu kultury ¹⁾. Mamy więc

¹⁾ Przyczyną tak nierównego rozdziału wód jest zbyt mała spadkowość pozioma od podnóża gór *Marra* ku *Wschodowi*, tak dalece, iż rzeki płynące ku *Wschodowi* nie zdolne są dosięgnąć do *Nilu*, i tocząc się leniwie po słabój pochyłości, następnie wsiąkają w piasek.

z jednej strony grupę odpowiadającą trzem powyższym kierunkom rzek t. j. kraj zroszony, żyzny, zasilony już humusem, już warstwą gliniastą; po drugiej stronie mamy Wschód i Północ, kraj piaszczysty i skalisty, nierównie mniej urodzajny. Tam gęste zaludnienie, tu średnie, a niekiedy i skąpe. Tam uprawa pszenicy (ziarna, rzadko spotykanego w Afryce środkowej), bęra czyli prosa negryckiego (Duch) i Durra (sego), cebula, pieprz i drzewa owocowe; tu na Północy i Wschodzie, tylko proso, rzadkie lasy i nędzne drzewa owocowe, tytoń krajowy nadzwyczaj mocny. Na Południu rosną palmy Dalebskie i na Wschodzie drzewo baobabowe, stanowiące przy ogólnym braku wody, cysterne dla mieszkańców. Tam nakoniec hoduje się pigńkę bydło, kozy i owce, na Północy zaś głównie wielbłądy. Stolicą kraju jest El-Obeid. Ludność Dar-Furu stanowią plemiona rodowe pochodzenia środkowo-afrykańskiego, jako to: Furowie, Dadzo (niegdyś panujące), Zogawa i Arabowie. Z ukazaniem się plemienia, prawdopodobnie arabskiego: *Tur-dzur*, władza *Dadżów*, ustąpiła, korząc się przed wyższością kultury przybyszów.

Wycieczka d-ra Nachtygala odbyta została na przestrzeni od Kuka do Chartumu, które o punkta, połączone nawet linią prostą, reprezentują przeszło dwieście mil długości.

Ogowe w Afryce zachodniej. Opuszczając Dar-Fur przenosimy się w dalszej pogoni za postępem odkryć, blisko o 15 stopni niżej, a mianowicie pod pierwszy stopień szerokości południowej. Ogromna rzeka *Ogowe* przed parą laty znaną była tylko przy ujściach. Przed dwoma jednak laty (1874, w początkach marca) p. Compiègne przepłynął ją aż po za dwunasty stopień długości wschodniej. Późniejsze odkrycia, dotyczące *Ogowe*, i rezultaty wycieczek szczególnie po jej lewej stronie, dochodzą do listopada 1874 r. Winniśmy je Oskarowi Lenz, który odbył dwukrotnie podróż po *Ogowe* w pomienionym roku i jej wyniki przesyła niemieckiemu Towarzystwu afrykańskiemu.

Pierwszą wycieczkę z zatoki Nazaret, Lenz rozpoczął d. 13 sierpnia i po dwóch tygodniach stanął w Adaulinaulongo, położonem jak się zdaje, na prawym brzegu rzeki, w państwie Galoa, gdzie się kończy mniej więcej połowa całej linii, jaką mu się przebyć udało. Tu odcierpiawszy chorobę, (szczególniejszy ból w nogach, przebyć tu musi każdy Europejczyk), puścił się dalej pod wodę, wykonywając podobnie wycieczki uboczne. Z wielkiej liczby plemion czarnych, zamieszkujących pas ziemi zachodni, od oceanu, wzdłuż środkowej Afryki, po obu stronach *Ogowe*, i jej jezior, wymieniamy najgłówniejsze:

1) *Osieba*, od 12 do 12 i pół st. długości wschod. po obu stronach rzeki, aż do tego miejsca, w którym linia *Ogowe* załamuje się prostopadle ku Południowi. Ten załamek prostopadły jeszcze jest nieznany. Ma to być, podług zeznania towarzyszących ludzi, rassa więcej posunięta, pod względem wykształcenia materyalnego. Mówiono też, że posiadają oni lepszą i piękniejszą broń i inne przedmioty.

2) Sekiani i Mpangwe (ostatnia nazwa zresztą może jest i ogólniej szczepową) plemię bez zaprzeczenia ludożercze. Niektórzy z podróżników utrzymują, iż Mpangwe zjadają swoich ziomków po ich śmierci. O ile to mniemanie jest prawdziwem, niewiadomo. Dowiedziona jest jednak rzeczą, że tu kwitnie handel umarłemi, i że jedno plemię drugiemu sprzedaje swoich nieboszczyków. Mięso białych nie zaszczyca się ich upodobaniem, jeśli tylko to zeznanie krajowców nie było spowodowane pewnego rodzaju delikatnością afrykańską w obec Europejczyka.

3) Bakiele, sprytna, również ludożercza rassa, szeroko rozsiała po obu stronach rzeki pomiędzy 10—11 stóp długości.

4) Ininga, zostające dziś pod nowym królem (nazwiskiem Renoki), którego władza sięga daleko na Północ aż do Okandy (szerokiej, jak Dunaj rzeki w kraju tegoż imienia, będącej górną częścią Owego). W jego to państwie nasz podróżnik odbywał połowiczną stacyą, o której wspomnieliśmy.

Król Renoki okazywał się bardzo przychylnym dla podróżujących Europejczyków. P. Lenz zamieszkał u króla i wymógł na nim towarzyszenie w drugiej połowie wycieczki. Przed wyjazdem króla i Lenza, jeden z orszaku wygłosił pompatyczną mowę, wyjaśniającą cel podróży. Następnie król uściskał Lenza i spełnił nad nim akt *oczarowania*, zakreślił rękami magiczne znamiona nad jego ramionami, tworując im mistycznem mruczeniem. Mówiono nawet, że podczas nocy, gdy Lenz spał po danej na jego cześć zabawie i tańcach, które się skończyły straszliwą kłótnią pomiędzy tancerzami i wystrzałem z pistoletu, że król ciągle krążył około domu Lenza, i krzykani odstraszał złe duchy, aby nie trapiły śpiącego.

Jak tu, tak i w innych krainach Afryki środkowej ludność skwapliwie osiada nad rzekami, dokąd ich wabią widoki handlu z podróżnymi. Zarośla przeciwnie, zachowują pod cieniem nieprzejrzanego gąszczu straszliwą, dziką pierwotność. Wioski nieustannie przenoszą się z miejsca na miejsce; śmierć bowiem ważniejszego mieszkańca prowadzi za sobą zwyczajową konieczność zniszczenia i opuszczenia dawnego siedliska.

Tak więc śmiało powiedzieć można, że główną, jeśli nie jedyną linią grupowania się jest pobrzeże rzek, na których mieszkańcy spodziewają się ujrzeć łódź białych (hulk) a w głębi po obu stronach ciągną się lasy dziewicze.

Wędrówka po tych lasach dla przechodnia połączoną jest nie tylko z trudem i niewygodami, ale nawet z niebezpieczeństwem. Są to, dosłownie, hieroglify przestworu i pomroki, wśród których życie badacza jest w ręku przewodników. Na szczęście bakielowie, którzy wprowadzali Lenza, byli to ludzie, związani stosunkami handlowemi z podróżującymi po Ogowe. Badania geologiczne w lasach są rzeczą niepodobną; przeciwnie zoolog i myśliwy ma tu pole obszerne. Wyrażenie „bór pierwotny” dla nas dziś już legendowe, ma tu nowe najści-

ślejsze znaczenie. Przepych wegetacji i cisza wiekuista sprzyjają hodowaniu się nie tylko bezliku niższej fauny: jaszczurek, węzów, lecz i rassic patrycyalnej królestwa zwierząt. Są tu lamparty, słonie i goryle; na gałęziach drzew skrzeczą różnobarwne papugi, krocie małe uwijają się po gąszczu.

W wielu miejscach, szczególnież z lewej strony, Ogowe wypuszcza z siebie ramiona, łączące ją z jeziorami. Niektóre z tych jezior są tak rozległe, że z jednego brzegu, przeciwnego dojrzyć nie można. Największym z nich zdaje się być Eliwa (= jezioro) Jonanga, zalegające po obu stronach 1 stopnia szerokości, a w środku między 10 i 11 st. długości. Wydatną wskazówką jeziora jest uderzające rozwidnienie się widnokręgu, wśród otaczającej dokoła pomroki lasów. Na tej oazie światła ukazują się oczom przestrzenie wysokiej trawy, siedliska antylop, dzikiej nierogacizny, koni rzecznych, tryskających strumieniami wody, dzikich wołów i jednej z najdelikatniejszych łąki dla Kakiela: to jest krokodyłów. Olbrzymi hippopotam jest tu prawdziwie u siebie; ma tu bowiem dostateczną głębokość wody a płaskie jej brzegi o warstwie glinianej i sutęj trawie ułatwiają mu nocną wycieczkę dla żeru.

Rok dzieli się tu na następne pory: wielką suszę od lipca do września; na pierwszą porę deszczu (październik i listopad); małą suszę (do połowy stycznia) i drugą porę deszczową (do czerwca). W porze deszczowej Ogowe podnosi się o kilkanaście stóp nad poziom zwyczajny. Wtedy to żegluga po Ogowe nabiera wysokiego uroku. Ławy jej piaszczyste nikną pod wodą i improwizowany olbrzym (w porze wielkiej suszy nie głębszy nad dwie stopy) unosi żeglarza do oceanu Atlantyckiego, snując przed jego oczyma najpiękniejszą panoramę zwrotnikową, z jej lasami mangrowów, z jej magiczną grą światła i cienia, z jej uroczym—z jej zdradzieckim klimatem.

Tanganyika. Do rzędu najsmielszych badaczy kraju i ludów Afryki, po śmierci Livingstona, należy bezwątpienia V. L. Kameron. W miesiącu grudniu zeszłego roku prezydent Królewskiego Towarzystwa geograficznego w Londynie otrzymał wiadomość o jego przybyciu do Loanda. Kameron zapowiada pod dniem 22 listopada powrót do ojczyzny po upływie kilku tygodni. Zanim Towarzystwo rzeczzone otrzyma szczegółowe sprawozdanie, zmuszeni jesteśmy poprzestać na krótkim streszczeniu działalności nieustraszonego podróżnika. Obecna wycieczka jego po Afryce środkowej trwała lat dwa i ośm miesięcy. W przeciągu tego czasu Kameron przebiegł rozległy pas zwrotnikowy od Wschodu ku Zachodowi, od Zanzibaru do Loanda. Z tej wycieczki, dwa miesiące poświęcił on pomiarom i studjom geograficznym nad brzegami jeziora *Tanganyika*. Puściwszy się w podróż z okolic Zanzibaru dnia 24 marca 1873 roku, nasz bohater po jedenastu miesiącach doszedł do *Udżydży*, przyległego jednemu ze wschodnich zagłębi nadmieniającego jeziora. Angielskie Towarzystwo geograficzne wydało mapę południo-

wój części Tanganyika, której redukcją znajdujemy w znakomitým piśmie: „Mittheilungen aus J. Perthes Geogr. Anstalt. 1875.” Kamerona, jak wiadomo, wysłanym był w celu popierania Livingstona. Na nieszczęście, przybywszy do Afryki, spotkał on orszak pogrzebowy odprowadzający ciało wiekopomnego badacza. Uroniwszy łąkę hołdu, Kamerona postanowił, opierając się na pewnych liniach, wytkniętych przez Livingstona, zapuścić się głębiej. Główną osiá poszukiwań było jezioro Tanganyika, ów tajemniczy fakt, o którym dotąd najsprzeczniejsze panowały mniemania.

W maju 1874 roku Kamerona przejrzał południowy brzeg jeziora Tanganyika i odkrycia ¹⁾ Livingstona znakomicie posunął naprzód. Główną jego zasługą jest potwierdzenie, zdaje się stanowcze, faktu, iż jezioro to nie jest bynajmniej jakąś uosobnioną kotliną, lecz żyłą wielkiego systematu wód zachodnich, wpadającego do oceanu. Jezioro tedy Tanganyika spływa (pośrednio przez wytok Lukugu) do ogromnej rzeki Lualaba. Lecz cóż to jest ów olbrzymi strumień, otwierający swoje koryto również olbrzymiemu zbiornikowi, jakim jest jezioro Tanganyika? Zdaniem Kamerona jest to owa, może największa w świecie, ale najmniej zbadana: Kongo. Tożsamość jednej, dwumienną rzeki stała się dla naszego podróżnika dogmatem. Opiera on go na zeznaniu Arabów, towarzyszących wycieczce, zeznaniu, o którym niebawem wspomnimy, a przytem na ważnej analogii topograficznej, szczerze przystającej do zeznania Arabów. Kameronowi pozostaje jeszcze jedna wycieczka, której wykonać dotąd nie mógł; ale jest pewny, że ta jego hipoteza nie zada kłamu. A mianowicie pozostaje mu puścić się z prądem wytoku pośredniego (Lukugi) do rzeki Lualaby. Władca, dzierzący kraj przy ujściu jeziora, okazał Kameronowi wielką życzliwość, przyrzekł nawet udzielić stosowną pomoc do zamierzonej żeglugi. Ale rzeka Lukugu do tego stopnia zarosła jest wysoką trawą i sitowiem, że przerznięcie na niej wodnego gościńca, bez nadzwyczajnych wysiłków dokonaniem być nie może. Kameron zapytywał Arabów, czyli ta rzeka nie wpada do jeziora Albert Nyanza? „Nie, odpowiedzieli, wpada do Ugarowowa.”

— A gdzie jest to ujście?—zapytał Kamerona.

— Ja—odpowiedział jeden z nich—z Niangwe płynąłem z biegiem tej rzeki przez 55 dni i przybyłem do brzegu morza, dokąd zawijały okręty i biali ludzie posiadali wielkie domy, prowadzili handel kością słoniową i olejem palmowym.

Ugarowowa — mówił dalej — *nazywaną jest* Kongo. W wielu miejscach jest ona niestychanie szeroka, w niektórych nawet tak szeroka jak jezioro Tanganyika (co zdaniem Kamerona wynosiłoby do 14 mil angielskich), znajduje się na niej wiele wysp, na których niekiedy zamieszkuje do 600 ludzi.

¹⁾ Kamerona pisze to sprawozdanie z Udżydy.

Liczba dni żeglugi wskazana przez Araba, reprezentująca długość 500 mil angielskich, ściśle odpowiada odległości Niangwe od ujścia rzeki Kongo.

Podróż po tej przestrzeni, odbywana pieszo a następnie rzeką, zajęłaby sześć miesięcy. Jeżeli kiedyś parostatek wstąpi na tę rzekę i pruć będzie jej fale aż do wielkich kaskad rzeki Kongo, wtedy zdobytym zostanie istne Eldorado wszystkich prawie płodów zwrotnikowych z płodami Europy południowej. Idzie tylko o zniewolenie sobie władców, do których należą wodospady. Na tej przestrzeni ziemia występuje w prawdziwym przepychu z bawełną, ryżem, kością słoniową, gummą, ziemnym orzechem, kukurydzą, pszenicą, prosem, kawą, trzciną cukrową, olejem palmowym, muszkatołową gałką, strojem bobrowym, pieprzem, kauczukiem. Wino rośnie w stanie dzikim, ale niewątpliwie dałoby się uprawić, gdyż klimat prawie przypomina wyspy Kanaryjskie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

P R Z E G Ł A D

L I T E R A T U R Y H I S Z P A Ń S K I E J .

PRZEZ

Sewerynę z Żoch. Duchinią.

(D a l s z y c i ą g).

IV.

Po tych niesłychanych wysileniach, po tym bujnym rozkwicie nastąpiła nagle reakcja w połowie XVII wieku. Pochodnia cywilizacji roztlona we Włoszech, pod wpływem Medyceuszów, przeniesiona z tamąd na półwysep Iberyjski, ręką zapaśników zwyciężkich pod Pawią, pochodnia ta, przeszła znów Pireneje i rozgorzała we Francyi, pod ichnieniem całej plejady geniuszów, które uświetniły wiek Ludwika XIV. Hiszpania smutny wtedy przedstawiała obraz; porównałby ją chyba do biesiadniczej sali, gdy umilknie z niej gędzba, a dogorywające świeczniki, uwydatniają powszechny bezład. Gmach państwa zachwiał się w posadach; z upadkiem państwa upadały umysły. W miej-

sce zakochanych w ideale don Quichotów, występują na scenę płaskie i samolubne Sanszo-Pansze.

W poezyi pod sztandarem Gongory, powstaje nowa szkoła, przesadna, napuszysta, a tak sztuczna i ciemna, że na rozjaśnienie tego chaosu, poeta do każdej pieśni dodaje osobny glosaryusz. Tak dziwnym był jednak, ogólny zwrot umysłów w XVII wieku, że szkoła Gongory znalazła zwolenników w całym ucywilizowanym świecie. Gongorizm zapanował we Włoszech, gdzie spotkał naśladowcę i propagatora w ekliwym poecie Marignim; chwilę nawet zapanował we Francyi; rychło tam jednak skończył pod chłostą Moliera, który w Sawantkach, (*Femmes savantes*) ośmieszył go i zabił. Dłuższą na to ostoję znalazł na ziemi naszej; świadczą o tem owe panegiryczne foliały zalegające naszą bibliografią z epoki dwóch Augustów, zaczem Konarski rozpedził te zmory literackie światłem zatłonem na dworze Stanisława Leszczyńskiego.

W tym stanie rozprzeżenia powstaje w Hiszpanii nowy rodzaj literatury zwany *picarecsa*, od wyrazu *picaro*, znaczącego łotra albo szuje. Rodzaj ten polegał na wyszydzeniu wad grasujących w społeczeństwie, w sposób żartobliwy, niekiedy nawet grubijański. Najwyżej w nim stanęło dwóch pisarzy: Queveda, autor *don Pawła z Segowii*, i Guevara autor *Djabła kulawego*. Owa literatura *picaresca* natchnęła Lesage'owi pomysł Guliwera, tego najwierniejszego obrazu ówczesnej Hiszpanii.

Z liczного grona pisarzy satyrycznych, Queveda zasługuje na osobne wspomnienie. Urodzony w końcu XVI wieku, pamiętał on jeszcze świetne czasy Hiszpanii, z boleścią poglądał na jej upadek. Uczony ten filolog, znakomity poeta, a zarazem dzielny żołnierz i wytrawny mąż stanu, przekonał się z boleścią że niema dla niego miejsca w rozkładającym się społeczeństwie, w jakim żyć był zmuszony. Postanowił walczyć bronią dowcipu, i chłostą szyderstwa budzić naród pogrążony w bezmyślnem odrętwieniu. Daremne były te pociski; panowie kastylscy zatykali uszy na myśl zbawiennych reform. Quevedo stał się przedmiotem powszechnej nienawiści. Wtrącony do podziemnego lochu, jęczał tam w ciągu lat czterech, znosząc cierpienia z odwagą prawdziwie bohaterską. Potomność otoczyła chwałą imię poety. Czyż ta piękna postać nie przypomina naszego Klonowicza, który w swym *Victoria Deorum*, tak śmiało rzucał prawdę, w oczy potężnym świata, a który jeśli nie więzieniem, to przynajmniej opuszczeniem i nędzą, przypłacił walkę podjętą w imię prawdy i powszechnego dobra?

Klasycyzm francuzki z świetnej epoki Ludwika XIV oddziaływał na Hiszpanię równie jak i na całą Europę. Wcześniej przeszedł on za Pireneje niżli do nas; dynastia Burbonów, zastępująca wygasły dom Rakuski, szeroką tam utorowała mu drogę. Z pomiędzy licznych naśladowców tragedyi francuzkiej, żadne imię nie zasługuje na szczególną uwagę; w komedyi tymczasem zaślinał Leandro Moraton, uczeń

i współzawodnik raczej niż ślepy naśladowca Moliera. Tém samém był u nas, wyborny komedyo-pisarz Franciszek Zabłocki.

W poezyi lirycznej naśladownictwo bezbarwniejsze jeszcze wydało owoce. Rzucono się do ekliwój sielanki i wymanierowanej pastorelli. Poeeci przybrawszy imiona pastuszków: Delio, Batilo, Jovino, czarowali piękne panie po madryckich salonach. Ta maskarada trwała przez wielką część XVIII wieku. W pośród takiego rozmarzenia, zagrzmiały nagle działa Napoleońskie. Naród obudził się z letargu. Przy huku dział i poszczęku stali, poeci wydobyli z piersi nową nutę. Pieśni nowych Tyrteuszów przebiegają z ust do ust; śpiewa je cały naród, gdyż znalazł w nich odbicie własnych uczuć! Wśród poetów ówczesnych zasłynęło dwóch: Quintana i Galliego.

Oto w przekładzie ustęp z ody Galliego. Poeta przemawia do Hiszpanii, zwraca się pamięcią w jej pełną chwałę przeszłość.

Widzę cię w pełnym majestacie chwały,
 Królową świata narody cię zwały!
 Widzę jak sięgasz posłannico Boża,
 Twém złotém berłem w dalekie przestworza!
 Zartko na Zachód korable twe suną,
 Atlantyk cały rozgorzał ich łuną;
 Do ciebie ludy wyciągają dłonie:
 Tu, Amerykę piastujesz na łonie,
 Tam, żar Afryki w oczy ci połyska,
 Azya, wspaniała wszech ludów kołyska,
 Utula głowę pod cieniem twój tarczy!
 By ciebie uczcić zaliż pieśń wystarczy?
 Przed twą potęgą ziemia ukorzona,
 Drogie klejnoty wyrzuca ci z łona;
 W haracz ci niosą oceanu fale,
 Bezcenne perły, bursztyn i korale.
 Prąd ich w szalonym ujarzmion zapędzie
 Skona, nim skruszy twoich skał krawędzie!

Takto bywało!.. Dziś... ach! dziś inaczej:
 Ohydne piętne, srom twe czoło znaczy,
 W rękę twych synów porzewiały miecze:
 Obcy jak brankę na targ cię powlecze!

Nienawiść ku Francuzom i ku rządóm króla Józefa, oddziałała i na literaturę. Piękne komedye Moratina stały się wstrętne narodowi, jako pisane według francuzkich reguł. Ognisko umysłowego ruchu przeniosło się z Madrytu do Kadyksu, który do końca zachował niepodległość. Tu podjęto na scenę drama Lope de Vegi i Calderona; lud czerpał siłę w drogich wspomnieniach narodowej chwały, podczas gdy bomby ogniste przebiegały nad miastem.

Nastąpiła restauracya Burbonów. Podczas dwudziestoletnich rządów Ferdynanda XII, przerwanych na chwilę rewolucyą, (1820—1823 roku), literatura hiszpańska słabem ledwie pulsuje tętnem. Klasycyzm podnosi głowę, przekłady Andromaki, Mitrydata, Ifigenii, pojawiają się znowu na scenie madryckiej; więcej jednak publiczność smakuje w operach Rossiniego. Teatr narodowy popadł w zupełne zapomnienie, wówczas właśnie gdy romantycy niemieccy ostrzają na nich oręż, do walki z klasycyzmem!

Poeci hiszpańscy, po wojnie domowej, zakończonej w r. 1823 interwencyą francuzkich Burbonów, rozbiegają się po różnych krajach, jak jaskółki przed szarugą zimową. Najzdolniejsi przedstawiciele myśli narodowej, Galliena, de Riva, Martinez de la Roza, Espronceda, przebywają w Londynie i Paryżu. Tam oko w oko spotykają się z nowym prądem, który wstrząsnął do gruntu literaturę wszystkich ludów, w pierwszej połowie XIX wieku!

V.

Zorza romantyczna poczęła świtać za Pirenejami już od r. 1830, w ostatnich latach rządów Ferdynanda. Dzieła Wiktora Hugo, Byrona, Lamartina, Walter-Skota, otworzyły nowy widnokrąg przed oczyma Hiszpanów. Olimp grecki stał się przedmiotem nienawiści i pocisków szyderczych. Szkoła jednak romantyczna, w właściwem słowa znaczeniu, powstała tu dopiero w roku 1833, kiedy po śmierci Ferdynanda ogłoszono konstytucyą. Poeci wrócili z wygnania: Espronceda, Rivas, Larra, stanęli na czele nowej szkoły.

Nastąpiła walka niemiłej zacięta, jak nieco dawniej w Niemczech i we Francyi, jak ta co poruszała niegdyś umysły w kraju naszym. Naprzeciw siebie stanęły dwa obozy: w jednym podjęła odporną broń starszyzna akademicka, w drugim wystąpili zaczepnie młodzi nowatorowie, podejmując oręż w imię nowych idei. Zastępem klasyków dowodził Martinez de la Rosa, sztandar romantyzmu podjął Espronceda, młodzian gorącej duszy i wielkiego talentu.

Romantyzm przemógł stanowczo. Z obozu klasyków wyszły całe foliasty rozpraw akademickich, których dziś nikt nie czyta; z obozu romantyków wybiegł cały chór lirycznych pieśni, które w oka mgnieniu okrzyły Hiszpanią. Zbudzona krytyka podparła dzielnie młodą szkołę i usposobiła umysły do właściwego sądu. Z teatru ustąpiły przekłady klasyków francuzkich, ustąpił nawet Moraton uczeń Moliera. Młodzi poeci popróbowali się na wzorach czysto narodowych, powieściopisarze w ślad Walter-Skotta, snuli wątek dziejów własnego kraju.

Espronceda, pierwszy z poetów téj epoki, przemknął nad Hiszpanią jak uragan, co wszystko burzy i wali w swym przebiegu, to nawet coby uczyć należało. Dziwne powinowactwo ducha istnieje między nim a Byronem; powinowactwo to widoczne w pieśni, a bardziej jeszcze w życiu. Jak Byron budzi on w ziolkach z jednéj strony naj-

zaciętszą nienawiść, z drugiej szął uwielbienia; jak Byron obdarzony niepospolitą urodą, pociąga za sobą oczy wszystkich, jak Byron dręczony zwątpieniem wylewa gorzyc serca, palącą, częstokroć chorobliwą pieśnią; jak Byron, postanawia poświęcić życie sprawie wyswobodzających się ludów: w roku 1830 walczy zawzięcie na barykadach Paryża, wkrótce potem zaciąga się pod chorągiew ochotników, którzy z bratnią pomocą spieszą w dalekie strony! Jak Byron umiera młodo, w trzydziestym trzecim roku życia, wprzód nim geniusz jego wybiedz zdołał ku słońcu prawdy z chaotycznej chmury zwątpienia, w tém tylko szczęśliwszy od angielskiego poety, że umiera na ziemi własnej, że słońce Estramadury świeci nad jego grobem.

Urodził się Espronceda przy dźwięku trąb wojennych, w chwili gdy Hiszpania zerwała się ze snu rozbudzona obcym najazdem; ojciec jego był pułkownikiem w służbie Korteżów podczas wojny o niepodległość. Zrodzony wśród wrzawy obozowej 1810 roku, przeżył krótkie dni miotany ciągłą burzą. Od roku 1820 był świadkiem trzyletniej rewolucyi zakończonęj zbrojną wyprawą księcia d'Angoulême. Po reakcyi 1823 r. wydalony z Madrytu, zamknięty w klasztorze w Gwadalahara, rozpoczął mając lat czternaście poemat swój „Pelayo,” w którym maluje zapasy Hiszpanów z Arabami. Powrócił wreszcie do stolicy. Ścigany bezustanku postanowił opuścić kraj, udał się naprzód do Gibraltaru, następnie do Lizbony. Stanąwszy w wielkiem mieście obliczył się z pieniędzmi: zostało mu dwa franki! Poeta wrzucił je do Tagu.

Wydalony z Portugalii, popłynął do Londynu, wkrótce potem udał się do Paryża. Nie znamy tam jego stosunków, widoczna jednak że wpadł w otchłań owęj *cygani* literackiej, która pochłonęła tyle ofiar!

Za powrotem do kraju założył dziennik *Uragan*. Krańcowe idee jakie głosił nie znalazły oddźwięku w ziomkach. Wysłano go do Hagi na sekretarza legacyi. Ostry klimat nadwerężył mu zdrowie. Słońce Alikantu pokrzepiło go lecz nie na długo, umarł w 1842 roku.

Z większych utworów Espronceda zostawił tylko dwa: nie dokończoną epopeję „Polejo” i poemat w rodzaju Don-Juana p. t. *Diablo Mundo* (*Świat dyabłem*) nie ustępujący Bajronowskiemu utworowi.

Bohater poematu Adam, to istota z ludzkim ciałem, lecz z umysłem dziecięcym, bez woli, bez hartu, bez najmniejszego pojęcia obowiązków. Niekiedy zgrzybiały jak starzec, to znów odradza się nagle, rzuca w wir życia z namiętym szalem młodości. Nie ma pojęcia praw wiążących społeczeństwo. Wtrącony do więzienia, poznaje tam młodą czarodziejkę, która wtajemnicza go w wszelkie zbrodnie. Odzyskawszy wolność, gotów już zostać rozbójnikiem, nagle spotyka istotę wyższą z postacią i sercem anioła. Na nieszczęście poemat nieskończony, nie wiadomo o ile wpływ téj istoty anielskiej mógł wydzwignąć z odmetu sponiewieranego Adama. To co pozostało świadczy o rozhukanęj wyobraźni poety, są tu jednak świetne obrazy, pełne dramatu i genialnych połysków.

Pieśni liryczne Espronceda przeszły w usta ludu, co jest najwyższą dla nich pochwałą. Obrazki *Pirat*, *Kozak*, *Żebrak*, *Kat* i kilka innych, odznaczają się nieporównanym językiem i nadzwyczajną werwą. Oto kilka ustępów z *Pirata*, zachowaliśmy wiernie miarę, dodajemy tylko że pyszny język Espronceda, nie da się naśladować.

- Białe żagle zaszumiały,
Okręt morskie porze wały;
Niby mewa mknie skrzydłata,
Dwa szeregi na nim działał,
Wód powierzchnią lekko zmiata;
Oh! niedarmo *groźnym* zwany,
Przez szerokie oceany
Nieraz żartki wiatr go pchał!
- Srebrny miesiąc błyszczy w morzu,
Wiatr przebiega po przestworzu;
Koło rudła *Pirat* młody
W chór z kipiącym szumem wód,
Rad opiewa swe przygody.
W prawo Azji lśnią wybrzeża
Tu Europa wzrok uderza;
Przed nim *Stambuł* pyszny gród.

Płyn żaglowcze rozpląsany,
Nad głębią mórz!
Czémże tobie uragany?
Ciebież zmrozi twarda zima?
Skwarneż lato cię powstrzyma
Gromami burz?

Niech zadzwoni
W mojej dłoni
Oreż nagi,
Zadrzy wróg!
Owoc trudów:
Setki ludów,
Kładło flagi
U mych nóg!

.....

Miła gędzba w takt przygrywa
Mym słodkim snom;
Oto burza dmie straszliwa,
Wicher spiętrzył mórz głębiny,
Rozwiał skrzydła swe hulaszczce:
Okrętowe skrzypią liny,
I przez armat moich paszczę
Uderza grom!

Brzęk, szcęk stali,
Wróg się wali,
Wichrem gnany
Pędzi w dal;
Ja w tym gwarze
Śłodko marzę,
Kołysany
Szumem fall

Prąd romantyzmu tём potężniej wstrząsnął Hiszpanią, im silniejsze zrazu wstrzymywały go zapory. Wszystko się przeistacza i w literaturze, i w życiu, i w stosunkach społecznych. W ubiorze nawet widziny nagły przewrót. Znikają pudrowane peruki, i grube trzciny indyjskie, i buty ze sztylpami; ubiór francuzki przyjęty powszechnie zaciera nierówności rodowe. W umysłach dziwny chaos. Jedni płaczą za przeszłością, patrzą w przyszłość z uczuciem trwogi; drudzy radziby zatrzeć wszelkie tradycje, głoszą z zapałem idee postępowe; niektórzy propagują mrzonki Sansimonistów: słowem powstaje odmęt. Niestety! nie prędko nad odmętem miało zabłysnąć słońce!

Widzieliśmy już w Esproncedzie żywotny wyraz, a zarazem ofiarę tego haotycznego bezładu. Obok niego występuje druga postać, nacechowana również piętnem téj burzącej wszystko epoki. Był nim Larra, poeta, publicysta, powieściopisarz, wielki talent zgasył w zarodzie, chryzalida, której skrzydła nie miały czasu dojrzeć!

Larra urodził się w roku 1809 wśród burz wojennych, równie jak Espronceda. W dwudziestu latach życia stał się już wyrocznią i ulubieńcem młodzieży. Rozpoczął zawód oryginalną powieścią historyczną i dramatem *Macias*, lecz największą zdolność okazał w krytykach i palących rozprawach dziennikarskich. *Listy ubogiego gawędziarza* (*Las cartas del pobre hablador*), wydawane pod pseudonimem *Figaro*, zjednały mu niesłychaną popularność. Sława tak łatwo pozyskana, nie ochroniła go jednak od chorobliwej rozpacz. Strzałem z pistoletu odebrał sobie życie, mając zaledwie lat dwadzieścia ośm.

Na trzy miesiące przed śmiercią, w Dzień zaduszny, nakreślił w dzienniku smutny obrazek: *Figaro na cmentarzu*; rozpaczliwe te słowa przejęły wszystkich dreszczem trwogi.

Figaro nie idzie tam, gdzie trumny zmarłych przywalone kamieniem lub porosłe murawą. Co mu szukać trupów za miastem? Cały Madryt nie jestże trupiarnią pełną wyziewów i zgnilizny? Opowiada więc przechadzkę po Madrycie. Gdzie rzuci okiem, wszędzie groby i groby! Na pałacu czyta żałobny napis: *Tu pogrzebana królewskość!* Na muzeum artylerji widzi wryte zgłoski: *Tu waleczność kastyljska odpoczywa w pokoju!* Wszystko legło trupem, lub szamocze się w konwulsyjnych rzutach konania! Widmo tylko przemysłu i handlu snuje się po ulicach. Na bursie położony epitaph: *Tu spoczywa kredyt hiszpański.*

Figaro spogląda w głąb duszy własnej: i ona też cmentarzem! Serce jego, to grób... na nim wyryte słowa: *Tutaj pogrzebano nadzieję!*

W dniu Bożego Narodzenia, smutniejszy jeszcze nakreślił obraz. Zowie się sam zniechęconym Don Quiszotem, wywołuje z grobu Wertera. W miesiąc potem już nie żył, uciekł jak żołnierz z pola walki. Śmierć jego pogrzyżyła w boleści cały Madryt. Smutnym okiem patrzyli Hiszpanie na wylom w szeregu zapaśników. Młody Zorylla, który później miał zdobyć znakomite miejsce w poezyi, wyśpiewał pierwszą pieśń u grobu samobójcy. Oto mały urywek:

To kwiat, co latem na skwarze usycha,
Zdrój, słonecznemi wypalony skwary;
Kwiat nie podniesie zwiędłego kielicha,
Zdrój nie zaszumi dźwięcznymi pogwary!
Czujesz-li jednak czarodziejskie wonie,
Zakłęte w róży zgorzałej koronie.
Jednak zielenią murawa połyska,
Obok potoku wyschłego łożyska.

Biędny poeto! w tój walce szalonej,
W której się ludzkość bezsilnie szamocci,
Sterczysz samotnie jak pień odtracony,
Co słodkie światu wydaje owoce.

Prąd romantyczny wstrząsnął do gruntu hiszpańskim teatrem. Wokamgnieniu ustąpiły ze sceny klasyczne tragedye; kilku nowych dramaturgów zjednało sobie zasłużony rozgłos. Pierwszy z nich Hil y Zarate, niedawno jeszcze zacięty klasyk, poprobował sił w utworach romantycznych: *Don Alvaro de Luna*, *Gonzalo de Cordoba* i t. d. W dramacie *Carlos II elhechizado* (Karlos zaczarowany), żywo przedstawił dwór madrycki, w końcu XVII-go wieku. Przedmiot to prawdziwie dramatyczny. Poeta ukazuje rozprzegające się państwo, pod ostatnim z domu Rakuzkiego, niedołęznym i skarłowaciałym Karolem; ręka nieprzeblaganej Nemezys, chłoscze wnuka za winy i pychę ojców.

Hartzenbusch, na dawniej tragedyi aragońskiej, osnuł prześliczny dramat *Kochankowie z Terruelu*; przedmiot podjęty już był kilkakrotnie przez słynnych dramaturgów złotego wieku literatury. Oto wątek podania: w mieście Terruel w wieku XIII-tym, żył młodzian i piękna panienka. Młodzieniec był ubogim, panienka bogatą dziedziczką, ztąd opór ze strony rodziców. Aby osiągnąć cel swych pragnień, młodzieniec przywdziewa zbroję, walczy z Maurami. Okryty sławą powraca do domu. Niestety! w tymże dniu panienka po długim oporze, powleczone gwałtem przed ołtarz, poprzysięgła wiargę innemu. Zrozpaczony młodzian wdziera się do weselnój komnaty, pada trupem u nóg ukochanej. Nazajutrz potem znalaziono w kościele kobietę nad trumną rycerza. Sen zmrużył jój powieki, sen to był nieprzespany! Kobieta już nie żyła! Z tego smutnego wątku, Hartzenbusch wyrobił pyszny dramat, uważany za arcydzieło.

Garcia Guttieres okazał pierwszorzędny talent w dramacie historycznym. Najsłynniejszy z jego utworów *El Trovador*, dał pobudkę Werdemu, do znanej powszechnie opery. Poklaski ziomków nieodpowiadały dumie poety. Trawiony tą gorączką, która cechuje pierwszych zwolenników szkoły romantycznej w Hiszpanii, opuścił kraj, zamieszkał w Hawannie. Imię jego zasłynęło odtąd wśród plejady znakomych poetów Ameryki Południowej.

Szereg dramatycznych autorów, z czasu romantycznego przesilenia, zamyka Angel Saavedra, żyjący dziś książe de Rivas. Młodość jego przeszła także wśród burz i wojennych zapasów. Zmuszony opuścić własną ziemię, za restauracji Burbonów, przepędzany z kraju do kraju, z miasta do miasta, przeżył lat dziesięć we Francyi, w nędzy i opuszczeniu. Aby wystarczyć na potrzeby licznej rodziny, założył szkołę rysunku w Orleanie. Walka klasyków tocząca się pod jego okiem, otworzyła myśli jego nowy widok. Z zapalem pochwycił za pióro; z dziejów hiszpańskich utworzył wspaniały dramat *Don Alvaro*, wzięty także za temat opery przez Werdego. W pięknej epopei *El Moro exposito* (Maur opuszczony), odmalował z wielką siłą walkę cywilizacji chrześcijańskiej i arabskiej w X-ym wieku. Stęskniony do ziemi ojczystej, której obraz tkwił żywo w gorącym sercu i bogatej jego wyobraźni, tém cudnie odmalował kwieciste brzegi Gwadelkwiwiru, i pogodne niebo słonecznej Andaluzji; tém potężniej wyśpiewał wspomnienia dawnych bojów i dawniej chwały.

Saavedra wrócił do kraju po roku 1830. Tu los jego nagle się zmienił: śmierć starszego brata księcia de Rivas, otworzyła mu drogę do najwyższych zaszczytów; sława poety opromieniła jego czoło. Dzień w którym przedstawiono w teatrze *Don Alvara*, pamiętny w dziejach literatury hiszpańskiej. W tym dniu romantyzm odniósł stanowczy tryumf. Szkoła klasyczna umilkła, w obec zapachu powszechnego.

Przytaczamy w przekładzie popularną piosenkę Saavedry, którą każdy Hiszpan umie na pamięć.

Niebo zaszło półmrokiem,
Dzień się zbliża do końca;
Już w milczeniu głębokiem
Gaśnie złoty blask słońca.

Róża główkę pochyli,
Chłodną rosą przejęta;
Pieśń w dąbrowie nie kwili:
Śpią na gniazdkach ptaszęta.

Wtém na pole wesoło
Czarodziejka poskoczy,
Promieniste ma czoło,
Żarem świecą jój oczy.

Jój widokiem zbudzona
Róża zwraca się do niój,
I ze swego jój łona
Śle ożywczy kłęb woni.

Pod jój stopką na łące
Wśród bogatój zieleni,
Świeżych kwiatków tysiące
Barwą tęczy się mieni.

Ptasząt rzesza skrzydlata,
W szare piórka trzepocze;
Z guiazd radośnie odlata,
Kwili pieśni urocze.

Z nocy mglistych osłonek,
Rozpowija się dzionek;
Nowa zorza snąc bliska,
Bo jutrzienka połyska!

Tą wschodzącą jutrzienką, tą czarodziejką co budzi ze snu i ludzi i całą przyrodę, jest nowa idea, nowa myśl, pełna tój siły rozkazodawczej, która gruchocze wszelkie przeszkody, i popycha świat dalej a dalej. Taką siłą był właśnie podówczas tryumfujący romantyzm!

(Dokończenie nastąpi).

SYNOWIE HETMAŃSCY.

O P O W I A D A N I E H I S T O R Y C Z N E .

PRZEZ

Wł. Chomętowskiego.

(C i a g d a l s z y).

VII.

W ziemi lwowskiój nad rzeką Złotą leży miasteczko Brzeżany; opodal stał ongi warowny wspaniały zamek, rzeką i wałami dokoła otoczony: wystawił go na obronę od napadu Tatarów, sławny w dziejach hetman Mikołaj Hieronim Sieniawski. Zamek ten miał dwa dziedzińce, z główną wysoką bramą na czele i ogromnemi basztami po rogach. Gmach cały był o dwóch piętrach; w pierwszym dziedzińcu

były stajnie, wozownie, mieszkania niższej służby dworskiej i zamkowej straży; w drugim zaś znajdowały się wspaniałe apartamenta, stanowiące pierwsze i drugie piętro.

Piękny kościółek znajdował się z prawej strony głównej bramy w dziedzińcu, w nim odznaczały się marmurowe grobowce rodziny Sieniawskich. W ośmiobocznej baszcie był wizerunek króla Zygmunta Augusta, wyprowadzającego z Lublina 1569 r. w gronie sejmujących stanów zwłoki Mikołaja Sieniawskiego wojewody ruskiego, hetmana W. Kor. W pokojach pierwszego piętra wymalowane były na ścianach najświetniejsze zwycięstwa z czasów panowania króla Jana, mianowicie pogrom Turków pod Wiedniem: w obrazie tym głównie działające osoby wystawione były w naturalnej wielkości. Pokoje tak zwane „złote“ drugiego piętra, odznaczały się drogocennymi makatami i obiciami. Ostatni z rodu Sieniawskich, Adam wojewoda bełski sprowadził z zagranicy biegłych artystów, którzy upiększyli pędzlem ściany wspaniałych komnat, na co ogromnych nie szczędził nakładów. Rozporządzał on wielką fortuną w dobrach ziemskich jako też klejnotach, które odziedziczył po przodkach; lubił utrzymywać dwór wystawny i otaczać się dziełami sztuki, ale zato w innych razach był niezmiernie wyrachowany: ztąd zarzucano mu częstokroć zbytne przywiązanie do pieniędzy czyli raczej skąpstwo. Zarzut ten nie był sprawiedliwy, każdy magnat wówczas, jakkolwiek obszerną rozporządzał fortuną, musiał rachować się dobrze, jeżeli chciał się utrzymać na wysokim stanowisku, które ogromne pociągało wydatki.

Wiemy już z poprzedniego opowiadania, jako Adam Sieniawski poróżnił się z żoną, wkrótce też potem wyjechał rozgniewany z domu i udał się na wyprawę. Tymczasem wojewodzina z siostrami męża mieszkała w Brzeżańskim zamku, ubolewając srodze nad losem, który ją dotknął niezasłużenie.

Wprawdzie piękna pani Sieniawska lubiła świat, zabawy i ludzi, którzy ją otaczali hołdami; wychowana na dworze królowej, w jej salonach przepędziła najświetniejszą epokę młodości, zatem była trudną w wyborze przyjaciół. W licznym gronie towarzyskim, nie wiele osób szczyliło się jej łaskawemi względami. Jan Jabłonowski był jednym z najdawniejszych i najlepszych jej znajomych, stosunek ich przyjacielski nie przechodził w niczem zakresu przyzwoitości, ale ściągnął uwagę i podejrzenie ludzi, którzy tak skwapliwi są zawsze w poszukiwaniu wszelkich cudzych ułomności. Korrespondencye pani Sieniawskiej z Jabłonowskim, w których wynuza mu swą życzliwość i obiecuje dopomagać do projektowanego związku, były w oczach nieprzyjaciół dostatecznym dowodem zdrady; to też przejęte w drodze i oddane jej mężowi, zaszczerpiły w jego umyśle podejrzenie i niewiarę.

Więcej może jeszcze niż pani Sieniawska, opłakiwała swą smutną dolę panna Teofila, która najgorętszym zapłonęła afektem dla chorążego, w chwili, kiedy najmniej mogła rachować na pomyślny skutek swych zamiarów; bo brat jej i opiekun, obrażony srodze na Jabłonowskich,

nie chciał słyszeć nawet o połączeniu się związkiem krwi z ich domem. Ale miłość, jak dzisiaj, równie i dawniej, umiała pocieszać się w przeciwnościach i wynajdywać środki, łagodzące zbytnią srogość losu... Znalazł się usłużny przyjaciel, który przewoził listy chorążego koronnego i doręczał potajemnie pannie Teofili; treść mianowicie ostatniej odezwy napęliła jęj serce wielką radością, ale zarazem i trwogą. Długi ten list chorążego brzmiał w następujących słowach i zaczynał się wierszami:

Odkąd cię, panno, pożegnałem miła,
Boleść mię skryta gryzła i trawiła:
Usta zamilkły, a oczy zamglone,
Próżno zwracałem w tę i ową stronę
Szukając panno twęj wdzięcznej osoby...
Wszędzie cięj mojęj widziałem żałoby.

W Koronie, w Litwie, niemasz równęj tobie;
Wszystko co jeno służy ku ozdobie:
Wszystkoć natura szczerze darowała,
Cokolwiek w sobie osobnego miała.

Przeto nikt temu niech się nie dziwuje,
Że ja cię panno tak szczerze miłuję;
A choć na świecie znam nadobnych siła:
Zadna tak srodze mię nie zniewoliła.

„Długo też WMPanno nie mogłem pocieszyć się po jęj odjeździe ze Lwowa, dopóki nie spotkałem usłużnego przyjaciela, który mi do tęj listownęj z WMPanną dopomógł rozmowy. Owóz wzięwszy się do pisania, dla oświadczenia mojęj statecznej chęci i nieodmiennęj miłości, poczułem taką pociechę w duszy, jakoby mi po raz wtóry na świat się narodził. Ale stokroć więkšej jeszcze doznałem radości, skoro odebrałem uciészne i pełne łaskowości, WMPanno pisanie twoje...

„Już widzę, że nie na opoczystęj skale, moje życzliwe posiał powolności, i nie na piaszczystym brzegu zaszczepił mego kochania lato-rośle. Zaprawdę, nie spodziewałem się, jako pocieszony tak prędko zostanę WMPanny łaską i szczerością, którą oświadczyłaś mi w swém pi-saniu; owoż tęp zupełniejsza radość i gorętsza miłość opanowała serce mo-je. Ale cóż po tęp, skoro wymówić trudno, co rozkazuje serca niekłamany afekt; więc gniewać się muszę na przyrodzenie, które nie dało miłującym osobliwego języka, do oświadczenia serdecznego afektu osobom, nie da-ło też i wzroku tak potężnego, żebyśmy serca nasze wspólnie widzieć mogli. O! cóżbym dał, gdybyś WMPanna mogła ujrzeć na sercu mo-jęm imię twoje znacznym charakterem wykowane, i pałające w ogniu nieugaszonej miłości! Ale że tego przyrodzoném okiem dojrzeć nie możesz, jedyną mam w tęp pociechę, że słowu memu uwierzysz, jako dożywoćnim sługą twym jestem i będę, jako też że żaden ludzki prze-mysł, ani żadna przygoda, zapału mego i ognia nie ugasi. Mam je-

dnak niezawodną nadzieję, że nie zadługo będę mógł ustnie oświadczyć i dowieść, co dziś wyrażam piśmiennie. Wiadomo już WMPannie, jako zbliża się wojenna wyprawa, na którą i ja też udać się muszę; ale nie przeniósłbym tego, ażebym nie widział się z Nią pierwój i serdecznóm nie pożegnał jój słowem. Słyszałem też że JMPan wojewoda bełski wyjeżdża w tych dniach z Brzeżan i nie wraca aż po skończonej wyprawie; nastaje więc dla mnie najsposobniejsza pora, w której będę mógł bez obrazy niczyjój pomówić i nacieszyć się z WMPanną. Daj Panie Boże, aby jak najprędzej nastąpiła ta pożądana chwila, w której uściskę przesłiczą rękę WMPanny, oczy zaś moje jój obecnością, myśl i serce wdzięczną uweselełą osobą.

Oczekując tak szczęśliwej godziny, pozostaję WMPanny dożywotnim przyjacielem i najniższym sługą

Aleksander Jabłonowski.

Romansowy list chorążego zaniepokoił nieco pannę Teofilę; jakkolwiek pragnęła gorąco ujrzeć go przed wyprawą, obawiała się wyrzutów brata, który mógł być z czasem dowiedzieć się o odwiedzinach, podczas jego nieobecności w Brzeżanach. Dęczonej tą myślą uczuła potrzebę zwierzenia się siostrze i bratowej, pokazała im więc list chorążego z wielką nieśmiałością i obawą dziecka, które przyznaje się do popełnionego błędu.

Starsza siostra, rozkochana sama w Stefanie Potockim łowczym koronnym, chwaliła list chorążego; jakoż podobała się jój wielce stałość młodzieńca i gorące jego oświadczenia... pocieszała ją nawet, że ma niewątpliwą nadzieję jako pójdzie wkrótce za jój przykładem i od da rękę temu, którego tak wielce upodobała. Kiedy panna Teofila napomknęła siostrze o przeszkodach ze strony brata, Anna pocieszała ją temi słowy:

— Nie obawiaj się wcale, Tosiu, gniewu pana brata; estymuje on wielce JMPana krakowskiego, ojca pana chorążego. Nie wiem o co poswarzył się z JMPanem wojewodą wołyńskim, ale pewna jestem że pogodzą się niezadługo i dawna przyjaźń wróci pomiędzy nim i Jabłonowskimi.

Kiedy tak pocieszała Tosię jój siostra Anna, pani wojewodzina bełska niemile przyjęła wiadomość o odwiedzinach chorążego; chciała nawet pisać natychmiast do Lwowa, do ojca lub do starszego brata, ażeby wpływem swoim odwieł go od tak nierozważnego kroku, przekonała się jednak z daty pisma, że już było zapóźno i że list jój prawdopodobnie nie zastałby nikogo z Jabłonowskich we Lwowie.

Tak więc wszystkie panie oczekiwały w Brzeżanach na przyjazd chorążego koronnego, ale panna Teofila doświadczała uczucia radości lub trwogi, stosownie do jaśniejszego lub ciemniejszego kolorytu myśli, które przesuwwały się w jój młodocianej głowie. Pani Sieniawska, niezadowolona z początku z zapowiedzianych odwiedzin chorążego, nie uczyniła jednak najmniejszego wyrzutu pannie, kochała bowiem bratową jak rodzoną siostrę i uprojektowała dla niej związek, który ją tyłu

nabawił kłopotów. Ale była ona z rzędu kobiet, które nie tylko nie zrażają się łatwo przeciwnościami, lecz czerpią w nich siłę do przeprowadzenia raz powziętego zamiaru.

Było to na początku miesiąca września, w parę dni po opisanym wyżej zjeździe w domu podkomorzego włodzimirskiego, w Artasowie. Nad wieczorem, w pysznej makatami obitej komnacie Brzeżańskiego zamku, siedziały dwie siostry na taboretach, zajęte tajemniczą poufną rozmową. Na pierwszy rzut oka, dwie śniade czarnookie dziewczęta, podobne były wielce do siebie; przypatrzwszy się im jednak z bliska i uważniej, dostrzegłbyś wielką różnicę, mianowicie w wyrazie ich twarzy.

Starsza Anna, miała śmiałe wejrzenie amazonki, i dowcipny, ale nieraz szyderyczy uśmiech; kiedy jej młodsza siostra odznaczała się wyrazem łagodności i zadumy w oczach i w całym obliczu. Pierwsza zdradzała charakter samodzielny lecz dumny, chciwy panowania i hołdów, druga zaś okazywała duszę tkliwą i namiętną, gotową do poświęceń i ofiary. Ale pomimo różnicy charakterów, tak odmalowanej żywo w wyrazie ich twarzy, dwie siostry, zbliżone były w tej chwili wspólnością uczuć, kochały bowiem i spodziewały się, że są wzajemnie kochane. Anna pożegnała niedawno narzeczonego wydalającego się na wojenną wyprawę, Teofila oczekiwała w tej chwili na przyjazd młodzieńca, który zawładnął pierwój jej sercem, nim otrzymał nazwę narzeczonego. Pierwsza wspominała z żywym uniesieniem ostatnie rozmowy z p. łowczym, jego przysięgi i gorące wyznania; druga zwierzała się siostrze, z doznanych wrażeń, smutków i nadziei, które to uczucia naprzemian niepokoiły jej serce.

Już zapadł zmrok szary, a jeszcze prowadziły długą poufną rozmowę, kiedy nagle rozwarły się drzwi komnaty i spłoszył je widok wchodzącego wysokiego mężczyzny, w kontuszu, z karabelą przy boku.

— Święty Józefie! kto to?—zawołała cichym głosem panna Teofila, tułąc się do boku siostry, poczem obie zerwały się z taboretów i cofnęły ku ścianie.

Skoro gość posunął się w głąb komnaty i zatrzymał z ukłonem przed pannami, Anna zawołała z głośnym śmiechem:—Tosiu, to JMPau chorąży koronny; żadna z nas nie poznała p. chorążego!.

To powiedziawszy poskoczyła ku drzwiom i wybiegła jak strzała z komnaty, z oznajmieniem bratowój o przyjeździe gościa.

— To JMPan chorąży!—powtórzyła drżącym głosem panna Teofila i wystąpiła na środek sali, kiedy zakłopotany nieco młodzieniec rzekł z uśmiechem:

— Przepraszam WMPanno Teofilo za tak niedyskretną akcyę, nie godziło się wprawdzie nachodzić tak niespodzianie. Nie zapomniałem jednak o winnym respekcie damom, lecz udałem się do komnaty, w której zazwyczaj wojewoda przyjmuje gości; kiedy osobliwym zapewne trafem spotykam tu WMPanny.

— Tak jest, w tym pokoju brat przyjmuje gości, ale że obecnie niema go w domu, zastępujemy jego miejsce. Nie twoja więc mości chorąży wina, że zaszłś nas niespodzianie, ja zaś wstydić się powinienam tego niepotrzebnego przest్రachu...—rzekła panna Teofila z uśmiechem, spoglądając ukradkiem na chorążego, który stał przed nią z rozplómiennionóm obliczem.

Po chwili znów dodała:

— Jeśli mam prawdę wyznać, mości chorąży, nie nadzwyczajnego nie ma w tém naszym spotkaniu, bo oczekiwałam na was już od dnia wczorajszego; to jeno jest najdziwniejsze, że w chwili, kiedy stanęliście w drzwiach komnaty, zupełnie o tém zapomniałam i wzięłam WMPana za kogo innego...

— Ciekawy jestem, jak się nazywa osoba, która takiego WMPannę nabawiła przest్రachu?

— Myślałam że wchodzi JMPan Granowski, bo nie mogłam rozpoznać twarzy; wносиłam zaś z równego wzrostu...

— Więc osoba starosty żytomirskiego tak przest్రaszyła WMPannę?

Panna Teofila zdała się być zakłopotaną tém pytaniem, namyślała się przez chwilę, poczem odpowiedziała cichym głosem:

— Nie chciałabym ażeby JMPan Granowski spotkał się z tobą, mości chorąży w Brzeżanach; wielka jest teraz konfidencya pomiędzy nim a moim panem bratem.

— Słusznie WMPanno niedowierzasz staroście, niebezpieczny to jest człowiek i nie podoba mi się, że brat mój wybrał go za medytora. Ale JMPan Granowski wyjechał teraz w konkury do JMPani Modrzejowskiej, w której szalenie jest rozmiłowany. Wiedziałem że nikogo nie zastanę w Brzeżanach, prócz WMPanny, jój siostry i bratowej. Biegłem też chyżó dniem i nocą ze Lwowa, bo ważne mam jeszcze zlecenia od JMDobrodzieja [nim wyruszę do obozu; ale pierwszą i najpryncypalniejszą powinnością moją było, stawić się przed WMPanną i podziękować jój za pełne łaski i życzliwości ku mnie listowne rozmowy, któremi uweseliłaś i zniewoliłaś mię na wieki.

W téj chwili wróciła starsza siostra, a za nią wniesiono w dużych lichtarzach dwie woskowe świece i postawiono na stole. Aleksander Jabłonowski stał oparty na poręczy krzesła obok swej bohdanki, kiedy Anna zbliżyła się do nich i zawołała z uśmiechem:

— Żal mi biednej Tosi, że nie poznała cię mości chorąży i tak przest్రaszyła się srodze, jak gdyby ujrzała nagle Turka lub Tatara, który w zamiarze inwazyi lub porwania przybył do Brzeżańskiego zamku. I to też dziwne, że nie ona a ja pierwsza poznałam cię mości chorąży...

— Nie widzę w tém nic dziwnego WMPanno, że nie poznała mię panna Teofila, gdyż ciemno było w pokoju i stałem w oddaleniu od niój o kilkanaście kroków.

— A przecież zdaje mi się że łacniej było mojej siostrze dostrzedz osobę waszmości, skoro nieraz mi to powtarzała, jako obraz

wasz tak jest zawsze przytomny w jęj myśli, jak gdyby wymalowany stał przed jęj oczami...

— Co mówisz Andziu?—zawołała rumieniając się panna Teofila. Żartujesz sobie ze mnie: JMPan chorąży może pomyśleć że to jest prawdą, i że w istocie mówiłam ci o jego obrazie...

— Nie wypieraj się Tosiu, bo doprawdy to nic nie szkodzi!—zawołała zanosząc się od śmiechu Anna, poczem dodała: Mówiłaś mi to wprawdzie pod wielkim sekretem, to tęż ja za nic w świecie nie powieǳiałabym o tęp nikomu obcemu; ale przecież JMPan chorąży nie jest wcale dla ciebie obcą osobą.

Panna Teofila chciała zaprotestować powtórnie, zmieszana niedyskretnęm powiedzeniem starszjęj siostry, ale zanim znalazła odpowiednie słowa, Anna wyprowadziła ją z kłopotu mówiąc:

— Nie tłumacz się próżno Tosiu, lecz zabawiaj pana chorążego. Muszę pozostawić was samych na chwilę i zarządzić wieczerzę, wyręczając panią bratową, która zajęta jest obecnie pilną korespondencyą.

To powiedziawszy wysunęła się z komnaty.

W przeciągu chwil kilku, po odejściu Anny, panowało milczenie, albowiem panna Teofila nie śmiała podnieść oczów na chorążego i stała zarumieniona z drugięj strony krzesła, w pochylonęj, zadumanęj postawie.

Aleksander Jabłonowski patrzył pewien czas na zakłopotaną twarz bohǳanki, poczem rzekł wzruszonym głosem:

— Wielkie to dla mnie szczęście, JMPanno, zwać się twym dożywotnym sługą, chociaż wyznam szczerze jako powątpiewałem dawnięj, ażali gorący afekt ku twęj osobie nie zapłonął w sercu męp marnie; nie mogąc albowiem z ust twych usłyszć upragnionęj odpowiedzi, obawiałem się, czy zamiast wzajemności nie doznam obojętności ze strony WMPanny. Pierwszy list pisany do mnie ze Lwowa, wlał wielką otuchę do mego serca, skoro wyczytałem w nim, skreślone charakterem nadobnęj jęj ręki, to tak pożąǳane dla mnie słowo, jako nie gardzisz listowną twego przyjaciela rozmową, a co więcjęj nawet, że po powrocie ze Lwowa do Brzeżan, doznajesz srogięj tęsknicy, na wspomnienie uciesznych zabaw i tańców, któremi rozweselaliśmy się wspólnie w przyjacielskich domach. Teraz, tęp ci więcsza napawa mię nadzieja, skoro odebrałem świeże zaręczenie z ust siostry WMPanny, jako przechowujesz w pamięci obraz twego przyjaciela i sługi. Nie zaprzeczaj tak fortunęj dla mnie wieści, mając wzgląd na miłość moją i nieustanne pragnienie pozyskania wzajemności, mianowicie w tak ważnęj chwili pożegnania, przed blizką wojenną wyprawą. Pocięsz mię jednęm słowem, jako zachowasz mię na zawsze w twęj pamięci...

Panna Teofila słuchoła nie bez silnego wzruszenia słów zakochanego młodzińca, kiedy zaś ostatnie wymawiał wyrazy, nie dała mu dokończyć wznania i odpowiedziała cichym, ale stanowczym głosem:

— Nie potrzebnie się pytasz, skoro wiesz już, mości chorąży, jako wielce estymuję łaskawe słowa i przyjaźń twoją. Ale wiesz także jak dziwne i fatalne dzielą nas przeszkody, jakoteż że bez zezwolenia brata nie mogę dysponować moją ręką.

— Wiem i nie żądam też od WMPanny żadnego innego nad to zaręczenia, że nie zapomnisz nigdy o twoim śludze i ku nikomu innemu nie zwrócisz twego afektu.

— Bądź pewien mości chorąży, że uważam cię za najlepszego przyjaciela, o którym, w ztęj czy dobrej doli, nie zapomnę nigdy!—odpowiedziała stanowczym i silnym głosem.

Chorąży chciał rzucić się jęj do nóg, ale panna zerwała się usłyszawszy szelest w przyległym pokoju; jakoż weszła pani Elżbieta Sieniawska z Anną i przerwała dalszą rozmowę młodej pary.

Pani wojewodzina ubrana w szafirową jedwabną suknię, z krótkimi rękawami, z szalem zarzuconym niedbale na ramiona, była blada i smutna; na powitanie chorążego odpowiedziała lekkim skinieniem głowy, siadła w głębokim krześle pokrytym zielonym aksamitem i wskazała młodzieńcowi miejsce obok siebie.

Panny wiodły cichą rozmowę w przeciwległym rogu komnaty, kiedy bratowa ich rzekła poważnie do Aleksandra Jabłonowskiego:

— Nie powątpiewam mości chorąży, że wiesz już o zatargach mego męża z waszym domem, zdziwiłam się też mocno, przeczytawszy w liście WMPana do Tosi, obietnicę rychłego przyjazdu do Brzeżan.

— Wyznaję WMPani, jako przyjeżdżając do Brzeżan postąpiłem niedyskretnie—rzekł nieśmiało chorąży, po chwili zaś dodał: Wahałem się wprawdzie długo pomiędzy obawą gniewu JMPana wojewody a tęsknotą z nieoglądania panny Teofili; wołałem jednak narazić się na najniebezpieczniejszą imprezę, niż wyjechać bez pożegnania do obozu. Przepraszam jaknajmocniej za moją śmiałość i niedyskrecję, i przyrzekam, jako nadal bez zezwolenia WMPani nie dopuszczę się podobnej akcyi, wiem bowiem że JMPan wojewoda mógłby okrutnym wybuchnąć gniewem, skoroby się dowiedział o naszych listach i odwiedzinach.

— Tak jest, mości chorąży; mąż mój, nie tylko rozgniewany jest na was haniebnie, ale mnie czyni nawet najokrutniejsze wyrzuty, za to, że ułożyłam projekt małżeństwa, na które on, jako opiekun panny, nie myśli zezwolić wcale...

— Więc nie ma żadnej nadziei, ażeby JMPan wojewoda pogodził się z moim ojcem i bratem?

— Wprawdzie gniewa się mąż mój najwięcej na wojewodę wołyńskiego, podbechtany przez waszych nieprzyjaciół. Nadto, powiem ci jeszcze mości chorąży, że i na mnie spadły niezasłużone pociski, za przyczyną panów Potockich, Granowskiego a nawet samego brata waszmości, który jest wielce nieostrożny w akcyach swych i w mowie, wiem już bowiem dokumentnie, jako wygadał się niepotrzebnie z jednego powierzonego mu sekretu. Dziś źle w istocie stoi wasza sprawa.

wa, mości chorąży. JmPan wojewoda wołyński zepsuł wszystko, on też sam naprawić to może; radzę jeno, aby był ostrożny w rozmowach z JmPanem Granowskim, osobliwie zaś z łowczym koronnym i innymi panami Potockimi, którzy z nieznanych mi wcale racyi, pałają ku nam inwidyą.

— Jak widzę ze słów WMPani, coraz więcej umyka się przedemną nadzieja, która na tak kruchęj złożona jest kotwicy. Ratuń mię WMPani i nie odmawiaj nadal swęj łaski i protekcyi!

— Mówiłam przed chwilą, mości chorąży—rzekła ze smutnym uśmiechem wojewodzina—że i na mnie spadły niezastużone pociski, z okazji waszēj przyjaźni i swatów; nie mogę więc ręczyć za dobry koniec tēj sprawy: ale bądź co bądź, nie zrzekam się nadal protekcyi, i jeśli nie sama, to przez inne osoby dopomagać wam będę.

— Dziękuj za dobre słowo WMPani wojewodzino!

— Nie dziękuj jeszcze panie chorąży, bo prócz dobrych chęci, niczēm więcej usłużyć dziś nie mogę.

Kiedy tak rozmawiała wojewodzina z chorążym w koronnym, a panny szeptały w przeciwległym rogu sali, wszedł pokojowiec z oznajmieniem, że zastawiona już jest wieczerza. Natychmiast więc pani i panny Sieniawskie udały się do jadalnēj komnaty z młodym gościem. Z początku wieczerzy siedział zasmucony chorąży i mało rozmawiał z pannami i panią; ale żywa i wesoła Anna, różnemi opowieściami i figlami, pobudziła do śmiechu siostrę i rozweseliła zadumanego gościa.

Były to atoli chwilowe tylko promienie jesiennego słońca. W umyśle panny Teofili dwie ustawicznie krzyżowały się drogi: Na jednę przedstawiał się jēj plac wojny z niebezpieczeństwami, które oczekiwały ukochanego; druga, zagrodzona była tysiącami przeszkód, czyli intrygamy osobistych nieprzyjaciół domu Jabłonowskich. Nie będziemy zresztą opisywać uczuć i rozmaitości tonów, które odbzmiewały w sercu zakochanych, bo jestże malarz, który odmaluje całą grozę burzy albo wschodzące po niēj słońce w górach i miliony tonów w grze tęczyowych promieni?

Powiemy tylko że ostatecznie, skoro po skończonej wieczerzy nastąpiła chwila rozstania, panna Teofila odpowiadała tylko pełnemi łez oczami na pożegnalne wyrazy chorążego; ten zaś jēj przyrzekł, że napisze niezwłocznie, skoro wyjdzie szczęśliwie z obecnēj wojennēj wyprawy.

VIII.

W pierwszych dniach lutego roku 1695, to jest w cztery miesiące po opisanych wyżej wydarzeniach, cała rodzina Jabłonowskich znajdowała się już z powrotem we Lwowie. Spodziewano się w tym czasie nowego napadu Tatarów. Stary hetman miał bronić stolicy Rusi, w tym celu rozkazał walecznemu Atanazemu Miączyńskiemu, podskarbiemu nadwornemu, zgromadzić z bliższych okolic wojsko i śpieszyć z pomocą zagrożonemu miastu.

Jednocześnie z przygotowaniem do walnej obrony, miały miejsce w owym czasie uroczystości ślubne we Lwowie, Franciszka Denhoffa starosty starogardzkiego, łowczego litewskiego, z panną Ludwiką Dąbską kasztelanką biecką, córką Elżbiety Zamoyskiej wojewodziny bełzkiej, z pierwszego jej męża.

Nim rozpoczniemy dalszy ciąg opowiadania, musimy wspomnieć o zaszytych wypadkach w końcu przeszłego i na początku 1695 roku, w których znajome nam osoby główny brały udział.

Ostatnia wyprawa przeciw Tatarom rozstrzygnęła się w dniu 6 października nad brzegami Dniestru. Porażka Turków i Tatarów pod wodzą hana Sabas-Gereja nie była jednak zupełna, nieprzyjacieli spędzony z pola bitwy ratowali się ucieczką; jedynym owocem tej wyprawy była zdobycz kilku tysięcy wozów naładowanych zbożem i towarami, które Turcy prowadzili do Kamieńca. Niektórzy dziejopisowie zarzucają Jabłonowskiemu, że nie ścigał w dniu następnym nieprzyjaciela i nie umiał korzystać z otrzymanego zwycięstwa. Zarzut ten nie był sprawiedliwy. Zważywszy niezadowolenie w szeregach wojskowych z powodu niewypłaty zasłużonego żołdu, nadto nieporozumienia pomiędzy samymi wodzami, nie dziwny się wcale, że hetman wielki koronny, pomimo całej rozciągłości władzy, nie mógł nieraz dowolnie rozporządzać siłami, które nieodznaczały się wcale doborem ani też karnością. Jeszcze przed rozpoczęciem wyprawy, skoro wojsko koronne złączyło się z litewskim, liczne niechętne głosy odzywały się w obozie, mianowicie wódz litewskiego wojska Sapieha, wojewoda wileński, protestował głośno przeciw wojennym projektom innych wodzów.

Wprawdzie, w tych smutnych czasach, wiele było przykładów odwagi i poświęcenia, znalazła się jeszcze młodzież chciwa walki i wojennej sławy, ale brak porządnej organizacyi w wojsku zniszczył zamiały i plany wodzów. Widząc wielką energią i działalność hetmana w. kor. w ostatnich latach panowania króla Jana, nie możemy go posądzać o opieszałość, owszem nieraz, jak w obronie Lwowa, dał on dowody niepospolitej odwagi i poświęcenia.

Jak w życiu publicznem tak w domowem, mnóstwo kłopotów w tym czasie zwały się na barki hetmana. Nieostrożne postępowanie młodych Jabłonowskich, pogorszyło ich domowe stosunki z rodziną Potockich i Adamem Sieniawskim. Granowski, który pierwszy rozniecił tę kłótnię, ofiarował później swe pośrednictwo i pracował szczerze nad pogodzeniem Jabłonowskich z ich przeciwnikami. Ale ci ostatni nie zważali na niewczesne przedstawienia starosty żytomirskiego.

Sieniawski wojewoda bełski, uważał się za mocno pokrzywdzonego, trwał bowiem statecznie w przekonaniu, że przyjazny stosunek żony jego z wojewodą wołyńskim, jest zdradą małżeńską, listy zaś jego własne, za jawny poczytywał dowód płochości. Feliks Potocki wojewoda krakowski i Stefan łowczy koronny, dotknięci w listach Jana

Jabłonowskiego, uczeni żywo doznana obelgę, za nimi też poszli synowie Feliksa Michał i Józef, i cała rodzina Potockich, nie wyłączając Aleksandra podkomorzego halickiego, który dotąd żył w ścisłej przyjaźni z rodziną Jabłonowskich, atoli poróżnił się obecnie w skutku sporu z chorążym w. kor. na sejmiku kijowskim.

Wielce przyczynił się do powaśnienia pomienionych rodzin, Hieronim Lubomirski podskarbi w. kor., który niechętnym patrzył okiem na projekta koligacyi Sieniawskiego z Jabłonowskimi, nakoniec na wzrastającą możność i wpływy domu hetmana w. kor. To też podskarbi w. kor. był wielce czynny na sejmiku kijowskim; dopomagali mu gorliwie Michał i Józef Potoccy, w zamiarach usunięcia wpływu Jabłonowskich. Jak wspomnieliśmy wyżej, oprócz świeżo zaszłych sporów, wygrany proces w trybunale Jabłonowskiego hetmana z Potockim, zasiał pierwsze ziarno niezgody. Otóż na sejmiku kijowskim przyplącił srodze Wojciech Czacki starosta włodzimirski za usługi wyświadczone hetmanowi w. kor. w sprawie z Potockim. Brat tegoż i krewni wystąpili z zarzutami i przymówkami, które szczęśliwie skończyły się tylko na wzajemnych pogroźkach.

Tymczasem jeszcze w pierwszych dniach miesiąca stycznia, odbył się ślub Stefana Potockiego łowczego koronnego z Anną Sieniawską wojewodzianką wołyńską. Mnóstwo zjechało się zaproszonych na wesele osób, ale nie było na niem Feliksa Potockiego wojewody krakowskiego, ani też Jabłonowskiego hetmana, który pomimo prośb i nalegań syna, nie chciał uczynić pierwszego kroku do zgody.

Książd Teodor Potocki dawał ślub państwu młodym, poczem odwiedził hetmana w. kor. i w imieniu rodziny, podawał punkta ugody, ale Jabłonowski ofuknął go natychmiast, mówiąc: „Jak śmiesz WMksiężę proponować mi zgodę, skoro wiem, że sam jesteś pryncypalnym delatorem w tej sprawie.” Gniewał się też mocno na syna Jana, skoro tenże wyznał z wielką skruchą, jako nieostrożną rozmowę i listami oburzył panów Potockich, mianowicie wojewodę krakowskiego.

Tak więc synowie hetmana, Jan i Aleksander Jabłonowscy najgorzej wyszli w tej sprawie; pierwszy poróżnił się z dawnymi przyjaciółmi i ściągnął gniew ojca; drugi, od kilku już miesięcy nie mógł dostąpić do swój bohdanki, a nawet słabą miał nadzieję pogodzenia się z opiekunem i bratem, który najgłębszą zdał się paść nienawiścią. Dowiedział się też wkrótce chorąży koronny, z wielkim bólem serca, że koligacyi Sieniawskiego, Lubomirscy chcą wyswatać krewnego swego z panną wojewodzianką wołyńską. Zakochany jednak młodzieniec wywiązał się z obietnicy uczynionój pannie i dwa do niej wyprawił już listy, ale żadnej dotąd nie odebrał odpowiedzi.

W końcu miesiąca stycznia przyjaciele Jabłonowskich nakłonili hetmana w. kor. do traktowania o zgodę z obrażonemi głównie osobami, mianowicie z Adamem Sieniawskim i Stefanem Potockim łowczym koronnym. Spotkał się w tymże celu hetman z pierwszym w mieszkaniu Granowskiego, z drugim zaś u starosty czerkaskiego. Tak wojewoda beł-

zki, jako też łowczy koronny, wyznali, jako nie mają urazy do hetmana, lecz raczej do jego synów, mianowicie do Jana, któremu różne czynili zarzuty, między innymi, że zabawia się intrygami i waśni przyjacielskie domy. Hetman w. kor. odpowiedział na to, że nie wierzy kłamliwym wieściom osób, które potępiają jego syna; następnie starał się wytłumaczyć tegoż w oczach Adama Sieniawskiego i usunąć niesłuszne podejrzenie, w przedmiocie stosunków Jana z jego małżonką. Ale rozżalony wojewoda bełski odpowiedział na przedstawienia hetmana prośbą, aby mu nic nie mówił o żonie i o jej listach, jako też aby nie wznawiał tak drażliwej i bolesnej dla niego kwestyi.

Takie były stosunki znanych nam z opowiadania osób, w chwili kiedy rodzina Jabłonowskich zgromadziła się we Lwowie, z okoliczności ślubu Franciszka Denhoffa z panną Ludwiką Dąbską, który się miał odbyć w arcybiskupiěj kamienicy d. 6 lutego.

Wieczorem, w wigilię ślubu, ciągnął do kamienicy arcybiskupa, krewnego panny Dąbskiej, długi orszak krewnych i przyjaciół państwa młodych. Jabłonowski hetman wraz z starszym synem, jechali w paradnej kolasie, za nimi dwaj młodszy bracia Aleksander i Stanisław, jakotóż brat ich cioteczny Jerzy Dzieduszycki sadzili konno; piérwszy z wieńcem, który miał oddać narzeczonej w imieniu pana młodego.

W obszernej komnacie pałacu arcybiskupiego oczekiwała matka z córką na przyjazd godowego orszaku; prócz krewnych panny, dwóch panów Dąbskich i Krzysztofa Skarbka kasztelana halickiego, znajdowali się dwaj panowie Potoccy, Stefan łowczy koronny i Aleksander podkomorzy halicki, jakotóż Jan Wielhorski podkomorzy włodzimirski, wszyscy trzej z żonami, które wraz z innymi damami otaczały wojewodzinę bełzką, Zamoyską, i jej córkę kasztelanę biecką.

Panna młoda była wysokiego wzrostu, miała rysy twarzy kształtne i wyraziste; oczy niebieskie, czoło wyniosłe; wzrok jej śmiały i dumny był w zupełnej harmonii z poważną i majestatyczną postawą.

Skoro nadjechał hetman Jabłonowski i wszedł w towarzystwie najstarszego syna do komnaty, wkrótce za nim ukazał się chorąży w. kor. z wieńcem w ręku i Jerzy Dzieduszycki; ten ostatni stanął za kasztelaną biecką, która wystąpiła na środek sali.

Chorąży nim rozpoczął oracyę do panny młodej, rzucił okiem na około, jak gdyby szukał jakiej osoby, którą spodziewał się znaleźć w obecnym zgromadzeniu; ale brat starszy wojewoda wołyński, trącił go ręką, na znak, że już czas wystąpić z oracyą. Korzystał z przestrogi brata chorąży, ukłonił się pannie i prawił do niej w te słowa:

„Z dawna to WMPanno ludzic miłość niemą a ślepą nazwali. Skoro rozważam naturę tego afektu, zgadzam się ze zdaniem onych ludzi. Najprzód, że miłość niemą nazywają, to nie dziw, boć ona, nie płochemu językowi ale sercu swoje powierza rady. Po drugie, nie dziwię się też wcale, że ludzic ślepą ją ochrzčili, w tój bowiem uczynili to intency, aby miłość jednemu raz się przypatrzwszy tak srodze jego widokiem olśnęła, by potem nie mogła poglądać na kogo innego

i nie zapomniała dawnego afektu. Owóż JMpan łowczy litewski przysyła WMPannie w dowód przyjacielskiego afektu niemy ten prezent, czyli miłość obwinioną kwieciami, którego ostra zima nie pozabawiła zapachu, ani mróz zielonego koloru. Niemy ten prezent powierzy głowie WMPanny swoje gorące afekta i nieme sekreta. Przychodzę dziś z tym wieńcem, jako z daniną zwycięstwa, od zhołdowanego serca jegomości. Każdy przyzna wielki tryumf owych bohaterów, którzy miasta i fortece pod moc swą podbili, wszakże wieńiec sławy był pryncypalną onych nagrodą. Skoro przyszło się jegomości pośliznąć na tym hymeneuszowym harcu, w nagrodę męstwa WMPanny, jako podbiłaś JMP. łowczego litewskiego serce, oddaje tenże, nie tylko wieńiec na jęj głowę, ale i afekt swój w wieczystym hoździe. Prosi zatem JMP. łowczy pokornie, abyś przyjmując WMPanno uprzejmie tę jego życzliwość, włożyła ten wieńiec na głowę, a dodawała i nadal wzajemnemu afektowi zapału i ognia miłości.”

Chorąży koronny zakończył temi słowy oracyą i oddał wieńiec, który panna młoda z miłym przyjęła uśmiechem. Potem wystąpił w imieniu panny, Jerzy Dzieduszycki starosta żydaczowski z długą i uczoną oracyą, w której wywołał cały świat starożytny i niejednokrotnie bogów Olimpu sprowadził na ziemię.

Wszyscy podziwiali uczoność i dowcip napsuszonej sentencyami i oracyi, prócz chorążego koronnego, który wodził często po sali oczami, zapewne w nadziei ujrzenia swęj bohdarki; przekonał się zaś z boleścią, w końcu, że pani łowczyzna koronna nie przywiozła siostry, której brat nie dozwolił prawdopodobnie przybyć na tę uroczystość.

Nie będziemy też powtarzać długiej, przeplatanej łaciną oracyi Jerzego Dzieduszyckiego, podamy tylko zakończenie w następujących słowach:

„Jejmość panna kasztelanka biecka, z powinném uszanowaniem i wdzięcznością przyjmuje gońca przyjaźni, w osobie WM. mojego kochanego pana brata; dziękuje też za wieńiec uniżenie, który z wielką pociechą włoży na głowę: jakoż oświadcza przytém, że za życzliwość JMP. chorążego litewskiego, gotowa jest odpłacać nigdy nie wędnącym afektem, który już dawno w sercu Jejmość panny statecznym goreje płomieniem.”

Po skończonych oracyach, wszystkie panie wyszły z panną młodą do przyległego pokoju, mężczyźni zaś pozasiadali na sofach około stołów i zabawiali się gawędą, przy kielichu starego węgryzna. Krzysztof Skarbek kasztelan halicki, krewny panny młodej częstował gości i dolewał im wina; w szczególnej zaś miał pieczy najdosłojniejszego z gości hetmana Jabłonowskiego, z którym żywą prowadził rozmowę. Młodzi Jabłonowscy, Jerzy Dzieduszycki i panowie Dąbscy siedzieli w pobliżu hetmana. Potoccy, Stefan i Aleksander tworzyli oddzielne kółko i wiedli poufną rozmowę w rogu komnaty. Jan Wielhorski znajdował się w towarzystwie tychże ostatnich, nie brał jednak udziału w ich rozmowie, rzadko maczał usta w winie i zdawał się być smutnie zamysłony.

Krzysztof Skarbek kasztelan halicki, zastępujący miejsce gospodarza domu, był małego wzrostu, rumianego oblicza, o żywych czarnych oczach, mógł mieć około pięćdziesięciu lat wieku; znany z rozumu i wymowy, trzymał on przedniejsze miejsce w królewskiej radzie, lubiony był przez panów jakoteż przez szlachtę, z którą łączył się chętnie na zjazdach i zabawach; wynosił pod niebiosa złotą wolność szlachecką, jakkolwiek w duszy był arystokratą i za nic w świecie nie odstąpiłby swego senatorskiego krzesła.

Minęły wprawdzie te złote czasy, kiedy posłowie jak Ostroróg, z miłości ku bracie szlachcie, g'woli równości szlacheckiej, nie chcieli przyjąć godności senatorskiej i nie opuszczali ławy poselskiej. Ale Krzysztof Skarbek umiał się stosować do czasów i wymagań ludzkich, tej więc biegłości w obcowaniu winien był swą popularność pomiędzy tłumem mniej zamożnej szlachty.

Rozmowa kasztelana halickiego z hetmanem w. k. toczyła się około spraw domowych Jabłonowskich i nieporozumień ich z rodziną Potockich i Adamem Sieniawskim.

— Z wielkim słyszałem żalem, miłościwy panie hetmanie, o kłótni waszego domu z JMPanami Potockimi i JMPanem wojewodą bełzkim; nie znam wprawdzie autora kalumnii, który poróżnił was z tymi panami, ale znam intencją owych podłych wymysłów i ręczyć gotów jestem, że pochodzą z kuźni Lucycpera, który wziął się na zgubę Rzeczypospolitej naszej przez poniżenie dostojnych osób i senatorskiej godności. Tak jest MPanie hetmanie, istny to szatański jest przemyśl, w tém podsycaniu ognia niezgody i inwidy, zkaż wielki plac się odkrywa dla plotek i oczernienia świetnych imion, z niezmierną uciechą małodusznej i niesforniej gawiedzi.

— Cieszę się mocno—rzekł hetman—że ubolewasz waszmość panie nad tą podłą naszych nieprzyjaciół imprezą. Nie powątpiewałem nigdy o wysokich sentymentach WMPana, opowiem więc szczerze jako myślę o tej intrydze i o prawdziwem jej źródle. Wiem, że poniżona jest w tych czasach senatorska godność i że znajdzie się wielu, którzy zazdroszczą naszych intratnych starostw i urzędów; przeto bez żadnej sprawiedliwej racji najczarniejsze inwentują na nas kalumnie. Ale wierzaj mi MPanie kasztelanie, że my sami poniżamy się najhaniebniej i podajemy plac do nie jednej szalonej imprezy. Wiadomo jest WMPanu, za czyją sprawą zerwany był poraz pierwszy kijowski sejmik: taż sama wielkiego dygnitarza ręka przykładała się do pobudzenia naszych swarów i kłótni.

— Podskarbi wielki koronny miałżeby być autorem tych potwarzy? Przyznam się WPanu, że nie spodziewałem się wcale, aby JMP. Hieronim Lubomirski, mąż tak zasłużony i poważny, przykładał rękę do tego dzieła. Ja zaś słyszałem o innej osobie, która w wielkiej jest konfidencyi z wojewodą bełzkim.

— Zapewne o staroście żytomirskim?

— Tak jest, i mam na to nicomylne dowody, jako JMPan Granowski przejął listy wojewodziny i pokazał jój mężowi.

— Wiem o tém! Haniebnie zły język ma ten starosta i wiele już nim nabroił; on to pokłócił nas niezawodnie, ale nagłą przejęty skruczą, żałuje teraz tego postępku i chodzi około ugody. Więc za staraniem jego widziałem się z wojewodą bełzkim i łowczym koronnym, którzy zaparli się ku mnie wszelkiej inwidy, choć pierwszy uraża się mocno na mego syna, kładąc błache preteksta listów i wynwentowanych amorów. Ale wierzaj mi WMPanie, że najgłówniej przeszkadza nam teraz JMPan Lubomirski podskarbi koronny, a jak słyszałem nawet z ust wiarogodnych osób, on to chce wyswatać swego krewnego starostę olsztyńskiego Teodora z JMPanną wojewodzianką wołyńską, o którą syn mój konkurował.

— Słyszałem o tém swataniu wojewodzianki wołyńskiej ze starostą olsztyńskim, skoro więc potwierdza się ta nowina, wierzę teraz, że w domu JMPanów Lubomirskich, nie zaś starosty żytomirskiego jest główny plac tej intrygi.

— Zaręczam WMPanu, że JMPan Granowski nie tylko nam dziś nie przeszkadza, ale zaklął się jak najsołenniej, jako jawnie i potajemnie gotów jest dopomagać synowi memu chorążemu do jego konkurów.

— Ale owóz i o panu Granowskim tam mówią jako ślub wziął z panią podskarbiną Modrzejowską, której sto tysięcy zapisał w Przemyślu?...—rzekł kasztelan halicki wskazując na Stefana Potockiego, który w tej chwili opowiadał Janowi Wielhorskiemu o szczegółach ślubu i wesela Granowskiego.

Hetman zwrócił się ku stronie opowiadającego, którego otoczyli jednocześnie inni przytomni goście, prócz chorążego Jabłonowskiego, który stanął na stronie pod oknem z założonemi rękami, w zadumanej postawie. Wszyscy słuchali z uwagą, ale najskwapliwiej Jerzy Dzieduszycki, kiedy łowczy koronny prawił w te słowa:

— Powiadam WMPanom, że rozmiłowany starosta w swój wdowie zapisał jój półtorakroć sto tysięcy w Przemyślu, gdzie wziął z nią ślub potajemnie téjże nocy; nikt zaś z sąsiadów i znajomych nie wiedział o tém, aż przyjechał z nią do Sośnicy. Skoro rozgospodarowali się w domu, rozpiisał starosta listy do przyjaciół, w których donosi o swym z JMPanią Modrzejowską ślubie. List do mnie pisany był w tych terminach: „Donoszę WMPanu, jako wybrałem dożywotniego towarzysza w osobie JMPani podskarbiny Modrzejewskiej, z którą wziąłem ślub w Przemyślu. Prócz księdza i dwóch świadków, nikt nie był ze znajomych i przyjaciół na moim ślubie, nikogo też nie zapraszałem, dla téj jeno racyi, że jako wdowiec żeniący się z wdową nie łaknąłem powtórzenia owych ceremonii i festów, których użyłem dosyć w czasie pierwszego małżeństwa. Dziś wszystko się już skończyło, przywiozłem jejmość do domu, z którą zrobiłem ten kontrakt, że żadnego nie wyprawię festu, na przekorę zaś starym zwyczajom, jak wesele tak

i przenosiny obejdą się bez bankietu. Co piszę do WMPana, to powtórzyłem wszystkim znajomym, jako nie mają po co zjeżdżać się do Sośnicy.” Owóz po odebraniu tego listu—mówił dalej łowczy koronny—naradzałem się z sąsiadami jak mamy odpowiedzieć staroście, który widocznie zażartował z nas wszystkich; boć niepodobna, by po ożenieniu z wdową tak wielce się już odmienił, żeby aż chciał zrywać z przyjaciółmi i zamknął im wrota swego domu.

Różne były sentencye i rozprawy pomiędzy szlachtą. Jedni wotowali za tém, ażeby wypowiedzieć przyjaźń staroście i zmusić go do przeproszenia za takie poniewieranie i obrazę przyjaciół; ale drudzy, którzy w największej byli liczbie, żalowali utraconej okazji bankietu w dobrej przyjacielskiej kompanii, więc uradzili jednogłośnie, żeby zjechać się w kupie do Sośnicy i zadrwić z téj fantazyi i humoru starosty żytomirskiego, który jeśli nie oszalał jeszcze zupełnie, rad będzie pewnie z téj rezolucyi przyjaciół, i chociaż po czasie huczne wyprawi wesele.

Taka była ostateczna decyzja braci szlachty. Manifestowałem się z początku przeciw temu zjazdowi, bo rozgniewał mnie list starosty haniebnie; ale w końcu pokonany zostałem racjami przyjaciół, mianowicie koligatów moich, JMPana Aleksandra Potockiego i Stefana starosty czerkaskigo.

Tandem w licznej kompanii zjechaliśmy w d. 2 Februarii do Sośnicy, chcąc zaś zostawić staroście dość czasu do przygotowania się na przyjęcie tak wielu gości, rozłożyliśmy się w karczmie i na folwarku, poczem daliśmy znać do dworu o naszym przyjeździe. Ale z wielką konfuzją wszystkich i nie małą honoru obrazą nie odebraliśmy wcale zaproszenia. Posłaniec wrócił wieczorem i doniósł, że pan starosta zły jest jak smok, beszta sąsiadów i przyjaciół publicznie, nie zważając na instancją żony i jej córki, które przyzwoite i przezorne, jak zwykle białogłowy, zaklinają go żeby uszanował sąsiedzką przyjaźń i nie gardził tym dowodem braterskiego afektu, lecz zaprosił i przyjął do domu gości, jak przystoi jego urodzeniu i godności.

— Więc i panna Elżbieta Modrzejowska mieszka już w domu swego ojczyma?—zapytał Jerzy Dzieduszycki.

— Tak jest, starosta wracając do Przemyśla, wstąpił po pannę i przywiózł ją do Sośnicy wraz z matką; ale oprócz panny Modrzejowskiej jest tam jeszcze na rezydencyi panna wojewodzianka wołyńska, którą brat jej a mój szwagier JMPan Sieniawski przywiózł tamże nie dawno i zostawił pod opieką pani starościny.

Wiadomość ta mocno zainteresowała Jabłonowskich, mianowicie chorążego w. koronnego, który słuchał uważnie stojąc pod oknem opowiadania łowczego, teraz zaś przysunął się bliżej w nadziei że dowiedzieć się jeszcze może o jakich innych szczegółach dotyczących panny Teofilii Sieniawskiej.

— Tak więc—mówił dalej łowczy koronny—przenocowaliśmy w Sośnicy, besztając starostę za tak haniebną niedyskrecyę i pogardę

dawnych przyjaciół. Ja z podkomorzym halickim, z JMPanem starostą czerkaskim i innymi rozłożyliśmy się w karczemnej izbie i medytowaliśmy nad naszym losem nie mogąc strawić tak wielkiego afrontu. JMPan Stefan zatapiał frasunek swój w winie, więc wszyscy poszliśmy za jego przykładem, wysuszyliśmy całą beczkę do dna i popiliśmy się haniebnie. Nie pamiętam nawet kiedy i jak mnie sen zmorzył, wiem tylko że obudziłem się nagle, zdało mi się bowiem jakby zmora mnie dusiła; ale skoro rozwarłem powieki, ujrzałem koligata mego JMPana podkomorzego, jak przygniatał mnie połową swego korpusu.

Obok nas leżeli wrozmaitych pozyturach inni panowie bracia na betach, które żyd Chaim rozesłał na podłozie.

Jęknąłem ze złości i bólu, rozbudziłem podkomorzego i innych, przypomniawszy zaś niegościny traktament starosty, nagliłem panów braci do prędkiego wyjazdu. Ale zaledwie zerwali się z betów i przecierali jeszcze zaspane oczy, zakołatano do drzwi, które otworzyłem z pośpiechem i ujrzałem deputację od pana starosty żytomirskiego, to jest jego podstarościego i towarzysza pancernej chorągwi z karcmarzem naszym Chaimem. Podstarości pokłonił się nisko i z wielką rewerencyą przeproszał, jako starosta wczoraj był mocno chory na gwałtowną i dokuczliwą febrę, więc nie mógł przyjąć gości, ale dziś zaprasza jak najuniżniej JWW. i WWPanów, którzy raczyli zjechać się w Sośnicy. Towarzysz powtórzył tę prośbę w imieniu swego szefa z dodatkiem, że JMPani starościna oczekuje na nas z śniadaniem.

Zagadnieni tak niespodzianie, spojrzeliśmy po sobie, ale nikt pono nie kwapił się z odjazdem, zwłaszcza o chłodzie i głodzie; więc chociaż rozgniewani wściekle na starostę, gotowi byliśmy przyjąć gościnę i w piekle, skoro trafiła się okazya wypoczynku, po facygach podróży i żydowskiego noclegu.

Owoż po krótkiej naradzie ruszyliśmy się hurmem do dworu, przed który zajechaliśmy szumnie z hałasem i trzaskiem bicia. Starosta żytomirski witał każdego z nas serdecznie. JMPani starościna wielce rada nam była, zaproszono nas natychmiast do śniadania zastawionego już na stole, później był obiad i gęsto spijaliśmy wiwaty, po obiedzie zaś tańce. Jednak tańce szły wcale leniwo choć przy cudownej gospodarstwa ochocie, bo obie JMPanny, podskarbianka Modrzejowska i wojewodzianka Sieniawska, dziwnie były smutne i zamyślane, tańczyły jakby z musu, nie prawie nie rozmawiały a często zaglądały do okien, jak gdyby oczekiwały na jakiego gościa... Owoż nie ręczę za prawdę, bo dziwne są ludzkie fantazyje i inwencyje, ale słyszałem od sąsiadów starosty, że panna podskarbianka jest rozamorowana w JMP. Łaszczu, a choć matka dotąd nie zgadza się na to małżeństwo, jednak konkurent dobrą ma otuchę, bo starosta instancyjonuje za nim do pani matki i przyrzekł mu, że wkrótce pić będzie na jego weselu.

Jerzy Dzieduszycki, który przysłuchiwał się uważnie opowiadaniu łowczego, pobladł w tej chwili i zakrył twarz ręką, nie chcąc zdradzić zapewne nagłego wzruszenia; ale skoro łowczy wymówił ostatnie

wyraży z przyciskiem i spojrzął się z uśmiechem na niego, urażony młodzian zarumienił się i zawołał z gniewem:

— A ja powiadam WMPann, że nic z konkurów pana Łaszczka nie będzie, bo matka nie zezwoli nigdy i nawet protekcyja starosty mu nie pomoże!

— Pomoże czy nie pomoże... o tém dowiemy się później WMPannie starosto żydaczewski, nie ręczę też za nic wcale a powtarzam tylko co słyszałem w domu starosty żytomirskiego.

Chciał jeszcze odpowiedzieć Jerzy Dzieduszycki, ale z różnych stron inne zaczęto zadawać pytania łowczemu o dalszych szczegółach owego zjazdu w Sośnicy; ten zaś zakończył opowiadanie temi słowy:

— Owóż, jak już mówiłem WMPanom, tańce nie udały nam się wcale, bo panny były wielce markotne i tańczyć zgoła nie chciały; więc zapijaliśmy dla fantazyi, poczem wszyscy rozjechaliśmy się do domów.

— Jak widzę, starosta żytomirski nowe teraz wprowadza zwyczaje, bo naprzód przez listy odprasza gości, poczem haniebne wyrządza afronta, w końcu zaś zaprasza obrażonych do domu—rzekł z uśmiechem Krzysztof Skarbek.

— Prawda, że dziwniej fantazyi jest starosta żytomirski—odparł łowczy koronny. Zdało się, że rad był serdecznie gościom i częstował a dolewał ciągle, jednak na nocleg nie zapraszał nas wcale.

— Fraszki, że nie zapraszał nas, panie bracie—podchwycił Aleksander Potocki—ale najgorzej, że kilku sąsiadów uraczonych i dobrze rozmarzonych trunkiem, kazał włożyć jak beczki na sanie i powyprawiał z domu.

— Tak jest, zadrwił starosta okrutnie z braci szlachty i wątpię, aby mu to uszło na sucho. Powiedziałem mu też przed odjazdem, jako staremu przyjacielowi, aby upamiętał się przecie i nie drwił z braci szlachty, bo z niego zadrwić mogą srodze na jakim zjeździe lub sejmie. Ale starosta rozśmiał się na to i prawi do mnie:

— Nie obawiaj się o mnie waszmość panie łowczy, trzymam ja dobrze za łeb tę szlachtę, siedzą oni wszyscy w méj kieszeni: ten wydrwił odemnie kolaskę, ten kontusz, ten kilku chartów lub szkapę. Toć przecie wszyscy oni są moi, i na sejmiku muszą wrzeszcząć jak im każę, boć ich żywię tam i poję.

Rozśmieszyła nie jednego z obecnych odpowiedź starosty żytomirskiego dana łowczemu, który na tém zakończył swe opowiadanie.

Wkrótce też potem wyniosło się biesiadujące grono z pałacu arcybiskupiego, ale dwaj młodzi panowie, którzy niedawno z dobrą fantazyą tu przyjechali, z wieńcem i oracyami, Aleksander Jabłonowski i Jerzy Dzieduszycki, odjeżdżali smutni i zamyśleni. Jak jeden tak drugi znajdowali się obecnie myślą w Sośnicy, w domu starosty żytomirskiego.

IX.

Nazajutrz po opisanym wieczorze, był ślub Franciszka Denhoffa z panną Dąbską, w téjże arcybiskupiěj kamienicy. Liczny orszak go-

dowy towarzyszył państwu młodym do ołtarza. Ciż sami goście, którzy znajdowali się przy oddawaniu wieńca w dniu wczorajszym, mieli udział w uroczystościach ślubnych, nadto ks. kanonik Gelazowski i ks. Perkiewicz jezuita. Arcybiskup lwowski Konstanty Lipski połączył młodą parę.

Po ślubie miało miejsce, według zwyczaju staroświeckiego, oddawanie panny i podziękowanie ze strony pana młodego; występowali z oracyami: Krzysztof Skarbek i Jan Jabłonowski.

Panna młoda w białej ślubnej szacie, z wieńcem na głowie, zwracała uwagę wszystkich obecnych, wspaniała, prawie mężką urodą, tém więcej, że stojący obok niej krewny, Krzysztof Skarbek kasztelan halicki, był szczupłej budowy i nader małego wzrostu. Z drugiej strony, obok Franciszka Denhoffa stanął Jan Jabłonowski.

Kasztelan halicki zwrócił się do pana młodego z następującą oracją:

„Mości panie łowczy litewski! Nie potrzebuję zalecać stanu małżeńskiego, ponieważ ma autorem Boga samego, z którego, jako ze źródła dobroci i szczęścia wynika. Nie myślę też do małżeństwa dodawać animuszu waszmości, dowiodłeś bowiem, jak dobry masz do tej przyjaźni apetyt, gdyż tak gorąco około postanowienia swego chodził. Ale o tém szeroko mógłbym mówić, jak wielce Pan Bóg pobłogosławił waszmości, skoro tak drogocenny z rąk jego, w osobie jejmości panny Dąbskiej otrzymujesz prezent. Prezent mówię, droższy nad złoto i wszelkie klejnoty, bo bierzesz jejmość pannę kasztelanekę z starożytnego i zacnego Godziębów Dąbskich gniazda, a któż nie zna splendoru tej rodziny?

„Nie będę tu wymieniać sławnych przodków tego domu, bo wiem, że i ród Denhoffów nie mało onych też liczy, z kąd konkludować wypadnie, że jejmość panna Dąbska do równie rozkosznego i plennego przechodzi gniazda.

„Powiem więc wkrótce, że jak w jednym tak w drugim rodzie, krzewiły się bujnie rycerskie cnoty w mężach, a uczciwe zachowanie i pobożność święciła się w białogłowach. Ale otóż jejmość panna kasztelanekę zacniejszy wynosi klejnot z domu matki, nad splendor urodzenia i wszystkie posagi, bo skromne i cnotliwe wychowanie, czego jest dowodem ostrożność w postępkach, wstyd w oczach, osobliwy rozsądek, nabożność w sercu, cudne obyczaje, słowem wszelki ornament paniński. Toć to są wielkie zalety jejmości panny Franciszki, jakoż każdy ze znajomych przyzna, że nie łatwo znaleźć jej równą animuszem i obyczajnością pannę, a jak z postawy podobna jest ona do amazonki, tak łagodnością i skromnością równa się gołębiczy. Odbieraj więc waszmość w pożądaną chwilę, to *aeternum monumentum* łaski i uprzejmości macierzyńskiej, i szanuj w dziecięciu znaną matkę i dobrodziejkę. Rozważaj zatem waszmość dzieło Najwyższego sprawcy, który towarzysza w małżeństwie z kości mężkiej stworzywszy, nie z głowy tę kostkę wyjął, żeby biała płeć nad mężką góry nie brała, ani

też z pięty, aby podnóżkiem nie była; ale raczej z boku, ażeby z towarzyszem równym w pożyciu, w zupełnej zgodzie i jedności pozostawała. Niech więc Pan Bóg Wszechmogący wszystkie błogosławieństwa nad waszmościami pomnoży i utwierdzi, ku chwale swęj świętej, na gruntowną jejmość pani matki pociechę i wspólnej rodziny ozdobę, z zupełnym waszmościów ukontentowaniem.”

Po skończonej oracyi Krzysztofa Skarbka, wystąpił z podziękowaniem Jan Jabłonowski; ale nie będziemy powtarzać długiej jego mowy, w której wyliczał osobiste zasługi pana młodego i napomknął nieco o dawności i splendorze herbownego dzika Denhoffów.

Wkrótce po tych oracyach, zasiadło całe towarzystwo do przygotowanego bankietu, za wyjątkiem księdza arcybiskupa, który wcześniej opuścił zgromadzenie.

W długiej komnacie arcybiskupiego pałacu zasiedli najprzód państwo młodzi, dalej matka panny młodej wojewodzina Zamoyska, i liczny orszak matron, i dziewic zgromadzonych na uroczystości wesela. Pomiedzy gośćmi oprócz całej rodziny Jabłonowskich, byli z panów Potockich: Stefan i Aleksander, oraz dwaj księża: kanonik lwowski Gielazowski i jezuita Perkiewicz. Hetman Jabłonowski zajmował w tém gronie pierwsze miejsce, obok niego siedział Krzysztof Skarbek z jedną a ksiądz Perkiewicz z drugiej strony. Jan Jabłonowski siedział w towarzystwie księdza Gielazowskiego, za nimi inni, młodzi wiekiem i godnością panowie.

Obecni na téj uroczystości dwaj księża odznaczali się różnością charakterów i wyobrażeń, która wybitnie malowała się na ich twarzach. Ksiądz Perkiewicz, z rumianem obliczem, z wiecznym uśmiechem zadowolenia na ustach, był kapelanem Jabłonowskich i przyjacielem ich rodziny; dopomagał im gorliwie w różnych interesach publicznych i domowych, jeździł często z ważnemi poleceniami od hetmana do dworu królewskiego, nadto żadne swaty w rodzinie nie obeszły się bez jego wpływu. Słowem, ksiądz Perkiewicz był zawołanym dworakiem; towarzyszył on młodym Jabłonowskim w podróżach za granicą, znał biegle kilka nowoczesnych języków, umiał na pamięć kolligacye znakomitszych w kraju rodzin, jako téż znał wszystkich w Rzeczypospolitej dygnitarzy świeckich i duchownych, którzy większy lub mniejszy wpływ wywierali na sprawy kraju. Ksiądz ten, jak każdy dworak, umiał naginać się wybornie do charakterów i fantazyi osób, z któremi bliższe wiązały go stosunki; zawsze i wszędzie był pożądanym gościem, zwłaszcza że częste podróże i liczne znajomości, dostarczały mu niewyczerpanego wątku nowin, które chętnie rozpowiadał w przyjacielskiem kole. Rozumny i zręczny jezuita władał wybornie piórem, stosując się zaś do zwyczaju owęj epoki, pisał spóczesne pamiętniki, ale w wielkim przechowywał je sekrecie i żadnego z nich ustępu nie powierzał nikomu. Nie jeden rad był odsłonić tajemniczą zastonę pisma, które miało zawierać karty żywota współczesnych ludzi, z wyrokami łaski lub potępienia. Pomimo zaostrzonej ciekawości przyjaciół, nikt

nie mógł ani jednej wydobyć litery z zamkniętych kart pamiętnika, zaprzysiągł bowiem autor, że za życia swego nie powierzy tych tajemnic nikomu.

Drugi, Gielazowski kanonik lwowski, był ciekawą typową postacią dawnego kapłana, który nie miał wspólnego z panegirystami owego czasu, lecz przeciwnie karcił surowo i na każdym miejscu błędy swego wieku.

Ojciec Gielazowski był szorstki w obcowaniu i rozmowie, ztąd mało miał szerszych prawdziwych przyjaciół, ale obawiali się wszyscy ostrych jego przycinków, więc otaczali go pozornie szacunkiem i hołdami. Kanonik nie uwodził się łatwo komplementami, wiedział że gorzkie słowa prawdy, jakimi karcił zdrożności współczesne, nie mogły być mile przyjęte przez ludzi, którzy w kreślonych przez niego obrazach własne widzieli portrety; to też rzadko występował w liczniejszych i świetniejszych zebraniach. Znajdował się on na dzisiejszym bankiecie ze względu na osobę pana młodego, z którym nieco zażyłszy łączyła go przyjaźń. Jan Jabłonowski był jednym z nielicznego grona przyjaciół kanonika; jakkolwiek nieraz dysputy ich zamieniały się w spory. Siedział wojewoda przy stole pomiędzy kanonikiem i starostą czerkaskim; kiedy w ciągu biesiady i spijanych kolejno puhałów ożywiła się rozmowa, rzekł Jabłonowski do sąsiada:

— Jak ci się powodzi WMPanie starosto z twymi żydami? Słyszałem że dawny arendarz, dziś lichwiarz lwowski, nabawił cię ciężkiego kłopotu?

— Niech przepadnie arendarz i z nim wraz cały ten przeklęty naród, mości wojewodo! Nie chciałem słuchać mądrój mego podstarościęgo rady i wypuściłem dobrowolnie wilka z jamy. Tak jest, przekłeta i nienasycona bestya siedziała już dobrze zamknięta w jamie, ale tak byłem głupi i szalony, że wypuściłem ją na moją zgubę.

— Jakto?

— Długa to jest historia, ale muszę opowiedzieć WMPanu choć pokrótce, abyś wiedział jaką mam sprawę z tym żydem i jak przeklęty ten naród nastaje na krew naszą chrześcijańską.

Owóż arendarz mój Jonasz, który miał kontrakt na lat dwanaście, w ostatnim roku nie wypłacał mi arendy, klnąc się na żonę i dzieci, że wielkie poniósł straty i grosza jednego nie ma w kieszeni. Tymczasem podstarości i inni moi dworscy ludzie zeznali przedemną, że ów Jonasz przeklęty ogromne zebrał pieniądze, które głęboko ukrył w ziemi, że jeszcze za przeszłego dziedzica obdzierał i krzywdził poddanych; doniesiono mi nadto, że w obawie kary (bo zadają mu oszustwo, złodziejstwo i czary), ucieka z arendy i nie chce zapłacić rocznego czynszu, udając jakoby nie miał przy duszy grosza. Nie chciałem dochodzić uczynionego mu zadania, ale odprawiłem żyda, zabrawszy mu ruchomości za czynsz niewypłacony. Jonasz wyniósł się do Lwowa, zatem dowiedziałem się wkrótce, że wszystko co mówił podstarości świętą było prawdą. Żyd pożyczkał znaczne pieniądze na zastawy

i opisy, szlachcie i mieszczanom. Wiesz mości wojewodo, jako ś. p. mój ojciec zostawił mi kilka włości, które były zadłużone już nieco; zanim zaś otrzymałem starostwo z rąk króla JMości, zamyslałem o postanowieniu małżeńskim, na co potrzebowałem gwałtownie pieniędzy: udałem się do mego faktora po informacją, zkądby pożyczyc dwadzieścia tysięcy złotych, na co odpowiedział poganin, że otrzymam żadaną kwotę, bylebym tylko udał się z nim do Jonasza. Cóż powiesz mości wojewodo na to, że ten niegodziwy lichwiarz udawał jakoby nie znał mię wcale; nie odmówił mi wprawdzie pożyczki, ale z ogromną lichwą, na którą jak wąż opisać się musiałem.

Tu starosta czerkaski westchnął ciężko, jakby pod wpływem bolesnego wspomnienia, poczem tak mówił dalej:

— Owóz ten to Jonasz przeklęty, który był niegdyś w moich rękach i którego mogłem być indagować, sądzić o zdzierstwa, oszukaństwa i czary, pozwał mię dziś do trybunału, o niewypłacenie na termin pożyczonych pieniędzy.

— Żal mi cię mości starosto szczerze, bo dobry szlachcic jesteś i przyjaciel; ale wyznaję, jako w tém waszmości pryncypalna jest wina, że sam opisałeś się w kontrakcie.

— Cóż począc miałem WMPanie wojewodo, kiedy gwałtownie potrzebowałem pieniędzy; wiész zaś że bez żyda żadna taka nie udaje się impreza.

— Żal mi cię WMPanie Stefanie, tém więcej, że impreza ta i konkury na nic nie przydały się waszmości.

— Prawda, że odsadzono mię od panny, była w tém wszystkim piekielna jakaś intryga; ale nie spodziewając się tak haniebnego zawodu, musiałem starać się o pieniądze.

— Wierzę, że łąco zbłądzić można w takiój materyi, boć i najmędrszy człowiek potknie się nieraz na tym placu; nie dziwię się téż wcale, że intencya nie dopisała WMPanu: ale na co przed czasem za pożyczać się było i zadłużać po uszy? wszak wiadome jest stare przysłowie: nie łap ryb przed niewodem.

— Niech i tak będzie, że może zagorąco brałem się do zalotów, lecz WMPanie wojewodo, nawet bez tych zalotów, byłem w gwałtownej potrzebie, w której do kogóż uciec się jak nie do żyda?

— A ja, za pozwoleniem WMPanów, wypowiem téż moje zdanie; — wtrącił poważnie, słuchający téj rozmowy ksiądz kanonik Gielazowski — że wcale mię nie dziwi ten niefortunny wypadek J Pana starosty. Powszechny to u nas jest argument, że szlachcic nie może się obejść bez żyda. On to jest bowiem owym pryncypalnym doktorem i doradcą, co leczy najwyższymieniciej wszystkie rany, choć to nie jest sekretem, że leki jego nie posłużą na długo, bo jako czart przeklęty łudzki i pochlebny przez chwilę, ale potem ciało i duszę zabija na wieki. *Polonia est paradisus Judaeorum*: dawne to i wypróbowane jest zdanie. Żyd u nas arendarzem, żyt mytnikiem, kupcem, doktorem, na koniec pierwszym dobrodziejem i konsyliarzem; ale z tém wszystkiém

zniszczenie miast i wiosek w parze z tém plugastwem idzie. Nie możemy opędzić się tój szarańczy, bo zapomniane są dawne przodków przestrogi, którzy zawarowali w konstytucjach i podali roztropne medya przeciwko pokusie żydowskiego narodu.

— Fatalna to jest pokusa WMPanie, ja sam chociaż opędam się przed nią jak mogę, wyznaję jednak ze skruczą że nieraz żydowskiej zażywam pomocy, mianowicie w chorobie, do kogóż uciec się mamy, skoro najprzedniejsi doktorzy są żydzi? Prawda, że naród ten rozsiadł się u nas wielmożnie po wielu miastach, ale któż temu winien że w przemyśle i w dowcipie zrównać im nie możemy. Głupstwo zapewne, WM. księżę kanoniku, jest pryncypalną naszą nędzą i tój plagi przyczyną—rzekł Jan Jabłonowski do księdza Gielazowskiego, który odchrząknawszy parę razy odpowiedział mu donośnym głosem:

— Dobrze mówisz WMPanie, że głupstwo nasze jest tój plagi przyczyną; dodam jeszcze, że spuścił ją na nas Bóg Wszechmocny za wielkie grzechy, swawole i zbytki. Przeczytajcie dawne konstytucje z Zygmuntofskich czasów, a przekonacie się niewątpliwie, że świętobliwi przodkowie nasi przewidzieli ten przekłety sojusz z żydami, który tyle klęsk sprowadził i miast naszych upadek. Któż jest tak ślepy i nie przyzna, że za własne pokutujemy winy? Okazujemy wielkie fawory żydom a krzywdzimy braci chrześcian; za to więc Pan, za sprawą tychże samych żydów, nawiedza nas tak licznemi klęskami. Mógłbym dużo powiedzieć w tój materji, ale nie czas i miejsce potemu; zresztą wiem jak ostre rzucano na mnie pociski za kazanie moje w pierwszą niedzielę po Trzech Królach miane, w którym reprezentowałem wielkie grzechy narodu, a zakończyłem słowami psalmisty: „Pan pocieszy sierotę i wdowę, a zniszczy bezbożnych zamiary.” I nie podobały się wielu wyrazy, które zastosowałem do onych fałszywych proroków, obrońców złotój wolności z przestroga, aby nie dowierzano ich pochlebnej mowie: „Nie ufajcie książętom, synom człowieczym, w których niema zbawienia.“ Doświadczyłem tём na sobie owój sentencji: „Przeciwko mnie szeptali wszyscy nieprzyjaciele moi, przeciwko mnie myśleli źle.“

— Słuchałem, Ojczy, waszego kazania z powiną skruczą i poubożnością; nie podobały mi się jednak ostre nagany i cenzury senatorskiego i rycerskiego stanu, zwłaszcza ta sentencya o Polsce: „Polska jest rajem dla żydów, czyścem dla pospółstwa, gniazdem konfederacy żołnierskich, zamieszania i bezprawia.“ Statysta który wyrzekł ongi te słowa, przez ciemne bardzo patrzy się okulary, bo widzi u nas tylko krzywdę i nędzę ludzką, a ślepy jest na dobroczynne dzieła i hojne panów naszych jałmużny. Zwiedzałem wiele zagranicznych krajów, wierzaj mi Ojczy, że widziałem tam pospółstwo żyjące w daleko nędzniejszej niż u nas kondycji...

— Nie przeczę miłościwy panie, że i w innych krajach też same jak i w Polsce mogą trafiać się grzechy, że i gdzieindziej znajdzie się też *purgatorium plebejorum*, nie idzie jednak za tём, ażeby Polska

była błogosławionym krajem i aby nam wolno było źle robić, dla téj jeno racyi, że inni tak robią. Ale powiedz mi mości panie wojewodo, gdzie, w jakim kraju widziałeś taką żydowską swobodę i bezczelność? gdzie taką swawolę szlachty, bankiety, burdy i wrzaskliwe sejmiki? gdzie, mówię, takie zamieszanie w radzie i sprawiedliwości?

— Uręczam WMPana, że widziałem różne a nawet daleko więk-
sze jeszcze grzechy; ale przepomniałeś Ojczy o tym pryncypalnym u nas grzechu, że jak w pochlebstwie, tak w naganie nie znamy nigdy miary, więc wynosimy się zbyt hardo aż pod obłoki, lub spychamy się w otchłanie—rzekł z uśmiechem Jan Jabłonowski.

Dalszą dysputę przerwała nagle sprzeczka Aleksandra Jabłonowskiego z Aleksandrem Potockim podkomorzym halickim, która zwróciła uwagę przytomnych osób, mianowicie wojewody wołyńskiego.

Podkomorzy miał dobrze zapruszoną już głowę, kiedy zaczął wyrzucać obok siedzącemu chorążemu, jako on i brat jego wojewoda wołyński zerwali dawną przyjaźń z panami Potockimi, że nakoniec poparci wpływem możniejszej szlachty, mianowicie panów Wojciecha Czackiego, Stanisława Rzewuskiego i Antoniego Stamirowskiego, przekrzykują ich na sejmikach i chcą swoje wprowadzać rządy, i tym podobne inne czynił mu wymówki, przeciwko którym zaprotestował chorąży w następujących słowach:

— Nie rozumiem wcale tych zarzutów waszmości, bo jeśli mamy dobrze porachować się z sobą, każdy niewątpliwie przyzna, że nie waszmość panom, lecz nam raczej dochodzić swęj krzywdy wypadnie.

— Wiem że waszmość panowie umiecie rachować się z nami, boć siła macie przyjaciół, co okrutnie gardłują za wami, jako dał tego jawne dowody niedawno JMP. chorąży wołyński w sprawie ojca WMPana ze starostą halickim.

— Proszę nie tykać honoru ojca, dobrodzieja mego, mości panie podkomorzy halicki!

— A ja proszę nie molestować honoru naszego domu, mości panie chorąży koronny!

— Nie my, lecz wy jesteście szarpaczami naszego, mości podkomorzy, bo pytam się, kto zerwał sejmik kijowski? i kto przeciwko mnie instygował publicznie na tym sejmiku?

— Instygował łowczy koronny i miał potému racją, bo waszmość jako *non possessionatus* nie powinienes być deputatem.

— Mam więcej niż waszmość, bo chorąstwo koronne z łaski króla jegomości i da Bóg senatorskie z czasem dostanie mi się krzesło, a téż i fortuna równy jestem waszmościom, bo z łaski Boga dostatnią fortunę ma pan ojciec.

— Co mi wyjeżdżasz waszmość z swoim chorąstwem koronnem; wiem ja z kąd owe godności i honory biorą swój początek. Ale choć byś i na senatorskim waszmość zasiadł krzesło i książęcym Jego Cesar-
sko-Apostolskiej Mości okrył się tytułem, nie zrównasz nigdy Potockim.

— A ja powtarzam waszmości, nie tykaj honoru naszego domu, bo JMPan mój ojciec nie myśli wcale starać się o żaden tytuł, jak to fałszywie zadają nieprzyjaciele nasi.

— Powiadam raz jeszcze, że nie zrównacie nigdy Potockim i że w szlacheckiej i wolnej Rzeczypospolitej nic te książęce nie znaczą tytuły.

— Nie waż się waszmość nastawać na honor mojego ojca!—zawołał z najwyższym oburzeniem chorąży, ściskając dłonie i grożąc podkomorzemu—który odpowiedział również porywczym głosem:

— Nikt mi ust zamknąć nie może, będę mówić co mi się podoba, aż upokorzę hardy animusz waszmości!

Jan Jabłonowski, który słyszał spór podkomorzego z bratem, widząc z ostatnich słów i pogroźek, że na wielką zanosi się burzę, zerwał się natychmiast od stołu, pobiegł do chorążego, uchwycił go za rękę i zawołał półgłosem:

— Nic już nie odpowiadaj, na Boga, miły bracie! Wstań czémprędzej od stołu, bo podkomorzy pijany jest haniebnie...

— Jak mogę milczeć panie bracie, kiedy szarpie honor naszego domu!—odrzekł z oburzeniem Aleksander Jabłonowski.

— Owóż zaklinam cię bracie, powściągnij się dla honoru domu, nie pobudzaj go do gwałtowniejszej imprezy, a wynos się czémprędzej od stołu.

To powiedziawszy, Jan Jabłonowski pociągnął silnie za rękę brata, który uległ jego żądaniu, spojrzawszy jeszcze raz z pogardą na podkomorzego i powstał szybko od stołu. Wojewoda wołyński trzymając za rękę brata wyprowadził go do sąsiedniej komnaty.

Nie wszyscy zauważyli kłótnię przy stole, albowiem kolejno obiegające z rąk do rąk puhary i głośne wiwaty, nie dozwalały zastanawiać się gościom nad przyczyną nieporozumienia dwóch młodych ludzi. Wkrótce też całe towarzystwo powstało od stołu i na drobne podzieliło się kółka.

Jan Jabłonowski wyprawił brata do domu i wracał sam do gościnnnej sali, kiedy spotkał się we drzwiach z świeżo przybyłym Stanisławem Druszkiewiczem kasztelanem chełmskim. Oblicze i oko starca jaśniało ogniem zapału; zdawało się w tej chwili jakoby odmłodził nową jakąś nie znaną pokrzepioną siłą.

Spostrzegłszy Jana Jabłonowskiego—zawołał potężnym głosem:

— Orda wali się na nas w ogromnej sile, mości panie wojewodo: posłańcy moi widzieli tej nocy ogień ich pod Złoczowem. Powiedz JMPanu hetmanowi w koronnemu, aby przygotował się do obrony, bo niezawodne mam doniesienie.

— Jegomość dobrodziej jest na bankiecie wraz z innymi znajomymi i koligatami JMPana łowczego litewskiego.

— Dobrze więc, dajmy mu znać natychmiast i wszystkim gościom, aby Tatarzy z nienacka nie wyprawili nam festu na przynosiny!

To powiedziawszy pobiegł szybko siedmdziesięcioletni kasztelan z młodym wojewodą do gościnnéj komnaty w chwili, kiedy właśnie rozległ się dźwięk muzyki, bo młodzież znużona długą biesiadą przy stole, ochoczo puściła się w tany.

Hetman Jabłonowski stał pod oknem i rozmawiał z Janem Wielhorskim podkomorzym włodzińskim.

Kasztelan zwracając się do hetmana w. koronnego zawołał:

— Tatarzy, miłościwy panie, stoją już pod Złoczowem, dziś może jeszcze w nocy a najdalej jutro ujrzymy tę szarańczę pod Lwowem! Straszna ich moc wali się na nas i według zwyczaju ogniem i mieczem pustoszą okoliczne włości....

Silny głos kasztelana rozległ się na około sali i zatrwożył biesiadujące grono. Ustały nagle tańce, zamilkła huczna muzyka, wszyscy młodzi i starzy pobiegli ku niemu szybko, otoczyli go kołem i zapytywali skwapliwie o szczegóły niepomyślnéj wieści. Hetman skinął na najmłodszego syna Stanisława starostę bohusławskiego i rzekł do niego:

— Bieź waszmość do wysokiego zamku natychmiast, każ bić z dział na wałach, a niech komendant czeka na dalsze ordynanse w méj kamienicy, dokąd natychmiast pojedę.

Potém zwrócił się do najstarszego syna:

— Tak więc potwierdzają się wieści o zbliżających się Tatarach, jutro ze świtem sam wyruszę na szlaki; tymczasem wracam do domu, aby na wszelki wypadek jaką taką przygotować obronę. Niefortunny! to wcale byłby *casus*, gdyby jutro zaskoczyli nas Tatarzy, bo szczupłe chorągwie, którym tu skupić się rozkazałem, zaledwie pojutrze zdążą do Lwowa.

— Będziemy się bronić jak można najlepiej!—zawołał Jan Wielhorski z roziskrzonym okiem.

— Będziem się bronić—powtórzył stary kasztelan i dodał:

— Bóg sprawiedliwy naszym obrońcą i mścicielem!

Potém rzekł do otaczającej go młodzieży:

— Bóg mnie pocieszył po długiej chorobie, bo pokrzepiony na zdrowiu i siłach, mogę usłużyć ojczyźnie w téj potrzebie. Proszę więc waszmość panów, komu śpieszno do tego dzieła, niech dziś jeszcze na koń siada ze mną; pojedziemy w pole na zwiady i wrócimy w nocy z wieścią do JMPana hetmana!

— Pojedę natychmiast, gdzie jeno zechcecie WMpanie kasztelanie—zawołał Jan Wielhorski.

— „I ja!” kilka ozwało się głosów, w ich liczbie okrzyknął się też pan młody Franciszek Denhoff.

— I ja wsiadę na koń i towarzyszyć wam będę. Jutro zaś—rzekł zwracając się do gości—zapraszam wszystkich WMpanów na moje przenosiny.

— Wybornie, mości panie łowczy litewski! Widzę animusz i serce w mowie waszmości; nie darmo nosisz w herbie dzika przeszyciego strzałą, *ecce sagitta electa*, oto strzała wybrana, która z Kupidynowych

szranków łącno do nieprzyjacielskiego przeniesie się obozu. A pod nie złą wróżbą te festa hymeneuszowe waszmości wypadły, boć nie ma huczniejszej muzyki i lepszego tańca jak bój z pogaństwem, za kraj, za Boga, za Wiarę.

To powiedziawszy wyciągnął ręce starzec nad głowę Franciszka Denhoffa i Jana Wielhorskiego, jak gdyby błogostawił młodzieńcom, którzy oświadczyli najpierwsi, jako chcą mu towarzyszyć w wycieczce.

Tak zakończył się bankiet w dniu ślubu łowczego z kasztelan-
ką biecką.

Pomimo przygotowań do obrony odbyły się w dniu następnym przenosiny, poczem pan młody i inni pobiegli na krwawe z Tatarami harce, które staczali na Krakowskiem Przedmieściu Lwowa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZYCZYNEK
DO ELEKCYI ZYGMUNTA I-go

W LITWIE I W POLSCE.

PRZEZ

K. P.

Aleksander Jagiellończyk umarł 19 sierpnia 1506 roku. Niedługo przed śmiercią (24 lipca) testamentem spisany w obecności panów rad litewskich ¹⁾, wyznaczył on swym spadkobiercą swojego brata Zygmunta, podówczas księcia Głogowskiego i Opawskiego, za którym też postął w chwili najazdu tatarskiego na Litwę, chcąc mu może poruczyć obronę zagrożonego kraju, oraz ostatnie przed śmiercią zostawić zlecenia, albo też, jak niektórzy twierdzą, złożyć w ręce jego cały ster zarządu, nie czując się już na siłach do rządzenia państwem. Obecni podówczas przy królu: Wojciech Tabor biskup wileński, Jan Zabrzeziński i Jan Łaski kanclerz koronny, pisali także do Zygmunta, ażeby zważając na potrzeby kraju i niebezpieczeństwa grożące mu w skutek napadu Tatarów i spodziewanego bezkrólewia, pośpiesznie przyjeżdżał do Wilna ²⁾.

Właśnie pod tę porę Zygmunt wybierał się w drogę, chcąc odwiedzić braci, jakto zwykle robił co roku. Na podróż tę Władysław król węgierski i czeski przysłał mu 6000 florenów, a księżna mazowiecka wdowa 1200 fl. ³⁾. Odebrawszy zaś powyższe listy, tém śpieszniej wybrał się Zygmunt do Litwy na Wschowę, Poznań, Pyzdry, Konin, Koło, Sochaczew. W Błoniu nadeszła szczęśliwa wiadomość o zwycięstwie Glińskiego nad Tatarami pod Kleckiem, cały tedy orszak śpiewa hymn: „Ciebie Boże chwalimy” a dla ludu wytoczono beczkę piwa ⁴⁾. W Liwie spotyka już Zygmunt gońców litewskich z wieścią o śmierci króla Aleksandra, jakkolwiek więc królewicz nie zdołał przy-

¹⁾ *Ultima voluntas Alexandri Regis. Acta Tomiciana* tom I Appendix n. 6, patrz również: *Inventarium omnium privilegiorum* i t. d. str. 180. Tutaj przez pomyłkę położony jest rok 1505.

²⁾ *Miechovita Chronica Polonorum* (Ed. z 1521 r.) pag. CCCLXXX *Cromer: De orig. et reb. ges. Polon.* (Colon. 1589) pag. 456, *Acta Tomiciana* tom I Comment. str. 13.

³⁾ *Trzy rozdziały z historii skarbowości w Polsce* przez L(ubomirskiego) (Kraków 1868) str. 6.

⁴⁾ Tamże.

być przed zgonem brata, to jednak na czas jeszcze zdążył do Litwy, zapobiegając przybyciem swoim rozterkom i niesnaskom mogącym podówczas wyniknąć w skutek ambitnych zamysłów Glińskiego, który, jak słusznie posądzało go wielu, pragnął skorzystać z bezkrólewia i otworzyć sobie drogę do znaczenia i władzy.

Z Liwa rozesłano gońców do Wielkopolski, Małopolski, Prus, Litwy i t. d. Do panów litewskich wyprawiono Rafała Leszczyńskiego, dając mu na drogę 80 florenów, jedyny wydatek poniesiony przez Zygmunta dla dostąpienia tronu ¹⁾). Sam zaś Zygmunt przyspieszył podróż, jechał na Drohiczyn, Bielsk, Krynki i Grodno do Wilna; w Olikiennikach dwór przywdział żałobę. Wszędzie po drodze królewicz wspaniale był podejmowany, w miastach trębacze miejscy i starostów głoszą jego przyjazd, uczniowie po wsiach witają pieśniami, panowie litewscy z radością go przyjmują składając rozliczne dary i upominki. Wojewoda wileński Mikołaj Radziwiłł goszcząc go w swym domu zwyczajem ówczesnym, złożył mu w darze 60 floren., a Sapieha ²⁾) w Grodnie 58 fl. Jan Zabrzeziński przysłał jarzabki, konie i pieniądze, a Michał Gliński zanim sam wyjechał, nadesłał listy i niewolnika tatarskiego. Gdy wreszcie Zygmunt zbliżył się do Wilna, książę Gliński najpierwszy z panów litewskich wyjechał na jego spotkanie, w licznym orszaku, przewyższającym nawet orszak królewicza, miał bowiem ze sobą siedemset koni, podczas gdy przy Zygmuncie było zaledwie dwieście. Wiedząc iż Zygmunt był już przeciw niemu uprzedzony i znał jego nieszczerze zamysły, Gliński rzucił mu się do nóg, tłumaczył się i oczyszczał z zarzutów i oskarżeń miotanych nań przez panów litewskich, po czém jako „panu przyrodzonemu” ofiarował „poddaność, werność i posługi chętlive ³⁾.” Nie wątpił przecież Zygmunt, iż owa pokora Glińskiego zmyśloną była; przeciwnie, nawet powiększył podejrzenie w umyśle królewicza tak licznym swoim poczem: że jednak czas nagił, Zygmunt nie wdając się w bliższe objaśnienia podziękował Glińskiemu za ofiarowane usługi i przyrzekł mu swe łaski. Wkrótce nadjechali inni panowie litewscy, wiodąc za sobą liczne i świetne poczty, a pozdrowszy Zygmunta Wielkim Księciem Litewskim, do Wilna odprowadzili ⁴⁾).

¹⁾ *Trzy rozdziały z historii skarbowości w Polsce.* Z dziełka tego opartego na poszukiwaniach archiwalnych, czerpiemy ciekawe szczegóły o podróży Zygmunta do Wilna.

²⁾ Był to zapewne Iwaszko (Iwan) Sopcha, pisarz litewski, kanclerz królowej Heleny, który potem udzielił Zygmunтови niezbite dowody zdrady Glińskiego, a zaskarbiwszy sobie łaskę królewską, sobie i swój rodzinie drogę do zaszczytów otworzył (Kossakowski: *Hist. genealog. Monografie t. III s. 20*).

³⁾ *Deciusz De Sigis. Regis temporib.* (Ed. 1521) pag. LIX, *Kojałowicz Hist. Lith.* (1650—69) tom II, str. 316; *Cromer* pag. 457, *Stryjkowski* (Ed. Malinowski) tom II, str. 339; *Acta Tomici.* tom I, pag. 17.

⁴⁾ *Miechovita* pag. CCCLXXII, *Deciusz* pag. LXI, *Kojałowicz* II, 316.

Jeszcze przed przybyciem Zygmunta, gdy po zgonie króla Aleksandra robić poczęto przygotowania około pogrzebu, zdania były rozwojone. Jan Łaski kanclerz koronny, który obecnym był przy ostatnich chwilach króla, domagał się ażeby zwłoki Aleksandra, stosownie do ostatniej jego woli, przewiezione zostały do Krakowa ¹⁾, panowie zaś litewscy choć pragnęli spełnić życzenia zmarłego króla, przekładając jednak interes publiczny nad prywatny, okazywali konieczność pogrzebania go w Wilnie, a to z tej przyczyny, iż prowadząc ciało królewskie aż do Krakowa, straconoby dużo czasu, a tymczasem książę Gliński „człowiek niespokojny i świeżo odniesionem zwycięstwem jeszcze bardziej nadęty ²⁾” potrafiłby z tej sposobności skorzystać i objąć najwyższą władzę na Litwie, wzniciwszy zaburzenia i osadziwszy swym ludem Wilno i inne zamki ³⁾. Przyćm chodzity pogłoski, może nawet uzasadnione, lecz dotąd jeszcze stanowczo nie rozstrzygnięte, iż Gliński przyspieszył zgon króla Aleksandra, ażeby tém łatwiej objąć wielko-książęcą władzę na Litwie ⁴⁾.

Być także może iż nie mniej jak Glińskiego obawiano się także zewnętrznych nieprzyjaciół i pretendentów do wielko-książęcjej mitry na Litwie, albowiem Wasyl Wielki Książę Moskiewski, zaraz po śmierci Aleksandra przysłał był posłów do siostry swojej Heleny, wdowy po zmarłym królu, proponując ażeby Litwa uznała go Wielkim Księciem. Poseł moskiewski Naumow ⁵⁾ przedstawiał w imieniu swojego pana nader korzystne warunki i usiłował zjednać Wojciecha Tabora biskupa wileńskiego, Mikołaja Radziwiłła i innych znakomitszych panów litewskich ⁶⁾. Ci jednakże niedowierzali przyrzeczeniom, długoletnie wojny i spory bezustanne zalecały im ostrożność; cokolwiek więc później (zapewne po przyjeździe już Zygmunta do Wilna) Helena odpisała Wasylowi, że Aleksander wyznaczył następcą po sobie swego brata,

¹⁾ Quem quidam vita spiritum et animam nostram Deo et Salvatori nostro, corpus vero terra commendamus, cui sepulturam inter olim basta divorum avi, genitoris et germani nostrorum, regum Poloniae in regno nostro designamus (*UK. voluntas Alexandri Acta Tomiciana t. I Appendix, pag. 20.*)

²⁾ „Homo factiosas et recenti victoria magis etiam elatus” (*Cromer pag. 457*). Jest tu mowa o świeżo odniesionem przez Glińskiego świetnem zwycięstwem nad Tatarami pod Kleckiem, przed samą śmiercią kr. Aleksandra.

³⁾ *Miechowita pag. CCCLXXI, Cromer l. c., Kojalowicz tom II, pag. 315, Acta Tomiciana tom I, str. 13.*

⁴⁾ Jak widać ze szczegółów o śmierci Aleksandra podanych przez Miechowitę i innych.

⁵⁾ Latopisiec Daniłowicza nazywa posła moskiewskiego Kubiakiem; być może, jak słusznie zauważył Narbutt (*Dzieje Nar. Litows. tom IX str. 4*), iż jednocześnie było ich dwóch.

⁶⁾ *Kojalowicz tom II, str. 316; Karamzin Hist. Pańs. Rossyjs. t. VII, str. 15; Sołowiew Istoria Rossij tom V, str. 279.*

który też wyniesionym już został na Wielkiego Księcia Litewskiego ¹⁾ i odtąd już sprawa ta więcej nie odnawiana, sama przez się upadła. Zanim jednak Zygmunt objął rządy na Litwie, słusznie obawiać się mogli panowie litewscy, ażeby Wasyl nie chciał siłą oręża popierać swych propozycji, korzystając z nieporządków mogących powstać w skutek bezkrólewia. Wreszcie Gliński, gdyby sam osiągnąć nie mógł najwyższej władzy, o co go posądzano i słusznie poniekąd, mógł atoli pokumać się z niebezpiecznym współzawodnikiem i osadzić go na Wielkiem Księstwie Litewskim, większe w tém upatrując korzyści niż w uznaniu pana prowadzonego przez swoich przeciwników.

Z tych więc względów, jak widzimy słusznych i uzasadnionych, uradzono jak najspieszniej pogrzebać w Wilnie zwłoki Aleksandra. Za przyjazdem swym Zygmunt przychylił się także do życzenia panów litewskich, widząc niebezpieczeństwa zagrażające w razie przedłużenia bezkrólewia.

Natychmiast więc nie tracąc czasu, przystąpiono do pogrzebu zmarłego króla, który odbył się w dniu 11 października, ze zwykłą okazałością. Zwłoki Aleksandra złożone zostały w kościele katedralnym wileńskim, w téjże samej kaplicy, gdzie pierwój pogrzebano jego brata Kazimierza, a w kilka dni potem 20 października 1506 roku ²⁾ panowie litewscy jednogłośnie obrali Zygmunta Wielkim Księciem Litewskim „jako dziedzicznego i naturalnego swego pana” ³⁾. Wedle zwyczaju, biskup wileński Wojciech Tabor włożył na głowę nowo obranego księcia czapkę książęcą z aksamitu czerwonego w strefy złota, drogimi kamieniami wysadzaną, a Michał Gliński jako marszałek wielki litewski podał mu miecz, poczem Zygmunt odebrał przysięgę od stanów litewskich i objął książęce rządy na Litwie bez żadnego oporu i trudności ⁴⁾.

Wprawdzie obiór tu dokonany był wbrew warunkom Unii, tyle razy potwierdzanym i odnawianym, a na mocy których, oba narody wspólnie przystępować miały do elekcji królów, co téż wyraźnie określił akt Unii, powtórzony przy elekcji Aleksandra w 1501 roku (4 października), na sejmie piotrkowskim sporządzony i obustronnie zaprzysiężony ⁵⁾, a to iżby Polska i Litwa zlały się w jedno państwo, aby był jeden naród, jedna braterskość i wspólne rady, aby temu ciału

¹⁾ *Kojałowicz, Karamzin, Sołowiew* l. c.

²⁾ *Miechowita* pag. CCCLXXII; *Wapowski Fragmentum* (przy kolońs. edycyi Kromera 1589) pag. 533, a podług *Deciusa* (pag. LIX), 26 października, co téż powtarza za nim Górski (*Ac. Tom. I. c.*) i inni.

³⁾ „...uti hereditarium ac naturale dominum suum.”

⁴⁾ *Miechowita, Deciusz, Kojałowicz* i t. d. w cytowanych miejscach.

⁵⁾ *Privilegium Unionis inter Regnum Poloniae et Magnum Ducatum Lithuaniae tempore regis Alexandri factas. Codex Diplomaticus Poloniae.* Ed. Ryszczewski et Muczkowski (Vars. 1847—58) Tom I Nr. 196 et 197; patrz również Danilowicza *Skarbiec Dyplomatów* Nr. 2137 i 2138.

przewodniczyła zawsze jedna głowa, jeden król i jeden pan w miejscu i czasie oznaczonych wspólnie obrany ¹⁾, Dla większej zaś nienaruszalności tego aktu, potwierdzonym był niedługo później (23 października) przez króla Aleksandra w Mielniku ²⁾. Mimo jednak to wszystko, w obecnych okolicznościach, a które powyżej określiliśmy, obiór Zygmunta na Wielkie Księstwo Litewskie, dopełniony wbrew tak ważnych nawet zaręczzeń, koniecznym był, ażeby uniknąć mogących powstać zaburzeń i nieporządków w skutek odwołki ³⁾. Wprawdzie panowie polscy oburzyć się musieli na wieść podobnego zgwałcenia przyjętych zobowiązań, i przypominali je Litwinom w legacyi swój przez Firleja ⁴⁾ w czasie trwania elekcyi; pisząc zaś do samego Zygmunta, prosili, ażeby utrzymywał jedność i braterskość między Polską i Wielkiem Księstwem Litewskiem ⁵⁾, wreszcie pisali jeszcze do Macieja Drzewieckiego, wice-kanclerza koronnego, który wówczas przebywał na Litwie, ażeby wspólnie z Mikołajem Firlejem, którego tam posyłali, usiłowań swych dołożyli, namawiając Litwinów do powstrzymania elekcyi, którą dopięro z niemi razem dopełnić powinni. Zalecali przytém ażeby obaj

¹⁾ „.... ut sit una gens, unus populus, una fraternitas, et communia consilia; eidemque corpori perpetuo unum caput, unus rex, unusque dominus, in loco et tempore assignatis, per presentes et ad electio nam convenientes, votis communibus eligatur....”

²⁾ *Volum. Legum* Tom I, fol. 285— 289.

³⁾ „Non semel Lituani sponponderant — pisze Kojalowicz — atque eam sponsonem, etiam Alexandro auctore, novo foedere instauraverant, non facturos se deinceps, ut absentibus Polonis, legendo M. Duci ordinum comitia celebrent: sed praesentibus periculis extorqueri visum; ne protracta reipublicae orbitate, ambitiosorum civium machinationes, vires somerent.” (*Tom II stronica 317*). Wapowski zaś pisze: „Carpebantur hic magnates Lituani quod regia electione, non expectata, priores ipsi Sigismundum in magnum ducem sublimassent, contra veteris totiens rapetiti foederis, inter Polonos et Lituanos antea sanetissime icti, cum ipsi non alium, nisi quem Poloni prius regem declarassent, in magnum ducem sublimare debuerant, ut haec duo dominia perpetua inter se unione gauderent (*Fragmentum* pag. 533).

⁴⁾ Legatio a Consiliariis Polonis ad Dominos Lithuanos per Firley (*Acta Tomiciana* Tom I Nr. VII). Był to Mikołaj Firlej, syn Piotra z Dąbrowicy i Jadwigi Osmólskiej z Prawednik, późniejszy kasztelan krakowski, i hetman w. kor., a obecnie chorąży krakowski, z tym bowiem tytułem czytamy go w źródłach (patrz niżej).

⁵⁾ „...Tam etiam, quod non postremum est: *Sertas vra* curabit hanc amicitiam et fraternitatem unionemque per maiores *Sertis Vre* magnis causis factam et inscriptionibus firmatam inter regnum et *Mg. tum* Lithuaniae prudentibus suis conatibus retinere et ad integritatem reducere, quod ut *Ser. tas Vra* faciat majorem in modum rogamus (*Consiliarii Regni Poloniae Sigismundo Principi-Acta Tomiciana* Tom I Nr. V).

namawiali samegoż Zygmunta do utrzymania jedności tak pożytecznej dla obu krajów ¹⁾.

Mimo atoli tych uwag przysłanych od panow polskich, Litwini nie powstrzymali bynajmniej elekcji Zygmunta, którą przeciwnie, przeważne względy polityczne przyspieszyć kazały, a gdy po dopełnionym już obiorze, z rozporządzenia samegoż Zygmunta ²⁾ wyprawiono z Grodna postów: Wojciecha biskupa łuckiego, Stanisława Piotrowicza Kiszkę hetmana i Jana Juriewicza Zabrzezińskiego marszałka litewskiego na sejm piotrkowski, do panów rad koronnych „braci i przyjaciół najmilszych” dla wspólnego radzenia o wyborze króla i wszelkich potrzebach Rzeczypospolitej, zapewniając iż uchwały tego sejmu nienaruszenie zachowane będą, polecili tym postom przedstawić powody, które znagliły ich ku przyspieszeniu elekcji Zygmunta w Litwie. Pismo to przechowane w starej kopii ³⁾ podajemy tu w całości, w przekładzie dosłownym z języka ruskiego.

„Jakoż Wasza Miłość racyli na przeszłym sejmie wileńskim ⁴⁾ przez postów swoich, to jest kniazia Łaskiego kanclerza Korony a pana Firleja Chorążego Krakowskiego przypominać Prałatom, Panom, Radzie Wielkiego Księstwa Litewskiego braci Waszych Miłości; o przysięgi które się stały przez posty Ich Miłości na sejmie Piotrzkowskim, aby były trzymane i w całości zachowane; tudzież wasza miłość przez tychże postów ku braci swojej wskazali, żeby elekcji dla obrania przyszłego pana bez Waszych Miłości nie czynili. Panowie Ich Miłość kazali Waszjej Miłości powiedziéć że dobrze pamiętają przysięgi i wypełniać je pragną, będąc téj nadziei iż połączenie tych państw, zachowa obie strony w dobrém i równém braterstwie, ku rozmnożeniu sławy szczęśliwego panowania i pospolitego dobra obu państw. A co się tyczy elekcji i podniesienia na Wielkie Księstwo ku szczęśliwemu panowaniu Naszego Miłościwego Pana, Wielkiego Księcia królewicza Zygmunta, w tych rzeczach Ich Miłość przez listy swoje Waszą Miłość, braci swoich obsękali, dając wiadomość naprzód o pogrzebie zesłego pana, sławnej pamięci niegdy króla i wielkiego księcia Aleksandra, a także wskazując czas śpieszny dla mnogich, szkodliwych onemu pań-

¹⁾ *Acta Tomiciana* Tom I Nr. VI. Matthie Drzewiecki Episcopo Premisliensi, Vice Cancellario Regni.

²⁾ „...de consensu et voluntate speciali Serenissimi Principis et Dominis Domini Sigismundi, Dei gratia Magni Ducis Lithv. Rus. Samog. etc. *Codex Diplomaticus Poloniae* Nr. CXCIX str. 363.

³⁾ Poselstwo z Horodna od Prelatow y Panow Rad Welikoho Kniażstwa Litowskoho wskazanoie czerez kniazia Woytecha Biskupa Łuckoho a pana Stanisława hetmana, a pana Janowicza Zaberezinskoho Marszałka ku Prałatom y Panom Rade Koruny Polskoy na Seym Petrkowski ku Elekcei Korolowskoho Majestata. *Mas.*

⁴⁾ To jest na zjeździe, na którym dokonany został obiór Zygmunta na wielkiego księcia.

stwu przyczyn, i że to podniesienie Wielkiego Księcia jaknajśpieszniej i nagle stać się musiało; jakoż naówczas i postom Waszych Miłości kniaziowi Kanclerzowi i panu Chorążemu objawiono było o zgromadzeniu pogaństwa a szczególnież ludu Moskiewskiego, którzy granicznym zamkom onego państwa wielkie szkody poczynili, i wiele włości posiedli, i przedstawiono, iż gdyby nasz Miłościwy pan nie był wyniesion na Wielkie Księztwo, snaćby granicznych zamków i ziem nie mało od onych nieprzyjaciół oderwanych było, a tak, dla granicznych walk i wewnętrznych ziemskich (nieporządków), obiór Jego Miłości oddalonym być nie mógł. A widząc rzeczywiste przyczyny Wasza Miłość dobrze przyjmiecie rzecz, która dobrze i dla koniecznych przyczyn się stała. Gdy czas był obierania na państwo naszego Miłościwego Pana, aczkolwiek Wasza Miłość nie raczyli na żądanie Panów Rad Wielkiego Księztwa posłów swoich na Elekcyą przysłać, to przecież Ich Miłość chcąc zgodnie i w braterstwie z Waszą Miłością, Prałatami i panami Radą Korony trwać, nie chcieli sami w tę rzecz wstępować, żądali tedy Ich Miłość i prosili tych posłów, którzy naonczas od Waszych Miłości byli, aby raczyli wspólnie z Ich Miłością na téj elekcyi Pana obierać i ku szczęśliwemu na długie lata panowaniu wynieść, jakoż Ich Miłość raczyli być razem tam, gdzie nasz Miłościwy Pan, przez Panów Rad i wszystkie ziemie należące do Wielkiego Księztwa, jednostajną wolą wyniesiony został.

„A gdy Wasza Miłość raczyli naznaczyć czas, aby Panowie Ich Miłość na dzisiejszą elekcyę swoich posłów wyprawili i Ich Miłość z całą ochotą na szczęśliwy obiór przyszłego króla ku Waszój Miłości na tę elekcyą nas tu przysłali, upominając, ażebyśmy raczyli na téj szczęśliwej elekcyi tak radzić, ażeby obrany był Wielki Książę Jego Miłość, żeby jednostajnie i spokojnie tych obu państw sławne panowanie na długie czasy mnożyło się.”

W ten sposób Litwini, okazawszy przyczyny, dla których przyspieszyli elekcyę Zygmunta na Litwie, wbrew zobowiązaniom i tłumacząc się z tego, zalecali sejmującym w Piotrkowie, ażeby także obrali królem Zygmunta. Osobiste zaś swe polecenia, Zygmunt wyrazić kazał panom polskim przez Stanisława Piotrowicza Kiszkę, na co téż wydał mu list wierzytelny ¹⁾. Poseł wielkiego księcia w ten sposób przemówił do sejmujących:

„Najjaśniejszy Pan nasz Zygmunt, z Bożej Miłości Wielki Książę Litewski, przez pierwszych posłów swoich ²⁾, wszystkim Waszym Miłościom przełożyć raczył rzeczywiste i prawdziwe przyczyny, dla których Jego Miłość na obiór swój na Wielkie Księztwo Litewskie tak rychło pośpieszyć musiał.

¹⁾ *Acta Tomiciana* Tom I Appendix str. 21. Tu znajduje się tylko *Credentia pro Stanislao Piotrowicz Oratore Magni Ducis Sigismundi*, samego zaś poselstwa nie ma. Podajemy je powyżej z rękopismu.

²⁾ Pierwszego poselstwa Zygmunta do panów polskich nie posiadamy.

„Teraz Jego Książęca Miłość przysłał nas tutaj, objawiając że już na Wielkie Księstwo Litewskie jest wyniesiony, i że to wyniesienie dla ważnych przyczyn tak rychło a nawet nagle stać się musiało.

„Ale przecież rzecz ta stała się z obawą obrażenia Waszych Miłości wszystkich Korony Rady Polskiej, czegoż Jego Miłość Wielki Książę wspólnie z Panami z pilnością ustrzedz się pragnął, jakoż Jego Miłość ma świadkami tych wszystkich, którzy od Waszych Miłości byli i innych dobrych ludzi polskich będących pod tę porę w Litwie.

„A przeto Jego Miłość oświadcza uprzejmą a czystą przyjaźń swą ku Królestwu temu i ku zachowaniu praw jego, a obioru swojego odwlec nie mógł z przyczyn w poprzednich poselstwach dostatecznie już wykazanych, a tych zwłaszcza, że jeśliby obiór Jego Miłości był odłożony, to obawiaćby się można było, nadgranicznych walk z pogaństwem a także wewnętrznych ziemskich nieporządków, a nawet w następstwie czasów w skutek szkodliwych zamysłów, upadku i zaguby onego państwa.

„I Jego Miłość, zważając na te szkodliwe rzeczy, umyślił stanąć na bezpieczniejszej drodze, i obawiając się aby wewnętrzne niebezpieczeństwa zaguby państwa onego nie sprowadziły, na Wielkie Księstwo Litewskie podnieść się dopuścił i przyzwolił.

„A tak Jego Miłość Książęca Waszych Miłości wszystkich prosi, ażebyście raczyli dobrze a uprzejmie brać i tłumaczyć sobie, co się dobrze stało, o Jego Miłości Wielkiemu Księciu tak uczynić, aby to wyniesienie Jego Miłości żadnej mu przeszkody nie przyniosło w dzisiejszej elekcji, albowiem Jego Pańska Miłość całą swą pilność dołożył raczy u Panów Litewskich aby to tych państw zjednoczenie dobrym obyczajem potwierdzone było. Jego Miłość Książęca Waszych Miłości prosi i siebie osobliwie Waszym Miłościom zaleca, ażebyście tę szczęśliwą elekcję przedsiębrać i przeprowadzić raczyli, jednostajnie, spokojnie i rychło, ku osobie Jego Książęcój Miłości.

Za którą Waszych Miłości powolność a takie dobrodziejstwo, Jego Miłość Wielki Książę za szczególnych swych przyjaciół uważać będzie, wedle rad waszych postępować nie omieszka, i słuchać będzie Waszym Miłościom i Waszój Rzeczypospolitej tej sławnej Koronie z całą gotowością zaleca się i ofiaruje.“

Z pism tych, jak i poprzednich, powyżej wspomnianych widzimy, iż elekcya Zygmunta przeprowadzona w Litwie tak nagle i śpiesznie, bez porozumienia się z Koroną, a naruszająca w ten sposób dawniejsze zobowiązania, wywołać zrazu musiała niezadowolenia wśród sejmujących w Piotrkowie. Niezadowolenie to atoli nie miało bynajmniej podstawy w kwestyi samegoż obioru Zygmunta, gdyż jak to dalej widziedź będziemy, w Piotrkowie równie łatwo jak w Wilnie takowy przeprowadzony został, chodziło tu tylko o zasadę obioru, o pewną formę prawną, określającą stosunek obu narodów w sprawach elekcyjnych a zabezpieczającą najważniejszą okoliczność przeważnie oddziaływać mogącą na łączność i trwałe zjednoczenie obu narodów. Niewątpliwie

tedy w obawie zachwiania owego zjednoczenia, panowie rada polska okazać musieli swe niezadowolenie, co téż widoczném jest z licznych pism panów litewskich, w których tak skrupulatnie się tłumaczyli wykazując powody które ich zagnęły do tego kroku. W obec braku źródeł, który nie pozwala nam schwycić i przedstawić jasno i dokładnie sprawę elekcyi Zygmunta, owe dwa pisma powyżej przytoczone, nie mały światła rzucają. Widzimy tu bowiem jak bardzo troszczyli się Litwini ażeby owa nieformalność, której uniknąć nie mogli przy obiorze Zygmunta dla stokroć ważniejszych i groźniejszych przyczyn, nie naruszyła dobrych stosunków z Koroną, jak uprzejmie i rzec można uczciwie tłumaczył się sam Zygmunt z objęcia wielko książęcej władzy na Litwie, jak troskliwie zapewniał iż wszelkich dołoży starań dla utrzymania jedności, jak wreszcie gorliwie Litwini chcieli utrzymać i utrwalić ową łączność z Polską. W jaki sposób panowie polscy przedstawili braci litewskiej swe niezadowolenie z nieformalności obioru, wyszukać nie mogliśmy; w każdym atoli razie wątpliwości nie ulega, iż niezadowolenie to nie mogło oddziaływać niekorzystnie na elekcyę Zygmunta w Polsce; a choć posłowie litewscy wiozący powyższe poselstwa przybyli pod sam już koniec sejmu elekcyjnego ¹⁾, to jednak bez żadnych nalegań z ich strony powodzenie kandydatury Zygmunta w każdym razie nie wątpliwém było.

Na sejm elekcyjny do Piotrkowa, licznie zjechali się panowie i szlachta, przybył tam także poseł Władysława króla węgierskiego i czeskiego, Oswald Karłacz, który ażeby poprzeć elekcyę Zygmunta ²⁾, przedstawił zrzeczenie się Władysława z wszelkich praw do korony polskiej na rzecz brata Zygmunta księcia głogowskiego i opawskiego. W zrzeczeniu tém, Władysław dawał do zrozumienia, że chociaż jemu jako najstarszemu z Jagiellonów przynależć powinna korona polska, to jednak zlewa te prawa przyrodzone na rzecz Zygmunta ³⁾. To przecież oświadczenie Władysława podstawy legalnej mieć nie mogło, gdyż prawo wolnej elekcyi gwarantowały liczne przywileje; z tego więc względu trudno przypuszczać ażeby stanowczo wpłynąć mogły na obiór Zygmunta. Jakie znaczenie miały przy elekcyi wpływy i rady prywatne posła węgierskiego, żadnych śladów nie mamy; w każdym jednak razie z pewnością twierdzić można, iż wybór Zygmunta zupełnie

¹⁾ *Acta Tomiciana* Tom. I Comment. pag. 14.

²⁾ Jeszcze podczas elekcyi Aleksandra w 1501 roku, Władysław gorąco wstawiał się za obiorcem Zygmunta. *Gołębiowski* (Dzieje Pols. za Jagiell. Tom. III str. 452), przytacza ciekawe w tym względzie ówczesne akta.

³⁾ „*Vladislaus Hungariae, Bohemiaeque rex, Oswaldum Karlacium ad Poloniae Senatam legatum miserat et Sigismundo primogeniti jus cessit*” (*Decius* pag. LX). „*Vladislaus... et filiis Casimiri natu maximus, jus suum Sigismundo fratri ad regnum avitum ac paternum cesserit per Oswaldum Carlacium legatum eo nomine ad comitia regalia missum* (*Vapowski Fragmentum* pag. 533).

był niezależnym od owego zrzeczenia się Władysławowskiego, lecz miał inne a pewniejsze podstawy powodzenia.

Samo już przywiązanie Polski do dynastji Jagiellonów, przytém w razie obioru Zygmunta znaczne korzyści polityczne w skutek ścisłych stosunków z sąsiednimi Węgrami i Czechami, były to pierwsze warunki, mające podnieść kandydaturę Zygmunta. Nadto powszechnie znane były administracyjne jego zdolności, których dał dowód, rządząc Księstwem Głogowskiém i Opawskiém, oraz Szlązkiem z ramienia króla Władysława; charakter tóż jego, stateczność, rozum i sprawiedliwość wszystkich serca jednały ¹⁾. Elekcyja tóż jego nie wątpliwą była, posiadamy nawet ślady, że jadący na sejm Piotrkowski panowie polscy wieźli gotowe już wota dla Zygmunta ²⁾.

Niezależnie tedy od wszelkich wpływów obcych, Zygmunt mógł być pewnym swojego wyboru, ogólne tóż w narodzie miał sympatyje. Przed elekcyą jeszcze, wysyłając poselstwo do Litwy (przez Firleja), panowie polscy zachęcali Litwinów do wspólnego wyboru *pana przyrodzonego*, jak nazywali Zygmunta, a to iżby zachować jedność dwóch narodów, przyciem najpochlebniejsze zdania o nim wyrażali ³⁾. Gdy zaś nadeszła wiadomość o dokonany już wyborze Zygmunta, na Wielkiego Księcia Litewskiego, to mimo chwilowego niezadowolenia w skutek nielegalności tego aktu, pomijając wszystkie inne, wyżej wyrażone przyczyny, chociażby już dla tego, Polacy byłiby obrali Zygmunta, ażeby nie wywołać możebnych w przeciwnym razie rozruchów i nieporządków, nie wzniecić nieporozumień z Litwą i nie dać sposobności do otwartego wystąpienia separatystom litewskim, których głową był Gliński, zamysłający o utworzeniu udzielnego i niezależnego od Polski księstwa rusko-litewskiego. Ścisła jedność i łączność teraz potrzebniejszemi były niż kiedykolwiek, albowiem wszystkie sprawy tak wewnętrzne jak i zewnętrzne, zostawione przez Aleksandra w nader opłakanym stanie, nakazywały przeprowadzić jak najspieszniej elekcyę nowego króla, ażeby wcześniej zabezpieczyć licznym ze wszystkich stron grożącym niebezpieczeństwom. Skarb państwa najzupełniej był wycieńczony, królewszczyzny i wszystkie źródła dochodów rozdane lub zastawione, wojsko oddawna nie płatne, rotys zaciężnych w wielkiej części roz-

¹⁾ Vapowski l. c.

²⁾ Jak świadczy następujące umocowanie: „Nicolaus Kościelecki episcopus Chelmensis excusat se proceribus regni quod ad Conventum electionis venire non potuerit, tum Joanni de Kalinowa Maioris Poloniae Capitaneo, dat facultatem, eligendi suo nomine Sigismundum uti regem Poloniae (*Inventarium omnium privilegiorum* etc. Ed. Rykaczewski pag. 180). Tego rodzaju aktów znajduje się więcej.

³⁾ „...Favent omne bonum dni Consiliarii regni Ser. mo principi duo Sigismundo, tanquam naturali dno. et scientes esse dignum omni imperio propter virtutem suam et magnam in robis gerendis experientiam (*Acta Tomiciana* Tom I N. VII str. 10).“

puszczone: bezład i nieporządek w całym zarządzie. U południowo wschodnich granic, wiarołomny wojewoda wołoski już w czasie bezkrólewia najeżdżał przyległe mu ziemie polskie, a pośrednictwo nawet Władysława do którego udawali się panowie polscy, powstrzymać go nie mogło od ciągłych napaści: tuż obok car Perekopców, który tylekroć razy tak dotkliwie dał się być we znaki ukrainom polskim i świeżo jeszcze przed samym zgonem króla zapędził się był w ziemie litewskie, groził nową wyprawą na Polskę podając rękę Wołochom. Z drugiej strony, od kresów północnych groźniejsze jeszcze żarzyły się niebezpieczeństwa, dużo już włości litewsko-ruskich odpadło było od Litwy, a całe grono przენiewierczych kniaziów podawało rękę zewnętrznemu nieprzyjacielowi. Niebezpieczeństwa te tém groźniejsze były, gdyż w zanadrzu państwa przygotowywał się wybuch Glińskiego, który kończył długi szereg odstępstw rozpoczętych jeszcze za Aleksandra. Ów Gliński, wszechwładny kniaz na Litwie, posiadający ze szczodrobliwości Aleksandra mnóstwo dzierżaw, zamków i włości, łączący osobiste niechęci do ambitnych marzeń potęgi i znaczenia, a umiejący hojnością bez granic lub rozniecaniem zawiści religijnych, narodowych, lub osobistych, liczne wytworzyć sobie stronnictwo, zamyślał teraz sięgnąć chociażby po wielko-książęcą czapkę na Litwie. Te knowania i matactwa jego teraz już podejrzywane były, jakkolwiek jednak nie pewne jeszcze chodziły o nich wieści, nie mniej przeto zatważające były.

Takowy tedy stan kraju, stan wzbudzający rzeczywiste obawy, wymagał przedsięwzięcia niezwłocznie pewnych środków zaradczych; przedewszystkiem zaś widziano gwałtowną potrzebę śpiesznego obioru króla, bezkrólewie bowiem zwiększało wszelkie niebezpieczeństwa, łatwe dając pole do rozlicznych nadużyć i zaburzeń. Pod wrażeniem zaś nadeszłych z Litwy wiadomości o dokonanym już tam obiorze Zygmunta, w Polsce także przyspieszono elekcyę i nie czekając terminu zjazdu Krakowskiego, ani przybycia wszystkich postów ziemskich, dnia 8 grudnia 1506 roku spisano dyplom elekcyjny dla Zygmunta i jednogłośnie go zatwierdzono.

Zaraz też nie tracąc czasu, wysłano poselstwo na Litwę w celu zawiadomienia Zygmunta o jego obiorze na króla polskiego. Poselstwo to składali: Wincenty Przerębski biskup kujawski, Jan Lubraniecki biskup poznański, Maciej Drzewiecki biskup przemyski, wice kanclerz koronny, Andrzej z Szamotuł wojewoda poznański, Jan z Tarnowa wojewoda bełski i Jan Łaski kanclerz koronny ¹⁾. Pierwszą jednak wiadomość o swém wyniesieniu na tron polski, otrzymał Zymunt od jakiegoś Maciejowskiego, przybyłego najpierw z Piotrkowa i rychło potem w dzień Trzech Króli wysłano z Mielnika trzech pisarzy dla zbierania podatku koronacyjnego ²⁾. Wkrótce nadciągnęli posłowie

¹⁾ Decius pag. LX, Wapowski Fragm. pag. 533. Acta Tomici. Tom I pag. 14.

²⁾ Trzy rozdziały z historii skarbowości w Polsce, str. 7.

sejmowi, a witając Zygmunta królem polskim składali życzenia i powinszowania.

Krótki przeciąg czasu od chwili objęcia władzy wielko-książęcej na Litwie aż do wyjazdu swego do Krakowa, zużytkował Zygmunt dla uregulowania niektórych spraw wewnętrznych i zewnętrznych. Najprzód tedy potwierdził wszystkie prawa i przywileje Litwy ¹⁾ a następnie rozpoczął negocjacje z carem perekopskim Mengligirejem i z Wielkim Księciem Moskiewskim; nie dowierzając jednak przyrzeczeniom zgody i przymierza, na zjazdach mielnickim, grodzieńskim i wileńskim przedsiębrano środki w celu wzmocnienia obrony krajowej i zabezpieczenia się od zewnętrznych nieprzyjaciół.

Zaraz po przybyciu poselstwa polskiego, wybrał się Zygmunt do Krakowa, dokąd przybył w dniu 20 stycznia 1507 roku, i tegoż dnia „o godzinie dwudziestj wtórj” odbył wspaniały wjazd na zamek z radością wszystkiego rycerstwa i pospolitego ludu, a we cztery dni później dnia 24 stycznia, koronowanym został na króla polskiego przez Andrzeja Różę arcybiskupa gnieźnieńskiego, w obecności Bernarda Wilczka arcybiskupa lwowskiego, Jana Konarskiego krakowskiego, Macieja Drzewieckiego przemyskiego, Jana Lubiańskiego poznańskiego, Wincentego Przerębskiego kujawskiego, Erazma Witeliusa płockiego, Łukasza z Torunia warmińskiego i Jana Amicinus Laodickiego, sufragana krakowskiego, biskupów. Nadto uroczystości téj asystował poseł Władysława króla węgierskiego i czeskiego Stefan Thelecki, oraz wielu panów i kniaziów litewskich, z których liczne i wspaniałe poczty przywieśli: książę Michał Gliński, Jan Zabrzeziński, Jerzy Radziwiłł, Aleksander Chodkiewicz, Wirszał Mościkowicz i wielu innych. Po skończonej uroczystości, Zygmunt przybrany już w szaty królewskie i w koronie, wyjechał na rynek krakowski otoczony mnóstwem panów i rycerstwa i przyjmował przysięgę na wierność od mieszczan i ludu, tłumnie zebranego ²⁾. I tak rozpoczęło się czterdziesto-dwuletnie panowanie jednego z największych królów polskich.

¹⁾ *Codex Diplomaticus Poloniae* (Rzyszczewski et Muczkowski) Tom I Nr. CXCVIII et Nr. CXCIX a także *Acta Tomici*. Tom I Appendix Nr. 8.

²⁾ *Miechovita*, Deciusz Wapowski Strujkowski, l. c.

Kronika lwowska.

III.

Kiedy hr. Gołuchowski zamknął oczy, każdy odcień opinii publicznej starał się w organie swych przekonań wypowiedzieć krytyczne słowo o zasługach tego męża stanu dla kraju. Naturalnie, że sądy wypadły rozmaicie: obok uznania odezwały się liczne a poważne zarzuty, przeciw charakterowi jego działań publicznych podniesione. W jednym jednakże punkcie ogniskowym zbiegły się te wszystkie opinie: w uznaniu jego potężnej zasługi około podniesienia szkolnictwa w Galicyi. Co mamy dziś dobrego w tym kierunku, to zapoczątkował, tego dokonał niewątpliwie hr. Gołuchowski. Potrzeba było jego żelaznej woli, jego despotycznego usposobienia, jego nareszcie wpływu na czynniki władzy rządowej i autonomicznej, aby w niedługim stosunkowo przeciągu czasu przeobrazić cały ustrój stosunków szkolnych naszej prowincyi, stosunków, które w niewesołym położeniu naszym mają moc roztrzygania najżywotniejszych dla nas pytań.

Przez sto lat rząd austriacki germanizował nas przez urzędy i szkoły. I jakąż ztąd odniósł korzyść? Czy ubezwładnił albo zatarł nasz słowiański pierwiastek? Dzieci nasze uczyły się po niemiecku, od szkółki ludowej aż do uniwersytetu; następnie przechodziły do urzędów, również bez wyjątku niemieckich, a przecież czyśmy istotnie postradali cokolwiek z naszej rdzennej istoty? Kto więc stracił na tym systemie represyi edukacyjnej? Wszakże nie my, którzy po stuletniej germanizacji mówimy, piszemy i myślimy tak samo, jak dawniej, trochę tylko mądrzej i składniej. Poznano wreszcie w kołach, od których decyzya w rzeczach publicznych należy, że takie środki nie wiodą do celu, mnożąc nieprzyjaciół a nie zyskując prozelitów.

Aby jednakże pojąć jasno i stanowczo tę powszechną prawdę, potrzeba było człowieka na odpowiedniem stanowisku w hierarchii społecznej, człowieka budzącego zaufanie, któryby w krótkim, syntetycznym streszczeniu przedstawił kołom decydującym ten jałowy, lichy wynik poronionego systemu. Takim człowiekiem był hr. Gołuchowski, znalazł on nietylko posłuch, ale i uzyskał pełnomocnictwo pozytywne przeistoczenia z gruntu rzeczy. Organizatorem był on nieporównanym: nadał więc krajowemu szkolnictwu organizacyą wzorową.

Dziś jest ono we fazie przejściowej stopniowego rozwijania się według obmyślanych najprzód modeli. Reorganizacya szkół w Galicyi nie dokonała się jeszcze, ale postępuje w pocieszającej i ciągłej progresyi, dając nam tę błogą i pożądaną równowagę pewności, że z roku na rok będzie lepiej, dopóki nie będzie zupełnie dobrze.

Mamy w Galicyi gmin 5891; z tych posiada szkoły własne albo należy do związku szkolnego, to jest wysyła swoją dźiatwę do najbliższej wioski 3911; to znaczy, iż dotąd 1980 gmin w kraju nie zna dobrodziejstwa nauki. Stosunek to przerażający, powie każdy statysta, poznajomiony ze stosunkami szkolnictwa angielskiego, belgijskiego lub amerykańskiego. Zapewne, ale przerażenie to złagodnieje a przynajmniej zabarwi się kolorytem weselszej nadziei na przyszłość, jeżeli stwierdzimy, iż stosunek ten z każdym rokiem traci swój ostry charakter i wyrównywa się z rosnącą rokrocznie energią. Cyfra 1980 gmin nie wcielonych dotąd do związku szkolnego (najwięcej znajdujemy takowych we Wadowickim, Sanockim i Rzeszowskim, najmniej, bo ani jednej w Złoczowskiem, nie wiele w Nowosądeckim, Strzyckim i Tarnopolskim) zniknie do lat 10. W ogóle potrzeba szkół jeszcze dla $\frac{1}{3}$ gmin. Nie lękamy się stosunku, wytworzonego stuletnią, nieopatrnością rządu: pracujemy na tém polu gorliwie; sejm, organa władzy szkolnej i reprezentacye gmin dojrzewających. Coraz częściej zgłaszają się te ostatnie do krajowej rady szkolnej z oświadczeniem gotowości kreowania u siebie szkoły. W r. 1875 liczba szkół ludowych (bo o tych dziś tylko mówię) urosła w Galicyi o 0,39%. Jedna szkoła podobna wypada dziś na 1933 mieszkańców. I teu stosunek z dniem każdym wyrównywa się na korzyść oświaty.

Rada szkolna, objąwszy ster rzeczy, podjęła się przeprowadzenia systematycznej reorganizacyi wychowania elementarnego. W tym celu podzielono kraj na 35 szkolnych okręgów prowincjonalnych, a dwa miejskie: Lwów i Kraków. Na czele okręgu stoi rada i okręgowy inspektor: niższy i ostatni stopień w tej hierarchii stanowi rada szkolna miejscowa czyli gminna i miejscowy nadzorca szkoły. Za pomocą tych organów dokonywa najwyższa władza szkolna dzieła reorganizacyi, to znaczy przetwarzania szkótek istniejących na modłę nowego, przez nią wypracowanego systemu. Dziś pozostało już tylko 441 szkótek do zreorganizowania. Na ogół szkół ludowych w kraju, których cyfra wynosi 2,803, zreorganizowano dotąd 2,362: w liczbie tej znajdujemy zakładów ośmioklassowych 14, pięcioklassowych 4, czteroklassowych 127, trzyklassowych 27, dwuklassowych 132, jednoklassowych na etacie 1190, filialnych 868, razem, jak już wspomniałem 2362. Reorganizacya ta byłaby nawet szybszym pospieszyła, jak dotąd krokiem, gdyby nie brak należycie wykwalifikowanych nauczycieli.

Do niedawna lepiej było być w Galicyi oprawcą psów, aniżeli nauczycielem szkółki ludowej. Trwało to tak długo, dopóki sprawami szkół tutejszych zajmował się rząd wiedeński. Nauczyciele wioskowy za wiele miał, aby umrzeć z głodu (bo na kubek mleka i kromkę postnego chleba starczyło mu zawsze); ale za mało, aby z pensyi, jaką pobierał, żyć. Rzecz przeto naturalna, że mało w której gminie zawód nauczycielski wypełniany był samoistnie i odrębnie: zwyczajnie sługa kościelny, albo jakie wykolejone indywiduum uczy-

ło zasad pierwszej mądrości. Tu i owdzie wreszcie spotkałeś na bakałareacie wiejskim jakiego marzyciela, który dla idei ludowej żywił się korzonkami i uczył dziawę; nie miał on zwyczajnie pedagogiczno-dydaktycznych pojęć, ale miał miłość ludu i ochotę posiania na tej dziewiczej glebie zdrowego ziarna. Naturalnie, że taka pedagogia wolontaryuszów nie miała w rezultacie donioślejszych skutków, niż pedagogia dyaków cerkiewnych. Dla rządu austriackiego, to wystarczało: uniwersalny geniusz niemiecki niósł na Wschód swoją kulturę, oddawszy jej pochodnię w ręce motłochu bez inteligencji albo dobrowolnych, namiętnością dla żebraczego stanu przejętych jednostek, którym rojły się jeszcze po głowie zacne idee Zoryana Chodakowskiego.

Potrzeba zatem było utworzyć najprzód kadry nauczycielskie, oczyścić pole z chwastów i wyrzucić ze szkolnej izby żywioły, które były prawdziwą negacją idei edukacyjnej. Nie łatwa jest to jednak i nie na okres lat kilku obliczona sprawa: wytworzenie stanu nauczycielskiego tam, gdzie go prawie zupełnie dotąd nie było. Dwa nader ważne momenta nasuwały się tutaj, jako niezbędne warunki reformy: potrzeba było podnieść nauczycielstwo ze stanu materyalnej nędzy, i utworzyć dlań szkołę. W obu tych kierunkach dziś już zaradzono złemu. Przeciętna płaca nauczyciela szkoły ludowej wynosi obecnie w Galicyi 282 zkr. 63. Zważywszy taniość życia wiejskiego, kwota to już wcale znaczna. W celu zaś wytworzenia zastępu nauczycieli, posiadających istotną kwalifikację pedagogiczną, otworzono w kraju 9 seminarjów nauczycielskich: 6 męzkich a 3 żeńskie. Naturalnie że w pierwszych latach, zwłaszcza w obec tak nieróżowych do ostatniej chwili widoków materyalnych tego zawodu, frekwencya seminarjów nie jest wielką: w r. 1875 uczęszczało do 6 seminarjów męzkich 297 kandydatów, do 3 żeńskich 279 kandydatek. W obec olbrzymich potrzeb tak mnogiej liczby szkół, nieobdarzonych dotąd opieką nauczyciela, dającego rękojmnię władzy edukacyjnej, cyfra ta znikoma. Na 3085 posad nauczycielskich w szkołach zreorganizowanych posiadamy obecnie dopiero 2040 nauczycieli z wymaganą kwalifikacją; to znaczy, że do dziś jeszcze $\frac{1}{3}$ część posad w szkołach uległych już nawet dziełu reformy edukacyjnej spoczywa w rękach ludzi, nie budzących żadnego zaufania pedagogicznego. Najżywotniejszą przeto dziś kwestją naszego szkolnictwa jest spotęgowanie się frekwencyi w seminarjach nauczycielskich. Wzrost tej frekwencyi wydaje się na razie żywotniejszą nawet potrzebą dla przyszłości szkół naszych od wzrostu frekwencyi w samychże szkołach. Wszakże w r. 1875, jedynie dla braku sił nauczycielskich 397 szkół było nieczynnych. Każdy młodzieniec, poświęcający się dziś zawodowi pedagogicznemu, przynosi dla sprawy publicznej chlubniejszą zasługę, niż nie jeden czyn błyskotliwy, na poklask mnogiej rzeszy obliczony.

Wspomniałem już, że dotacya tego stanu znacznie w ostatnich latach polepszyła się: nauczyciel wiejski doszedł dziś do samoistności

w obec gminy, której był sługą i białym murzynem dawniej. Dziś dopiero poczuł się w mocy istnego wpływu na stan szkoły wiejskiej; niezależny materialnie od gminy, może w imię potrzeb szkoły domagać się od niej funduszków, a w razie odmowy odnosić się do wyższych czynników hierarchii edukacyjnej; dziś może on dopiero w całej sile czuwać nad praktycznym wcieleniem się urzędowo wprowadzonej zasady przymusu szkolnego. W ten to sposób podniesienie dotacyi nauczycielskiej wpływa pośrednio na spotęgowanie się frekwencyi szkół ludowych. W r. 1875 frekwencya zwiększyła się o 35,536 głów dziecięcych, a co jeszcze pomyślniejsze: przyrost ostatniego roku wyrównywa przyrostowi frekwencyi z dwóch lat, razem wziętych. Tak skutecznie i tak doraźnie więc dał się uczuć błogi skutek powiększenia dotacyi nauczycielskiej. Licząc zaś muięj więcej, że co rok składa egzamen z dobrym skutkiem 220—250 kandydatów nauczycielskich obu płci, do lat czterech lub pięciu możemy oczekiwać pożądanego zapełnienia rażących dziś luk w kadrach tego stanu. Szybszemu wyrównaniu się tych stosunków mógłby przyjść w pomoc przy dobrej woli, rząd austriacki, uwalniając nauczycieli od służby wojskowej: myśl ta jest postulatem cywilizacyjnym przyszłości, i nie wątpimy, że tak tutejszy, jak i wszystkie rządy, skłonią się wkrótce do jęj przyjęcia: ile rąk i nóg utraci przez ten ubytek popisowych armia, dziesięćkroć tyle przybędzie państwu oświeconych obywateli. A wszak coraz bliżej jesteśmy czasów, gdzie broń moralna pokonywać będzie wszystkie zapędy broni fizycznej.

Drugą wadliwością dotychczasowego stanu rzeczy jest brak żywoików inteligencyi w gminach a nawet brak ludzi o fachowém uzdolnieniu w całych okręgach szkolnych, ludzi, którzy mogliby złożyć należycie dobrane ciała nadzorcze nad stanem szkół ludowych. Wiemy już, że czuwają nad niemi w najwyższej instancyi rady szkolne miejscowe czyli gminne, w wyższej rady okręgowe. Otóż gmina wiejska nie posiada w swém łonie najczęściej kilku ludzi, którzyby mieli głębsze przeświadczenie o potrzebie nauki. Rady te składają się prawie wyłącznie z włościan nie umiejących czytać i pisać, którzy nie oduczyli się jeszcze narzekać, że szkoła odrywa ich działwę od pożyteczniejszego trudu około wypasania krów lub gęsi. Potrzeba będzie aż nowego pokolenia, które zastąpi dzisiejsze, ażeby ten straszliwy przesąd ciemnoty wygładził się z duszy ludu. Czyliż więc taki włościanin, krzywo na szkołę patrzący, jako na rodzaj moralnego wyderkafu, postawiony na stanowisku nadzorcy szkoły, nie skorzysta z wpływowej swęj pozycyi, ażeby przedewszystkiem uwolnić własne dziecko z pod przymusu, następnie dziecię sąsiada i kuma, aż dopóki swoboda nie obejmie fatalném kołem całej wioski. Gdyby gminy dzisiejsze posiadały w swém łonie choćby drobną garstkę inteligencyi, natenczas możnaby im ze słuszną ufnością powierzyć nadzór szkoły; w dzisiejszym jednak czasie postępowa ta organizacya pospieszyła się trochę i wygląda na przedwczesny anachronizm.

Ztądto stosunek dziatwy uczęszczającej do szkoły w wieku obowiązkowym do dziatwy obowiązkowej, bardzo smutną przedstawia dziś postać. W r. 1875 zapisano do szkoły tylko 23% dzieci obowiązkowych wiekiem do pobierania nauki w szkole publicznej; w ogóle uszczęszczało w roku wymienionym 191,651 dzieci; wprawdzie i tutaj stan rzeczy przechyla się znacząco ku lepszemu, gdyż w roku 1871 cyfra ta była o wiele mniejszą, nie przechodziła bowiem 156,000; niemniej jednak postęp jest powolny a stosunek 23% nazwać można opłakanym.

Rady szkolne okręgowe posiadają naturalnie daleko jaśniejsze zrozumienie istoty i potrzeby nauki, ale niestety! nie posiadają tego świętego zapału do spraw oświaty, który należy do najwspanialszych namiętności ducha ludzkiego. Małomiasteczkowa inteligencja nasza nie wyszła jeszcze poza sferę uczucia połowicznego, chłodnego, nie zdającego sobie należycie sprawy z obszaru i doniosłości zadań, o których mowa. A przytém nie ma ona żadnej rutyny w zakresie, do którego wypełnienia obywatelskim trudem ją powołano. W tento sposób cały prawie ciężar pracy nadzorczój nad szkołami w okręgu, spoczywa na barkach jedynego rutynisty: inspektora okręgowego. W ten sposób rozmija on się z właściwém swém powołaniem: zamiast wizytować szkoły i sięgać tam okiem, gdzie nie dosięgnie krótki wzrok nadzorcy gminnego w siermiędze, inspektor okręgowy przedzierzga się w biuralistę i ślęczy nad fascykułami, których załatwienie w duchu organizacyi przypadłoby członkom rad okręgowych. Jeden pracuje tu za wszystkich, nie może tylko pracować za siebie.

Ten brak należycie uorganizowanej kontroli nad gospodarstwem szkolném, przynosi najdotkliwszą ujmę rozwojowi edukacyi publicznej w kraju. Mamy nadzieję, że stosunki niebawem polepszą się o tyle, że przynajmniej liczba tych inspektorów okręgowych pomnoży się do przepisanej ustawą cyfry 35, podczas gdy obecnie urzęduje ich tylko 20, gdyż z powodu prowizorycznego charakteru tych posad, zdolniejsi pedagogowie nie chcą przyjmować na siebie obowiązków inspektora prowincjonalnego.

Wewnętrzna organizacya szkół weszła również na tory pomyślniejsze. Przenika ją obecnie duch postępowych zasad pedagogicznych; plan naukowy rozszerzono i zastosowano do praktycznych wymagań wiejskiego bytu. Jedną z najdonioślejszych stron reorganizacyi było odmłodzenie ducha przeżytych, starodawniej dydaktyki ludowej i związanie szkoły z życiem. Dawniejszy ustroj był abstrakcyjną, a dla ludu był sfinksem; dzisiejszy plan naukowy zaczyna przemawiać zrozumiałym językiem do rozumu wieśniaczego: zaczyna przekonywać się włościawin, że w szkole uczą rzeczy, które mu w zakresie gospodarstwa rolniczego mogą przynieść praktyczny pożytek. Odkąd mianowicie wprowadzono do szkoły ludowej naukę rolnictwa, sadownictwa, pszczolnictwa i gospodarstwa kobiecego, szkoła ludowa nabiera żywotności zrozumiałej dla kmiotka; pierwój była tylko

pierwszym stopniem do wyższych, gimnazyalnych albo realnych zakładów naukowych: dzisiaj wskazuje cel bytu sobie sama, cel samostny, pełny i odrębny. Kończący szkołę ludową uczeń z chaty wieśniaczej, umie właśnie tyle, ile mu do życia pod strzechą potrzeba: do życia rozwijającego się inteligentnie i moralnie. Język wykładowy w szkołach naszych jest polski lub ruski; nauka niemieckiego rozpoczyna się dopiero w klasie 3-jej; plan naukowy mieści prócz wskazanych powyżej przedmiotów praktycznych: naukę czytania i pisania, religii i moralności, rachunków, historii ojczyściej i geografii świata, stylistyki, jakoteż najelementarniejszych pierwiastków wiedzy przyrodniczej: fizyki, chemii i historii naturalnej. Dziecko z ukończonym szóstym rokiem życia wstępuje w wiek szkolny, i przez lat 6 obowiązany jest do stałego odwiedzania szkoły! Rok zaś 13 i 14 życia, u obu płci, obowiązuje młodzież do uczestniczenia w szkołach niedzielnych, tak zwanych szkołach powtarzania. W r. 1875 uczęszczało do tych ostatnich 26,350 chłopców i 16,675 dziewcząt, czyli razem 43,025, w 1,422 szkołach. Ponieważ zaś w gminach, w których szkoły są czynne, obowiązanych było do uczestniczenia w tej nauce powtarzającej 129,380 dzieci, przeto widzimy, iż procent wynosi 33%; stosunek lepszy, niż w kategorii dzieci pomiędzy rokiem 6 a 12. Dowodziłoby to, że ustrój naszych szkół ludowych nie jest złym, skoro napawa dziatwę zamiłowaniem do nauki, uwidoczniającem w tém zjawisku, iż po wyjściu z wieku obowiązkowego, albo co brzmi jednako: po przyściu do pewnej samowiedzy obowiązków i upodobań, więcej młodzieży garnie się do nauki, niż w wieku, w którym przymus ją do szkoły zapędza. Zjawisko to rokuje nam dobrą przyszłość, byle stosunki, w jakich żyjemy nie pogorszyły się; od takich jednak widoków twarz odwracamy ze wstrętem.

*

*

*

Życie naukowe bardzo niepokaznym sączy się u nas ponikiem. Wprawdzie nie brak naszemu miastu ozdoby kilku imion w nauce polskiej zasłużonych, że tu wymienię tylko: Augusta Bielowskiego, Józefa Supińskiego, Antoniego Małeckiego, Maurycego hr. Dzieduszyckiego, prof. Żmurkę, Kazimierza hr. Stadnickiego, dr. Wojciecha Urbańskiego; są to jednak *rari nantes in gurgite vasto*; kolorytu naukowego nie nadają produkcji umysłowej naszego miasta. Dwie albo trzy książki poważniejsze, jakie przez rok wyjdą we Lwowie, nie świadczą o ruchu umysłowym; wydawnictwa nawet tutejszych stowarzyszeń naukowych nie dorastają do znaczenia i rozległości podobnych wydawnictw w Warszawie, Krakowie a nawet Poznaniu. Tak to wszystko, co się pojawia w tym kierunku na gruncie naszym, nie może, jakimś fatalizmem losu, zetrzeć ze siebie efemerycznego piętna. Żałować wypada, że tak liczne grono nauczycielskie wszechnicy tutejszej, tak małą rozwija czynność naukową poza obrębem sali wykładowej; oprócz prof. Leona Bilińskiego ekonomisty, który wydał

już kilka obszerniejszych monografij, oprócz prof. Zygmunta Węclewskiego, który tłumaczy nieprzerwanie a chlubnie tragików starożytnych, a tém samém uczestniczy w poważniejszym ruchu myśli polskiej, żaden podobno z tych mężów powołanych do uprawiania wiedzy w najrozleglejszém brzmieniu słowa, nie stwierdza swojego charakteru czémś trwalszém, po nad ulotny artykuł umieszczony w czasopiśmie, po nad broszurkę kilku kartkową. Niepodobna uwierzyć naukowej działalności naszego uniwersytetu z pulsującym głośno, dziś albo dawniej życiem innych podobnych instytucyj. Wiemy to dobrze, iż patent ministeryalny na profesora wszechnicy jeszcze nie jest chrztem na męża nauki w narodzie, zawsze jednak wyobrażenia wiąże te pojęcia ze sobą, i jeżeli nie widzi powiązania ich w rzeczywistości, czuje pewną próżnię i niesmak. W zakresie dziennikarstwa naszego jedynym prawdziwie naukowym organem jest „Przewodnik naukowo-literacki,” pismo, co jest rzeczą charakterystyczną, utrzymywane przez rząd. W nim tylko spotykamy się z piórami pierwszej powagi naukowej, w nim nauka polska, o ile na gruncie lwowskim urasta i żyje, ma wyłączny swój zakątek. Drukują się tu prace Antoniego Małeckiego, Józefa Szujskiego, dra Ludwika Kubali, dra Fr. ks. Liskego, dra Wojciecha Kętrzyńskiego, dra Euzebiusza Czerkaskiego, dra Zygmunta Węclewskiego i innych. Zapewne nikt nie upatrzy w tém chluby dla stosunków tutejszych, iż jedynе czasopismo, rzetelnie naukowe, a dodajmy, w charakterze swoim rzetelnie polskie, wydawane jest z funduszków rządowych, co je podnosi po nad poziom interesu i spekulacyi wydawniczej.

Brak nam więc dwóch najsilniejszych objawów umysłowego życia: poważnych książek i poważnych czasopism; przyznajmy jednak dla całości obrazu, że jest pewien kształt wypowiedzania naukowej myśli, we Lwowie bardzo upowszechniony i z nierządkiem powodzeniem uprawiany. Mało które miasto polskie zdoła poszczycić się takim bogactwem prelekcyj publicznych, jak Lwów. I gdyby tylko prelekcye te urządzone były z umiejętniejszym planem, powiedziećby można, że wiedza przelewa się bujnym potokiem w umysły ogółu.

Bieżącej zimy mieliśmy aż trzy osobne cykle takich prelekcyj, a mianowicie: odczyty Towarzystwa pedagogicznego, odczyty Muzeum techniczno-przemysłowego i odczyty profesorów uniwersytetu na rzecz Towarzystw akademickich. Pierwsze z nich przyzwycały nas od lat kilku do wielkiej, poza brzegi przelewającej się profuzyi nektaru umysłowego. Jakkolwiek nie wszystko, co pomieściło się w tym cyklu, miało ten charakter, jakiby odczyty przez Towarzystwa o naukowym zakroju urządzone, nosić powinny, to wszakże sprawiedliwość nakazuje oddać zasłużone uznanie prelekcjom prof. dra Ciesielskiego: „O świecie mikroskopijnym;” dra Juliana Grabowskiego: „O analizie spektralnej;” dra Tadeusza Żulińskiego: „O fizjologii i higienie zmysłów” (był to cały kurs wykładów, systematycznie opracowany); dra Zygmunta Rościszewskiego: „O magnetyzmie zwię-

rzęcym;" prof. Kl. Kanteckiego: „O ojcu Stanisława Augusta;" dra Edmunda Burzyńskiego: „O człowieku przedhistorycznym;" prof. Zygmunta Sawczyńskiego: „O Franklinie ze stanowiska pedagogicznego" i kilka innych. Były to wszystko prace, pojęte szerzej i na większą liczbę prelekcij obliczone; w kronice naukowej miasta naszego z ubiegłej zimy zasługują na wyszczególnienie. O wykładach Muzeum techniczno-przemysłowego napiszę poniżej; w trzeciej zaś seryi słyszeliśmy odczyty prof. dra Eugeniusza Janoty: „O mytach skandynawskich;" prof. dra Tomasza Staneckiego: „O człowieku w obec wody;" prof. dra Józefa Szujskiego: „O charakterze dziejowym Kazimierza Wielkiego;" prof. dra Węglewskiego: „O literatach i odczytach w starożytnym Rzymie" i prof. dra Euzebiusza Czerkawskiego: „O nowoczesnych zasadach budowy społeczeństw."

Gdy przebiegnę okiem ten bujny las imion i przedmiotów, widzę, iż niepodobna mi będzie przejść historycznie choćby najpobieżniejszą oceną tyłu i tak różnorodnych prelekcij. Ale wydaje mi się że trud taki byłby niezbyt pożytecznym. Wypływa to z natury tychże. Nie wszystkie, a właściwie kilka z nich tylko pragnęło mieć charakter samoistny, badawczy, a niepospolicie kompilatorski, popularyzujący znaną wiedzę, a nie stanowiący w zakresie przedmiotu żadnych nowych faktów ani pewników.

Bliższe zastanowienie się też nad takimi, zkądinąd bardzo cennymi prelekcjami nie byłoby na miejscu; dosyć jest stwierdzić, iż były pomyślane w ogóle gruntownie i organicznie, a powiedziane po większej części gładko, przystępnie, z uwzględnieniem podstaw intelektualnych, jakie posiadali w tym lub owym przedmiocie słuchacze.

Dwie tylko prelekcye w całym szeregu wydały mi się nacechowane innym charakterem i odmienną dążnością; dwóch tylko prelegentów postanowiło przedstawić rzeczy własne, z własnych poszukiwań uzyskane i nowemi wynikami wzbogacające niwę prawd naukowych. Mówię o prelekcji prof. Szujskiego: „O Kazimierzu Wielkim" i trzech prelekcjach młodego a pracowitego historyka prof. Kl. Kanteckiego: „O ojcu króla Stanisława Augusta." O tych więc obu szerzej się rozwiędę.

* * *

Postać Kazimierza Wielkiego otoczona sympatją tradycyi historycznej, nie miała u historyków polskich miru. I musiała być wielka siła owęj sympatji tradycyjnych, skoro niechęć i apatya historyków nie zdołały przemódz jęj wpływu, tak, że do dzisiaj popularny przydomek kmieiego króla, żyje w ustach narodu i w popularnych elementarzach historyi. Długosz niechętnym patrzył wzrokiem na plony działalności historycznej Kazimierza, mającego zatargi z głowami duchowieństwa ówczesnego; Adam Naruszewicz nie miał także powodów troskliwiej uwydatniać niezrozumiałyj mu postaci; Szajno-

cha w „Pierwszém odrodzeniu się Polski” widzi Kazimierza dopiero w perspektywie przyszłości, a w „Jadwidze i Jagielle” posyła mu ostatnie pożegnanie historyka, zwróconego z całą namiętnością ku innemu przedmiotowi; dopiero, rzec można, pierwszy Antoni Zygmunt Helcel we wstępie do swęj pomnikowej publikacji prawa polskiego, powiedział o Kazimierzu słów kilka, lapidarnie treściwych, ale przejętych rozzumném uwielbieniem dla pamięci wielkiego, powierchownie lub tendencyjnie osądzonego przez historyografię krajową, monarchy. Dla ludzi, którym, rzucone słowo rozwija w myśli pasmo dalszych roztrząsań, poszukiwań i wniosków, związła charakterystyka pracy dziejowej Kazimierza, podana przez Helcla, wydała się dostateczną do nabycia niezbitego przeświadczenia, o doniosłości i granitowej trwałości zasług, złożonych narodowi przez Kazimierza na podwalinę przyszłego gmachu państwowego Polski, na cement nieskładnych żywiołów organizacyi społecznej tego kraju. Dla ogółtu potrzeba było koniecznie myśli Helcla rozszerzyć, skomentować, uzupełnić, jeżeli nieświadome uczucie sympatyi i czei, jakie dla króla prawodawcy zawsze u nas żywiono, przemienić się miało w trwałe, krytycznym duchem nacechowane uznanie.

Czas upływał, a żaden ze współczesnych historyków polskich nie miał się tego powabnego przedmiotu. Zadanie było takie: na tle badań Helcla w dziedzinie prawodawczej i społecznej pracy Kazimierza nakreślić pełnemi rysami koleje i naturę jego rządów. Podjął się tego Niemiec, Jakób Caro, w IV-ym, r. z. wyszłym tomie: *Geschichte Polens*. Caro odzywa się o synu Łokietkowym z bezwzględną prawie sympatją: podnosi postać jego wysoko po nad wiek XIV w Polsce, po nad barbarzyńskie według niego obyczaje epoki, w której rycerski geniusz narodu wcielił się w pogromcę Zakonu krzyżackiego, Władysława Łokietka. W Kazimierzu widzi Caro monarchę o zakroju nowoczesnym, polityka i kodyfikatora praw; tyle i my o nim zwykle dopatrywaliśmy, ale historyk niemiecki, nieumiejący patrzeć na dzieje przedmiotowo, nie dla tego oddaje pochwały Kazimierzowi, że urządził Polskę: on zachwyca się nim, bo patrzy na Szląsk i Pomorze, które za poprzedników Kazimierzowych tyle krwi kosztowały Niemców, a obecnie w skutek ustępczych traktatów, przechodzą w ręce niemiecko-krzyżackie; bo roi mu się, że Kazimierz popiera w kraju niemiecką kulturę, bo dostrzega w nim niewyraźnych rysów bezwyznaniowości XIX wieku: bo wreszcie u wychowanka włosko-francuzkiej dworszczyzny, która panowała na gładkim dworze Andegawenów węgierskich podoba mu się ta świetna, hazardowna swoboda obyczajów, która Kazimierza, podobnie jak później ostatniego z Jagiellonów pozbawiła męzkiego potomka. Ktoby szukał wizerunków naszego króla w dziele pana Caro, tenby poznał w nim kosmopolitę, libertyna i liberała nowoczesnego: nie jestże to przykrą wywianie prawdy dziejowej do miary doktryn obecnej chwili?

Zamiarem więc było prof. Szujskiego oczyścić tę fizyognomią, tak szczerze polską z kosmopolitycznego pokostu, którym napoiła ją paleta tendencyjnego pisarza niemieckiego. Nie jest to tajemnicą, że Kazimierz Wielki nie poszedł torami ojca, ostatniego rycerza średniowiecznego. Stojąc przy łożu strudzonego wojownika, cóżbo widział dokoła siebie, gdy powiódł okiem po kresach Polski? Z okien zamku krakowskiego dostrzegał granic Polski; opasywały ją żelazną obręczą potęgi, którym siły kraiku kilkudziesięciu latami wojen wycieńczonego sprostać nie mogły: Jan Luksemburski i Zakon Krzyżacki. Można było skutecznie ucierać się z nimi, można było chwilowe nawet odnosić korzyści, ale przy materyalnej nędzy kraju, przy wszelkim braku uspołecznienia, przy niedostatku praw wykreślających granice obowiązków i stanu mieszczańskiego, drogą przemysłu, rękodzieł i handlu mnożącemu dobrobyt ekonomiczny kraju, czy można się było dalej łudzić, że taki byt nieopatrny, byt bez jutra politycznego, wyjdzie na zdrowie krajowi i nie wyczerpie go aż do granic niemocy? Polsce ówczesnej potrzeba było politycznej myśli, i te dał jej Kazimierz. Ale myśl wymagała swych ofiar. Wymagała niekorzystnych traktatów o Szląsk i Pomorze: Kazimierz je zawarł, czując że z dotychczasową tradycją polityczną potrzeba nateraz zerwać, ażeby ją odnowić z tém większymi widokami powodzenia, gdy kraj wzmocni i uporządkuje na wewnątrz. Potrzeba było wielkiej mocy panowania nad własną ambycją, ażeby wyrzec się błasku, jaki wytryska nad głową bohatera dziejowego, na rzecz cichego światła, jakie roznieca daleka potomność na grobowcu człowieka, który pracował dla dobra odległych wieków, choćby z upokorzeniem współczesnego. Bohaterów należy podziwiać, takich pracowników idei historycznej wielbić tém głośniej, im większą była cisza ich ducha. Zrzeczenie się uroku powodzeń leży w siłach ludzi, którzy nie dbają ani o poklask, ani o pogardę; którzy z idealnym cynizmem, płynącym z despotycznej siły przekonania, umieją iść wbrew opinii tłumu, nie wchodzącego w rdzeń rzeczy, narażając się na zarzuty niedołęztwa i zdrady. Kazimierz był jednym z tych myślących postaci, które nie robią wrzawy w dziejach, ale murują gmachy, cementowane mądrością polityczną. Był to istotnie pierwszy nowoczesny monarcha w Polsce, uznający oprócz obozowego animuszu te siły moralne, jakie społeczeństwo czerpie z uregulowanego bytu prawodawczego i ekonomicznego. Sentymentalnym królem kmiotków i opiekunem żydów Kazimierz nie był: nie mamy legend, któreby stwierdzały te sielankowe czułości króla, ale historją należy pojmovać w idei a nie w brzmieniu słowa, które bywa aż nazbyt często symbolem. Jeżeli Kazimierz Wielki był królem kmiotków i żydów, to był nim o tyle, że zrozumiał doniosłość spraw ekonomicznych, związanych tak ściśle z dolą włościństwa, że cenił obrotność i geniusz handlowy plemienia, wzgardzonego przez Europę i cały prawie obrót pieniężny w kraju powierzył jego rękóm. Tutaj szukać należy również przy-

czyn kolonizacyi niemieckiej, do której dawał podniętę. W tém wszystkim nie było ducha kosmopolityzmu i owszem była to najgorętsza miłość kraju, granicząca ze szalem, ale ze szalem rozumu. Taki szal bywa najbezwzględniejszym, ale nie ma już siły w sferze moralnej, któreby mu się oparły.

Powtórzyłem tu osnowę prelekcji prof. Szujskiego, prostując i stwierdzmy to dla słuszności, po raz pierwszy stawiającej w całej pełni wierny i głęboko pojęty wizerunek jednego z największych monarchów Polski. Mało słyszeliśmy prelekcji tak wiele rzucających światła na przedmiot rozważany, takim bogactwem przetrawionej wiedzy i tak wysoką miarą rozumu politycznego nacechowanych. Był to szkic ręką artysty i myśliciela rzucony, przypominający mistrzowskie *essays* Macaulaya. Pan Szujski ilekroć dotknie historii, umić dotykać jej ducha.

Pan Kantecki obrał sobie za przedmiot szeregu trzech prelekcji charakterystykę postaci mało znanj ogółowi, a należącej do najwybitniejszych, prawie typowych, w pierwszej połowie XVIII wieku. Ojciec króla Stanisława Augusta, Stanisław Poniatowski wojewoda mazowiecki i regimentarz w. koronny, a jeszcze piérwój generał szwedzkiego Karola XII, gubernator Leszczyńskiego w Dwóch Mostach i biegły negocyator polityczny, wystawiany przez rossyjskich i tureckich dyplomatów swojego czasu za piérwszorzędną zdolność, u historyków naszych, którzy aż do nie dawnych czasów nie umieli oceniać należycie talentu, jeżeli ten objawił się nie w sztuce marsowej, ale w dyplomatycznych zapasach, zbywany kilkunastu wierszami, wystąpił tu po raz piérwszy w całej z prawdą zgodnej, pełni wyrazu, w całej wydatności rysów, jakie go cechowały politycznie i umysłowo. Pan Kantecki w r. z. odbył podróż naukową do Inflant i Petersburga, jeszcze dawniej do Drezna, i z archiwów tamtejszych wydobyl cały zapas nowych, zupełnie dotąd nieznanych szczegółów o życiu i roli politycznej wojewody mazowieckiego. Szczególnie zaś zaopatrzyły go archiwa książąt Czartoryskich w dokumenta rodzinne, dotychczas ukrywane szczerlnie przed śledztwem historii, jako téż rękopisy księgozbiorów Imienia Ossolińskich, obok archiwów drezdeńskiego, mitawskiego i petersburskiego.

Dziwne, ale dające się wytłumaczyć związane milczenie historyków polskich o 66 latach panowania saskiego w Polsce, przerwał wprawdzie nie dawno Kazimierz Jarochoński w szacowném swém dziele o krótkim tegoż epizodzie; ale daleko jeszcze do należytego wyświecenia tych czasów bez człowieka, bez idei i hasła, czasów pozabawionych wszelkiej myśli politycznej, w których bawił się losami upadającego narodu z jednej strony król Don-Juan, cudzoziemiec uważający Polskę za przedmiot szacherek dynastycznych, z drugiej awanturnik genialny, Karol XII: tu żądza użycia, tam pożar ambicji, zresztą same płaskie dążenia i nizkie namiętności. W takich czasach pojawia się na horyzoncie politycznym człowiek nader proble-

matycznego pochodzenia, według Rulhiera dziecię Sapięhy z nieprawego łoża, według Wielątka i pochlebnych pisarzy, potomek rodziny włoskiej Torelli Monte Chiaro Giulio: obiedwie wersje brzmią nieprawdopodobnie, jedna wydaje się zbyt tendecyjną, druga zbyt fantastyczną; brak dokumentów mogących wyjaśnić genealogiczną niejasność rodu Poniatowskich. To tylko pewna, że tenże jawi się na arenie publicznego życia dopiero z ojcem ostatniego króla, i rzeczonym generałem szwedzkim, Stanisławem Poniatowskim.

Posiadał on wszystkie własności, które dorobkowiczów jakiegokolwiek sfery wysuwają na widok: gdyby charakter generała i wojewody był innym, bardzo należy wątpić, ażali mógłby wzbić się przymiotami samego talentu do wysokości, na której historia zaczyna interesować się człowiekiem. Poniatowski miał bystry rozum polityczny, rzadki dar przenikliwości, połączony z bezbarwnością przekonań, giętką hypokryzją, łatwem akomodowaniem się do wszelkich gustów i prądów, ciągłe migotanie tęczą barw kameleonowych, dawało mu pozycję i afekta wpływowych ludzi, nawet monarchów. Wielokrotnie w ciągu swęj długoletniej kariery zmienia najradykałniej swą wiarę polityczną, a czyni to tak zręcznie, że nikt nie dostrzega przymiotu zmienności, a przynajmniej każdy ją usprawiedliwia; porzucony sprzymierzeniec nie traci dlań sympatyj, nowy nabywca tęj siły potężnej czuje dla nięj szczerzy szacunek. Zarówno kochają go August II, jak Leszczyński; dla przypodobania się Wolteranizmowi pierwszego, bluźni on z religii, dla uskarbienia względów króla Stanisława, słuca kilku mszy dziennie. Szczerego patriotyzmu nie było w duszy Poniatowskiego: była to postać migotliwa, której brakowało gruntu; dlatego pomimo tylu hazardów i zwrotów życia nie działał nic pozytywnego. Obdarzony darem ukrywania wewnętrznych usposobień i uczuć, ma on w sobie coś z natury Wilhelma Orańskiego, tylko nie ma szlachetnego zapału dla sprawy i wulkanu szlachetnej namiętności, który tlił w głębi ponurego i zagadkowego bohatera Niderlandów.

Na tle takich przymiotów rozwija się działalność polityczna Stanisława Poniatowskiego; karierę swą rozpoczyna, jako pułkownik kreowany przez Karola XII w interesie Leszczyńskiego. Pod Poktawą ratuje życie Karolowi, a w roku 1709 udaje się do Stambułu, ażeby na W. Porcie wymódcz wojnę z carem Piotrem W., popierającą plany polskie szwedzkiego awanturnika. Niepospolicie ciekawym ustępem w pracy pana Kanteckiego, był obraz negocyacji dyplomatycznych Poniatowskiego w Stambule, jego rywalizacji z urzędowym posłem Karola, Neugebauerem, jego po mistrzowsku obmyślanych ataków na wojenną apatyę Porty z pomocą Seraju i matki Sułtana, których owocem było strącenie czterech wielkich wezyrów i wojna nad Prutem. Wojna byłaby najzgubniej wypadła dla obszczonego dokoła w swym obozie Piotra W., gdyby nie idiotyczne niedołęztwo i chciwość złota u tureckiego wodza wyprawy, w. wezyra Baltadżiba-

szy (1711). Bezowocna kampania, zakończona pokojem, pomimo wszelkich starań Poniatowskiego, który jeden może w obozie tureckim czuł całą doniosłość możliwego zwycięstwa, straciła wprawdzie z wezyratu Baltadżibaszę, gdy Poniatowski dotarł do sułtana z przedstawieniem zdrady, której tenże dopuścił się nad Prutem; ale nie ponowiła się już więcej, skoro tymczasem Karol XII znaną awanturą w Benderze zamknął sobie wszelkie widoki poparcia sprawy przez Turcyą. Za powrotem Karola XII do Szwecyi, Poniatowski uratowany mu powtórnie na wyspie Rugii życie, obejmuje gubernatorstwo Dwóch Mostów i dzierży je do chwili zamknięcia powiek szwedzkiego protektora; wtedy (1719) wiarołomnie opuszcza Leszczyńskiego i staje nagle w pokutnej skrusze przed Augustem II, szukając w Polsce nową karyerę polityczną, odkąd zamknęła się dawna.

Następuje okres powodzeń i dostojenstw dla Poniatowskiego. Spływają nań dygnitarstwa koronne, odkąd przedziwnym sprytem umiał sobie ująć Augusta II. Wielce ciekawym i po raz pierwszy wyświetlonym jest romantyczny stosunek Poniatowskiego z panią Elżbietą Sieniawską hetmanową w. koronną, matką Denhoffów. Typ to kobiety na modłę wersalską urobioną, którą p. Kantecki po raz pierwszy wyprowadził na historyczną scenę; jedna z owych charakterów kobiecych, które wpływem swego buduaru nadały charakter rządowi Ludwików w XVII i XVIII wieku. W okresie intryg i komerażów, który naśladowca Wersalu, August II zaszczeplił w Polsce, pani Sieniawska grała rolę daleko wybitniejszą, niżli dotychczas przypuszczano, popierając Leszczyńskiego w chwili, gdy mąż jej częściowo sam myślał o koronie, częściowo popierał Sasa. Pan Kantecki posiada do charakterystyki tej kobiety również 40 jej listów do Mazepy: zapewne posłużą mu one do osobnego studium. Najwybitniejszym świadectwem niepospolitej zgręczności Poniatowskiego jest poślubienie Konstancyi Czartoryskiej, córki Kazimierza podskarbiego litewskiego (14 września 1720 r.), a zatem skoligacenie się z możnowładczą familią, która już wówczas poczyniała odgrywać najpotężniejszą rolę w Rzeczypospolitej. I ten nowy okres w życiu politycznym Poniatowskiego, w którym wypadało mu najprzód przełamać dumne niechęci Czartoryskich, braci pani Konstancyi, potem rozpocząć mozolną gonitwę za wielkim hetmaństwem koronnym, wiązać, to rozwiązywać koalicje w przededniu wyboru Augusta III, aż dopóki wbrew zobowiązaniom wobec zmarłego króla nie stanął na Woli stanowczo po stronie Leszczyńskiego, wpuściwszy tymczasem Rossyan do kraju, pomimo iż był regimentarzem w. koronnym, i ten okres, powiadam, co chwila łączący losy Poniatowskiego z losami politycznymi kraju, opracowany przez p. Kanteckiego na podstawie nowych zupełnie źródeł rękopiśmiennych, przedstawił wiele materiału historycznego dla dziejów tej epoki. Wydobyciem na wierzch tej znaczącej, niepospolitej a mało kiedy sympatycznej postaci, oddał p. Kantecki rzetelną przysługę dziejopisarstwu naszemu, którego horyzont rozszerzył się

o jeden typowy portret z pierwszej połowy XVIII wieku. Prelekcyje p. Kanteckiego celowały i pod względem formy, żywem i treściwem przedstawieniem rzeczy, wybitną charakterystyką, jako też gruntownem rozpatrzeniem się w powikłanych i nie wyjaśnionych stosunkach ówczesnych Rzeczypospolitej.

* * *

Przedsięwziąwszy sobie poznać czytelników Bibliot. Warsz. z obecnym stanem ważniejszych zbiorów muzealnych i instytucyj publicznych Lwowa, pragnę dziś pomówić bliżej o tutejszem muzeum przemysłowo-technicznem. Jest to instytucya w tym szeregu najmłodsza, bo zaledwie od trzech lat datująca byt swój. Losy jęj tém żywiej zainteresują wasz ogół, że krzątacie się sami obecnie około utworzenia podobnego muzeum, poznawszy jego doniosłość dla spotęgowania i udoskonalenia produkcji krajowej w sferze przemysłu i rękodzielnictwa.

Muzeum nasze powstało w roku 1873. W miesiącu wrześniu t. r. utworzył się komitet z mieszczan lwowskich, do którego przybrano dwóch mężów, gruntownie poznanym z naturą i ustrojem takiej instytucyi: p. Ludwika Wierzbickiego inspektora kolei żelaznej i Juliana Zacharyewicza profesora akademii technicznej. Ponieważ w Wiedniu otwartą była podówczas wystawa powszechna, przeto zwrócono zaraz uwagę na tę stronę, czując ileby można poczynić tam znakomitych nabytków dla mających utworzyć się zbiorów muzeum, gdyby znalazły się fundusze na zakupno przedmiotów, zanim zamkną wystawę, co już rychło miało nastąpić. Przedewszystkiem wzmocnił się więc komitet miejscowy trzema bawiącymi podówczas w Wiedniu członkami galicyjskiej komisyi wystawowej, ażeby tém silniej związać ich z interesem powstającego muzeum. Byli to hr. Włodzimierz Dzieduszycki, dzisiejszy marszałek Galicyi, dr. Henryk Gintl wysoki urzędnik kolejowy i p. Filip Zalewski radca ministeryalny. We Lwowie zaś potrzeba było co rychlej zebrać drogą składek publicznej fundusze na wydelegowanie do Wiednia pełnomocników komitetu w celu zakupna wzorowych okazów. Dzięki szczeremu zainteresowaniu się ogółu sprawą nowęj instytucyi, do kilku dni zebrały się znaczne fundusze. Oprócz wkładek pomniejszych wymienię tu natychmiastową subwencją wydziału krajowego w kwocie 1000 złr. i wspinały dar obywatela tutejszego p. Franciszka Bałutowskiego w kwocie 6000 złr. Darem tym związał p. Bałutowski na zawsze imię swoje z historią powstania muzeum techniczno-przemysłowego we Lwowie; w ten bowiem tylko sposób można było pomyśleć o natychmiastowem wykonaniu planów. Delegaci komitetu pp. Pietsch i Wierzbicki udali się do Wiednia, ażeby tam z protekcją i pomocą wspomnianych powyżej członków galicyjskiej komisyi wystawowej, porobić zakupna; następnie zaś, skoro rzecz już była w połowie dokonaną, uchwalił komitet założycieli, pragnąc zapewnić trwały byt mło-

dój instytucji, oddać ją na własność gminy miasta Lwowa, pod naczelny zarząd i administracją rady miejskiej, zastrzegając tylko, iżby wszyscy członkowie komitetu, który zajmował się wcieleniem pierwotnej myśli i urządzeniem muzeum, weszli na pierwszy okres trzechletni wyjątkowo w pełnej liczbie do rady nadzorczej. Warunek ten przyjęła rada miejska, wyznaczając zarazem roczną stałą subwencją dla muzeum w kwocie 3000 złr., obok tego zaś jako dodatek nadzwyczajny na koszt pierwszego urzędzenia 1000 złr., dodatek uchwalony następnie w tej samej wysokości w roku 1875 i 1876. Gdy zaś i sejm krajowy wyznaczył w tym samym celu stałą subwencją roczną w kwocie 2000 złr.; przeto można było już teraz otworzyć muzeum do użytku publicznego. Uroczyste otwarcie to odbyło się wśród powszechnego, sympatycznego zajęcia d. 12 czerwca 1874 r.; od owego więc czasu datuje się publiczny żywot instytucji, tak szybko rozkwitłej i z każdą chwilą widocznie się rozwijającej. Z dniem otwarcia zbiory zajmowały już 5 obszernych sal, a w nich 2000 przedmiotów. Prezesem stałego komitetu wybrano w uznaniu zasług p. Fr. Bałutowskiego, wiceprezesem p. Ludwika Wierzbickiego. Dwaj ci mężowie wraz z dostojnym i wytrwałym opiekunem muzeum, hr. Włodzimierzem Dzieduszyckim, dźwigają dziś na swoich barkach cały prawie ciężar obywatelskiej pieczy około dobra i wzrostu instytucji. Szczególnie p. Wierzbicki jest prawdziwie duszą całej rzeczy. Jego niezmiordowanej zabiegliwości, jego gruntownemu znawstwu całej sfery produkcji przemysłowej i rękodzielniczej, tak krajowej jak zagranicznej, jego bezwzględnej skrzętności w poszukiwaniu dla muzeum coraz nowych i coraz cenniejszych nabytków, zawdzięcza ono stan swój obecny, jak na stosunki nasze i niedawny okres bytu swojego, zdumiewająco pomyślny. Wprowadzeniem w życie i wzorowym kierunkiem muzeum uskarbił sobie pan Wierzbicki prawo do szczerzej wdzięczności u społeczeństwa, a mianowicie u tych, którym postęp rękodzieł i przemysłu krajowego aż dotąd w pieluchach zostający, leży na sercu.

Obecnie posiada muzeum kapitał żelazny 14,000 złr., przeznaczony głównie na wybudowanie własnego gmachu w przyszłości, ma zapewniony stały roczny dochód z publicznych subwencji 6000 złr.; wartość zaś przedmiotów muzealnych i urzędzeń wynosi przeszło 18,000 złr.; liczba okazów sztuki i przemysłu doszła do 7000 nie licząc w to wyborowej biblioteki, jako też bogatego zbioru rysunków i fotografii.

W 9 obszernych salach, w parterze i na pierwszym piętrze, należycie oświetlonych i wytwornie urządzonych, zgromadziły się tu okazy wszystkich gałęzi produkcji krajowej, jako też wzorowe, częstokroć prawdziwie świetne wyroby techniczno-artystyczne fabryk zagranicznych. Dział tych ostatnich dzieli się na grupy następujące:

a) *Wyroby szklane*. Podziwiamy tu przedewszystkiem nieocenionej wartości dla fabrykatu krajowego przechody fabrykacyi szkła

i rozlicznych z tegoż wyrobów, od kształtów najpierwotniejszych po wydęciu aż do misternych, delikatnych i stylowo wykończonych przedmiotów. Podziwiamy tu szczególnie wyroby szklane fabryki Lobmayera z Wiednia, szczyt produkcji współczesnej w tym kierunku, jako też sławniej fabryki czeskiej Schreibera; szkła weneckie Salviatego i Luigi Olivieri, szkła z Würbenthalu na Szlązku, angielskie, podobizny staroniemieckie i t. d.

b) *Ceramika*, niezwykle bogato wyposażona. Znajdujemy tu wzorowo dokonane przechody fabryczne we wszystkich fazach produkcji z gliny, fajansu i porcelany, pomiędzy którymi na szczególną zasłużyły uwagę majoliki włoskie, majoliki z niedawno założonej szkoły garncarstwa w Znojmie, dziś już liczące się do wzorowych okazów ceramiki austriackiej, fajanse angielskie i japońskie, tak modna dziś *email cloisonne*, porcelana chińska, starosaska, a nawet co dziś jest prawdziwie białym krukiem w dziedzinie ceramiki, starowiedeńska; przesliczne okazy Wedgwoodów, majoliki duńskie Ipsena w Kopenhadze, indyjskie i marokańskie, charakterystyczne wyroby gliniane tureckie, a wreszcie wazy pompejańskie, urny z katakumb rzymskich, płyty ścienne majolikowe, Minton z Anglii, hiszpańskie, francuzkie i włoskie. Mało widzieliśmy tak szacownych okazów nowej porcelany francuzkiej i angielskiej. Tu także należą piękne wyroby z terrakoty i kamionki, oraz kaffe i piece kafłowe, w rozmaitych gatunkach i formach.

c) *Wyroby metalowe i żelazne* przedstawiają dziś już bogaty zbiór uwidoczniający z całą, wymaganą dokładnością fabrykację żelaza i stali, przechody fabryczne żelaza włóknistego i ziarnistego, przechód wyrobu stali Bessemera, Martina i pudlingowej, rozmaite systemy walcowania żelaza, najnowsze ulepszenia okuć drzwi i okien, modele maszyn, pomiędzy którymi obudza żywy interes wynaleziony przez p. Marischlera ze Lwowa przyrząd do wiązania wagonów kolejowych, mający zapobiedz tak częstym wypadkom, jakie wywołuje dzisiejszy sposób wstępowania maszynisty kolejowego pomiędzy wagony w celu spojenia tychże. Pomysł p. Marischlera jest niezawodnie dobry w zasadzie, ale mojem przynajmniej zdaniem, nazbyt skomplikowany, a przeto zużywający wiele czasu, tego najdroższego kapitału dla służby kolejowej. Tu należą również gustowne naczynia z fabryki słynnej Lautenhammera, odlewy i wyroby cynkowe i brązowe, szczególnie berlińskie.

d) *Okazy z drzewa, sitowia i trzciny*. Tu zwracają przedewszystkiem uwagę wzorowe roboty bednarskie ze Szwajcaryi, a szczególnie ładny i praktyczny przyrząd do dojenia, zlewania i transportu mleka, parkiety z Czech i Austrii, deski resonansowe, koła amerykańskie do wozów w rozmaitych gatunkach, zdumiewające wyroby z sitowia włoskiego, szwajcarskiego, marokańskiego, hiszpańskiego, brazylijskiego i meykańskiego (Panama); roboty stolarskie, prawie wyłącznie już z warsztatów miejscowych Towarzystwa stolarskiego we

Lwowie, jakoteż firm pp. Borkowskiego i Pełczarskiego, wzorowe imitacje hebanu, i t. d. Tu również podnieść należy obfity, bo 200 sztuk liczący zbiór gatunków drzewa japońskiego.

e) *Wyroby artystyczne* w drzewie i słońowej kości, bogaty zbiór papierów i wyrobów papierowych japońskich, malowidła chińskie i japońskie, dywany i makaty perskie i tureckie, rzadkiej piękności wyroby piankowe, modele i monety: w ogóle dział ten sztuki, wiążącej się z przemysłem, jest wcale obfitym i pouczającym; a wreszcie:

f) *Odlewy gipsowe* wzorów architektonistów; kilkaset przedmiotów wykonanych z precyzją, stylem i estetycznym poczuciem.

W salach parterowych pomieszczono już wyłącznie wyroby krajowe, jakkolwiek i w górnych co chwila spotykaliśmy obok zagranicznych, częstokroć nie wiele ustępujące im w pomysle i wykonaniu okazy rękodzielnictwa polskiego. Znajdujemy tu następane działy wybitniejsze.

a) *Ceramiki krajowe*. Dla etnografa śledzącego nawet z naczyń i sprzętów domowych cechy ludu, bardzo pouczającym będzie przyjrzenie się dokładniejsze wyrobom glinianym przemysłu domowego z rozlicznych stron Galicyi. Miejscowości czasem o milę od siebie odległe nadają wyrobom swoim zupełnie odmienne kształty; widzimy tu wyroby z okolic Sokala, Brzostka, Kołaczyc, Wojniłowa, Kołomyi, Sasowa, Wartełki i t. d. Te ostatnie celują przed innymi klasyczną prawie regularnością form. Fajanse z fabryk Lubyczy i Sielcu rokuja wiele na przyszłość, jakkolwiek nie można zetrzeć z duszy upokarzającego wrażenia na widok o wiele doskonalszych wyrobów krajowych z czasów dawniejszych, z fabryk o których dziś już tylko tradycja pozostała. Takie np. okazy porcelany z fabryki Koreckiej Czartoryskich, Tomaszowskiej Lubomirskich, albo Baranowieckiej Tyzenhauzów (zamknięta r. 1792), a niemniej z fabryk również dziś już nie pracujących w Glinisku, Załosciach, Potyliczu, przewyższają bez porównania delikatnością wyrobu, powabem kształtów i czystością materiału produkta dzisiejsze. Przemysł nasz w tym kierunku reprezentują obecnie w Galicyi najchlubniej fabryka w Lubyczy hr. Wł. Dzieduszyckiego, i w Sielcu ks. Adama Sapięhy; celują także wyroby z Baranówki Wołyńskiej ks. Gagaryna i z Trzmielowa w Królestwie Polskiem Cybulskiego. Tu spotykamy także uświęcony sympatyczną tradycją wieków piec gdański, jakoteż nowszy, podobny wyrób przemysłu krajowego w Sokalu, wreszcie piece i terrakoty z fabryki Andrzejowskiego w Krakowie. Dział ten najobficiej zaoopatrzony jest w muzeum; można z obejrzenia go nabyć już pewnego poglądu na ogół produkcji polskiej w dziale ceramiki.

b) *Wyroby hutnicze*. Tu chlubnie wyróżniają się wyroby p. Zygmunta Piwko w Majdanie Górnym, jakoteż huta hr. Dzieduszyckiego w Pieniakach. Rury szklane do wodociągów wyrabia fabryka p. Gniewosza w Mikuliczynie.

c) *Wyroby drewniane, bednarskie i kołodziejskie;*

d) *Wyroby słotkowe i koszykarskie;* obfity wybór produkcji krajowej, pośród której wyróżniają się daleko posunięte i pełne gustu wyroby p. Kellera ze Lwowa.

e) *Okazy produktów górniczych i przeroby tychże.* Jest to niwa jeszcze nader mało uprawna w Galicyi, pomimo olbrzymich bogactw górniczych, jakie w niej spoczywają. Tém większa zasługa tych pionierów zaniedbanej gałęzi przemysłowej, którzy starają się wskazać krajowe ukryte źródła nowych zdobyczy ekonomicznych. Podziwiamy tu jedyny w swoim rodzaju zbiór okazów i przerobów wosku ziemnego, nafty i parafiny, dzieło mozolnej pracy p. Pawła Dobiela z Borysławia, który inny, podobny zbiór wysłał na wystawę powszechną do Filadelfii.

f) *Wyroby szczołkarские,* pomiędzy niemi chlubne i górzące zajmuje miejsce zbiór, nadesłany w darze dla muzeum przez p. Fei-stę z Warszawy.

g) *Tkaniny:* płótna grube, białe i kolorowe, dywaniki i kilimki.

h) *Roboty powroźnicze,* przeważnie rękodzielników lwowskich.

i) *Hafty* ludu wiejskiego i roboty sznuklerskie.

k) *Bogaty* zbiór kosztownych i wspaniałych pasów polskich, roboty słuckiej, Paschalisa i t. d.; rzędy na konia z czasów Rzeczypospolitej, pomiędzy niemi przepyszny rząd złożony z kulbaki, olster, czapraka, uździenicy i napierśnika, tkany srebrem i jedwabiem, emaliowany i wyłożony koralami, wyrób turecki należący niegdyś do „atamana Rewuchy” i t. d. Dział ten ma niezaprzeczoną wartość historyczną, a nierzadko i pamiątkową.

l) *Wyroby garbarskie,* pomiędzy temi pierwsze miejsce dzierżą okazy wzorowej garbarni p. Bitschana w Zamarstynowie pode Lwowem.

m) *Meble,* szczególnież ze wspomnianych już powyżej pracowui stolarskich. Nie brak w tym dziale i przedmiotów starożytnicznych. Szczególnie podniosę tu prześliczny sekretarzyk renesansowy, roboty augsburskiej, pieścidełko niepospolicie misternej i subtelnej roboty.

n) *Galwanoplastyka;* wyroby prawie wyłącznie prof. F. Rosenbuscha ze Lwowa; cechują się one precyzją, wiernością i właściwym charakterem.

W ten sposób rzuciliśmy wzrokiem po całej przestrzeni zasobów, nagromadzonych dziś już w muzeum; naturalnie, iż zbiory jego w żadnym kierunku nie są jeszcze zupełne i nie zdołałyby dać wszechstronnego poglądu na ogół przemysłowo-rękodzielniczej produkcji kraju; w każdym jednakże kierunku dane są podstawy; zarząd muzeum składa się z ludzi, posiadających jasne wyobrażenie o celach instytucyi, jakoteż rzetelne znanstwo przedmiotu. Jeżeli i nadal decydujące warstwy społeczeństwa, a przedewszystkiem władze krajowe i instytucje handlowo-przemysłowe, otaczać będą wzrastające muze-

um tą samą co dotąd pieczę, natenczas braki jego uzupełniać się będą rychło. Dziś już muzeum lwowskie zaliczamy do najpoważniejszych ozdób naszego grodu. Dziwi tylko i niesmakiem przejmując dotychczasowa apatya rządu wiedeńskiego dla téj instytucyi; nie wsparł on jój dotąd żadną subwencyą, pomimo obietnicy danój w r. z. przez dra Stremayera, ministra oświaty, w czasie jego odwiedzin Lwowa. Mielizbyśmy ztąd wnosić, że ministerstwo nie ma jasnego wyobrażenia o doniosłości muzeów przemysłowych dla ekonomicznego rozwoju prowincyj austriackich?

* * *

D. 21 lipca 1872 r. we Franzensbadzie, umarł w pełni sił i wieku, poeta, mniej znany u was, a powszechnie wysoko ceniony Adam Pajgert. Utwory jego nie lśniły przepychem fantastycznego haftu, posiadał on może mniej wyobraźni od innych poetów naszych, ale przelewał natomiast w utwory swoje tyle męzkiego hartu, tyle siły jędrnego i myślącego słowa, tyle podniosłego nastroju ducha, że z czytania ich czerpiemy dziwne pokrzepienie umysłu, dziwną moc charakteru, dziwny interes dla wielkich cywilizacyjnych problemów drugiej połowy XIX wieku. Była to dusza o niepospolicie rozległym horyzoncie myśli: odbrzmiewająca na żelaznych strunach swój lutni wszystkie wielkie idee i wstrząśnienia społeczne obecnej chwili. W historii przejmowały go do głębi epoki i postacie heroiczne, w dziedzinie myśli wszystko, w czém tkwiła moc, postęp, wyraz godności ducha, żywotność. Oprócz klasycznie nastrojonego poematu: „Kadmea“ ze starogreckich dziejów i mnóstwa poezyj mniejszego pokroju, ale podniosłe natchnionych i w sferze najrozleglejszych zagadnień epoki zawsze kołujących, Pajgert był niepoślednim, jednym z pierwszych tłumaczy polskich. Na tém polu mało ma sobie równych. Posiadamy przezeń dokonane, wybornie przekłady „Juliusza Cezara“ i „Henryka V“ Szekspira, „Raju i Peri“ Moora, „Kaina“ i „Wyspy“ Byrona, „Ginewry“ Tennysona i mnóstwa poezyj z angielskiego, włoskiego, francuzkiego i niemieckiego. Zwracam uwagę czytelników „Biblioteki Warszawskiej“ na przygasałą trochę pamięć tego poety, gdyż o ile wiem, przygotowuje się u nas wydanie tych wyborynych tłumaczeń z obcych języków i za kilka dni już zapewne ukaże się na widoku publicznym. Znajdują się tam istotne perły literatury europejskiej. A za wzór piękności tłumaczenia niech posłuży mi pierwszy wyrwany ze zbioru ustęp; np. wstępny fragment z drugiej pieśni: „Wyspy“ Byrona:

Jak mile dźwięczy pieśń Toobanaju,
Gdy słońce tonie w swém łożu z koralów!
Chodźmy do wyspy cienistego gaju
Słuchać turkawki gruchających żalów;
Dziewczęta mówią, że jój skargi rzewne,
Jak z Bolotoo, głosy bogów śpiewne.

Narwiemy kwiatków, gdzie umarły leży,
 Świat najpiękniejszy na grobie rycerzy...
 Siądziem o zmroku i obaczym w lasku
 Drzewo Tooa przy miesiąca blasku;
 Pod drzewem westchnień samotnie usiędziem
 I smutnej skargi smętnie słuchoać będziem;
 Pójdziem na wzgórze, usiędziem na darnie
 I będziem patrzyć na walczące marnie
 Bałwany morza z olbrzymiemi skały,
 Co odtrącają słupy z piany białej.

Grobowe kwiaty będziemy zrywali,
 Będziem, jak nieba mieszkańce weseli,
 Potém w szumiącej zanurzym się fali,
 Potém na darniów wypocniem pościeli;
 Potém na członki wilgocią błyszczące
 Będziem olejki wylewać pachnące,
 I kwiecie z mogił rycerzy, grobowe,
 Spleciem na wianek i włożym na głowę.
 Lecz noc się zbliża i Moa nas woła,
 Słychoać już pieśni i widać już tańce;
 Świecą na łąkach pochodnie, kagańce,
 Przy ogniach płąsa drużyna wesoła:
 I my téż będziem w tym tańcu się kręcić,
 Będziem weselem pamiątkę dni święcić,
 Nim Fii w konchę zatrąbił, gdy w łodzi
 Pierwszy raz fala nam wrogów przyniosła;
 Przez nich, o! biada! kwiat poległ nam młodzi,
 Przez nich nami niwa burzanem porosła,
 I znikła rozkosz, co serce zachwyca:
 Błądzić z kochanką przy świetle księżyca.
 Lecz niech tak będzie—my dzisiaj ich ucznie,
 Dzierżym maczugę, łuk, strzały i włócznie,
 Niech zbiorą plony nauki swój hojne...
 Hej! dzisiaj w płasy a jutro na wojnę!
 Z pełnych puharów dziś do dna wypijmy!
 Jutro już może mogiła nas czeka.
 Dzisiaj lekkimi się szaty okryjmy,
 Niech biały tapa nam biodra powleka;
 Dzisiaj w czerwone przystrójmy się róże...
 Na czołach kwiaty—w sercach wojny burzel!...

*

*

*

Dr. Ksawery Liske przygotowuje do ogłoszenia na widok publiczny dzieła: „Cudzoziemcy w Polsce,“ złożone z pozbieranych poraz pierwszy materiałów podróżniczych cudzoziemskiej ręki o kraju

naszym w kilku ostatnich wiekach Rzeczypospolitej; książka ta o ile ją znamy z fragmentów, będzie bardzo ciekawą i dostarczy wiele nowych faktów historycznych, nowych poglądów na owoczesny ustrój państwa i społeczeństwa polskiego.

Dr. Zygmunt Węclewski zajął się nowém, poprawném wydaniem: „Pamiętników Paska,“ tego klejnotu pamiętnikarstwa polskiego.

P O D O L E.

PRZEZ

Fryderyka Krauzęgo, (Podolanina).

(Dalszy ciąg).

II.

Zamiechów.—Mińkowce.—Marchocki.—Belmont.—Przytulia.—Święta Cere-
ry.—Kuzelowa.—Daszkowce.—Katastrofa.—Wańkowce.—Chodaki.—Harma-
ki.—Zińków, wsie okoliczne.—Ług wielki rzeki Wolku.—Doraźnia.—Łaty-
czów.—Rady szlacheckie.—Dekret komissyi sejmowej 1777 r.—Międzybórz
zamek.—Okolica.—Cukrownie.—Ptaki.—Zwierzęta.—Lasy łatyczowskie.—
Karmaniuk, jego wycieczki rozbójnicze, śmierć.—Puszczyk.—Powiat lityński.
Pilawce.—Kłęska.—Pilawa.—Kapitan Ignatowicz.—Eliaszówka.—Dom wspa-
niały S.—Bukar.—Inkrutowiny.—Sieniawa.—Terespol.—Ulanów.—Biczowa.
Kilka anegdot.—Romanów.—Pałac hrabiego Ilińskiego.—Chmielnik.—Kury-
łówka.—Lityn.—Wypadek.—Nocna walka.

Ku stronie północnej, już w mniej górzystém położeniu jest miasteczko Zamiechów, dawniej własność poety Stanisława Starzyńskiego. Dość handlowe, ma piękny dom, kościół w którym ładny pomnik z marmuru z Włoch sprowadzony przez Starzyńskiego. Obecnie Zamiechów jest własnością Bogusza, jednego z najstarszych ludzi na Podolu. Obok wieś Duże Szczerbowce i sloboda szczerbowiecka, z pięknym ogrodem, założonym przez Stępowską, która po śmierci pierwszego męża poszła za Janczarskiego. W téj okolicy, już wspinającej się kamienistemi górami, jest miasteczko Mińkowce. Było ono długo własnością hrabi Marchockiego, dziś przeszło na własność rządu. Marchocki głośny był ekscentryk. Miał oprócz Mińkowiec kilka wsi. Dobra

swe nazywał państwem mińkowieckim, na granicach postawił słupy z napisem: „Granica państwa Mińkowieckiego od państwa rossyjskiego.” Górę przez którą trzeba było wjeżdżać do miasta, nazwał Belmontem. Na szczycie jęj wystawił wspaniałą kamienną bramę z napisem: *Concordia parve res crescunt*. Na drodze dość długo ciągnącej się było takich kilka bram, z rozmaitemi napisami. Napisy wszystkie po łacinie, na granitowych płytach pięknym i wyraźnym charakterem. Przy wjeździe do miasta stał dom murowany z wielką tablicą na froncie; na niej wielkimi literami napis: Administracya Ekonomiczno-polityczna ziem dziedzicznych. Mieszkał w przyległej wsi Przytulii, śliczna wieś rozsypana po wzgórzach nad głębokim parowem. Na jednym ze wzgórz bielał dom oryginalnie zbudowany, obsadzony wielkimi drzewami, winogradem z werendą. Mieszkanie to zwał salonami. Od mieszkania ciągnął się głęboki jar wiorst parę, przez który płynie rzeka Urzycia. Obie strony rzeki miały wysokie wzgórza pięknym poroście lasem.

Przy rzece leżała szeroka płaszczyna, ową płaszczynę i obie góry nad uszyckie, w całej ich długości zrobił ogrodem na wielką skalę. Powznosił piękne pawilony, przerzucił mosty przez wodę, z gór w kilku miejscach spuścił strumienie, które śliczną srebrną wstęgą, z szumem spadały. Na wybranym szerszym placu postawił kaplicę okazałej architektury, nazwał ją Mauzoleum rodziny Marchockich. Były w niej marmurowe sarkofagi, dobrego dłuta. Każdy z członków rodziny tu złożony, miał napisane swe nazwisko złotymi literami, przy którym wymienione wszystkie wsie jakie posiadał. Niedaleko kaplicy, wielka spróchniała w połowie lipa, bielała odarta z kory, miała na sobie tablicę z napisem: „Byłam piękną i młodą.” Nieraz miałem zrzeczność widzieć Marchockiego. Był to człowiek przeszło lat sześćdziesięciu. Nosił długą białą brodę; ubierał się w togę najczęściej z zielonego aksamitu, lamowaną wokół złotym galonem. Co roku przy zaczęciu żniwa obchodził święto Cerery. Cały lud z dóbr swoich sprowadzał wówczas do Mińkowiec, mężczyźni, kobiety i dzieci świątecznie ubrani stawić się musieli. Spraszał z okolicy sąsiadów, księży, na polu w różnych miejscach powystawiał ołtarze, i cała ta gromada z chorągwiami i muzyką ciągnęła na wybrany łąn. Tam miał on rodzaj mównicy na wyniosłym miejscu; wchodził na nią i czytał przemowę do ludu. Pisał logicznie, rady ludowi, zachęty do pracy, trzeźwości i braterstwa, były stosowne i dobrze obmyślane. Niepotrzebnie tylko córkę swą, ubraną jak Ceres, woził przed orszakiem na tryumfalnym wozie. Księża odprawiali msze na polu. Po mszy, sam złożonym sierpem zaczynał żniwo. Lud cały go naśladował. Żniwo ceremonialne niedługo trwało. Wszyscy, lud i goście zaproszeni zostali na ucztę. W salonach były stoły dla sąsiadów, między którymi starsi z ludu zasiadali; cała zaś gromada kilku tysięczna miała stoły w ogrodach. Uczta była zawsze obfita; gospodarz i wszyscy goście pili zdrowie ludu, lud się wywzajemniał. Po uczcie, muzyki grały, w salonach i na łąkach tańce i biesiady do późnej nocy.

Na wiosnę gdy zaczynała się orka, on także sam ją zaczynał. pługiem w sześć wołów siwych ze złożonemi rogami pierwsze bródzy sam krajał. Był dobrym panem, lud go kochał i dotąd dobrze wspomina, sam miałem zręczność rozmawiać z włościanami, gdym raz przez Przetulie jechał. Opowiadali, że znał stan każdego wieśniaka. Ubożych nie było, jeśli który podupadł, on wnet z pomocą przybiegał. Szkółki pozakładał, każdy wieśniak prawie umiał czytać. W Mińkowcach miał drukarnią, widziałem książki tam wydane. Wiele lat przeżył w ten sposób, aż jedną razą odbiera list od biskupa, że święto Cery, które obchodzi jest pogańskie, życzy mu więc by tego zaniechał i on biskup zakazał księżom uczestniczyć w tych fantazyach. Rozgniewany, ostro odpisał biskupowi. Biskup prosił władzy by tych obrzędów zabroniła. Wówczas Marchocki długim i wymownem pismem, do wszystkich władz rozestaniem tłumaczył się ze swego postępowania. Obchody mińkowieckie uważał jako zachętę rolnictwa, i uczczenie pracy, dowodził, że są pożyteczne. Zapraszał by obejrzano jego wieś, dla przekonania się jaki jest stan moralny i materyalny włościan. Pisma te krążyły w swoim czasie, korespondencye z biskupem i władzą sam czytałem. Jednak gdy zabroniono dalszych obchodów, starzec uniósł się i napisał list obraźliwy do władzy: został uwięziony. Jakie pół roku nie mógł dać sobie rady, aż dowiedziawszy się że miał przez miasto gdzie się znajdował przejeżdżać panujący, potrafił wymknąć się z więzienia i padł na ziemię przed końmi zbliżającego się powozu. Konie wstrzymano, widok starca z długą białą brodą, jego bladeść, wyciągnięte ręce, wzruszyły cesarza. Po krótkiej z nim rozmowie, dowiedziawszy się o co szło, kazał go uwolnić. Jeszcze lat kilka żył, mieszkał zawsze w salonach w ulubionj Przytulii; nie pamiętam czy znowu obchodził swe uroczystości, ucichło o tém, przynajmniej musiał je skromniej odbywać. Zostawił syna Karola i córkę za Małachowskim.

Mińkowce dziś są własnością skarbową, mają nie mały handel anyżem i pszenicą. Bramy na górach opustoszały; wieś, jak Otroków i inne przeszły na własność Stadnickiego. Z Minkowiec przejeżdża się przez piękną wieś Kapuściany, jeśli chcąc jechać równiejszą drogą, albo przez Kuzelowę nad Uszycą. Tu z góry prawie wiorsty ciągnącej się, zjeżdża się w śliczny jar, po którego stromych brzegach rozsypana wieś. I na drugą stronę trzeba się równie piąć pod długą górę, rzeka przebywa się wpływ, ma obfitować w pstrągi. Trud przejazdu nagradza się widokiem. Na kamiennym cyflu wysoko podniesionym, jest drewniana cerkiew, z pod której stóp, o kilkaset łokci spada szyba wody. Wierczeniem gdy w domkach poprzyczepianych do skał zapala światła, jar cały zda się iluminowany. Z Kuzelowj przez Karabczyjowce piękną wieś nad strumieniem, obracającym długi ciąg młynów, jedzie się do Howor wsi z wielkim pałacem hr. Stadnickiego; tu już więcej lasu. Rodzina Stadnickich, właścicielka znacznych dóbr na Podolu, do niedawna była reprezentowana przez dwóch braci: Piotra i Ksawerego. Majątki trzymały się téj rodziny; uczciwości nieposzlakowanej, ale obu

dotknęła klęska utraty wzroku. Długi czas żyli nie widząc świata, od kilku lat majątki po ich śmierci, przeszły do synów. Z Howór, niedaleko leży wielka wieś Daszkowce, własność Czarneckich; dziś ją posiada Mysłowski, znakomity gospodarz i amator koni. Konie jego słyną; dom i ogród należą do najpiękniejszych w okolicy. Gorzelnia kartoflowa na wielką skalę. Przed niewielu laty zdarzył się tu następny wypadek: Zaklika młody i ukształcony człowiek starał się o rękę córki gospodarza: został przyjęty. Wszystko wróżyło najszcześniejszy związek; w dniu zaręczyn, po odbytej ceremonii, że dzień był gorący, Zaklika z krewnym domu poszli się kąpać do sadzawki. Tafla wody nie była wielka, ale głęboka; Zaklika przepływając na drugi brzeg, dostał znać kurczu od chłodu, bo nagle zniknął z oczu towarzysza. Towarzysz chcąc go pewnie uratować, pobiegł po ludzi; wrócił, Zaklikę dobyli, ale już bez życia. Wszelkie starania były daremne i wesoły dzień zaręczyn zakończył się całunem.

Niedaleko Daszkowiec jest miasteczko Wońkowce nad Kalusem dawniej własność Czerkasa, wielkiego myśliwego i mającego piękne konie i bogate rzędy wschodnie; dziś przeszła na własność Kosielskich. Tu już zaczyna się powiat Latyczewski. Wieś Chodaki, własność Karola Starorypińskiego. Pięknie położona, rozległe łąny dają obfite plony, dalej Harmaki z ogrodem założonym przez Miklera nad wielkim stawem, który tworzy rzeka Rów, należą do Witosławskich. Okolica leśna, wzgórkowata, gleba gliniasta, przy dobrej uprawie plenna. Miasteczko Zińków kilka tysięcy ludności, z rozwalinami zamku i domem w którym mieszkał ks. Wirtemberski urodzony z Czartoryskiej; pamiętny jest bitwą w której udział brała ks. Eudoksia Anna Czartoryska z domu Burkułabówna. Blisko Zinkowa jest piękna wieś Pokutyńce, Grocholskiego, z hamernią i pięknym lasem. Jadąc ku Latyczewu, przebywa się wśród wielkich dębowych lasów wieś Bebechy, Sobańskich, na lewo okolica mniej leśna, z czarną ziemią, Manikowce z Korólowką, L. Kosielskiego; Michałpol miasteczko nad Wołczkiem, Michałkowce, Jankowce, Monastyrzek, Swinna, Szumowce, Knyszkowce: grunta ich pierwszego gatunku, a szczególnie trzech ostatnich. Obfite urodzaje rzadko chybają, a że o kilka wiorst mają teraz kolęj żelazną, zbyt łatwy plonów, podniósł ich wartość. Wyżej Szumowiec, poczyna się wielki ług rzeki Wołku, idzie szeroką mokrą równiną, ku miasteczku Deraźni. Wiele wsi wznosi się po obu brzegach: Jankowce, Kołybanie, Korzowce, Litki, Popławy, nieodlegle nad Wołczkiem Jaśkowce, Nowsiółka pięknie przedstawiają się oku. Za Litkami zaczyna się nad Wołku wielki staw Derażeński, mający pod sobą tysiąc morgów ziemi. Deraźnia ma dworzec drogi żelaznej, która jadąc brzegiem Wołku przecina go pod Bohdanowcami, dom wielki po Teperze, znanym bankierze warszawskim, co dawniej Deraźnie posiadał. Dom dzisiejszych właścicieli Raciborowskich, był jego kantorem. Cały dół jego sklepiony, był składem; ma w ogrodzie dwa rzędy pięknych lip, pod których nawisem konarami słiczne aleje. Jest tu cukrownia w przyległej wsi

Hatnej. Miasteczko co dwa tygodnie ma jarmark. Wóły tu lepiej kupować. Miasteczko Derażnia miłych dla mnie wspomnień, bo w niem mieszkał Stanisław Raciborowski, zmarły na wiosnę 1873 roku. Był to człowiek miły, ukształcony, brał nauki w Lenewie, należał do kwiatu towarzystwa. Wesołego humoru, zdrowego na rzeczy poglądu, miał coś takiego że go wszyscy kochali i szanowali. Przez 30 lat sąsiadowaliśmy.

Z Derażni ku południo-wschodowi, okolica leśna; wsie Kolna, Karyczynie, Szlakowe, Pilipowskie, i Dąbskie, Zharek z cukrownią, nad rzeką Zhurem i z majdanami w lasach, po nad Wołk zaś idą wsie, Niżne, Czereszówka, Śnitowka, Rudnia i na odkrytym błoniu przy rzece miasto powiatowe Latyczew. Stary to gród, niegdyś stolica szerokich ziem. Dziś ma ze 4000 ludności, przed zbudowaniem drogi żelaznej zaczął się podnosić, ma dotąd sklepy sukienne i bławatne, restauracye, cukiernie, traktyernie, modniarki, ale że został za obrębem kolei, bo o półtrzeci mili najbliższy dworzec, handel zaczął się zmniejszać. Ma jednak wygodne zajazdy i podtrzymuje go kościół, do którego wielka liczba pobożnych przyjeżdża każdego święta i odpustu. Odpusty tu bywają na każde święto Matki Boskiej. Szczególnie na Jagodne, jak tu nazywają, kilkanaście tysięcy osób się zgromadza. Kościół przerobiony z dawnego zamku. Widać dotąd w dziedzińcu dawną wieżę i strzelnicę. W tym zamku mieszkał Rewera Potocki. Onto gmach cały zamku oddał na klasztor. Kościół, w rodzaju gotyckim zbudował. Dawniej zajmowali go Ks. Dominikanie, ale po 1831 r. oddany duchowieństwu świeckiemu. Jest tu dawny dom starostów i wieża przy nim, w której po dekreтах zamykano szlachtę *in fundo*. Nadwalona trzyma się jeszcze. Jest tu stare archiwum, bo Latyczew dawniej miał pod swą jurysdykcyą przestrzeń trzech dzisiejszych powiatów: powiat Lityński, Staro-Konstantynowski i dzisiejszy Latyczewski, składały jeden. Z prawej strony miasta są wielkie lasy, brzożowe, dębowe, i z innych drzew zwanych tu „czarnym lasem;” okoliczne wsie: Wojtowce, Bieleckie, Susłowce, Kopytynce, Popowce i i. składały kiedyś dobra starostwa Latyczewskiego, później darowane hr. Markowowi, który był postęmem przy Napoleonie I-szym: dziś je posiadają spadkobiercy Markowa. W Latyczewskim powiecie jest wiele wsi i osad szlacheckich, nadanych różnym rodom, z warunkiem służby wojskowej. Wsie dziś rozrodzonych pokoleń zamieszkiwa masa drobnych właścicieli. Wsie owe nazywają się: Wołkowinca, Hałuzinca, Radziejowce, Hryszki, Wasintynca; trzy ostatnie weszły do Lityńskiego powiatu: Popowce, Jołtuchy, Petranie i t. d.. Były to osady nadawane za zasługi w obrońce kraju, są na nie przywileje królów i konstytucye. Dzisiejsi posiadacze dziedzice nazywają się od nazwisk osad, którym może sami te nazwiska nadali. Dla wyświecenia stosunku tych osad do kraju przytoczę tu dekret komissy sejmowej, odbytej w Latyczewie 1777 roku. On pokaże jakie to rody zamieszkiwały Podole: „Działo się 1777 r. d. 18 grudnia w konwencie Latyczewskim. Komisarzami mianowani:

Józef Stępkowski, Kijowski, Grocholski, Braclawski kasztelanowie, Kazimierz Lipiński, Latyczewski, Bogdan, Ostrowski, Braclawski, podkomorzowie, Sebestyan Gawroński chorąży podolski, Bukar sędzia zytomierski, Pius Borejko, Podolski, Swiejkoski, Owrucki, stolnikowie, Dębowski podczaszy czerwonogrodzki, Giżycki podstoli owrucki, Jan Darowski cześnik i sędzia grodzki, Latyczowski, Tomasz Dorożyński pisarz grodzki Latyczowki, Ignacy Ihnatowski skarbnik podolski, Michał Drużbacki komornik ziemski Latyczowski i Fabian Kumanowski. Kommissya zasiadła 18 grudnia i odkryła jurydykcyę w przytomności Onufrego Bierzyńskiego kasztelana zytomierskiego, księcia Ponińskiego starosty braclawskiego, Tadeusza Kozłowskiego generał majora wojsk Kor., Antoniego Wiczwińskiego podsędka kijowskiego, Ignacego Konaszewskiego, wojskiego Grabowskiego, Joachima Kruzera generała adjutanta JKMości, Macieja Hanickiego podstoiego kruszwickiego, Rakoszewskiego i innych. Sprawa była między urodzonym Jerzym Marcinem księciem Lubomirskim a obywatelami województwa podolskiego, dobra Barskie pod tytułem wsi Bojarskich prawem ziemskiem posiadającymi. Po wykonaniu przysięgi przez Świejkowskiego i Giżyckiego komisarzy, strony do pisania komparycyi wezwane; więc urodzony Marcin książę Lubomirski przez umocowanego, Adam Łozdia Poniński podskarbi W. Kor. terażniejszy dziedzic dóbr Barskich, oczywiście, August ojciec i Adam syn księżęta Czartoryscy, Józef Sosnowski hetman polny litewski, księżna Czetwertyńska, Dzieduszycki starosta bachtyński, Stanisław Potocki generałowicz artyleryi, Diakowicz dziedzice Antoni, Ignacy, Marcin, Fabian Pogórscy, Kosarzyniec i przemoszczańscy dziedzice; Biskupscy Baceń dziedzice, Skoropisowie, Hawryszenkowie, Jełtuchowcy Jełtuch dziedzice, Aleksander książę Sapieha kanclerz litewski, urodzony Juchnowicze Hudyrcze, Pańkowicze, Demkowicze Wodkowinsky, Kasyszkwowsy Jankowcy ze Stepanek dziedzice, urodzeni, Petrenkowie, Daszczenkowie, Kostenkowie, Negryły, Pedasze, Miłasze Jaremenkowie i inni Radziejowscy, Radziejowiec i Hryszek dziedzice, Teodor Kostenko Radziejowski Hryszek i części Radziejowiec dziedzic, oczywiście, urodzony Lechny Szachy, Hironenki Wasiutyńscy urodzeni Stecki, Mordaty, Torakany, Senki, Sukały, Alatyscy, Popowscy; Aleksander Wengleński z części dóbr Popowiec Omelanowa zwanej przez kondrata Necewicza; Nikołajenkowie i Holaki Hałuzinsky; Bukar Barszczów i Okładnego dziedzic; Holczyńscy z Holczyniec, Korostowscy z Korostowiec, Serbinowscy z Serbinowiec, Petranowscy z Petrań i inni. Rozsądzając kategorye o wieś Radziejowce, zapatrzywszy się na dokumenta, a mianowicie: roku 1440 w Krakowie króla Władysława urodzonego Fiol de Konario, zapis na sto grzywien monety polskiej, na wsi Wnuczkowcach, koło lasu Zharu leżącój, temuż w posiadanie danój do czasu wypłaty summy, który zapis król Aleksander r. 1505, potem król Zygmunt August 1552 na prośby braci: Ostafia, Kalimana, Hermaka Radziejowskich, dopisaniem im dożywocia zatwierdzili. Metryka koronna. Drugi dokument: 1448 przez Kazimie-

rza króla na sto grzywien, na pustyniach dwóch, jednej Łomaza, na rzece Ladawa; drugi: Testowina pasieka urodzeni Supranowi, Hawryłowi Kaleszkowiczów, Bahrynowi, Niesłuchowi. a to dla czynienia służb osobistych, i wstawienia się przeciw nieprzyjaciela, z którym zapisem Marcin, Iwaszko i Marek Radziejowscy podczas rewizji na gruncie r. 1564 popisywali się, z akt metryki koronnej 1599, przywileje dwa, na spustoszałe wsie Radziejowce i Knuczkowce w starost. barskiem Zygmunta III. Roku 1659 króla Jana Kazimierza przywilej na starostwo barskie Wyhowskiemu. 1662. Od króla Jana Kazimierza list do Wyhowskiego hetmana, wojewody kijowskiego, aby urodzonych Radziejowskich żołnierzy, dobra swe dziedziczne mających, wedle praw ich zachował, do powinności niepociągał. Roku 1557 na sejmie, między urodzonymi Ostafiem, Kalimanem, Rudałem, Harasymem Radziejowskimi a Marcinem Herburtym z Felsztyna starostą barskim, o gwałtowne rzeczy ruchomych i nieruchomych zabranie, dekret; zapatrzwszy się na prawo o zamknięciu egzekucji na Rusi, Podolu i Podlasiu i zabezpieczenie dóbr tymże obywatelom, dla ustawicznych w tych krajach wojen i najeżdów, każdego przy swém dzierżeniu zapewniające, uznaje wsie Radziejowce i Hryszki niepodpadającemi pod daniny Wyhowskiego, starostwa barskiego, a teraz nowych właścicieli Baru, a naprzeciw urodzonych Radziejowskich, dziedzicami dóbr owych utwierdza—Bohdan Ostrowski, Pius Borejko, Antoni Dębowski, Tomasz Dorożyński, Fabian Kumanowski, M. Drużbacki—komisarze sejmowi.”

Wsie wyżej wspomniane dotąd zostają wposiadaniu tych samych rodzin. Oświata ich nie stoi na wysokim stopniu, niektórzy jednak kształcili się w wyższych zakładach naukowych, zajmują urzędy i dorobili się majątków. Wielu, innych nazwisk pozeńszy się z córkami dawnych mieszkańców, osiedli w śród nich. Ziemia podzieliła się na drobne części, i można już często przy starożytnych nazwiskach, spotkać właścicieli zupełnie nowych. Typ jednak staro szlachecki, dawne obyczaje, język, trzyma się tych osad. Ponieważ wielkie lasy należały do tych wsi, wiele rodzin wyniosło się z głównych wsi do lasów, podobowali dworki a każdy prawie z gankiem o dwóch słupach i ławami; przy dworkach mają sady, stawy i często pola w około. Potworzyły się rodzaje ferm, na małą skalę, niektóre wcale nieźle wyglądają. W niektórych osadach mają kościoły. Mało różniac się oświatą od włościan, różnią się strojem. Starzy noszą w lecie płócienne białe kitle, rogatywki, w chłody gunie sukienne, bez kapturów jak chłopci mają, lecz z wykładanym kołnierzem; w święta starzy i młodzi ubierają się w czarne surduty, długie do kostek. Kobiety noszą suknie perkalowe, wełniane, krojem zbliżonym do modnego, na głowach chustki kolorowe. Trudnią się powszechnie rolnictwem, lecz że w drobnych podziałkach trudno porządnie go prowadzić, nie wielu jest zamożniejszych. Szkody sobie robią nawzajem w zbożach. Mieszkania w osadach skupionych, powiększej części źle się przedstawiają, żydzi najmujący handel wódką wcisnęli się do osad, poszpecili je mnóstwem karczem,

i główną są przyczyną zubożenia. Droga żelazna przechodząca przez niektóre z tych wsi, podnosić zaczyna być. Stoją już szlacheckie furmanki u dworców, i domy nawet zaczynają się ku nim przybliżać. Ludności ogólnej, téj starój kolonii, dobrze w przeszłości pomyślanej, (dla gotowej obrony kraju wystawionego na częste napady), obliczyć trudno; jednak jak mi pokazywał inżynier-statystyk przysłany od władzy, szlachty i jednodworców (jednodworcami zowią tych co się nie mogli wylegitymować), jest około stu pięćdziesięciu tysięcy na Podolu. Wielka część jednodworców mieszka na czynszu w majątkach prywatnych i skrbowych.

Z Latyczowa piętnaście wiorst jedzie się aleją leśną z pięknych drzew dębowych utworzoną do Międzyborza. Międzyborz przy wpadzie Bożka do Bohu w XII wieku już był warownią. Koriatowicz ją podniósł na nowo. Kazimierz Wielki nadał go Lubartowi 1366. Później dostał się Sieniawskim. Mikołaj Sieniawski obleżony tu od Tatarów, obronił się. Stefan Czarniecki w 1657 ścigając Rakoczego połączył się pod Międzybożem ze Stanisławem Rewerą Potockim, Jerzym Lubomirskim i Pawłem Sapiehą. Nieprzyjacieli trzy razy liczniejszy, błagał o zawieszenie broni. Czarniecki chciał uderzyć i pomścić najazdu, przemogły różne okoliczności, a szczególnie wstawienia się królowej Maryi Ludwiki, która chciała wydać swą siostrzenicę za syna Rakoczego. W 1672 po Buczackim pokoju, Turcy zajęli Międzyborz, powiększyli zamek. Antoni Esterhazy mieszkał tu z żoną Anną z domu Nigrelli. Wystawili tu dwie kolumny, umieścili na nich swe herby i modlitwy, było to po wygnaniu z Węgier. Później Międzyborz dostał się Czartoryskim. Miasto leży na górze w pięknym położeniu; ma wiele murów, ratusz nad sklepami a szczególnie zamek niepospolitej piękności. Był podupadły, ale przed kilkunastu laty odnowiony, swojemi blankami zdaleka świeci. Jest w nim mieszkanie urządzone dla panującego. Corocznie na rozległych błoniach przy mieście odbywa się przegląd wojsk. Stoi obóz z domami murowanemi. Była tu niedawno szkoła, jest zakład jedwabniczy. Ma bogatych kupców, magazyny, skład mebli zagranicznych i fortepianów. Kilka jarmarków na konie i woły, a szczególnie na Trzech Króli, przyjeżdżają z całego kraju liweranci i zagraniczni regimentarze. Domy w rynku niektóre mają piętra. Miasto rozłożyło się po obu stronach Bohu. Groble na rzece ma gruntownie zrobione, z żelazną baryerą. Młyny donośne. Główny rynek brukowany. Dobra okoliczne należały do Międzyboża, klucz cały, jak go tu zowią, miał 26,000 obojga płci włościan. Mieszczanie chrześcijańscy i żydzi niewchodzą do rachunku; ludność miasta musi wynosić do 10,000 mieszkańców. Na Stawnicy za Bohem jest wygodny dom mieszkalny i ogród owocowy obszerny. Dawniej utrzymywano tam wielkie stajnie. Rassa koni tutejszych była głośną, zwano ją czystopolską. Za miastem jest wielka, dobrze utrzymywana grobla na Bożku przy wpadzie do Bohu. Tuż za groblą na polu dwie wysokie mogiły: pamiątki to dawnych wojen. Na cmentarzu stęp kamienny, kwadra-

towy w górze, zabytek Turków. Niedaleko jest piękna wieś Wołosowce z wielkim domem, była to rezydencya dawnych właścicieli.

Drogi z miasta do każdej wsi wysadzone drzewami. Piękny to widok, tylko że za wązkie, więc od cienia wielkich drzew często wilgotne, i w niektórych miejscach popsute. Okolica ma po włościach wielkie sady owocowe. Tutejsze gruszki, jabłka rozwożą na wszystkie strony; są poszukiwane, bo niektóre wybornych gatunków. Znane są powszechnie bery międzyborskie i węgierki. Uprawa tytoniu daje znaczny dochód. Dzisiaj przy trudności o tytoń turecki, niegdyś wyborny i bardzo tani w tej okolicy, międzyborski powszechnie jest używany. Ma dwie fabryki i znaczny nim handel. Za Międzyborzem ku Płoskirowskiemu i Lityńskiemu powiatom, i ku Wołyniowi są piękne wina różnych właścicieli. Gleba urodzajna, choć niezupełnie czarna ziemia. Najobfitsze grunta są od płoskirowskiego powiatu. Lasy dębowe znakomitęj wartości są w Międzybożczyźnie, były piękne i w przyległych majątkach, szczególnie we wsi Ihnatowcach, ale już sprzedane i prawie wycięte. Powiat latyczewski dzisiejszy należy do leśnej części Podola. Chociaż już się przerzedziły lasy, a szczególnie w ostatnich latach z powodu pięciu cukrowni, blisko siebie leżących, a mianowicie w Szczodrowej na wielką skalę, w Hatnej, Derazni, w Zharku, w Bucniowej i w Bożykowcach, jednak można powiedzieć że prawie połowa ziemi tylko się uprawia, reszta pod lasami. Mają w nich schronienia wilki, sarny, a nawet choć rzadko dziki. Lisów i zajęcy jest dosyć. Wiewiórkę często można obaczyć skakającą po drzewach, borsuki są równie. Ptaków są różne gatunki. Bocian zawsze przylatujący w marcu, gniezdi się zwykle na domach i stodołach: każdy mu rad, bo jest miany za ptaka dobrej wróżby. Zabicie bociana uważałoby się za zbrodnią. Są w lecie wielkie stada dropi i zórawiów, robią znaczne szkody w zbożach. Polowanie na nie trudne, bo się podejść nie dają. Wiadomo że wielkie massy, napadające w jesieni świeże posiewy, szukając ziarna, stawiają o kilkaset kroków strażę, z dwóch, trzech złożone. Najmniejszy przedmiot zwraca ich uwagę, wnet dają haśło i całe stado przenosi się dalej. Człowiek zbliżyć się na strzał nie może, czasem tylko udaje się za koniem, który niby się pasie, a którego ptaki się nie boją, z wielką cierpliwością idąc powoli, podsunąć się, ale i to raz tylko. Są tu wielkie stada dzikich gołębi, szpaków, które jak chmura latają wielkimi gromadami. Są koropatwy, cietrzewie, stómki. Kaczek wielkie stada rozmaitych gatunków: jakoto cyranek, krzyżówek, łysek, nurków, niektóre z nich ślicznych kolorów. Po lasach są jarzabki, na które nieraz w Zharku trafiłem. Po moczarowatych dołach jest dość bekasów, krzyków, kulonów i wrzaskliwych czajek. Z ptaków które się nie jedzą, jest muóstwo wron, kruków, gawronów, srok, kawek, trzymających się zwykle przy osadach. Wieczorami chmury tego ptastwa obsiadają sady po wsiach, a przed każdą słągą widać je ulatujące nad wsiami. Wróbli jest ilość niezmierna. Przepiórki gniezdzą się w zbożach. Najpiérwszym ptakiem na wiosnę

jest kukułka, która wnet po bocianie się zjawia. Są śliczne ptaki, które zowią kraskami; pierze mają błękitne: słowików w każdym ogrodzie słyszeć można. W zimie są szczygły o amarantowych piersiach, gile, a trznadle, trzęsio-ogonki to już na każdym dziedzińcu obaczysz. Z większych ptaków, orły trzymające się miejsc górzystych, niektóre są bardzo wielkie, nad Ładawą rzeką podolską, są nawet białe. Czaple trzymają się stawów. Puchacze, sowy różnych gatunków, niektóre bardzo wielkie mieszkają w lasach, tylko puszczyki gdy niema starych budynków, gnieźdzą się w kominach i często nad wieczór niemiłym odzywają się krzykiem. O zachodzie, niedoperze latają blisko mieszkań, niektóre dość wielkie. Pocziwa jaskółka kręci się i gnieździ przy domach.

W lasach latyczowskich przed kilkunastu laty, przez dość długi przeciąg, bo prawie lat cztery, zjawił się był człowiek, który niepokoił okolicę. Nazywał się Karmeniuk. Siły nadzwyczajnej, zuchwałości i odwagi niepospolitej, zebrawszy pewną liczbę towarzyszy, napastował przejeżdżających, a częściej jeszcze robił wycieczki do domów, gdzie wiedział że są pieniądze. Opowiadano o nim, że w ostatecznym razie tylko zabijał, że zdobyte pieniądze dawał ubogim, że całą okolicę znał, dobre postępowanie z włościanami oceniał i na takich właścicieli nie napadał; że niektórym dotkniętym kłeską ognia, lub jakim innym przypadkiem, niewidzialny podrzucał pieniądze. Jednak i o okrutnych czynach jego słyhać było. Młynarza we wsi Rosianikach, który nie chciał powiedzieć gdzie pieniądze ukrył, i żonę jego męczył, wieszał ich, ogniem piekł; Bielowskiego zamożnego obywatela, całą noc okrutnie ćwiczył; gdy to nie pomogło, już miał na rozżarzonych węglach położyć, ale jakiś hałas spłoszył go. Wieści przestraszające obiegały w około. Pamiętam jak wszyscy mówili o tém, jak się strzegli, aż nareszcie został pojmany i osadzony w więzieniu. Tam rozповідаł o swych wycieczkach, nad kolegami więzienia przewodził, imponował im humorem, lekceważeniem swój przyszłości. Nadzorcy zwrócili na to uwagę. Okuto go i do osobnej izby przeniesiono. Wkrótce się wieść rozbiegła, że sufit przełamał i uciekł. Znowu popłoch padł na okolicę Latyczowskich lasów. Widziano go tam, tu, owdzie, słyhać było o rabunkach; robiono wyprawy nań bezskuteczne: trwało to rok cały, aż nakoniec, obławą wypędzony z lasu pod Komorowcami, na otwartém polu został postrzelony w nogę i wzięty.

Wówczas przewożono go przez wieś gdzie mieszkał mój ojciec do Latyczowa. Wszyscy chodzili nań patrzeć. Miał to być człowiek średniego wzrostu, krępy, czarno zarastający. Twarz spokojna, nie objawiała trwogi. Wesoło nawet rozmawiał ze zbliżonemi. Opowiadał, że był niedawno w nocy pod oknami domu, gdzie mój ojciec mieszkał. Wiedziałem że ma dużo dzieci, chciałem jednak zobaczyć jak dom wygląda wewnątrz; światło było w domu, sam gospodarz siedział przy stoliku i książkę czytał. Kiedy on tém się zajmuje, to pewno niewiele ma pieniędzy; prócz tego słysząc że niczłe się z ludźmi obchodzi, napatrzywszy się tylko dowoli, odszedłem. Zawicziony do więzienia,

po kilku tygodniach gdy mu się rana przygoiła, znowu uciekł. Jakiś czas nie było o nim słyhać, aż wreszcie dowiedziano się że czasem przebywa w Karyczyńcach szlakowych. Miał tam serdeczne stosunki z jakąś młodą kobietą, i włościanie mu sprzyjali. Policya nie mogła go dośledzić, po kilku rewizjach i czatowaniach, dała za wygraną. Znowu z rok się przeciągnął, z różnych stron dochodziły wieści że go widziano, aż jednego razu rozeszła się pogłoska o katastrofie, co położyła koniec jego awanturniczemu życiu. Kochanka owa, której przynosił podarunki i u której orgie nieraz wyprawiał, powiedziała młodemu Rutkowskiemu że go uwiadomi kiedy u niej będzie. Odważny młodzian przyszedł do niej i ze strzelbą nabitą czekał. Minęła północ Karmeniuka niema, stacya podobno niezbyt miła; nie wątpił Rutkowski że pojedynek spodziewany będzie śmiertelny, wytrwał jednak: około drugiej dał się słyszeć stukot. Rutkowski stanął pod ścianą, a gospodyni na wołanie żeby zaświeciła, wyszła z kagańcem do sieni. Karmeniuk usłyszał jakiś ruch w izbie.—Co to jest? pyta.—Owce w izbie, i sama naprzód weszła; przestąpiwszy próg, uchyliła się na stronę a groźna postać Karmeniuka pokazała się we drzwiach; Rutkowski strzelił, trafił w samą pierś, bo wchodzący powalił się trupem. Cała okolica ucieszyła się: Rutkowski dostał order.

Zjawił się także, niegdyś za kradzież wysłany do Syberyi, w lasach Zhareckich, łotr nazwiskiem Puszczyk. Rodem był ze Zharku. Znali go wszyscy we wsi jako niebezpiecznego hultaja. Pewnego dnia mój stary sługa poszedł ze strzelbą do lasu. W głębokim lesie, blisko wodospadów spotkał się z nim. Powierzchność nie groźna, bo małego wzrostu, niezbyt imponowała, ale myśl że tu gdzieś Puszczyk błąka się, zrobiła go ostrożnym. Spotkany zbliża się i prosi o ogień;—nie mam, odpowiedział mu Alfons; zaczął przystępować bliżej i widocznie zamierzał porwać strzelbę, wówczas Alfons niewahając się odwiódł kurka i wymierzył do napaśnika; nie miał zamiaru strzelić, tylko tak trzymając go na celu, odpedził ku jarowi w który skoczył i zniknął. Postaliśmy szukać go w lasach: poszukiwania były bezskuteczne. We trzy dni pilnujący pasieki mojej w lesie, doniósł że Puszczyk nad ranem wpadł do pasieki, pasiecznika nie zastawszy, począł ule przewracać chcąc miodu dostać. Mały chłopiec wnuk pasiecznika, przełęczniony nie śmiał mu nic powiedzieć, ale wybiegłszy za ogrodzenie począł uciekać i wołać dziada. Wówczas Puszczyk rzucił pnie, i puścił się za chłopcem. O kilkanaście staj dogonił go, i nożem skórę na około głowy oberznął. Skalpował jak Indyanin, chłopak zemdłał. On wrócił do pasieki, cztery pnie splondrował, miód zabrał we wiadro i uciekł do lasu. Jeszcze po tym ekscesie kilkanaście dni pojawiał się, aż jednego poranku, gdy jeszcze spałem, budzi mnie służący i mówi że Puszczyka przyprowadzili. W istocie tak było. Szlachcic Wołkowiecki spotkał go na traktowej karczmie w lesie, musiał go poznać, bo niespodzianie nań się rzucił, rozbroił i związanego przywiódł. Mówiłem z nim. Energična postać, mały, gruby, ale zwięzły i pewno silny. Nie zapierał

się swego rzemiosła. „Pan musisz mnie odesłać do sądu, ale ja się nie boję; już trzy razy uciekałem z Syberyi, to i jeszcze ucieknę.” Nie wiadomo co się z nim stało, po odesłaniu do sądu, nie pokazał się już więcej.

O milę od Międzyborza zaczyna się powiat lityński. Pierwszą wsią są Karpowce, mała osada, dawniej własność Kajetana Dorożyńskiego; dziś należy do jego synowców. Wioska ta leży nad rozdołem, ma ładny murowany dom, który dawny właściciel *con amore* wykończył. Cieszył się nim, ileżto razy pokazywał mi kiedy się jeszcze budował: materiały nań był przygotowany od wielu lat, drzewo suche i wyborne, wapno trzymane w ziemi lat kilkanaście, marzył że starość w nim przepędzi. Był to człowiek powszechnie kochany. Lud swój po ojcowsku traktował. Znał każdego do najmniejszego dziecka, a nawet ich chudobę jak tu zwą, t. j. bydło i konie każdego włościanina: odwiedzał ich prawie codziennie. Znając się na medycynie kurował. Pomagał w każdej potrzebie, zachęcał do porządku. I w istocie rzadko było widzieć podobnej wsi jak Karpowce, każde włościańskie mieszkanie miało dębowy parkan, komin omurowany, okiennice przy oknach, które im sam malował. Gospodynie wiedząc że każdego dnia może przyjść, starały się o czystość. Raz gdy w jednej z chat zastał nieporządek, miotłą wymiółł izbę z wielkiem zawstydzeniem gospodyni. Rozeszło się to po wsi, i każda odtąd pilniej jeszcze utrzymywała porządek. Przy każdej chacie były dobre stodoły i stajnie, a toki zawsze pełne. Lud karpowiecki odróżniał się w okolicy. Miał zwyczaj Kajetan Dorożyński przy każdej robocie, wychodzić do włościan i rozmawiać. Dowiadywał się tym sposobem o ich potrzebach, sprostował wiele uprzedzeń i oświecał. To też przy budowie domu, wszystko szło łatwo; lud sprawiedliwie nagradzany pracował chętnie, rzemieślnicy byli swoi i zręczni: lecz nie dożył tej przyjemności żeby ów dom zamieszkał. Był silny i zdrow: zdawało się że sto lat doczeka. Przeziębł się u ognia kiedy się palił tok we wsi przyległej: dostał tyfusu i umarł. Szkoda takiego człowieka. Był czynny, prócz swych włościan każdemu z pomocą śpieszył. Humoru wesołego, bardzo był przyjemnym i niepospolicie umiał opowiadać. Dowcipu miał wiele, śmieszne strony każdego zdarzenia zręcznie chwycił, a serce miał złote. Znał się na koniach, to też jego stajnia się odznaczała. Bawił się robieniem powozów i uprzęży, nieraz go zastałem przy szydle. Lubił robić przysługi. Niejednemu uprząż własnej roboty ofiarował. Kilku młodemi ludźmi zajmował się i swym kosztem dawał im edukacyą.

O kilka wiorst jest wieś Pilawce, włościanie ją zwą Pilawką, dla nieodległej wielkiej wsi co się zwie Pilawą. Pilawce są pamiętne z zaszczytów pod niemi wypadków 1648 roku. W czasie powstania kozaków stanęło tu obozem 36000 wojska pol., mając daleko większą liczbę ciurów i luźnych ludzi, wozów zaś 100,000. Wodzami byli Dominiuk książę Zasławski, Aleksander Koniecpolski młody, bez doświadczenia i Mikołaj Ostroróg prawnik nie żołnierz: przydano im 26 komisarzyów.

Zgody między wodzami nie było. Naciągnęli kozacy, widząc bogaty obóz zachęcili się do boju. Oczekując posiłków pozornie zaczęli wchodzić w układy. Po upływie dwóch tygodni przeczniejsi radzili uderzyć. Przez trzy dni miały miejsce harce. Wiadomość o nadejściu Tatarów taki sprawiła popłoch, że całe wojsko haniebnie pierzchnęło.

Niegdyś Kazimierz W. wieś Pilawce oddał za zasługi Prand. Szczukociemu. Dziś jest własnością synów Ignacego Dorożyńskiego. W miejscu gdzie dom mieszkalny są jeszcze ślady dawnego obwarowania. Wał dość widoczny otacza dom. Sama włość pięknie rozrzuciła się na przyległym wzgórzu. Domy włościańskie porządne, sady wielkie, a każdy otoczony gatunkiem wału ze słomy i drobnych gałęzi, co z czasem zrobiło masę jednolitą: nie jest to bardzo ozdobnie ale trwałe. W Pilawcach przez lat kilkadziesiąt mieszkało trzech braci: Julian, Ignacy i Kajetan Dorożyńscy; jeden z nich Ignacy miał żonę, byli właścicielami Pilawiec i Karpowiec: długo gospodarowali wspólnie. Zgody i harmonii rodzinnej jaka była między nimi, jak rzadko. To też dom ich odznaczał się gościnnością, był często pełny, a gospodarstwo wzorowe. Mienie się pomnażało i niebawem tak urosło, że Ignacy kupił wieś Desiurowkę, a w kilka lat później Eliaszówkę, majątność znaczną, z pięknym domem i ogrodem. Oba bracia Ignacego pomagali mu; sami bezżenni, dochody swe oddawali do wspólnego worka, z którego Ignacy uiścił znaczne wypłaty. Między bracią nie było żadnych rachunków, każdy brał co mu było potrzeba. Julian i Kajetan skromnie, bo choć się porządnie utrzymywali, potrzebowali mało; Ignacy zaś mający sześcioro dzieci, rozporządzał resztą. Niebawem i gniazdową wieś Pilawce, bracia odstąpili Ignacemu; Kajetan wziął małe Karpowce, Julian spłatę. Julian poszedł na dzierżawę, Kajetan z małej wsi miał znaczne dochody, i wszystkie oddawał Ignacemu. Wiodło się każdemu z nich szczęśliwie, ludzie ich kochali, dzieci Ignacego rosły, a śliczne to były dzieci. Niedaleko mieszkał kapitan artylerji p. Ignatowicz, przyjaciel rodziny i gość częsty. Typ to dawnych wojskowych z czasów Ks. Warszawskiego; uczestnik wypraw Napoleona I. Odbył z nim wiele kampanij, patrzył na wielkie czyny i upadek niepospolitego męża. Po Lipsku, z resztą wojska poszedł do Francji i dotrwał aż do końca. Wrócił z armią do kraju i byłby może nigdy nie rzucił szeregów, ale spotkawszy się z Ignacym Dorożyńskim w Warszawie, pojechał z nim na Podole, na urlop. Ciche i swobodne życie na wsi, porządne gospodarstwo, zgodna braterska, wpływały nań pociągająco. Na projekt Dorożyńskich, że mu dadzą fundusz na wzięcie dzierżawy, przystał, wziął dymissją i osiadł w Pilawie. Wówczas go poznałem. Był to człowiek grunto-wniej nauki, skromny; o swych wojennych wyprawach rzadko mówił: gospodarował rozumnie, bo po kilkunastu latach zrobił fundusz, którym i dług opłacił i znaczną na owe czasy sumę, bo 100,000 złotych zbierał. Dwa razy na tydzień, parą końmi, okrężnym wózkiem przyjeżdżał do Pilawiec. Dzieci Ignacego kochał jak swoje. On najlepiej znał datę urodzin każdego, że raz gdym zapytał Ignacego, ilc ma lat

jego syn młodszy, powiedział: „wiesz, dobrze nie pamiętam, trzeba się spytać kapitana.” Przyjemna z nim i pożyteczna była rozmowa. Zawsze był seryo, uśmiechu jego prawie nie widziałem; miał powszechny szacunek. Do trzech braci składających rodzinę, on był wcielony jak brat czwarty. Wszelkie rady i postanowienia były z jego udziałem. I tak w ścisłych stosunkach przeżył z nimi aż do śmierci, która nastąpiła w skutek apopleksyi około 1850 roku. Przed śmiercią majątek cały, dość znaczny, zapisał dzieciom Ignacego.

Za rzeką Ikawą, na której jest duży staw należący do Pilawiec, w żyznej glebie jest owa wieś Eliaszkówka, którą kupił I. Dorożyński. Była to dawniej własność Działyńskich, później dostała się do Seweryna Bukara znanego z pamiętników, które ogłosił Kraszewski. Znałem go osobiście. Człowiek to był wykształcony, należący do kwiatu towarzystwa, uczeń korpusu kadetów, założonego przez króla Stanisława Augusta. Człowiek z gustem, onto zbudował dom w Eliaszówce. Pamiętam jak po ukończeniu kosztownego gmachu, zaprosił trzy prowiucye na inkrutowiny. Gdyśmy przybyli, stały już szeregi karet i powozów przed okazałemi stajniami. Mnóstwo gości zapełniało salony; w wielkiej mozaikowej sali, którą zdobiły kolumny niepospolitej rzeźby, a sufit śliczna Leda z łabędziem, grupami siedziały kobiety, mężczyźni kręcili się przy tych grupach; w drugiej wielkiej sali, obok znajdującej się, której ściany przedstawiały widok Łazienek warszawskich, brzmiała muzyka Przeździeckiego. Nim się zaczęły tańce obszedłem wszystkie salony. Salony były świetne, świeżością blyszczały, ożywiały je piękne Podolanki, Wołyńianki i Ukrainki. Wielkie salony zdawały się w sam raz do takiej ilości osób. Gdyby cudzoziemiec tu się znalazł i spojrzął na te grona świetnie strojnych kobiet, na poważne i okazałe postacie mężczyzn i kwitnącą młodzież, która się wkoło roita, wyniosłby pochlebne wyobrażenie o kraju, co w prowincjach dalekich od stolic, takich ma reprezentantów. Nie uwodząc się uprzedzeniem dla okolic w których życie spędziłem, śmiało powiem, że tak wielu razem pięknych i sympatycznych fizygnomij spotkać trudno. Wprawdzie patrzałem na nie młodzieńczém okiem. Było tu trzech marszałków gubernialnych: Podola: Przeździecki, Wołynia: Leńkiewicz, Kijowa: Tyszkiewicz. Przyjęcie wystawne, szeregi lokai snuły się. Zastawa i wykwińt stołów były niepospolite; żeby tak przyjmować i tyłu, trzeba było mieć fortunę Potockich lub Branickich. Bał się zaczął o zmroku, trwał noc całą; życia, wesołości nie brakło. Śliczny był widok z perestyłu frontowego; kilkanaście okazałych kolumn, ozdobionych rzeźbami stanowiło front zajazdowy. Przed nim ogród założony przez Miklera rozrzucił swoje klomby; pyszne świerki i topole wyglądały majestatycznie. Z drugiego frontu był kwadrat, obsadzony wielkimi świerkami, posadzonemi jeden przy drugim, tworzyły ścianę okolną; w kwadracie rzadkie kwiaty i egzotyczne rośliny wdzięcznie się uśmiechały: cudny to kwadrat. A jeszcze gdy grupy kobiet i dziewcząt rozsypały się po nim, przychodziła na myśl Arkadya. Często później bywałem w Elia-

szówce, zawsze ten kwadrat pięknie się przedstawiał, lecz nigdy nie był już tak świetny. Perspektywy z domu na wszystkie strony starannie ozdobione, gorzelnia nawet, którą widać było z okien i wołownia, szeregiem kolumn, tworzyły okazały widok. Wszyscy byli zadowoleni przyjęciem, dziwili się smakowi i zamożności gospodarza, lecz nie jednemu może, bo i mnie ta myśl czepiała się głowy, że podobnym występowaniem zrujnować się można. Jakoż niebawem do tego i przyszło. Właściciel co kilkanaście lat pracował nad tym domem, pokazał tyle gustu, włożył krocie w ozdoby; zamiast co by miał się cieszyć długo takim świetnym mieszkaniem, wkrótce przeniósł się do małego dworku w drugiej wsi, a Eliaszówkę którą dał córce w posagu, trzeba było sprzedać, bo się przy niej utrzymać nie mogła. Przy sprzedaży taki kosztowny dom, za mało co poszedł.

Nad Ikawą jest jeszcze rozległa wieś, czy małe miasteczko Pila-wa, własność Czarnckiego. Ma ruiny zamku, dwie cerkwie i kilka domów żydowskich. Dalej nad tą rzeką wieś Teleżyńce Karola Dorożyńskiego, naprzeciwko Iwankowce, a dalej jeszcze Stara Sieniawa Kazimierza Stadnickiego. Starą Sieniawę Zygmunt I-szy pozwolił założyć Mikołajowi Sieniawskiemu na polu „Syeniawskoe Polye,” blisko rzeki Ikawy. Położenie miasteczka piękne, ma kościół o dwóch wieżach; byłem na jego konsekracyi przez teraźniejszego arcybiskupa Fiałkowskiego. Przedtém właścicielką Sieniawy była ks. Radziwiłłowa, żona Mateusza. Znałem ją już wdową. Była bardzo gościnną, mieszkała u niej wielu co potracili fortuny. Pobożna, miłosierna, miała powszechną miłość. Homeopata Lefler zrobił przy niej majątek. Opiekowała się dziećmi sług swoich, straciła syna jedyngo; całą więc miłość przelała na obcych. Przy Sieniawie jest wielka wieś Papińce, śród obszernego stepu. Tu już napotyka się wielka ilość susłów na polach. Piękne zwierzątka siedzą na dwóch łapkach, na widok ludzki chowają się do nór. Minąwszy Terespol, wielką osadę szlachecką i Zofipol, przejeżdża się wieś Markusze, własność pp. Szymanowskich, z boku widać Rybczyńce i Worobjówkę Mazarakich, i tuż za niemi miasteczko Ułanów, niegdyś własność Aleksandra Kruszczyńskiego, dziś Mazarakich. Ułanów nad Śniewodą Zygmunt August 1552 r. nadał Piotrowi, Janowi i Jerzemu Dukadzinowiczom rodem z Macedonii, uchodzącym przed Turkami. W 1775 roku Aleksander Kraszewski regimentarz, za zasługi otrzymał go w dożywocie. Ziemia w okolicy całej czarna i żyzna, lasu mało. Niedaleko stąd wieś Czosnowka, gdzie przepędził rok mego dzieciństwa; Śmiała, Biczowa, gniazdo Szaszkiewiczów. Mieszkał w niej przed wielu laty, ale za moich już czasów Szaszkiewicz głośny ekscentryk. O nim w dzieciństwie słyszałem mnóstwo anegdot. Zamożny, miewał dużo gości, między innymi bywał u niego doktor z Chmielnika Sztorch. Były niespokoje w kraju, odkryto jakieś knowania, kilku więc podejrzanych rząd kazał wywieźć. Sztorch przyjechawszy do Biczowej opowiadał jak kogós ze znajomych jego wywieźli na wygnanie. Nocował w Biczowój w oficynie. W nocy

obudził go brzęk pałaszy. Porywa się z łóżka, widzi przed sobą kilku żandarmów, ci mu oświadczają że przyjechali po niego. Zląkł się, chwytając suknie aby się ubrać; żandarmi nie pozwalają i tak w jednej tylko koszuli wyprowadzają w noc ciemną. Nie wie gdzie go wiodą, słyszy rozmowę, że trudno w takiej ciemności będzie jechać, że go trzeba zamknąć nim się rozwidni. Prowadzą go dalej i wtrącają do szpichlerza, który ogromnym zamkiem zawarł. Biędny doktor drży z chłodu i strachu. Kilka godzin mija, cicho wokoło: wtém u okienka coś stuknęło, i słyszy jakiś głos. Przysłuchuje się, poznaje głos Szaszkiewicza, który mówi że go bardzo żałuje, że radby go ocalić, ale nie wie jak to zrobić, boi się odpowiedzialności; w końcu dodaje że nie widzi innego środka tylko żeby doktor rydlem, który mu przez okienko podaje wykopał się po pod podwaliny szpichlerza i uciekł w step: żandarmi śpią, ma więc czas. Biędny delikwent chwytając się tój rady, całą noc kopie, potnieje z trudu, ale dla ocalenia nie folguje sobie. Po kilku godzinach zrobił otwór, przez który nareszcie przecisnąć się zdołał. Wybiega, rozpatruje gdzie jest, nie może nic zmiarkować, ale na los szczęścia bieży w prostym kierunku; po godzinnym biegu zaczęło świtać: strach go bierze aby go niepostrzeżono, więc w wysokich trawach na stepie przylega, i chce czekać aż drugi wieczór przyjdzie, by w mroku uciec. Czeka, leży cierpliwie; wtém dochodzą go jakieś brzęki: przyłgnał, ledwie śmie oddychać, nie patrzy z kądem brzęk pochodzi aby się nie zdradzić; w śmiertelnej trwodze nastuchuje, a brzęk się powiększa i wyraźnie się zbliża: rozpacz przejęty mimowolnie podnosi się, widzi wkoło mnóstwo ludzi z błyszczącymi żelazami; tego już znieść nie mógł: padł bezprzytomny; aż tu przylatuje Szaszkiewicz, podnosi go, uspokaja że żandarmów już nie ma, daje mu suknie. Przestraszony doktor nie wierzy, choć go zapewnia że to kosarze trawę koszą, że to wszystko było żartem, że on go tak straszyl umyślnie. Odchorował Storch tę igraszkę.

Druga awantura była z księdzem Kapucynem. Zaprosiwszy go na noc, skarżył się że mu coś w jednym z pokoi straszy nocami. Ksiądz rozsądny robił mu uwagi że to imaginacya, strachów nie ma, chyba figle; że on będzie spał sam w tym pokoju, że się przekona i dośledzi kto je wyprawia. Tak się stało: księdzu posłano w owym pokoju. Po kolacy rozeszli się. Około północy ksiądz przez sen usłyszał jakiś szmer, późniejszą chód, nareszcie wyraźnie ktoś się zbliżał. Ksiądz usiadł na łóżku, czeka. Jakaś postać biała zbliża się. Na zapytania kim jest: nie odpowiada; ksiądz go żegna, odmawia modlitwę: postać stoi; więc nachyliła się po wielką sękową łaskę, która stała niedaleko, a wtém coś go boleśnie upiekło. Ksiądz krzyknął, nie miał już siły wziąć laski. Postać znikła. Nazajutrz ksiądz z bólu i strachu dostał gorączki. Szaszkiewicz go odwiedza, ksiądz nieprzytomnie odpowiada. Posłano po doktora: opatrzył chorego i znalazł na jego ramieniu czarny znak spalonego ciała. Znak był wielkości łopatki. Ksiądz jak przeszła gorączka wrócił do klasztoru, przekonany że zły duch go nawiedził; a Szasz-

kiewicz śmiał się, bo to on sam oparzył księdza rozpaloną łopatką, przebrawszy się za stracha.

Trzecia. Był w powiecie gdzie on mieszkał, jeden urzędnik znany z chciwości; wszyscy go nie lubili: raz jadąc Szaszkievicz zdaleka postrzegł, że on jedzie przeciw niemu: poznał go po koniach. Kazał furmanowi zatrzymać się przy wielkiej kałuży, która była przy drodze; wysiadł i schylił się nad błotnistą przestrzeń. Urzędnik się zbliża, poznaje Szaszkievicza; widzi, że on patrzy w kałużę, jakby czego w niej szukał. Zdziwiony, zatrzymuje się i pyta co to on robi. Schyliłem się nad trzęsawicą i wypadł mi złoty zegarek; już go szukam z godzinę napróżno.—I cóż pan dalej będziesz robił?—Jużem się zmęczył i znudził; porzucę go do licha: kto go znajdzie, będzie jego. Urzędnik niedługo się wahając włązi do kałuży, brnie w błoto, szuka; idzie coraz głębiej, a Szaszkievicz siada do powozu:—szczęść Boże, powiada, i kazał jechać. Z oddali patrzył uradowany, jak łakomicz łatwowieiny brodził przez błoto i trudził się napróżno. Tego rodzaju facecye bawiły go, choć miał być rządny i mówili nawet, że miał dość oświecenia. Syn jego znany z odwagi i wesołego humoru, był nazywany królem Bałagułów. Mnóstwo rzeczy o nim mówiono, ale żadnego z jego czynów nie byłem świadkiem. Tylko nieraz słyszałem śpiew jego: śpiewał cudownie pieśni Padury.

Ułanów, był niegdyś po śmierci regimentarza Kraszewskiego, starostwem. W 1797 r. został darowany z przyległemi włościami senatorowi Ilińskiemu. Był to wielki pan w swoim czasie, mieszkał w Romanowie, o kilka mil od Ułanowa. Pałac jego na wielką skalę z półokrągłemi pawilonami, wyglądał na monarchiczne mieszkanie. Miał ze dwieście pokoi, pyszny ogród z wodotryskami i kaplicą przy pałacu arcybogatą. Byłem tam u syna jego Henryka, gubernialnego marszałka wołyńskiego. Nie mogłem się napatrzeć bogactwu malowideł, mebli i zwierciadeł. Były tam oryginały najpiérwszych mistrzów, stoły malachitowe, i taka ilość kosztownych sprzętów, że wielka ich część złożona była w pakach, bo w takim gmachu nie mogły się pomieścić. Okna ogromne, z jednostajnych tafel, zwierciadła na całą wysokość pałacu. Miał pokój osobny, duży, w którym stały meble z pokoi cesarzowej Katarzyny; wielkie łóżko po Ludwiku XVI i mnóstwo przedmiotów wysokiej wartości. W drugiej sali podłużnej mieściły się pamiątki po Janie III. Pyszna szkatuła z mahoniu, cała inkrustowana złotem i emalią, ulubiony sprzęt tego króla. Na ścianach wisały makiaty zdobyte pod Wiedniem, zbroje całe jakby wczoraj robione, w błyszczące łuski, szyszaki, puklerze i strzały tatarskie. Utrzymywano tu muzykę nadworną wyborową i kapelmistrzów piérwszorzędných. Był i teatr, na którym grywano opery włoskie. Gdyby ten gmach był w wielkiem mieście, stanowiłby jedną z piérwszych ozdób jakiej wielkiej stolicy. Senator sprzedał klucz Ułanowski Chołoniewskiemu, wsie pokupowali inni, a samo miasto ze wsią Ihnatówką dostało się Kruszczyńskiemu. Za Ułanowem ciągnie się długa bezleśna przestrzeń czar-

noziemiu. Gleba bogata, wznoszą się na nią wsie zamożne: Woronińce, Petrykowce, własność niegdyś Piotra Iwaszewskiego, dziś jego wnuczki księżnej Hohenlohe. Przestrzeń owa czarnoziemna ciągnie się aż pod Rajgrodek. Są tam wsie: Podrózna z pięknym domem, Lepiatyn i wiele innych. W stronie ku Chmielnikowi wsie: Pustowojty, Biały Rękaw, Wielki Mytnik, a nad Bohem miasto Chmielnik. Ma dziesięć tysięcy mieszkańców. Handlowe, pięknie położone nad dwoma ramionami Bohu. Chmielnik, król Stanisław August nadał ks. Józefowi Poniatowskiemu, zachowując dożywocie Ossolińskiemu. Później było własnością hr. Kuszelewa, a teraz posiada go bankier Ginsberg. Podobno nabył go hr. Lewaszew. Ma kościół katolicki dobrze utrzymywany, kilka cerkwi, młyn parowy. Tuż za Bohem zaczynają się wielkie lasy, część ich znaczna należy do Chmielnika; przerzedziły się znacznie, bo wielka cukrownia w Wujtowcach, wsi klucza Chmielnickiego, chłonie je w wielkich massach.

Na prawo od Chmielnika jest piękna włość Kuryłówka, własność Dyonizego Iwanowskiego, z pięknym domem i znakomitym ogrodem. Właściciel zamożny, lubownik drzew, pięknie ozdobił wielką przestrzeń parku. Dom Kuryłowiecki był bardzo przyciągającym w swoim czasie. Gospodarz oświecony miał bogatą bibliotekę, sama pani wysoko ukształcona, córki piękne, ogród rzadko spotykany. Dom ten słynął cnotami obywatelskimi. Wiele osób miało tu przytułek, zawsze kilka ubogich panien odbierało tu staranne wykształcenie, traktowane jak córki domu; gdy się której trafiła partya, otrzymywały jeszcze krągły posag. W długim przeciągu czasu, sam widziałem wiele szczęśliwie postanowionych, dziś są zamożnymi obywatelkami. Córki powychodziły zamąż, jedna była za Poniatowskim, druga żyjąca za Rzewuskim, najmłodsza Józefa za Orłowskim. Kuryłówkę otaczają wielkie lasy ciągnące się do miasta Janowa, własności dawniej księdza Stanisława Chołoniewskiego, który acz bogaty, obrał stan duchowny i był proboszczem we własnym majątku. Znany jest w literaturze. Bywałem na jego kazaniach, pełne prostoty i wymowy. Z Chmielnika na drodze do Lityna jest duża wieś Kożuchów, własność dzisiejszych posiadaczy Kożuchowskich. W lecie ślicznie wygląda, cała w sadach; gdy się drzewa rozkwitną, sądzisz że to niezmierny owocowy ogród. Ztąd przez Iwczę po pod sosny dojeżdża się do Lityna, stolicy powiatu. Lityn leży nad Zharem, wielką taflą wody. Miasto dość rozległe, ma ze 4000 mieszkańców. Niegdyś było w posiadaniu Świdzińskiego, dziś jest skarbowém. Wielka aleja kanadyjskich topoli tworzy piękny wjazd. Kościół katolicki o dwóch wieżach i cerkiew obok z kolumnami zdobią miasto. Lityn znany mi od wielu lat, przywodzi do myśli niejedno wspomnienie. Mieszka tam dotąd przyjaciel z lat młodzieńczych doktor A. G.. Postać to sympatyczna. Ileż to miłych chwil przeżyliśmy niegdyś razem. Lityn jako miasto powiatowe, często ściągwał nas dla interesów. Pewnego czasu przyjechałem dla odebrania summy, z której przed aktami sądu trzeba było zakwitować. Mieszkałem u gospodarza

żyda, w rynku. Uwiadomiony, że oddawca już pojechał do domu powiatowego, gdzie mi miał wypłacić, kazałem konie zaprządz, bo dość było odległe, a tymczasem dobyłem pugilares i robiłem rachunek; posłyszawszy, że konie już zaszły, prędko wsiadłem do powozu, spiesząc by nienadużyć cudzej cierpliwości. W sądzie zastałem wszystko gotowe, dłużnik odliczył pieniądze, jam go pokwitowałem i chcąc pieniądze schować i mniejszą monetą opłacić kosztą kwitu, sięgam po pugilares: niema go; przeszukałem wszystkie kieszenie: napróżno. Zmieszałem się, bo w pugilaresie były inne dość znaczne pieniądze i ważne dla mnie papiery. Siadam co żywo, pędzę, niewątpiąc że pugilares zginął; zirytowany wysiadam przed austeryą, na progu stoi gospodarz i przyjmuje mnie słowem: „A pan zostawił pugilares.” Odbieram go, był nieknięty. Szlachetny czyn żyda, niebogatego, rzadki w owym czasie śród jego plemienia, dał mi przekonanie, że wszędzie są ludzie zacni. Pugilares otwarty przez pośpiech zostawiłem na stole.

Innym razem mieszkałem w Litynie u kuzyna mego, we dworku, blisko stawu; przyjechawszy na czas dłuższy, po kolacyi, poszliśmy spać dość późno. Obudził nas wielki krzyk i łuna, co się odbiła na oknach. Wstajemy co żywo, ubieramy się, myśląc że miasto się pali. Wyszliśmy; pierwsi spotkani, powiedzieli nam, że jakaś awantura dzieje się przy więzieniu. W istocie hałas był ztamtąd. Tam się kierujem. Massa ludzi tłoczy się przy murach, ciemności nocy rozświecały zapalone okłoty; słychać było komendę i wrzaski, bębny biły: miasto całe biegnęło w tę stronę. Scena niewyraźna odgrywała się przed nami. Widać było czasami żołnierzy z bagnietami, jakieś postacie w półnagie wleczone, opierające się z rozpaczą, jęk i wszystko niknęło w ciemności, bo okłoty płonące często gasły. Po kilku godzinach uspokoiło się, zbliżywszy się ku więzieniu ujrzeliśmy cztery trupy ludzi, tylko co zabitych. Dowiedzieliśmy się nazajutrz szczegółów. Więźnie zrobili spisek i pod dowództwem Krzyżanowskiego, wyłamali główną bramę i całą masą, pokonawszy straż, rzucili się na ulicę. Gdyby się byli skierowali ku miastu, w ulicach i zaułkach trudnoby im było dać radę; ale zapewne licząc na swą siłę, zwrócili ku grobli. Grobla długo się ciągnie nad głębokim stawem. Za groblą jest osada Siedliszczem zwana, zamieszкана przez mieszczan. Na krzyk przy więzieniu, ktoś w Siedliszczu uderzył w dzwon przy cerkwi i tęp obudził osadę. Więźnie szli śmiało przez groblę, niespodziewając się ztamtąd przeszkody; już jęj przeszli połowę, gdy nagle silny zastęp uzbrojony w kije uderzył na nich: bronili się odważnie i długo i możeby złamali przeciwników, gdyby czas użyty na walkę nie był dostatecznym na sprowadzenie oddziału żołnierzy, co szli od miasta. Więźni we dwa ognie, mając na prawo staw głęboki, na lewo grzązki i głęboki jar, trzymali się jeszcze dość długo; niektórzy skoczyli w staw: dowódzca Krzyżanowski mając zgruchotaną nogę padł, nasiedli go atakujący i broniącego się z ziemi kijami zabili. Po tej katastrofie reszta się poddała: prócz dowódcy, trzech jeszcze poległo. Nazajutrz przechodząc koło więzienia, widziałem tru-

py poległych. Całe były sine i czarne od razów. Krzyżanowski lat dwudziestu kilku, brunet, miał nogi połamane i głowę rozbitą. Byłem ciekawy dowiedzieć się za co był uwięziony. Ze sprawy jego w sądzie wyczytałem że był podejrzany o zabójstwo młodej dziewczyny, którą wykradł z domu rodziców. Mówiono, że się złakomił na posag, który uniosła z domu, a którego dać mu nie chciała przed ślubem, drudzy mówili że ją zabił za przemieszanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Czarnogórze współczesne, przez pp. Frilley i Wlahovity; obyczaje i obrzędy Czarnogórców.—Akademy Littré i Caro.—Zagadnienia moralności społecznej, przez prof. Caro.—Historya skrócona głównych literatur, w Europie starożytnej i nowoczesnej, przez prof. Buron:—Francya i jej kolonie, dzieło prof. Levasseur.—Kajet Sainte Beuve'a.—Starożytności Moabickie, nabyte do muzeum berlińskiego. Teatr Wagnera w Bejreuth.—Tetralogia: „Pierścień Nibelungów.”—Koncerta w Paryżu, pana Sowińskiego i panny Amelii Majdrowicz.

Sama myśl o narodach góralskich, o ich życiu, zwyczajach i obyczajach, budzi jakiś dziwnie tajemniczy urok. Erudyci nawet, badający rzeczy ze stanowiska ściśle naukowego, zwracają szczególną uwagę na obyczaje górali, spodziewając się znaleźć u nich, pierwsze pobudki urządzeń społecznych, jak niemniej form prawodawczych, właściwych plemionom, do których te ludy należą.

Nie łatwo to jednak badać ludy góralskie. Wiadomo, że góry stanowiły jakby obronną twierdzę w czasach tworzenia się dzisiejszych społeczeństw; do tej twierdzy zbiegały się rozmaite, najsprzeczniejsze nawet żywioły. Ileżto trudności dla etnografów i lingwistów przedstawiają np. Baskowie? Od tylu lat erudyci francuzcy i hiszpańscy, angielscy i niemieccy piszą o nich ogromne foliaty, a przecież lud ten rozsiadły w Pirenejach, jest po dziś dzień tajemniczą zagadką; łamie bowiem powszechnie przyjęte systemata co do charakterystyki plemion pod względem cywilizacyjnym. Język tego ludu zbliża go raczej do czerwonoskórych Indyan, aniżeli do ościennych Francuzów i Hiszpanów; tymczasem, miłość jaką mają Baskowie dla swych instytucyj prowincjonalnych, w wielkiem znaczeniu tego wyrazu, skłonności ich federa-

cyjne w pojęciu o państwie, przy silnym przywiązaniu do zagrody domowej, czynią ich że tak powiemy typem cywilizacji ludów Aryo-europejskich.

Wspomnieliśmy wielkie trudności w badaniu góralskich ludów, aby tém lepiej zalecić świeżo wydane dzieło pp. Frilley i Wlahovity, poświęcone Czarnogórcom współczesnym. Dzieło to jest niezawodnie najbogatszym zbiorem materiałów, ogłoszonych dotąd o tym tak mało znanym ludzie. Autorowie nie rozbierają rzeczy ani pod względem geograficznym, ani téż antropologicznym; język biorą za główną podstawę plemienności, jak gdyby nie przypuszczali nawet, o ile ta podstawa bywa częstokroć mylną i zwodniczą: z tego to stanowiska uważają Czarnogórców za czystych Słowian. Tém zastrzeżeniem nie ubliżamy ważności pracy, chcemy tylko oznaczyć sposób zapytywania autorów. Dzieło ich powtarzamy, jest bogatym materiałem dla antropologów i etnografów, dla ogółu zaś czytelników bardzo ciekawą publikacją.

We wstępie widzimy zarys historyczny, obejmujący dzieje wszystkich pokoleń serbskich. Jak Czesi, Morawianie i Słowacy, jak Krowaci i Słoweńcy, tak i Serbowie zaczynają w Polsce dziejowe życie swoje; wszyscy bowiem wyszli z *Polonii*, według wyrażenia Raicza, historyka XVIII wieku. Nowocześni badacze dziejów: Szafarzyk, Palacki i inni, udowodnili krytycznie słuszność owęj zasady.

U nas tylko niestety, migracje tych ludów nie zostały dotąd ocenione w całej ich doniosłości, one to przecież zapełniają kilkowiekową próżnię w dziejach naszych, poprzedzającą wiek IX. Główne migracje za Karpaty, następowały po sobie w wieku VI i VII, to jest w czasach dokładnie znanych bizantyjskim pisarzom. Wiadomo, że ścisła jedność łączyła ludy nadwiślańskie z naddunajskimi, jeszcze w IX wieku. Napływ dopiero Madjarów i powstanie królestwa węgierskiego około 1000 roku, spowodowały rozdział polityczny pomiędzy obu gałęziami Słowian. Te to zdarzenia historyczne z czasów wcale już nie bajecznych, powinny dać pisarzom naszym, tém większy pochop do badań nad Słowiańszczyzną południową. Musiało tam pozostać wiele z naszych rodzinnych tradycji, z naszych starodawnych zwyczajów i obyczajów. Ale jakże je wynaleźć u narodów góralskich, gdzie tak się pomieszały plemiona i pojęcia? Ileżto błędów dopuścili się niektórzy Słowiańsi, formując systemata z materiałów tak jeszcze nie obrobionych.

Panowie Frilley i Wlahovity, kilka lat przebywali w Czarnogórze; pierwszy jako lekarz przy panującym księciu, drugi jako oficer serbski, powołany do organizowania wojska; mieli więc sposobność przypatrzeć się z bliska Czarnogórcom, poznać ich urzędzenia polityczne i społeczne, wnikać w ich obyczaje przechowujące się od pokolenia do pokolenia, w cieniu gór niedostępnych. Wszystko tu jeszcze nosi cechę pierwotną. Zajrzyjmy z autorami pod strzechę Czarnogórca. Siedziba ta świadczy już sama przez się o niskim stopniu jego cywilizacji. Jedyna w niej izba, służy zarazem za kuchnię, za sypialnię a nawet i za

stajnię. W pośrodku zapełnia ją ogromny komin otoczony ławkami dla gości i domowników. Oprócz drzwi nie ma w izbie żadnego otworu, to też dym grubym kłębem wije się wpośród ścian, wędzi mięsiwa porozwieszane u belek, i wygryza oczy mieszkańcom. Główny pokarm stanowi chleb z kukurydzy, ciężki, źle wypieczony, surowa cebula, kartofle i *kastradina*, czyli wędzone mięso baranie albo kozie. Wieczorem wewnątrz chaty malowniczy przedstawia obraz. Krewni i druhy zasiadają przy wielkiem ognisku. Jakiś przybysz ze świata opowiada przygody swoje: wszyscy pilnie słuchają, paląc ogromne fajki. Czasem jeden z obecnych, pochwyty w rękę guzłę, i przygrywając do taktu, śpiewa a raczej powtarza mierzonym głosem jakąś legendę miejscową, pełną zazwyczaj cudowności.

Lud to niesłychanie zabobonny, wierzy w pojawianie się tak czystych jak i nieczystych duchów, w postaci ognia lub potwornego węża, a co najczęściej w kształcie uroczej dziewicy *Wili*. Ta nieodstępna towarzyszka człowieka, podziela z nim wszelką radość i boleść, ostrzega o niebezpieczeństwie, wdziera się z nim na skały, zasiada niewidzialna przy domowem ognisku.

Wile krążą wiecznie wśród ludzi, mają one jednak siedzibę swoją na wysokości górze Lowszen, panującej nad doliną Cetyni. Górę całą zarosły pokrzywy i cierniska; wierzchołek jej pokryty wiecznym śniegiem; burza przebiega nad nim bez ustanku. Tam Wile tańczą koło, tam przywabiają mieszkańców z doliny, tam mają zakłete swe pałace.

Wila stawia dom dla siebie
 Ni na ziemi, ani w niebie;
 Na wierzchołku stromej góry,
 Tam troiste widzisz wrota:
 Ze szczerego jedne złota,
 Inne z pereł i purpury.

Tradycya południowo-słowiańska, tak wyprowadza początek Wili, odnosząc go do pierwszych dni świata po stworzeniu.

„Adam miał z matką Ewą trzydziestu synów i trzydzieści córek. Bóg zapytał go dnia jednego, ile ma dzieci? Zawstydzony ojciec nie śmiał przyznać się do tylu dziewcząt, zataił więc trzy, w mniemaniu że potrafi ukryć cośkolwiek bądź przed okiem Stwórcy. I otóż za karę Bóg zabrał mu trzy najpiękniejsze dziewczeczki i uczynił z nich Wile. Te błąkały się w przestrzeni, a ponieważ nie popełniły nigdy grzechu, plaga potopu wcale ich nie dotknęła. Uwiadomione o powszechnj kłęsce, weszły niewidzialnie do arki, aż kiedy gołąbka wróciła z gałązką oliwną, Wile wybiegły w przestrzeń, długo krążyły powietrznym szlakiem, wreszcie ujrzały piękny kraj serbski i zstąpiły na ziemię. Mówią one wszystkimi językami, lecz serbski milj od innych potraça im ucho. Wraz z ludem serbskim zostały chrześciankami, niewidzialne wchodzą do kościoła, wspierają rycerzy walczących za wiarę Chrystu-

sową, nienawidzą tylko Muzułmanów. Najpotężniejsza z Wil, imieniem Rawiola, przewodniczy zapasom wojennym.

Obok tych istot dobroczynnych, są inne złowrogie, które budzą ogólny postrach. Łatwowierny góral drży na samo imię Mory czyli Moryny, roznoszącej śmierć i zarazę. Błędny ognik napełnia go trwożą, zarówno jak echo, co powtarza głos jego własny. Największą jednak grozę budzi w nim straszliwy wilkołak, spragniony krwi dziewcząt i małych dzieci.

Czarnogórcy wierzą w ukazywanie się duchów po śmierci, w potęgę czarów i zaklęć, w psoty złośliwych czarownic. Aby uchronić się od ich wpływu, używają tysiącznych środków. Wyliczymy małą ich częstkę.

Wąż chowany w domu, przynosi szczęście, strzeże od złego, czuwa nad ukrytymi skarbami. Kto w noc Bożego Narodzenia przystroi drzwi gałązką bluszczową, kto w przeddzień Ś-go Jana skąpie się cały w rosie, lub potrze piersi olejem dziewiczym, ten na cały rok uchroniony od czarów. Kto w dniu Ś-go Jerzego zadmie w piszczałkę z kory figowej, temu czarownice nie zaszkodzą. Skacząc przez ogień w wigilią Ś-go Jana, zabezpieczyć się można od piorunu i od wpływu złych duchów. Dzwony rozpędzają burzę i oddalają czarownice ukryte wśród chmury. W dniu nawrócenia Ś-go Pawła, potrzeba bić siekierą w pień drzewa oliwnego, powtarzając: „Nawróć się jak Ś-ty Paweł na wiarę!” Kto tego zaniedba nie będzie miał owocu. W święto Niewiniątek, dzieci biją w tenże sposób winogrodowe krzewy. Masło zrobione w Dniu Zadusznym, niechybnym jest balsamem na rany i wszelkie cierpienia.

Z pomiędzy licznych świąt, dzień Bożego Narodzenia najuroczyściej obchodzony. Wspaniale obrzęd ten odbywa się w Cetyni. Książę z całą starszyzną, otoczony zbrojnym oddziałem, jedzie konno do lasu na górę Lowszen; tam odcina z drzewa najpiękniejszą gałąź, zwaną „bodniak.” Wszyscy czynią toż samo, poczem następuje tryumfalny wjazd do stolicy, przy strzałach i wesółych okrzykach. Wchodząc do pałacu, każdy z obecnych zostawia swój bodniak pod parkanem. W salach podłoga zaskana grubo słomą.

W każdym domu więcej czy mniej zamożnym, w ubogiej nawet chacie Czarnogórca odbywa się podobna uroczystość. Ilu jest synów w domu, tyle bodniaków roztawionych pod ścianą. Gospodyni przyrządza chleb praśny, piecze barana i wieprza na dni świąteczne. Gdy zapadnie mrok i wieczerza gotowa, gospodarz wnosi do chaty bodniak. „Witajcie—mówi do obecnych—życzę wam siła lat!” „Amen!” odpowiadają wszyscy. Ojciec wtedy kładzie gałąź na ognisko, każdy syn mieści swoją, prawem starszeństwa. Na tak ułożony stos ojciec leje z butelki wino, tworząc niemi krzyż, wysypuje garść ziarna, błogosławi dzieci i czeladkę, obecnych i nieobecnych, zbiory i prace rolnicze. Następuje wieczerza: wszyscy ją spożywają, siedząc na ziemi potrząśniętej

słomą lub sianem. Na stole tymczasem, płoną trzy świeczki zatknięte w chleb, na chwałę Trójcy Świętej.

Ogień płonie całą noc, rodzina czuwa przy nim; ilekroć który bodniak pęknie na ogniu, młodzież wybiega przed dom, strzela z pistoletu i woła: „Niech żyje nasz gospodarz!” Wielki tylko bodniak, położony przez ojca po lewej ręce, nie powinien spłonąć do reszty, ma bowiem służyć do zapalenia ognia w wigilią Nowego Roku. Trzy dni trwa uroczystość, sąsiedzi odwiedzają się nawzajem, jedzą i piją, strzelają z pistoletów. Przy powitaniu gość uderza kijem w bodniak płonący na ognisku i mówi patrząc na sypiące się iskry: „ile tych iskier, tyle daj wam Boże krów, baranów i koni!”

Jak wszystkie ludy pierwotne, Czarnogórcy posuwają gościnność do najwyższego stopnia. Od chwili, gdy obcy przybysz przestąpił próg domu, osoba jego staje się nietykalną i świętą. Ojciec rodziny sadza go przy sobie za stołem; starsza córka obléwa mu ręce wodą, stawia przed nim jadło i napoje.

Wierny w przyjaźni, Czarnogórzec równie jak Korsykanin, nie-prześląganym jest wrogiem; zemsta pierwszém prawem dla niego: obowiązek jój przekazuje synom na śmiertelnój pościeli. „Kto się nie pomści, ten się nie uświęci,” mówi przysłowie. Ząb za ząb, oko za oko to nie dosyć jeszcze dla Czarnogórca; kara musi przewyższyć krzywdę. Ztąd téż pokrzywdzony wciąż nastaje na zgubę nieprzyjaciela; to puszcza z dymem jego dom i dobytek, to wycina mu drzewa w sadach i kłosa w polu, gotów każdej chwili dopuścić się zbrodni, na nim, jego dzieciach lub krewnych. W razie popełnionego mordu, góral nurza we krwi koszulę zabitego, niesie ją do domu, zawiesza na belce i trzyma ją tam, dopóki nie spełni zaprzysiężonój pomsty.

Czasami jednak następuje zgoda dwóch wrogich sobie rodzin. Ceremoniał pojednania odbywa się nadzwyczaj uroczystie. Najprzód rodzina mordercy prosi o kilkotygodniowy rozejm. Otrzymawszy go, wyprawia w poselstwie dwanaście młodych niewiast; każda z nich ma na ręku niemowlę. Przekroczywszy prógi zabitego, niewiasty kładą dzieci na ziemi, same zaś płaczą i zawodzą, błagając litości w imię Ś-go Jana Chrzciciela, patrona świeżo ochrzczonych dzieci. Krewni zmarłego zrazu zimni i nieprzystępni, pomatu jednak zbliżają się do niemowląt, kładą na ich rumianych twarzyczkach pocałunek pokoju. Następuje sąd, złożony ze starszyny wiejskiej, wreszcie kończy się wszystko biesiadą i uroczystém prześląganiem. Biesiadnicy tańczą *kolo*, w chwili umówionój pętza ku nim morderca na czworakach, ma nóż zawieszony u szyi. „Przebaczcie!” woła po trzykroć donośnym głosem. Obecni cofają się ze zgrozą, nie przerywając pługów. Najbliższy krewny nieboszczyka, wzywa sędziów, aby wypędzili mordercę. „Przebaczcie w imię Boga!—zawoła zbrodniarz.—Wtedy ustaje taniec, słyhać tylko jęki i łkania. Prześlągany tém krewny, podnosi z ziemi winowajcę, odbiera mu broń, przyciska go do piersi.

—Patrzcie!—woła zwracając się ku obecnym—ten człowiek był mi nieprzyjacielem, od dziś już nim nie będzie. Powitajmy w nim brata.— I wyrzekłszy to przelamuje z nim srebrny pieniądz. Po tej ceremonii najstarszy sędzia ogłasza wyrok, oznaczając cenę krwi, na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu złotych cekinów. Jedna część tej summy idzie na kościół, druga pokrywa kosztą sądu, trzecia przypada pokrzywdzonej rodzinie. Obrzęd ten zowie się *krwarina*.

Wszystkie w ogóle obrzędy domowe Czarnogórców, zachowały tradycyjne piętno, sięgające głęboko w przeszłość. Najcharakterystyczniejszym z nich obrzęd zaślubin na szczególną zasługuje uwagę. Kiedy młodzieniec upatrzy sobie dziewczę, wyznaje to ojcu i starszym z rodziny; ci obowiązują się prosić o nią rodziców. Śpieszą więc do ich domu, umowa toczy się przy kieliszku wina lub wódki; ojciec prosi o zwłokę, chce pomówić z córką, nim ostatnie wyrzeczce słowo. W dniu oznaczonym przybywają znów goście, zasiadają do stołu; piją potrzykroć, wreszcie starszy dziewosłab daje kielich dziewczynie: jeśli przyjmie, znak to pomyślny. Wtedy dziewosłab wręcza jej jabłko z wetkniętą sztuką srebra lub złota. Dziewczyna oddaje jabłko ojcu; następuje umowa ostateczna. Pan młody wybiera dziewierzy i swatów między młodzieżą wiejską.

W dniu godowym o świcie, drużyna wyrusza konno do domu weselnego, prowadzi luźnego konia dla panny młoděj. Przewodniczy jój młodzian z chorągwią w ręku, zwany *bariaktar*. Młodzież cwałuje przy wesolej pieśni i strzałach. W połowie drogi spotyka takiz sam orszak, wysłany przez rodziców dziewczęcia. W chwili gdy dwa oddziały stają naprzeciw siebie, dwaj *bariaktary* pomykają naprzód, udają zacięty boj, poczem zsiadają z koni ściskają się i strzelają w powietrze. Wszyscy razem przybywają do domu panny młoděj; w progu czekają krewni, nie ma tylko rodziców. Na okrzyk dziewierzy nadchodzi matka. Zdraża się zrazu, po długich ceregielach oddaje wreszcie córkę. Tlum weiska się do izby. W pośrodku stoi wielka, malowana jaskrawo skrzynia, tu każdy z obecnych składa swój datek, jakiś strój lub sprzęt gospodarski. Drużny tymczasem ubierają dziewczynę: koszulka jój haftowana barwisto, kaftanik aksamitny suto ubramowany złotem, przejrzysty rąbek zastania jój twarz i ramiona. Po uczcie rodzina i krewni oddają pannę młodą w ręce swatów, ci w tryumfie wiodą ją do wsi, gdzie mieszka oblubieniec. Wstępują najprzód do kościoła: tu odbywa się obrzęd ślubny.

Przed domem nowe ceremonie. Starszyzna czeka w progu, jeden z obecnych trzyma na ręku dziecię; świekra podaje synowej jabłko, które ta przerzucić musi przez dach na drugą stronę chaty. Gdy próba się nie uda i jabłko upadnie w miejsce zkąd było rzucone, smutny to znak waśni domowych.

W każdym razie i bez tych nawet waśni, smutną jest dola niewiasty czarnogórskiej: klątwa ciąży nad jój kołyską i ściga ją do grobu. Gdy dziewczę przyjdzie na świat, dom cały smuci się i wstydzi. Ojciec za-

gadniony „co Bog dał?” odpowiada nieśmiało: „z przeproszeniem, to tylko córka!” a częstokroć rzecze: „to zmija!” I dziewczę rośnie zaniedbane: wszyscy nią pomiatają! Małą jeszcze i słabą zaprzęgają do pracy, wysyłają po drwa do lasu; barki jęj nagięte, głowa pochylona ku ziemi; na licu szesnastoletnich nawet dziewcząt nie dopatrzeć rumieńca: rysy dwudziestopięćioletnich kobiet rażą przedwczesną zgrzybiałość!

Nic smutniejszego jak pożycie czarnogórskich małżonków. Okrutny mąż bije żonę bez najmniejszej przyczyny, jedynie tylko dla okazania przewagi swojej nad nią. Nie zowie jęj nigdy po imieniu, nie rozmawia z nią wcale; opuszcza dom bez pożegnania: oddalony nie daje znać o sobie. Żona zapytana jak się zowie mąż, odpowiada ze śmiechem „ja nie wiem: niechaj go czarci porwą!”

Tak od dziecka sponiewierana kobięta, zatracca w duszy wszelkie uczucie, obojętnieje na wszystko. Choroba męża, śmierć nawet, wcale ją nie obchodzi. Gdy Czarnogórzec zachoruje, krewni i druchy otaczają go i pielęgnują, żona tymczasem krząta się jak zwykle około domu; nie przystąpi nawet do łoża, nie okaże najmniejszej troskliwości: czeka spokojnie ostatniej chwili. Gdy mąż skona, wówczas dopiero zawodzi z drugimi nad trupem, w głośnych okrzykach wystawia tylko odwagę zmarłego, przypomina zdobyte przezeń tupy.

Pieśni ludu podnoszą jednak dzielność czarnogórskich niewiast w zapasach przeciw Turkom. Jakoż w rzeczy samęj, w każdej wojnie kobiety czynny biorą udział. Oneto zanoszą do obozu żywność i łądunki, pod gradem kul opatrują rannych, słowem stanowią jakoby armią posiłkową. Odwaga ta ina zapewne piękne strony, lecz w wielkiej części łączy się do nięj rozpaczliwa pogarda życia, wystawionego na tyle prób od kolębki do grobu!

Kiedy przed dwoma laty professor Caro mianowany został członkiem akademii francuzkiej, powiedziano dowcipnie, że wybór ten ma charakter zadosyć uczynienia, że akademia wybierając słynnego spirytualistę, chciała przebłagać Boga za pomieszczenie w gronie swojęm Littręgo, naczelnika szkoły francuzkich pozytywistów. Podwójny ten wybór nadał tęż akademii charakter dziwnie eklektyczny. Ktoby chciał wierzyć w jakąskolwiek solidarność wielkiego ciała naukowego, zobaczyłby dziś z podziwieniem dwie nowe prace podpisane przez dwóch akademików, wprost przeciwne duchem i dążnością. Jedną z nich przedmowa Littręgo do *Pamiętników Głupca* (*Memoires d'un Imbecile* p. Noel). Filozof-pozytywista szydzi tu z wszelkich tradycyji, ponieważ teologia i metafizyka, zowiąc te nauki pozostałościami dawnych wieków, a stawiając w ich miejsce *krytykę socyologiczną*, ostatni plód nowoczesnej ewolucyi.

Druga praca w zupełnie przeciwnym kierunku, jest tylko co wydane dzieło profesora Caro, pod tytułem: *Problèmes de la morale sociale*. Wymowny spirytualista wyzywa do zapasów materyalizm dzisiej-

szy walczący pod różnemi sztandarami: darwinizmu, pozytywizmu, determinizmu i t. d. Stoi on śmiało na gruncie przeciwników, pozostawia na boku religijne swe przekonania, siłą najściślejszej loiki zbija nihilizm słoniący się płaszczem naukowym.

Autor pokazuje najsamprzód niedostateczność tak zwanéj *moralności niepodległej*, całą potęgą rozumowania przeczy racyonalistom, którzy na prawach czysto fizyologicznych opierają „najwznioślejszą z moralnych zasad: bohaterstwo uczucia i ofiary.” Według nich wszelka ofiara jest czynem prostéj sprawiedliwości. „To błąd, odpowiada professor; sprawiedliwość ofiarą nie jest: gdyby nią była, straciłaby właściwy swój charakter, stałaby się prostym obowiązkiem, nie zaś wyptywem wolnéj woli.”

Na szczególną uwagę zasługuje rozbiór zasad szkoły ewolucyjnéj, dla której zwierzęcy rodowód człowieka jest dziś niezbędnym pewnikiem. Według téj szkoły „*Simiady rozpadły się na dwa wielkie pnie: na małpy starożytnego i małpy nowożytnego świata.*” P. Caro pokazuje całą nieloiczność téj hipotezy, a potem rozbiera teorią Darwina ze stanowiska filozoficznego. Jakim sposobem, pyta on, demokraci, głosiciele równych praw człowieka, mogli zawrzeć sojusz z najarystokratyczniejszą w świecie szkołą, która gardzi tłumem, a odnosi tylko prawo selekcyi do wybranych jednostek. i nierówność społeczną stawia jako niezbędny warunek postępu? Wspólna dążność anti-religijna i anti-spirytualna, oto węzeł utrzymujący tę koalicję ultra-demokratów i darwinistami; związek to potworny, gdyż cała przepaść rozdziela w zasadzie obie strony.

„Moralność ewolucjonistów—mówi Caro—opiera się wyłącznie na selekcyi. Tym sposobem ideałem postępu byłaby jakaś stadnina ludzka (*harras humain*)! Kto wie czy w społeczeństwie opartém na podstawie téj nauki, Paskal, słaby i chorowity Paskal, otrzymałby prawo do istnienia i geniuszu!” Na poparcie tych słów, professor przytacza zasady Spencera naczelnika szkoły darwinistów. Według niego dyktatura nauki i tych, którzy ją przedstawiają, musi pomatu zniszczyć dla dobra ludzkiego rodzaju, tłumy słabych ciałem, głupich i niedośćgów.

Z kolei rzeczy, Caro zbija szkołę determinizmu, która w imię fizyologii zwalnia człowieka z wszelkiéj odpowiedzialności za czyny *zwane dotąd niewłaściwie zbrodniami*, i wygłasza *wielką amnestyą naukową*. Jeden z koryfuszów téj szkoły Moleschott, utrzymuje, że sędzia podpisujący wyrok śmierci na zabójcę, winniejszym jest od zdekreowanego, gdyż nie może się tłumaczyć *koniecznością organiczną namiętności*. Wprawdzie politycy téj sekty usiłują pogodzić jéj zasady z istniejącym stanem społecznym; dowodzą oni, że prawo zachowawcze, nakazuje wyłączyć ze społeczeństwa jednostkę *praktykującą przewrotność*, równie jak wyłącza z armii garbatego, nie widząc przecież zbrodni tak w kalectwie fizyczném jak moralnem. Caro silnie powstaje przeciw temu. „Odpowiedzialność społeczna byłaby potwornością—mówi on—gdyby

odpowiedzialność moralna nie istniała. W tym systemacie zresztą prawo zachowawcze bardzo względne i elastyczne. Gwałciciele istniejącego dziś porządku, mogą uważać się za zwiastunów przyszłego stanu rzeczy. Złodzieje na prawie determinizmu, mogą żądać uchylenia kary, biorąc za zasadę, że historyczny okres własności wyczerpany już i skończony, że po nim nastąpi nowa era społeczna."

Wymowny moralista nie wątpi jednak o rychłym tryumfie zdrowych idei, nad szalonymi utopiami, w jakie uplątała się obecnie myśl ludzka. „I czémże są, pyta w końcu, te chwilowe przesileuia; czém te obłądki niektórych dusz, w obec ludzkości całej? Czémże jest to zamienienie idei Bożej, w obec historii świata? Gdyby inaczej być miało, trzeba by rozpaczać, nie o ludzkości całej, lecz o krajach zarażonych tym moralnym tyfusem! Nie daj Boże, aby do tych miała należeć ojczyzna Bossueta, Joanny d'Arc i Św. Wincentego a Paulo!"

Współczucie jakie mamy dla Francuzów, tych pracowników po-dążających zawsze naprzód z zapałem i niezmordowaną wytrwałością, współczucie to nie zaślepia nas bynajmniej na ich błędy. Jednym z tych błędów jest pobieżne niekiedy zapatrywanie się na to, co wychodzi po za obręb ich kraju. W skutek tylu kłesk doznanych od Niemców, Francuzi zaczynają dziś gruntownie badać sąsiadów swych zareńskich, pod względem etnograficznym i naukowym. Przed ostatnią wojną i pytania dotyczące się Słowiańszczyzny, znalazły też uczonych, którzy wzięli je za specjalny przedmiot badań. Był to początek, ale początek wróżyący wiele dla przyszłości. Dziś wszystko poszło w zapomnienie, tak dalece, że poglądy obecne w wielu względach błędniejsze są niż były kiedykolwiek.

Pobudkę do tych uwag dała nam tylko co wydrukowana książka, przeznaczona dla szkolnej młodzieży p. t. *Histoire abrégée des principales literatures de l'Europe ancienne et moderne*. Autorem jęj p. Buron prof. literatury i to od lat trzydziestu! Co ważniejsza, praca jego uwieńczoną została przez Towarzystwo nauk elementarnych! Ostatnia okoliczność zachęciła nas do przepatrzenia książki: ciekawi byliśmy jak też prof. ocenił naszą literaturę, dla pożytku młodzieży i starszych nawet czytelników, gdyż dziełko swoje zaleca on jako kompendyum wszystkich literatur europejskich!

Tytuł kompendyum, może być mniej więcej zastosowany do piérwszej części, poświęconej literaturze starożytnych Greków i Rzymian. Ta część dosyć szczegółowo traktowana: filologom francuzkim trudno zarzucić nieświadomości w tym przedmiocie.

Drugi dział poświęcony literaturze francuzkiej, starannie też opracowany; włoska i hiszpańska traktowana bardzo pobieżnie, równie jak niemiecka i angielska; ale bądź co bądź wymienione w nich przy-najmniej nazwiska głównych pisarzy, i tytuły dzieł donioślejszych.

Zobaczmy teraz co prof. Buron wie o naszej literaturze: nie czynimy zarzutu, że ją streścił na trzech tylko stronniczkach; i z trzech

stronniczek dowiedzieć się czegoś można, jeżeli pisane sumiennie, ze znajomością rzeczy. Zdaje nam się jednak, że w stosunku do literatury niemieckiej, obejmującej trzydzieści trzy stronic, możnaby poświęcić chociażby dziesięć bogatą literaturze polskiej. Nie skarżymy się jednak: Szwecya i Dania bardziej od nas upośledzone w owym tak zwanym kompendyum, autor bowiem nie dał im osobnego działu. Edę i Sagi włączył poprostu do literatury niemieckiej. Po takim amalgamacie Niemców ze Skandynawami, dziwimy się czemu Holandya pozyskała osobne miejsce?

Prof., naszą literaturę zaczyna od Biblii, jakoby przetłumaczoną dla *pięknej Jadwigi córki Kazimierza Wielkiego* (!) Pierwszy to, według niego pomnik literatury polskiej. „Przed Mieczysławem, który przyjął chrześcijaństwo, Polacy *pisać zapewne nie umieli, a więc nie posiadali żadnej literatury.*” O tradycjach i pieśniach ludu, nie znajdujemy nawet wzmianki; szczupłość ram nie tłumaczy takiego zaniedbania, inne bowiem literatury, autor zaczyna od niepiśmiennych *bylin* i t. p.

Cała literatura polska w pięcio-wiekowym pasmie, przedstawiona w szesnastu autorach. Zobaczmy imiona tych wybranych. Szereg ich rozpoczyna Grzegorz z Sanoka, filozof i badacz przyrody. Po nim idzie Maciej z Krakowa, rektor akademii pragskiej i paryzkiej. Trzecim z rządu „sławny Twardowski zbiegły do Niemiec w skutek przesładowania za czarnoksiężstwo, i tam przezwany Faustem: nazwa Faust czyli Fest, odpowiada wyrazowi *twardy.*”

Występuje potem Mikołaj Kopernik *Galileusz Polski*, „sławny astronom, filozof i literat.” Znać dzieło Flamaryona o Koperniku nie przebrzmiało bez oddźwięku we Francyi. Do uznania polskiej narodowości wielkiego astronoma, przyczynia się wielce rozbudzona nienawiść ku Prusakom.

„W XVI wieku, ciągnie autor, dwa uniwersytety założone w Wilnie i Zamościu, przez Bałorego i Jana Zamoyskiego, sprowadziły wiek złoty literatury polskiej. W tym złotym wieku zakwitło imię Zofii Oleśnickiej, obok Reja z Nagłowic *ojca poezyi narodowej.* Zasługuje także na wzmiankę Jan Kochanowski przezwany polskim Pindarem, i ksiądzem polskich poetów.

„Z wstąpieniem na tron Zygmunta III, zaczyna się epoka upadku. Błyszczą jednakże *talentem literackim* (!) Skarga, sławny kaznodzieja ówczesny, i Sarbiewski zwany Horacym polskim, uwieńczony w Rzymie przez Urbana VIII.

„W XVIII wieku, ciągnie autor, ze Stanisławem Konarskim, literatura odradza się w Polsce pod opieką dwóch królów: Stanisława Leszczyńskiego, i Stanisława Augusta. Dom książąt Czartoryskich bierze udział w tém literackim odrodzeniu; książę Adam staje się mecenasem uczonych: pisze sam pełne smaku *dramata narodowe.*”
O Zabłockim nie widzimy ani wzmianki!

„W pośród pisarzy XVIII wieku, dodaje Buron, przyświecają szczególnie dwie kobiety: Elżbieta Drużbacka sławna poetka i Franciszka Radziwiłłowa, autorka cenionych dramatów i komedyi. *Obok nich* główne miejsce na parnacie polskim zajmuje Fr. Dyonizy Kniaźnin, i Ignacy Krasicki arcybiskup gnieźnieński. Krasicki celuje w malowaniu śmieszności. Poemat jego *Monachomachia*, napisany na żądanie Fryderyka II króla pruskiego, *zjednał mu nazwę polskiego Woltera (!)*” Ani słowa o bajkach i satyrach.

Wyliczyliśmy już piętnaście imion, które autor wybrał na chybił trafił z panteonu narodowej sławy naszej. Jedno tylko imię pozostało na uczczenie XIX wieku. Tém imieniem jak łatwo zgadnąć, jest imię Adama Mickiewicza. Wybór najstuszniejszy, ale czyż obok niego nie należało wspomnieć chociażby kilku innych? Prof. tymczasem, pobieżną ledwie wzmianką, zbywa okres tak wielki w literaturze i poezji naszej. „*W XIX wieku*, mówi on, *byli także w Polsce pisarze i poeci (!!!)*.”

Przyznać trzeba, że jeśli na trzech stronicach, autor mało zebrał szczegółów i mało imion, umiał za to nagromadzić niesłychaną moc błędów, których podnosić nawet nie warto, tak są bijące w oczy.

W tej chwili wpada nam w ręce inne dzieło, poświęcone także historii literatur zagranicznych, p. Alfreda Bougeault. Literatura polska obejmuje tu siedmdziesiąt stronic! Nie omieszkamy zdać sprawy z tój wielkiej dwutomowej publikacyi.

Dowiadujemy się także, iż nakładca Cherbuliez, który od dwóch lat wydaje całą seryę współczesnych literatur, ma wkrótce ogłosić *Literaturę Polską* w jednym tomie. Znamy już cztery wydane tomy, traktujące o współczesnym rozwoju literackim w Anglii, we Włoszech, w Rosyi i w Hiszpanii. O dziełach tych wspominaliśmy już kolejno: wszystkie pisane przez krytyków realistycznej szkoły. Literatura nasza osądzona według takiego kryterium, straci niewątpliwie całą doniosłość swoją. Nie wiemy dotąd kto jest autorem zapowiedzianego dzieła.

Zwolennicy szkoły frankofobów naszych, przeciw którym wystąpiliśmy w kronice styczniowej, gotowi nas złapać za słowo i zarzucić nam nieloiczność, skoro sami powstajemy na Francuzów, traktujących tak pobieżnie obce literatury. Aby uprzedzić podobny zarzut, powiemy tu, że nie uważamy bynajmniej Francuzów za nieomylnych; znamy dobrze ich błędy, i pokazujemy je bez wahania, ile razy mamy do tego słuszny powód. Ale z drugiej strony, oceniamy też wielkie zasługi francuzkiego narodu, jego niesłychaną żywotność, niezmordowaną wytrwałość w pracy. Te zalety, położone na szali obok błędów, jakże ją silnie przeważają! W znajomości własnego kraju, czyto pod względem historii czy geografii i literatury, Francuzi stanęli wysoko: wartoby innym ludom naśladować ich przykład.

Mamy oto pod ręką znakomitą pracę, tylko co wyszłą z druku, p. Levasseur profesora geografii w kolegium francuzkiém. Dzieło to pod tytułem: *Francya i jój kolonie* obejmuje 850 stronic; dołączone do tekstu mapki i rysunki w liczbie 174, nie mało je rozjaśniają.

Uczony profesor w dziele tak poważném i głębokiém umiał ożywić swój przedmiot, nie obciążając go zbytęcznie suchą erudycją. Przemawia on do wyobraźni czytelników, rozbudza w nich myśl, urabia samodzielny sąd, zaciekawia i uczy.

„Geografia, mówi autor we wstępie, powinna być nietylko opisem ziemi, ale zarazem ma dać poznać jój przyrodzone bogactwa; nie tylko ma oznaczać podziały polityczne, ale niemniej wykazać przyczyny tych podziałów. Zadaniem jój obliczyć zasoby rolnicze, rękodzielnicze, handlowe, jakie przemysł ludzki stworzył, obracając na swój pożytek produkcyjne siły przyrody. Ziemia jest polem działalności człowieka. Po zbadaniu jój historii i płodów, ostatnim celem geografa, dać poznać stan materyalny i moralny ludności, wypływający już to z wrodzonego usposobienia, już to z owój ziemi, na którój żyje.“

Autor wylicza poważne źródła, z których czerpał swoje wywody. W geologii opiera się na mapie Eliasza de Beaumont, w historii z czasów pierwotnych na pracach nowych antropologów, z epok późniejszych, na dziełach Henryka Martin, Guizota, Sismondego, w dziale ekonomicznym i administracyjnym na raportach bióra statystycznego, co do kolonij, na publikacjach ministeryum marynarki.

„Pomimo wielkich starań, dodaje w końcu professor, wiemy że w pracy tak obszernój niepodobna było nam uniknąć nie jednego błędu. Wdzięczni będziemy każdemu, kto zechce nas oświecić.“

Skromność to godna uczonego i sumiennego pracownika.

Nie naszą rzeczą rozszerzać się nad dziełem takiej wagi; poprzestajemy tylko na prostém jego zaleceniu. Trudno nam jednak pominąć znakomitą a tak wymowną konkluzją, przytaczamy ją tóż dosłownie.

„Na terytoryum większém niż Francya dzisiejsza, 10,000,000 Gallów żyło ubogo przed dwudziestu wiekami, nie mając czém wyżyć, zmuszeni byli do częstych migracyi, a nie będąc w stanie obronić ziemi własnej, ponosili bezustanne najazdy. Wystarczyło Cezarowi 80,000 ludzi, aby pobić Gallów, znanych z siły ramienia i zagarnąć ich ziemie.

„Dziś na przestrzeni 53,000,000 hektarów, stanowiących część tego terytoryum, a więc postawionych w tychże samych warunkach, 36,000,000 ludzi używa ze względną obfitością darów życia przyjemnych i pożytecznych. Ziemia dostarcza im hojnie wszelkiego pożywienia, zaopatruje ich w opał i surowe materyały do rozwoju przemysłowego. Handel ułatwia sprowadzenie płodów ze wszystkich części świata. Tak pod względem materyalnym jak intelektualnym, żyją w warunkach nierównie korzystniejszych niż starożytni Gallowie. Zawdzięczają te korzyści nie tyle przyrodzie, gdyż ta pozostała prawie tém

czem była, ale cywilizacyi, to jest postępom, które człowiek dokonał sam nad sobą, jak niemniej, na drodze poznania i spożytkowania sił przyrody.

„Wiele przecież pozostaje nam jeszcze do czynienia, nie dlatego tylko, że będzie zawsze obowiązkiem przyszłych pokoleń, rozwijać i doskonalić stan rzeczy, jaki przypadnie im w udziale; lecz i dlatego, że Francya dziś szczególniej potrzebuje odrodzić się poczuciem powinności, praktykowaniem wolności indywidualnej, poszanowaniem prawnie istniejącej władzy, miłością ojczyzny i rodziny, wreszcie usilną a wszechstronną pracą.

„W każdym klimacie i na każdej ziemi, główne bogactwo kraju stanowi jego ludność; ta zaś nabiera wagi przez siłę produkcyjną, to jest przez pracę, przez kapitały, które są oszczędzonym jej owocem, a które podnoszą właściwą wartość ziemi; nakoniec przez rozwój inteligencyi i moralności.

„Aby warunki ekonomiczne Francyi poprawiły się w stanowczy sposób, potrzeba przedewszystkiem, aby wzrastała twórcza działalność, która produkuje, moralność, która prowadzi do oszczędności, tego źródła kapitałów, a odwraca od gonienia za nieuczciwym zyskiem; moralność powtarzamy, co rozbudza w sercach miłość dobra i miłość kraju: wreszcie instrukcyja, która na jakimkolwiek stopniu, i w jakiejby formie, uczy zawsze wydobywać jaknajwiększą korzyść z przyrody, pracy i kapitału. Aby zaś pomyślne warunki ekonomiczne, raz zdobyte, stale się utrzymywały, potrzeba równie pomyślnych warunków politycznych, to jest aby na wewnątrz panowała harmonia, między siłami indywidualnymi czy zbiorowemi, co tworzą społeczeństwo, i aby na zewnątrz, całość tych sił narodowych, kierowana mądrze, nakazywała poszanowanie cudzoziemcom!“

Dzięki gorliwości sekretarza, który umie zrećnie eksploatować publiczność francuską, imię Sainte Beuve'a powtarza się bezustanku na okładkach nowych książek. Ośm lat upłynęło już od śmierci krytyka, a widzimy co chwila pojawiające się, to jakieś listy, to sprawozdania, oddrukowane z dawnych gazet, to porozpoczynane artykuły, to rzucane dorywczo notaty i. t. p. „Dosyć już tego!“—woła publiczność, a jednak ulegając sile nałogu, czyta owe świstki pośmiertne, a w miarę jak je czyta, nowe sypią się jak z rogu obfitości. I teraz oto wyszedł zbiór notatek pod tytułem *Cahier de S-te Beuve*, wydany przez pana Troubat, sekretarza i spadkobiercę zmarłego. Byłoby to istne *Silva rerum*, gdyby godziło się zwać lasem, zarośla złożone z samych ciernisk, głogów i palących pokrzyw. Ileż tu kołców! ile jadu! ile gorzkiej złości! Czego sceptyczny krytyk nie śmiał wypowiedzieć na głos, aby nie drażnić zbyt publiczności, to zapisywał cichaczem w kajecie. Nikomu nie przebacza, z każdego szydzi bez miłosierdzia, nikt ze współczesnych nie uszedł jego chłosty.

Sława Janina, przezwanego księciem krytyków, była mu jak wiadać solą w oku: najostrzejsze też pociski wymierza przeciw niemu. To go zowie skoczkiem na linie, to bezmyślnym gadułą szafującym pustemi frazesami. „Janin pędzi lokomotywą, mówi złośliwie, ale ostatni wagon, (t. j. idea) odcepieja się zazwyczaj i pozostaje w miejscu” Według S-te Beuve'a, Wiktor Hugo to genialny osioł, co jak raz wlezie pomiedzy osty, to chłoszcz kijem, a nie poruszy go z miejsca! Montalembert, to dzieciuch, to żak niedouczony. S-te Marc Girardin, to człowiek bez serca; fałszywa nuta brzmi w każdym jego słowie. Wiktor Cousin, to prosty komedyant, filozof co naucza drugich, a sam nie umie myśleć. Quinet to malarz, co kreśli obrazy nie farbą ale dymem; Mignet, to kot co umie przesunąć się przez rynsztok i nie zatrzyma śladu błota na skórze. Lamartine i Alfred de Vigny, to pyszni zarozumialcy; pierwszy ma się za archanioła, drugi za serafina; pysniejszy od nich Pierre Leroux, mieni się samym Bogiem. Guizota stawia na czele tych frazeologów i filozofów z trybuny, którzy gubią Francją. „W ich ustach *sprawiedliwość, porządek, cywilizacya*, a nie wiedzą czem jest życie narodu!” Mówiąc o historyi Guizota, wyraża się sarkastycznie: „Sternik co doprowadził okręt do rozbicia, maż prawo uczyć nas żegluga?”

O Mickiewiczu znajdujemy też wzmiankę, wprowadzie mało znaczącą, ale najmniejsza drobnostka nabiera wagi, gdy się tyczy wielkiego Adama. Oto wyjątek z listu do pani ***, z czasów gdy nasz poeta miał katedrę w Lauzannie. „Dowiedziałem się z chlubą, że pani czytujesz z Mickiewiczem moje wiersze. Bo też to największa chwała dla zmarłego lub nieobecnego poety, kiedy żywi i szczęśliwi czynią z ich słów przygrywkę do własnych myśli, uderzając w nie, jakby w akord fortepianu. Wszystko oddałbym w świecie, gdybym mógł czytać z panią jego Farysa, lub sonet kończący się na Ah! gdybyś mi przerwała uśmiechem i spojrzeniem!”

W tym steku aforyzmów, częstokroć paradoksalnych, połyska czasem prawda. Uwagi rzucane tu i owdzie o roku 1848, pokazują umysł przenikliwy. „Politycy ostatnich czasów—mówi krytyk—grali w szachy na grzbiecie wieloryba, to jest ludu. Szachownica poruszyła się nagle i djabeł porwał pionki!”

W inném miejscu czytamy ważniejsze jeszcze słowa: „Pod wielkimi frazesami: cywilizacya, porządek europejski, kryje się strach, podłość, osobisty interes, brak zupełny uczucia narodowego. Chcą nas przekonać, że wojna już niepodobna, że nowa era wiecznego pokoju, według ideologa S-te Pierre, już się rozpoczęła na ziemi. A oto przyjdzie chwila, kiedy naród zepsuty wewnątrz, rozmiękczone marzeniem o pokoju, przepojony sofizmatami filantropijnymi, spotka się oko w oko z nieprzyjacielem uzbrojonym, potężnym, samolubnym. Jak mu wytrwać w zaciętej walce?” Słowa te nakreślone były w styczniu 1848 r. Nie doczekał S-te Beuve chwili, kiedy w lat dwadzieścia dwa potem,

miały się sprawdzić w tak smutny sposób! Umarł na rok przed pruską wojną.

Połowa kajetu zapełniona wypisami z greckich i łacińskich autorów, dla których krytyk większe miał poszanowanie, większą miłość, niż dla współczesnych braci. Wystawia szczególnie geniusz Greków, podnosi niezrównaną loicność ich mowy, do jakiej żaden naród nie dorósł. Oto jego słowa: „Wszelka wiedza pochodzi z daru obserwacyi i z doświadczenia. *J'ai vu, je sais* (widziałem, wiem), te dwa wyrazy były blizkoznaczone u Greków!” Szkoda, że S-te Beuve z poezyi Mickiewicza zrozumiał tylko Ah! inaczej poznałby, że i u nas istnieje ścisły związek pomiędzy słowami *widzieć* i *wiedzieć*. Dziwimy się że krytyk, filolog, nie porównywał słów w trybie bezokolicznym, byłby znalazł równą analogią we francuzkim *savoir* i *voir*.

W liczbie zapisanych aforyzmów znajdujemy jeden, bardzo trafny: „Walą dziś wszystko na biédnego czytelnika, przepelniają biografie drobnemi, zbyt osobistemi szczegółkami. Słusznie powiedziano, kiedy prosisz gości na obiad, nie prowadź ich do jadalni przez kuchnię.” Dziwimy się że sekretarz nie zwrócił uwagi na te słowa mistrza swego. W takim razie nie byłby publikował kajetu, który nie jest czém inném, jak literacką kuchnią Sainte Beuve'a. Są tu jakieś resztki przysolonych i przypieprzonych sosów, których krytyk nie chciał lub nie miał czasu spożytkować. Wydanie ich na widok publiczny, uważamy za zniewagę pamięci zmarłego autora.

W świecie archeologicznym zaszedł w tych czasach wypadek, który w odmienny sposób porusza umysły Niemców i Francuzów. Pierwsi wściekają się z gniewu, drudzy oddają wet za wet nieprzeblaganym wrogom, szycząc z łatwowierności professorów niemieckich. Rzecz jest taka. Cesarz Wilhelm zakupił do berlińskiego muzeum wielką kolekcją starożytności moabickich. Ocenieniem zbiorów zajmował się głównie uczony starożytnik Schlottman. Otóż okazało się, że te wyroby ceramiczne, pokryte fantastycznemi napisami, nad których wycytaniem smażyli sobie głowę archeologowie niemieccy, że cały ten panteon cynicznych Baalów i Astart, jest dziełem żyjących dziś garncarzy.

Fałszerstwo odkrył p. Clermont-Ganneau, starożytnik francuzki, ten sam, który przed kilku laty wzbogacił muzeum Luwru odkrytym przez siebie sławnym moabickim pomnikiem, znanym pod nazwą *Stela króla Mezy*. Uczony ten będąc w Palestynie r. 1873, dowiedział się, że wielki ładunek starożytności tylko co wysłany został do Berlina. Wyśledził niemniej nową seryą bożków moabickich, przygotowanych dla nowego nabywcy. Widząc oczywiste szalbierstwo, podjął tę rzecz w pismach specjalnych. Rozgniewani Niemcy, nuż w krzyk na zarozumiałość francuzką. P. Clermont-Ganneau tknięty tém do żywego, postanowił wyśledzić do gruntu całą sprawę, i w końcu dokonał, że garncarze sami przyznali się do winy. Spisano protokół w obec kon-

sula angielskiego. Niemcy nie dali jeszcze za wygraną, obwiniają uczonego Francuza, że przekupił garncarzy. Bądź co bądź, sąd publiczny ocenił już pomniki moabickie, według istotnej ich wartości.

„Ostrzegamy podróżnych, pisze dowcipny jeden publicysta francuzki, aby zwiedzając lewe brzegi Jordanu, nie dali się złudzić starożytnikom miejscowym. Może pokazywać im będą tablice z góry Synaj, lub korespondencye Hiram z Salomonem. Te skarby sztuki, niechaj wzbogacą Berlin!”

Za trzy miesiące nastąpi otwarcie Wagnerowskiego teatru w Baireuth; świat muzyczny i literacki niecierpliwie oczekuje tego turnieju, przypominającego sławne średniowieczne zapasy poetów w zamku wartburskim. Sprawa dziś nierównie ważniejsza. W Wartburgu poeci niemieccy walczyli o palmę między sobą; w Baireuth, geniusz germański uosobiony w Wagnerze, staje do zapasu z geniuszem romańskim, i na polu sztuki chce, w obec świata ogłosić stanowczo swój tryumf. Niemcy nie wątpią o zwycięztwie; Francuzi i Włosi patrzą z sarkastycznym uśmiechem na te zachcianki, powtarzając innemi wyrazami nasze stare przysłowie: „*Gdzie wiele przygotowań, tam nie z dialogu!*”

Pisma tymczasem i przeglądy, tak francuzkie jak i niemieckie zajęte żywo tym przedmiotem: z pod pióra publicystów wybiega wciąż imię Wagnera. Wszyscy wysilają dowcip na odszkiecowanie tej ciekawej postaci, bądź w apoteozie, bądź téż w karykaturze. Ekscentryczność kompozytora, jego szalona pycha, podaje sama oręż w dłón przeciwnikom.

Teatr w Baireuth ostatecznie już wykończony. Artyści zgromadzeni ze wszystkich teatrów niemieckich do tego nowego ogniska, odbywają próby sławnej tetralogii *Nibelungen-ring*. Będzie to widowisko o jakimś dotąd świat nie słyzał, potrzeba czterech wieczorów na przedstawienie całości. Orkiestra złożona ze stu ośmiu najslawniejszych muzyków z Wiednia, Drezna, Berlina i t. d., mieści się niewidzialna w zagłębieniu, nakształt fossy, nazwaném przez Wagnera *otchlanią mistyczną*. Prolog sam przez się wypełniający pierwszy wieczór, odbywa się cały w wodzie i to w wodzie prawdziwej. Sztuczne jakies przyrządy zabezpieczą Ondyny Renu od zetknięcia z niebezpiecznym i zgubnym dla głosu żywiołem.

Teatr Wagnera według pierwszego planu, miał ozdobić stolicę Bawaryi. Ekscentryczny maestro, ufny w królewskie względy, domagał się, aby zburzono całą dzielnicę miasta i na jój gruzach zbudowano ogromny amfiteatr na 50,000 osób. Wody Izary miały zasilać scenę. Król o mało że nie ustąpił, lecz gdy przyszło do wykonania projektu, cofnął się z obawy nadzwyczajnych wydatków, krórychby izba nie chciała podjąć na własne barki. Zatwierdzono więc, że teatr stanie w Beireuth, dawniej rezydencji landgrafów, mieście umartém jak Wersal Ludwika XIV. Na budowę gmachu przeznaczył król półtora miliona franków. Zawiązato się oprócz tego towarzystwo *Wagner Ve-*

rein, upoważnione do zbierania składek po całych Niemczech. W tym celu wyprawiano koncerta, grano na nich wyjątki ze stawnéj tetralogii. Skutek jednak nie odpowiedział oczekiwaniom. Całe Niemcy nie przyniosły więcej nad 200,000 franków, licząc w to 300 talarów ze skatulatory cesarza Wilhelma.

Teatr jednak stanął w ciągu lat czterech. Zbudowany w kształcie świątyni greckiej, panuje na wzgórzu po nad miastem Baireuth, przezwaném dziś Mekką nowego proroka w świecie muzycznej sztuki.

Zobaczymy teraz owe alegoryczne dzieło, które ma zapewnić tryumf plemieniu Germanów, nad zniewieściami plemion romańskimi. Nieśmiało przystępujemy do nakreślenia treści: wszystko tu dziwnie chaotyczne i poplątane. Kto zna epopeę Niebelungów, wie że nie łatwo wysnuć z niej prosty wątek; Wagner zagmatwał bardziej jeszcze tradycją, naciągając ją do swych filozoficznych teorii i pangermanicznych ideałów. Jedyna loika panująca w utworze, to zwycięztwo Niemców nad światem.

Prolog p. t. *Złoto Renu* (Reingold). zawiera całą mythologią rzeki niemieckiej. Alberyk król Gnomów, ukryty w pośród trzcin, przygląda się pilnie trzem Ondynom, płasającym na fali. Jasnowłose czarodziejki, Wogelinda, Welgonda i Floschilda, spostrzegły króla... znęcają go do siebie. Napróżno niezgrabny Alberyk przedziera się do nich przez skały; wodnice „wiotkie jak węgorze” wybiegają ze śmiechem z jego objęć. Po całogodzinnej pogoni, zmordowany król siada na kamieniu, grozi pięścią psotnicom. Nagle promień słońca uderzył o skałę, wody Renu błysnęły złotem. Nad tym to skarbem czuwają trzy Ondyny; biorą się za ręce, obiegają go w płasach.

Alberyk pełza ku dziewicom, staje tuż przy nich zasłonięty krawędzią skały. Z ich słów dowiaduje się, że ktokolwiek posiędzie złoto Renu, i wykuje z niego cudowny pierścień, ten zostanie wkrótce panem świata.

Ale, ażeby osiąść ten skarb, potrzeba koniecznie wyrzec się ułud ziemskich, rzucić kłatwę na miłość. Alberyk gotów to uczynić, odpowiada ponuro, na wesolą pieśń Ondin:

Ha! do śmiechu wam ochota,
A więc śmiejcież się w ciemności.
Zgaszę słońce po nad wami,
Upowiję was chmurami:
Skuję pierścień z tego złota.
Precz odcinnie, precz miłości!
Niech na wieki Ren pamięta:
Bądź przeklęta! bądź przeklęta!

Król rzekłszy to, zanurza się w głąb fali. Stary Ren kipi z gniewem, wylega z łożyska, woda zalewa całą scenę.

Ustaje wreszcie powódź, na promienistym szczycie góry budzą się ze snu bogowie. Wotan siedzi obok Fryki żony swojej, tak zwanéj,

gdyż frykcyonuje wiecznie boskiego męża, chorego na reumatyzm (sic). Bóg Froh (wesoly) pogląda na pólseñną Frykę. Wotan rozkazał olbrzymom zbudować na pobliskiej górze, wielki warowny zamek, nową siedzibę bogów. Budowa już skończona, olbrzymy wołają o zapłatę. Tą zapłatą ma być jasnowłosa Freja bogini piękności. Ale bogowie ociągają się z oddaniem ulubienicy swojej, wchodzą z olbrzymami w umowę. Jeżeli ci zrzekną się uroczej bogini, to tylko pod warunkiem, że Wotan odda im zaklęte skarby Niebelungów. Wotan powołuje Lokego, boga kłamstwa i podstępu, rozkazuje mu pochwyć biednego Alberyka. Jakoż Loke przyprowadza go skrępowanego w troki. Odbierają mu cudowny pierścień. Dwaj olbrzymi Farold i Fafuer wydzierają sobie ów talizman. Farold pada trupem, powalon ręką brata. Nagle pierzchają chmury, tęcza jasnym półtukiem łączy wierzchołki dwóch gór. Przez tę promienistą bramę, orszak bogów podąża do warownej Walhalli. Na tem kończy się prolog.

Druga część nosi tytuł Walküre. Scena odbywa się w chacie germańskiej z czasów pierwotnych. Jest to poprostu ogromny jesion, z konarami opuszczonemi w kształcie dachu. Siegmund błędząc po lesie, wstępuje tu na wypoczynek. Zastaje rodzoną siostrą swoją Sieglindę, żonę Hundinga, nieprzyjaciela swego rodu. Dwaj wrogowie spotykają się groźnie: walka jutro nastąpi. Tymczasem Siegmund wprowadza nocą Sieglindę. Hunding pędzi za niemi w pogoń, dościga zbiegów. Zapaśnicy walczą wśród grzmotów i błyskawic. Siegmund pada ugodzony, Walkyrye ocalają Sieglindę.

Drugi obraz ukazuje wojownicze dziewice na szczycie góry: wykrzykują bojowe hasła. Popłoch wielki pomiędzy niemi: Wotan bowiem srodze ukarał jedną z nich Brunhildę za opiekę daną Siegmundowi. Określona kołem ognistém, ma spać pod cieniem świerku, dopóki nie zbudzi jęj ziemski bohater, dzielniejszy od nieśmiertelnych bogów.

Tym bohaterem w trzeciej części jest Siegfried, syn Sieglindy i Siegmunda. Przyszedł on na świat w ciemnej pieczarze, gdzie ma kuźnię Onim, brat króla Gnomów. Wychowany przez cudownego kowala, Siegfried zabija smoka, który strzegł skarbu Niebelungów; zabiera mu hełm i cudowny pierścień. Krew potworu wytrysła mu na palec; gdy dotknął nim ust, spostrzegł że rozumie śpiew ptastwa. Drobną ptaszyna podlatując w górę, powtarza bezustanku: „piękna niewiasta dla ciebie, u stóp góry, jeśli dotrzesz do niej przez płomieniste koło.” Siegfried idzie za śladem ptaszyny, dochodzi do świerku, pod którym śpi Brunhilda; rzuca się przez płomień, budzi ją pocałunkiem.

Następuje wreszcie część czwarta, nadziwaczniejsza i najbardziej skomplikowana ze wszystkich. Tytuł jęj: *Goetterdaemerung*, czyli: *Zmierzek bogów*.

Siegfried poślubił Brunhildę: mieszkają w grocie pod górą otoczoną płomieniem. Jednostajna samotność zbyt cięży Siegfriedowi. Bohater spragniony świeżych wrażeń, opuszcza żonę, udaje się na dwór

króla Guntera. Na tym dworze włada wyłącznie Hagen brat królewski. Od młodu rozpasany na wszelkie zbrodnie, jest on żywem wciele niem złego. Z jego namowy Gunter zamierza porwać z jaskini małżonkę Siegfriedowi. Siostra króla, Gundruna, dopomaga w tém bratu: podaje Siegfriedowi napój odbierający pamięć. Bohatér przepomniał iż ma żonę. Uwikłany w sidła Gundruny, przebiera się za Guntera, wykrada dla niego Brunhildę. Germanka opiera się z razu, w końcu idzie za nowym małżonkiem. Gunter, który czeka ukryty w zaroślach, zastępuje miejsce Siegfrieda u jej boku. Ona nie widzi téj zamiany; przybywszy dopiero na dwór królewski, spostrzega własnego męża obok uwieńczonej w kwiaty Gundruny, przystępuje doń z gniewem, ale Siegfried wcale jej nie poznaje.

Brunhilda miotana zazdrością i żądzą zemsty, zmwawia się z Hagenem i Gunterem na zgubę Siegfrieda. Jadą na łowy, przybyli na brzeg Renu. Podczas gdy kruki ulatują nad głową bohatera, Hagen godzi go włócznią w plecy. Na widok trupa, Brunhilda rozkazuje wzniesć ogromny stos i złożyć na nim ciało. Wydiera z rąk żołnierza pochodnię, zapala stos, dosiada cudownego bieguna, jednym zamachem rzuca się w śród płomieni. I otóż wody Renu wzbierają nagle, wylewają z łożyska. Ondyny ukazują się w pośród fal. Podczas gdy Hagen usiłuje zdjąć pierścień, leżącemu na stosie Siegfriedowi, wodne dziewice pociągają go na dno, jedna z nich podnosi w górę czarodziejski talizman Nibelungów. I w téjże chwili powstaje burza, piorun uderza w Walhallę, postacie bogów bledną, zacierają się z wolna, i nikną jak mgła w blasku zorzy.

Tak się kończy olbrzymia kompozycya, która ma inaugurować teatr Wagnera w Baireuth, a pokazując nowy tryumf cywilizacji germańskiej nad romańską, godnie uwieńczyć dzieło, zapowiedziane pomnikiem Arminiusza, pędzlem Kaulbacha, epopeją Frejtaga, najsilniej zaś poparte Kruppami!

W muzycznym świecie paryzkim, jak zazwyczaj w téj porze, koncerta zgromadzają licznych słuchaczy. Z pomiędzy wszystkich, dwa szczególniej zajęły uwagę naszą: raz z powodu polskich imion artystów, a potem, że według powszechnego uznania, oba należą do najświetniejszych, jakie dano w Paryżu téj wiosny.

Powiedzmy najprzód o koncercie pana Wojciecha Sowińskiego. Mistrzowska gra naszego rodaka, znana oddawna Paryżanom, znany niemniej wytworny smak z jakim znakomity artysta umie urozmaicić swoje wieczory muzyczne. Nic téż dziwnego, że sala Hertza była przepełnioną, że publiczność grzotem oklasków okazywała co chwila najwyższe zadowolenie.

Koncert rozpoczął się wspaniałym tercetem na fortepian, skrzypce i basetle, wypracowanym przez p. Sowińskiego, według zasad ściśle klasycznych. Wykonał go sam autor przy współudziale biegłych mistrzów pp. Michiels i Lebouc. Następnie koncertant odegrał wielką

fantazyę swoję z Faworyty. Umiął on pokonać trudności kompozycyi z takim wdziękiem i tak zadziwiającą biegłością, że utwór wydawał się napozór bardzo łatwym.

Zachwyciła wszystkich pyszna uwertura z Mazepy odegrana na ośm rąk. Jest to jedno z najpiękniejszych dzieł naszego kompozytora, pełne zapału i silnych efektów: słyhać tu jakby tentent konia pędzącego stepem Ukrainy. Inny znowu całkiem charakter miała śliczna fantazyja *Petite Douche*, wspomnienie wód w Luchon. Autor odegrał ją nadzwyczaj delikatnie. Zakończył koncert świetnym ustępem z opery Dawida: *La Perle du Bresil*.

Do urozmaicenia programatu przyczyniła się nie mało operetka *Marton et Frontin*, młodego a bardzo zdolnego kompozytora p. Thomé, ułożona z umysłu na koncert rodaka naszego.

Pan Sowiński należy do liczby tych uprzywilejowanych artystów, których talent nie traci z wiekiem żywotności, a wzrasta nawet w miarę nabytego doświadczenia; przekonywa nas o tém nietylko mistrzowska jego gra, ale co więcej siła twórcza, jakiej dał dowód w wielkiej kompozycyi, którą wykończył w tym roku. Mówimy tu o prześlicznej uwerturze *Jan III Sobieski*, odegranej poraz pierwszy przez orkiestrę teatru włoskiego, na koncercie panny Majdrowicz. Uwertura ta poruszyła głęboko znawców. Przepyszny w niej marsz przy pochodzie Sobieskiego na Wiedeń, cudnie też piękna modlitwa obozowa. Finał stanowi zwycięzka fanfara, instrumentowana z wielką świetnością i prawdziwie oryginalnemi efektami.

Panna Amelia Majdrowicz młoda nasza artystka, nie pierwszy raz już dała się słyszeć Paryżanom. Od lat dwóch krytycy muzyczni zapowiadali jęj wielką przyszłość. W tym roku zgodzili się jednomyślnie, przyznając jęj pierwszorzędne miejsce w pośród fortepianistów współczesnych. Po każdym też odegranym utworze publiczność obspypywała ją oklaskami i wywoływała z najwyższym zapałem.

W dwóch wielkich dziełach koncertowych, z *D* moll Mozarta, i z *C* moll Bethowena, młoda artystka dała dowód niepospolitej biegłości i głębokiego przejęcia się wielkim stylem klassycznym. W *Don Carlosie* Liszta, umiała znów pokonać trudności niestychane, czém okazała nową stronę swego talentu. Nie mniejsze trudności zwalczyła w Etudzie na lewą rękę, kompozycyi pani Tresvaux de la Roselaye; słusznie też napisał jeden z krytyków, że posługuje się ręką lewą, tak samo jak Paganini czwartą struną swych sławnych skrzypców. *Poranną Pieśń* Boskowicza oddała z prawdziwym wdziękiem: z pod biegtych jęj palców sypały się rzewne tony, jak przezyste perełki. Zachwycona publiczność domagała się powtórzenia ślicznej kompozycyi, tak wybornie oddanej.

Śmiało pochłubić się możemy naszą znakomitą fortepianistką; jęj tryumf naszym jest tryumfem, daje bowiem świadectwo przed obcymi, że w Polsce nie brak pierwszorzędnych talentów, a co niemięjż znaczy, sumiennęj i wytrwałęj pracy na każdym polu!

Zabobony rolnicze.

Odkąd w wielu naszych czasopismach rozwielił się romans zagraniczny, odtąd redakcyje czy téż wydawcy mniej dają miejsca rzeczom krajowym, np. z obyczajów i życia ludu wziętym. Mniemanie o smaku czytelników i chęć dogodzenia im, osłabiła poczucie obowiązku. A jednak rzeczy swojskie obchodzą dziś nasz ogół nie mniej serdecznie jak zawsze, leży w nich wiecznie dla serca słowiańskiego tajemniczy talizman, mile przypominają tak samo te niwy, woń gajów, krzyże wioskowe i piosenkę matki nad kołyską, a cenne są jako zwierciadło chwili danej.

Wiadomo, że wiele podobnych rzeczy ma dla nauki wartość etnograficzną i z tego to pola przynosimy dzisiaj wiązkę starych ludowych wierzeń i mniemań. Przesądów w ogóle spisaliśmy kilka secin w różnych stronach kraju, głównie jednak w okolicach m. Tykocina i rzeki Narwi. Niektóre z nich cieszą się jeszcze powszechną wiarą gminu, inne straciły kredyt; pozostały tylko mniemaniem tych i owych lub żyją zaledwie w tradycyi wygasających pokoleń. Z tych wszystkich, które znalazły się w naszych notatkach, przedstawiamy poniżej wyłącznie związane z rolniczemi zajęciami i rolniczym bytem ludu:

1. Nienależy siać zboża w dniu, w którym słońce i księżyc jednocześnie bywają widoczne na niebie, bo wiele kłosów będzie pustych.
2. Po zachodzie słońca siew nie powinien mieć miejsca, bo zboże zje robactwo, mianowicie mrówki. Wschód bowiem i zachód, jest dla pracy w polu miarą Bożą.
3. Na św. Bartłomieja, gospodarz powinien siejbę rozpocząć, choćby posianiem kilku garncy zboża.
4. Do pierwszego siewu oziminy wykrusza się garść ziarna z wieńca dożynkowego, na zadatek przyszłorocznego plonu.
5. Przed siejwą nie można sprzedać ani ziarenka, bo ze sprzedawanem w tym czasie zbożem plon z domu ucieka.
6. Zagony, na których siew oziminy był zaczęty, potrząsają słomą z pierwszego omłotu, żeby zboże w słomę bujnie rośło. Niektórzy układają z téj słomy krzyże, przyciskając kamykiem, żeby wiatr nie rozwiął.
7. Kto wynosi trumnę z domu, nie powinien tą ręką siać zboża.
8. Ziarna nie powinien siewca nigdy przesypywać z ręki do ręki, bo zejdzie co innego.
9. Żeby zboża nie jadły wróble na pniu w polu, należy je siać w taki dzień w tygodniu, w jaki wypada wigilia św. Walentego. Inni powiadają o starym a skuteczniejszym sposobie polegającym na przesypaniu ziarna przez piastę od koła. Jeszcze inni zalecają, aby siewca potarł dłoń okrasą święconą na Wielkanoc.

10. Żeby kapusta wiązała się w głowy, kobiety przy sadzeniu na wiosnę rozsady przykładają pierwszy jej listek kamykiem. W okolicy Bielska na Podlasiu zaczynają sadzenie rozsady od położenia na brzegu zagona kamienia i przykrycia go garnkiem glinianym (dnem do góry). Kapusta bowiem powinna mieć głowy twarde jak kamień, a wielkie jak garnek.

11. Żeby kapusta bujnie rosła, zatykano wśród niej w wigilią św. Jana Chrzyciela, gałązki ułamane w kościele na Boże Ciało, z brzeziny, którą ołtarze ozdabiają się na Zielone Świątki, a która pozostaje przy nich do powyższej uroczystości.

12. Żeby czosnek związał się w cebulki, związuje z sobą dwa jego listki na grzędzie.

13. Żeby len się urodził, należy w pierwszy dzień wielkiego postu czyli we *wstępną środę* umyć wrzeczona lub kółka, t. j. narzędzia do przędzenia lnu służące.

14. We *wstępną środę* wieczorem, gospodynie zebrawszy się w karczmie uczują wesoło i skaczą przez pieńek na środku izby położony, powiadając, że jak wysoko która wyskoczy, tak wysoko jej len urośnie. Gdy raz (we wsi Złotori w Tykocińskim), poszedłem przypatrzeć się temu zwyczajowi, podchmielone baby zmusiły mnie do przeskokowania przez pieńek, wreszcie *wykupiłem się* od dalszego udziału w tej zabawie.

15. We *wstępną środę* lnu prząść nienależy, bo w którym domu to czynią, tam woły latem ślinić się będą.

16. Żeby wśród lnu nie plenił się chwast szkodliwy, zwany przez lud *parchem*, potrzeba idąc do siewu, garść siemienia rzucić na pokrzywy.

17. W *Zapuszczańskim* na Litwie lud powiada, że kto w zapusty nie przewróci się jadąc saniami, temu len nie urośnie.

18. W przeddzień św. Jana Chrzyciela, w Tykocińskim zatykano wśród lnu wić olszową, żeby wyrosł tak wysoki jak ta gałąź.

19. Jeżeli bociany przylecą na wiosnę zaszargane i zmoknięte, to lato będzie dżdżyste; jeżeli zaś przybędą suche i chędogie, to prognostyk suszy. Pory bowiem roku przybywają równie jak ptastwo z odległych krain.

20. Aby dobytek nie uległ chorobie i zarazie w czasie lata, gospodarz wypędza go na wiosnę pierwszy raz w pole z *palną* w reku, czyli rószczką wierzbową poświęconą w *kwietni* (t. j. *palnową* czyli *wierzbową*) niedzielę. *Palna* przechowuje się w domu a z nadejściem zimy rzuca w płomień.

21. Urodzaj przepowiadają latem, gdy na liściach osiki, leszczyny lub lipy ukazuje się *brzye*, *miodnica* czyli lepka powłoka.

22. Cenę zboża wróży bąk (ptak błotny), który ile razy odzwie się bez przerwy w letni wieczór, po tyle złotych będzie świeć pszenicy w roku następnym.

23. Gdy pola potrzebowały deszczu, lud podlaski uwiązywał ongi ropuchę za nogę przy płocie, wierząc, iż ona jest w mocy go sprowadzić. Skoro deszcz nadszedł, uwalniano żabę. W Grodzieńskim lud mniema, że kto ropuchę zabije, temu matka umrze.

24. Żeby na zawsze zabezpieczyć wieś przed gradem, trzeba granice jej oborać parą czarnych wołów, bliźniąt. Temu sposobowi lud przypisuje, iż niektóre sioła z dawnych lat omijane są przez burze gradowe. Inni radzą w tymże celu na czterech rogach granic zakopać kości z baranka wielkanocnego lub nieco ze święconego przywiezionego z innéj wioski, wreszcie zakopać spisane na kartkach cztery ewangelie mawiane na Boże Ciało.

25. W okolicach Słonima na Litwie, lud wierzy, iż kto nie święci czwartego dnia na Wielkanoc t. j. środy, temu grad zboże wybije; ztąd dzień ten zowie się *środą gradową*.

26. Na Mazowszu we dworach, żeby grad przestał padać, wyrzucano przez okno srebrną łyżkę.

27. Drzewa posadzone ręką szczęśliwą, przyjmują się i bujnie rosną, z ręki zaś nieszczęśliwej nie przyjmują się lub po przyjęciu marnieją.

28. Gdzie obozowali Szwedzi, tam na roli wyrastały gęste ciernie; gdzie zaś pewne inne wojsko nieprzyjacielskie, tam dotąd niczym nie wypłeniony corocznie odrasta oset.

29. Chłopcy i dziewczęta usłyszawszy pierwszy grzmot na wiosnę, wyracają koziołki, aby krzyż nie bolał od nachylania się przy żniwie.

30. Gdy kto zawiąże komu garść zboża w polu, to trzeba przyprowadzić znachora aby to zboże rozwiązał, inaczej bowiem chleb może być nieszczęśliwy. Jest to bowiem sposób zadawania czarów, co uderzająco przypomina starożytne rzymskie prawo z dziesięciu tablic, które nakazują surowo karać ludzi „zaczarowujących zboże.”

31. Wszystkie ważniejsze prace w polu (a szczególnie żniwo) rozpoczęte w sobotę, idą spiesznie i pomyślnie, w poniedziałek zaś przeciwnie.

32. Jeżeli w pierwszym dniu żniwa *przodownica* (*postatnica*, *postacianka*) skaleczy rękę sierpem, to wróżba że w roku tym zakaleczenia od sierpa będą częste.

33. Ktoby przed południem żął zboże w dzień Przemienienia Pańskiego lub św. Piotra, temu piorun zboże w mędlach czyli kopach spali. Ztąd św. Piotr w okowach (d. 1 sierpnia) otrzymał nazwę *Piotra palikopy*.

34. Gdy zakończywszy żniwo, dziewczęta mają odejść z pola, biorą do ręki po kilka sierpów za końce i rzucają za siebie. Którój sierp padnie najbliżej, to wróżba że ta najprędzej w jesieni zamąż pójdzie; którój najdalej, ta ostatnia. Narzędzie pracy zostaje tu słowem wróżby.

35. Ostatnią kępkę żyta zostawiają niezżętą „dla przepiórki.” Związują takową u góry, a u dołu opielają, w środku kładą na płaskim kamyku kęs chleba; i wszystko to zowią *przepiórka*, bo przepiórka jest ptakiem żniwa i tajemniczo opiekuje się plonem. Gdy zbliża się pora żniwa, lud słyszy w jój głosie „pójdźcie żąć,” a po żniwach „nie ma nic.”

Zygmunt Gloger.

DO REDAKCYI

Biblioteki Warszawskiej.

Otrzymałszy od p. Lucyana Woyniłłowicza sprostowanie a nawet uzupełnienie do wspomnienia o *Księciu Panie Kochanku*, które przywiódłem z notat Eustachego hr. Tyszkiewicza w mojej monografii *Spoleczność Warszawy*, przesyłam takowe do umieszczenia.

K. Wł. Wójcicki.

„Jako urodzony o trzy mile od Nieświeża, w dziedzicznej naszej od 1647 roku majątności, *Puzów* zwanój, słysząc od ś. p. ojca mego Jana b. podkomorzego (wspomnianego w artystycznie skreślonych przez J. I. Kraszewskiego „Ostatnich chwilach księcia wojewody”) czuję się upoważnionym dla ścisłości historycznej wyjaśnić, iż ś. p. *Dederkowa* miała imię *Zuzanny* nie *Julii*, ztąd listy do niej przez księcia Karola z Białej pisywane zaczynały się: *Kochana Zulko* nie *Julko*. Dwa podobne autografy ofiarowane mi przez nią samą, posiadam w moim zbiorze. Umarła ona około 1846 r. szczupłą pobierając pensją ze skarbu nieświezkiego; mieszkała w małym domku przy poczcie, poglądając na opuszczone mury zamku, gdzie wrzało życie, a ona swego czasu tam panowała. Wyniosłej postaci, latami pochylonej, wyrazistych rysów, ślady piękności a dobrego i pogodnego humoru dochowała do zgonu. Była to dla nas dzieci uroczystość, ilekroć znane nam wychudłe szkapę, przy płótnem pokrytój bryce zajeżdżały na dziedziniec naszego dworu. Wynoszono stołek, aby pani *Dederkowa* wysiąść mogła, a opowiadaniom o czasach minionych nie było końca. Odwiedzać przytém zwykła była *Polaneczkę* ś. p. Konstantego Radziwiłła, ojca księcia Macieja Karola Konstantego, co się nie dawno w Paryżu ożenił. Odwiedzała dalej *Ussów* Reytanów i *Wańkowszczyznę* Rossadowskich jako krewnych, i w tój pielgrzymce, w tём obracając się kilkomiłowém kółku, wszędzie upragniona i zatrzymywana, sędziwych lat doczekała. Odznaczały ją delikatność

uczuc i pewna dyskrecya. Pamiętam w 1844 r. gdy jój brakło zasobów, a już po mojem ożenieniu byłem sam gospodarzem i często ją odwiedzać lubiłem; zaproponowała mi nabycie zużytego kantorka, jako jój niby niepotrzebnego, żądając w zamian nie pieniędzy, z których nigdy korzystać nie lubiła, ale zboża, zwłaszcza owsa, by mogła swe konie wyżywić. Pośpieszyłem najchętniej z zadość uczynieniem i ten relikwiarz jako pamiątkę przechowuję dotąd.

„Ale raz wstąpiwszy na pole wspomnień, niepodobna mi się od nich oderwać, bo nie wszystkie niewyczerpany nasz Kraszewski zamieścił, a tyle ich się błąka pismem nie ujętych o tej legendowej ks. Karola postaci. I tak, gdy Stanisław August spotkany o milę przed Nieświeżem w *Malewie* przez dziadka mego *Adama* podkomorzego województwa (w zastępstwie wówczas wojewody Niesiołowskiego) powitał, z konia, króla mową na czele województwa nowogrodzkiego i zgromadzonej szlachty: wówczas król odpowiadając uprzejmie wyraził żądanie, aby przepych Radziwiłłowski w przyjęciu jego osoby nie miał miejsca. Dano *laufrem* znać natychmiast na zamek nieświeżki o tój monarszj woli, gdzie już w progach zamku sam książe wojewoda na czele Albańczyków zapowiedzianego oczekiwał gościa. W mgnieniu oka na bramie nad mostem zwodzonym, zapalono *jedną* tylko świecę, bo już zmierzchać zaczynało i wystawiono transparent z napisem: „*Tak król chciał*,” a w dziedzińcu zamkowym, gdy od iluminacyi z hukiem dział szeroka spływała łuna, czytać się dawał napis: „*Tak króla przyjmować przystało*.” Gdy następnie udobruchany Stanisław August rzucił księciu te pochlebne słowa: „iż naród ciebie taką czią otacza, iż być może, że po mojej śmierci na następcę mego powoła;” wówczas książe *Panie Kochanku*, całując dłoń podaną sobie, odrzekł: „Miłościwy Panie! wolę ja być *tuzem* niż królem.” Zgromadzonej raz około siebie szlachcie opowiadał, iż w podróżach swoich nad Adygą, widział młyny takie, których koła najeżone były mnóstwem osadzonych brzytw, i że Włochy naród żwawy, by nie tracić czasu, podstawiali brody, a puszczone w ruch woda dopełniała czynności cyrulików.”

Warszawa, dnia 10 kwietnia 1876 roku.

Lucyan Woyniłłowicz.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Jan Śniadecki. Jego stanowisko w dziejach oświaty i filozofii w Polsce. Rzeczn napisana przez dra. Maurycego Straszewskiego docenta fil. w Uniwersytecie Jagiel. Kraków, 1875.

Nie jestże słodką i ożywczą dla człowieka myśl, że też same dźwięki i postaci mówne, których on używa w stosunkach życia, służyły kiedyś za narzędzie do wygłaszania wielkich prawd lub natchnień ustami wielkich ludzi i że służyć jeszcze mogą; że z powiązania tych samych elementów mogła powstać budowa, stanowiąca dziś przedmiot studyów dla umysłów poważnych. Studium o poecie, dziejopisarzu, myślicielu pierwszej wielkości, wykonane sumiennie i ze rdzennym poglądem, nie jest to praca wyłącznie bierna; znaczy ona nieśkończenie więcej, aniżeli przeniesienie utworu muzycznego z martwych kropek i linii w żywy świat harmonii. Badacz jest tu w pewnym stopniu współuczestnikiem kompozycji, w jego pracy tworca dopowiada siebie w obec współczesnych i potomnych, bo myśl ludzka na mocy wrodzonej sobie ciągłości, snuje się dalej na zewnątrz, ilekroć ją pojmują i tłumaczą.

Jan Śniadecki wywołał już po sobie rozległą tego rodzaju działalność w różnych czasach; ale za dni naszych szczególniej działalności ta wychodzi z rąk ludzi, wysoko uzdolnionych i należących do różnych kierunków filozoficznych. Ostatnia okoliczność dowodzi, że Śniadecki pomimo popularności wykładu—przymiotu, nie koniecznie pociągającego za sobą rozgłos i wpływy—pomimo pozorniej prostoty w głównym zarysie, zostawił dzieło wprawiające w ruch wszystkie odcienia i szkoły, chociaż każdą w sposób odmienny.

Szczęśliwi są Homerowie, o których współobywatelstwo tyłu się upomina!

Poczet studyów o Śniadeckim chlubnie pomnożonym został dziełem dra. M. Straszewskiego. Jest to praca obszerna i w wyżej wspomniany sposób reprodukuje naukę z obszernymi dodatkami w końcu dzieła Jana Ś. Autor nie tylko przestudyował znaną dotąd literaturę dotyczącą J. Śniadeckiego, ale zaopatrzył się w źródła dotąd nigdzie nie ogłoszone, a mianowicie w papiery po J. Śniadeckim i Michale Balińskim ofiarowane do Biblioteki Jagiellońskiej. Praca dra. Straszewskiego „nie jest biografią Śniadeckiego, nie obejmuje również szczegółów z jego badań wyłącznie astronomicznych, ale jest ogólnym przedstawieniem działalności tego uczone-

go, wraz z szczegółowym rozbiorem jego znaczenia filozoficznego i wykazania *jednych* wszędzie przewodnich myśli filozoficznych."

We wstępie autor wskazuje zmiany i chwieianie się sądów o Janie Śniadeckim i z tego tytułu przytacza zdanie Bartoszewicza, Balińskiego, Paszkowskiego, Dominika Szulca; zwraca się do współczesnych jego krytyków: pr. Struve'go, dra. Ochorowicza, dra. Ziemy i dra. Skorskiego; wreszcie wynurza się z pobudek, które go do niniejszej pracy skłoniły. Następnie w 6-ciu obszernych rozdziałach przedstawia nam obraz działalności J. Śniadeckiego poprzedzony szczegółami, dotyczącymi biegu wykształcenia naukowo-filozoficznego. Ponieważ Śniadecki należał do rzędu tych ludzi, o których da się powiedzieć, że są to całe karty w dziejach umysłowych narodu, przeto rozdz. 1-szy sięgający do r. 1781 jest bardzo ważny, ze względu, że daje nam pogląd na bieg ówczesnej edukacji i stosunków umysłowych w ogóle.

Do tego okresu należy „rozprawa o nauk matematycznych początku.” Stanowiła ona miany d. 9 listopada 1781 r. odczyt Śniadeckiego jako profesora, oprócz wysokości swojej wartości naukowej tém jeszcze sławny, że był wypowiedziany poraz pierwszy w języku polskim—wprawdzie po wielu ze strony starszych profesorów matematyki przeszkodach, usuniętych skutkiem pośrednictwa ks. Poniatowskiego biskupa płockiego. W rozprawie téj dr. Straszewski słusznie upatruje zapowiedź ukształtowanego już w umyśle Jana Ś. przyszłego kierunku filozoficznego.

Z kolei następuje (roz. 2-gi) działalność J. Śniadeckiego w umiejętnościach ścisłych. Tu na pierwszym planie stoi „rozprawa o Koperniku.” Postać, mówi p. Straszewski, zasługi filozoficzne, znaczenie polskiego astronoma w historii nauk, wystąpiły tu z mgły czasów. Dla narodu była ona przypomnieniem jego chluby, dla uczonych, nowym drogowskazem oczyszczonym z błędnych zapatrywań. Słusznie téż moglibyśmy powiedzieć, że Kopernik odkrył i zrozumiał układ świata słonecznego, a Kopernika odkrył i zrozumiał Śniadecki."

Roz. 3-ci zawiera rzecz o mowach i pracach literackich. Autor słusznie zwraca uwagę na ożywiający Śniadeckiego popęd do wielostronnej działalności naukowej. Na wielkich mężów, należących do zeszłego wieku, rzucał jeszcze światło urok imienia Leibnica, który założył sobie zdobyć stanowisko filozoficzne ogromem i wszechstronnością wiedzy; od polityki aż do wyższej matematyki. Jest to więc okres pracy literackiej J. Śniadeckiego na rozległą skalę. Autor przytacza tu ciekawą polemikę J. Śniadeckiego z Villers'em, który wyrzeka że „kraj nasz w wieku XVI (wyraźnie w szesnastym) był ciemnym i nie oświeconym.” Było to w roku 1804, pamiętnym śmiercią Kanta i początkiem zapoznania się Francuzów z jego nauką. „Dodajmy (mówi autor o Villersie) że on był jednym z pierwszych, którzy usiłowali wprowadzić do Francji filozofią Kanta.” My zaś dodajmy, że mógł on należeć do pierwszych, co do kolejności czasu—ale co do wartości naukowej, był dalej, niż ostatnim. Jego dzieło *Philosophie*

de Kant, jest to miernota, niegodna oczów nawet dylettanta; bo w niéj niepodobna wyczytać nic Kantowskiego, wyjąwszy tablicy kategorii. Na ten okres przypadają najważniejsze pisma, poświęcone literaturze. Z powodu estetycznego wykształcenia Jana Śniadeckiego pod wpływem języków starożytnych i nowo-klassycznój literatury francuzkiéj, nie możemy przemilczeć o lekkich gallicyzmach w jego stylu, na szczęście nader rzadkich—jeśli tylko to nie są składnie łacińskie.

Udatną jest uwaga autora, dotycząca ciekawego zjawiska w wieku XVIII. „Kierunek przeważnie realistyczny w filozofii sprzyja kierunkowi klassycznemu w literaturze, a objawia wyraźną niechęć zarówno do romantycznych dążeń w literaturze, jak i do idealnych na polu filozofii.“

Pokrewieństwo idealizmu filozoficznego z romantyzmem w sztuce jest naturalne. Wystąpienie téż J. Śniadeckiego przeciwko „poezyi, widem, zmor i duchów“ płynie z tych samych pobudek, co i walka ze spekulacją. Ale zdaniem naszym, tak w jednéj jak i w drugiéj walce J. Śniadeckiego widzieć jeszcze potrzeba wpływ domyślnéj pobudki. Godłem romantyków, mówi J. Śniadecki jest tęsknota do przeszłości, ale cóż to jest ta przeszłość romantyków? (czytaj: niemców)? jest to peryod dzikości. Taż sama, domyślna pobudka wyziera jaskrawo z takiego wyrażenia się J. Śniadeckiego. „Romantyczność, mówi: Eurypides, Moliere i Racine są nadto misterni, ponieważ im ciężko podołać, zostaniemy Szekspirami... Ale my, dodaje, wiemy o tém że się tak nie zostaje Szekspirem, jak: *grafem*, lub *baronem*.“ Nieco zamaskowaną, ale zjadliwszą jeszcze skazówką w tym duchu jest nazwanie przez Śniadeckiego romantyzmu, szkołą *zdrady* i zarazy.

Psychologiczne wytłumaczenie klątwy rzuconéj przez Śniadeckiego na romantyczność, zupełnie się powiodło autorowi. Ale my obstajemy raz jeszcze za tém przypuszczeniem, że gdyby spekulatyzm w filozofii, lub romantyzm w sztuce, zawiął był od ziemi d'Alemberta, lub z tamtéj strony kanału, polemika byłaby prowadzoną lżejszym nabojem.

Co się tyczy sprawy czystości języka, powiedzielibyśmy—zawsze jednak uchylając czoło przed zasadą, że za czasów J. Śniadeckiego pojęcie czystości języka opierało się raczej na poczuciu wytworności towarzyskiéj, aniżeli na zrozumieniu tego, co możnaby nazwać układem organicznym, albo *naturą* języka w nowszém znaczeniu wyrazu. Niechęć J. Śniadeckiego ku wyrazom np. *szczytny*, *pomnik*, *istota*, będzie tu najlepszym komentarzem.

Najgłówniejsze znamiona stanowiska Jana Śniadeckiego autor, i słusznie, przenosi w sferę działalności filozoficznój. Z tą myślą wypada nakreślić grunt dziejowy, naturę otoczenia filozoficznego, wśród którego lub w skutek którego budował wiekopomny nasz mędrzec. Śniadecki stał na wysokości swojego wieku, nie tylko jako przedstawiciel specyjalnego zawodu nauki, ale zarazem jako czynny współuczestnik ogólnego postępu teoryi umysłowych i pilny dostrze-

gacz ruchu i ostatecznych wyrazów w dziedzinie filozofii. Do takiego współuczestnictwa i współwiedzy o tém, co się dzieje w świecie myśli, pobudzała Śniadeckiego ta przewodnia jego zasada, że filozofia winna stanowić tylko ostateczne ujście nauk; „on pierwszy, mówi autor, szukał związku filozofii z innymi umiejętnościami i wychodząc ze stanowiska nauki, chciał dojść do filozofii.“ Rzeczywiście tak było, i pod tym względem Śniadecki wybornie uosabia teoretycznego ducha swojego czasu, po za obrębem filozofii niemieckiej. Naukę filozofii zastąpić filozofizmem nauk, uczynić ją sklepieniem pojedynczych grup wiedzy, ale zarazem pozbawić ją prawa stania o własnym elemencie, to właśnie było dogmatem owego otoczenia, do którego Śniadecki przyłożył serce i umysł.

Encyklopedia oddawała wprawdzie wszystko na rzecz filozofii, ale odebrała jęj to, co jęj wiekuisty urok stanowiło t. j. prawo inicjatywy. Nie ulega wątpliwości, że na czele walki ze starą metafizyką, w imię metody „od faktu,“ stali ludzie wysokiej powagi; nie ulega również wątpliwości, że do stariej metafizyki („pojęciowej“) jakby wyroczenie przywiązaną była jaskrawa cecha kompromitująca ją: obojętność na ówczesny ruch w dziedzinie przyrody, matematyki, prawa i t. p.. Ale zadanie tęg walki sięgało daleko za granicę zwykłego antagonizmu, był to już zamach na prawo bytu jednego z wielkich mocarstw umysłowości ludzkiej.

Drugą wadliwą cechą stariej filozofii była przesadzona jęj abstrakcyjność, omal nie rozmyślne używanie szczudeł, zamiast przejrzystego a jędrnego wykładu tajemnic ducha. Zamierzono więc na przeciw sfinksowi szkoły postawić popularność. Ale i w tym kierunku ostateczne wynikiłości przesięgły daleko po za cel zamierzony. Systemata popularne, będące dalszém przedłużeniem metodyki Bakona, i teoryi poznawczych Locka, zamierzyły wprawdzie, tylko rozrzedzić mgłę scholastyczną; a czyliż na tém się zatrzymały? Nie, bez wątpienia. Pomijamy, że odkroiły ważną sferę zagadnień zasadowych, że postawiły w stanie oskarżenia najpiękniejsze, a wrodzone naturze człowieka wysiłki rozpatrywania się w sobie i w stosunkach swoich wśród bytu powszechnego. Pomijamy dla tego, że takie uszczegółowienie pracy mogło być powetowane głębszém wysiedzeniem sprężyn poznawczych, że metafizyka przetworzyła się w psychologiczną naukę rodowodu wiedzy ludzkiej. Jakoż „badania nad poznaniem ludzkim“ „badania nad umysłem“ „traktaty o zasadach wiedzy ludzkiej“ i t. p. stały się prawie modnymi tytułami prac filozoficznych.

Ale prace te były już stałym, niepowstrzymanym pędem z pochyłości Lockianizmu, do teoryi krańcowych, zaprzeczających nię tylko metafizykę, ale nawet i prawo zastanawiania się nad sobą, w imię wyższych sprężyn natury ludziej.

Locke, jak wiemy, uznawał dwa czynniki wiedzy ludzkiej: czucie (sensation) i rozwayę (reflexion). Wyśmiawszy wszelkie przypuszcze-

nia o pojęciach wrodzonych; Locke więc tém samém nie mógł być zbyt hojny na apryoryczne uposażenia duszy ludzkiej, owszem z angielską okrągłością i rozumem praktycznym dowodzi on, że człowiek sam, w pocie czoła, doświadczalnie, dorabia się wszystkich pojęć. A przecież ów Locke, przeciwnik wszelkiej platońskiej zapomogi, wydaje się dla empiryków francuzkich XVIII wieku jeszcze zbyt metafizycznym. Prawda, że Kondyllak wiele wypracował dla teoryi zmysłów, że wprowadził do psychologii dział, dotyczący natury języka, jako walnej sprężyny myślenia; ale z drugiej strony obciął jedno z dwóch skrzydeł siły poznawczej. Rozwagę (*reflexion*), wykreślił z listy zasadniczych władz umysłu, uznając że z samego czucia wszystkie stany i potęgi ducha ludzkiego wyprowadzić się dadzą.

W takim popędzie ku zeru i nagięj tablicy, sami nawet encyklopedycy starali się umiarkować krańcowych. d'Alembert ¹⁾, nawet niekiedy zstępuje z wyżyn geometryi do pierwiastków myśli ludzkiej. Bonnet (*Essai analytique de l'ame*) uznaje różnicę pomiędzy czuciem a spostrzeżeniem; ale znowu nadaje zmysłom takie przywileje, które nawet najczerswieńszych sensualistów zaniepokoićby mogły. Zmysł powonienia, ktoby to pomyślał, gra u Bonneta rolę pierwszorzędną. Z powodu tego zmysłu Bonnet mówi nie tylko o funkcyjach logicznych, ale nawet o sztukach, piękności i harmonii. Zmysłowego pochodzenia pojęć Bonnet dowodzi bardzo prostém wnioskowaniem, przypominającym proporcją łańcuchową: „duszę znamy jedynie z jój zdolności; zdolności te znamy jedynie z ich skutków: skutki te objawiają się przy pośrednictwie ciała. Ono jest, lub być się zdaje, powszechném narzędziem działań duszy. Jeżeli dusza zdobywa idee, zdobywa je, jedynie przy pomocy zmysłów; nawet pojęcia, mające pozór najduchowniejszych, są przecież pochodzenia cielesnego. Bo jakim sposobem dusza wytwarza pojęcia duchowe? za pomocą słów, które są ich znamionami, słowa téż właśnie dowodzą cielesności (*corporéité*) tych pojęć“ (*Bonnet psychologie* XVI, 259).

Te i tym podobne teorye i teksta przytacza się nie dla pokazania że byli, lecz do jakiego stopnia byli sensualistami mistrzowie, działający pod chorągwią empiryzmu Bakona i Locka.

Ustawmyż teraz szeregami czasu te pozycye ogólne, jakie przeszedł umysł ludzki w ciągu niewięcej jak półtora wieku. Oto Dekart (bynajmniej nie zrywając ciągłości kierunku metafizycznego) podnosi godło „myślę, więc jestem“ to jest przyznaje duszy nie tylko samostność, odrębną, od ciała niezależną, ale za pierwiastek jój zasadowy bierze myślenie. Czyni ją nieśmiertelną, jedynie jako substancją myślącą. Dodaje przytém, że właśnie ona jest dla nas *łatwiejszą* do poznania, aniżeli ciało, gdyż tylko w *myśleniu* spótkać możemy oczywistość. Nakoniec uposaża ją ideami wrodzonymi, tak iż dusza sama w każdej chwili, może je odtworzyć. Zgoła mamy metafizykę

¹⁾ Degerando Histoire comparée des systèmes. Tom I 364.

odrodzoną, osadzającą ducha ludzkiego na tronie najwyższej samoistności, mocarstwo myśli, stawiające czoło światu, widzimy najwyższą cześć oddaną dedukcyi, rozumowaniu z pojęć.

A cóż mamy skrajnego w tym łańcuchu, to jest w szkole, która się przed nami dopiero co wysłowila? Oto mamy zamiast duszy Dekarta, jasnej, przejrzystej dla nas, koszuli, najbliższej naszemu jestestwu, mamy duszę postawioną pod znakiem X, jeśli nie pod znakiem zera; mamy apoteozę zjawiska; a cały proces poznania, uczucia, nie promieniejący od środka, ale przeciwnie, wytryskający od okręgu koła; mamy, używając jednej z tych dosadnych barw, jakimi celuje nasz wielki Jan Śniadecki; *wymusową* rolę przetrwania tego, co nas potrąca z poziomu.

Oto jest pierwsza część otoczenia, jaką zastał Śniadecki na tle dziejowém. Czy to, co się działo po téj stronie sceny ówczesnej, działo się dobrze, zbawiennie? Nie nasze to zadanie, mamy prawo zachować taką samą obiektywność, jaką zachowuje nasz autor. Zda się nam się wszakże, że Śniadecki, nie dzielając krańcowych wyników tego zwrotu, najsilnień przeciwieź czuł się ku niemu pociągnięty. Kto wie zresztą, czy nieprzyjazna postawa względem zasad Kanta i metafizyki niemieckiej nie spowodowała go do stawienia się jaskrawieź nad przekonanie, w obec wszystkiego, co tchnie wyszukaną dyalektyką. Taka, domniemana sprężyna, zdradza się u Śniadeckiego, w ulubionych jego wyrażeniach „mrzonka, romans filozoficzny, gorączka” i t. d., na jakich i francuzkim myślicielom owego czasu nie zbywało. Rousseau,—który nie arcy zasłużył się filozofii, chyba sofistyczną obroną ciemnoty; wielkość zmarnowana w egzaltacyi z jednej strony, a z drugiej w kwietyzmie filozoficznym, który mu szeptał do ucha: „kto ty jesteś? jakie masz prawo sążenia o trudnościach, co cię popycha do wyrzekania zdań,” a na to odpowiedzią było „istnieję, mam zmysły, co mię uwraźbiają; oto najpierwsza prawda, która mię uderza”—Rousseau przypadł do smaku apostrofą: „Żargon metafizyki nigdy żadnej prawdy nie zdobył; napełnił tylko filozofią niedorzecznościami, których wstydzic się trzeba, po odarciu ich z szumnych frazesów.” Powtarzamy: Śniadecki nie mógł się uwieść *duchem* zasady pozbawiającej naturę ludzką wszelkiej zgoła inicjatywy teoretycznej; skoro np. logikę Kondiawłaka uważa za niebezpieczną, i wytyka mu, *nad wszelkie spodziewanie*, odskok ku fizyologii. Ale, co niewątpliwe, zacerpnął tam ów plastyczny kierunek formy, przyskający życiem ton rozumowania, w którym podobno umysłowi francuzkiemu żadna rassa nie dorówna. Ciche, jakoby podziemne apostołstwo reformy ducha, prowadzone drogą zawiłych, acz kunsztownych wywodów stariej metafizyki, zgasnąć musi, obok iskry elektrycznej, jakiej tajemnicę posiada ta dziwna rassa, uprzywilejowana do wcielania idei. I zaprawdę wszelkie nawoływania dwóch wielkich odrodzicieli, Bakona i Newtona, pod względem praktycznej doniosłości w naukach, nie sprawiłyby ostatecznego skutku, bez tego jaskrawego bodźca, jaki się odzywa np. przez usta

Rousseau'a w haśle „wyjdz z dzieciństwa przyjacielu, obudź się.” Chociaż z drugiej strony, szkoła francuzka pod magią słowa wprowadzała nieraz zdania mające wszelkie pozory prawdy, ale fałszywe lub względnie tylko prawdziwe.

Obok treści sensualistycznych (francuzkich), prowadzonych metodą faktu, wyrabiały się w Anglii i Szkocji rozliczne prądy, popychające myśl ludzką, w innych wcale kierunkach. Niektóre poniekąd stały się nawet pierwszym bodźcem i warstwą przygotowawczą systemu Kanta; w okresie jego poprzedzającym krytycyzm.

Jest to grupa tak zwanéj „filozofii popularnéj;” główni członkowie téj grupy: Hume, Berkeley i Reid i t. d. rozchodzą się wprawdzie w różne kierunki, zawsze jednak ze wspólnego ogniska: to jest z teoryi poznawczéj Locka, a po metodologicznej linii Bakona. Z powodu wspólnego sobie współczesnego godła „doświadczenie faktu” i owéj Newtonowskiej przestrogi „fizyko! strzeż się metafizyki,” wszyscy oni nadawali się do pojęć Śniadeckiego; najmniej jednak, zdaniem naszym: Hume. Hume, którego Kant nazywa geografem rozumu ludzkiego, powinien był odstręczyć Śniadeckiego dwiema stronami: 1-y sceptycyzmem prawie rozpaczliwym (w zapytaniu np. dotyczącém przyczynowości, w kwestyi bóstwa), 2-e zempiryzowaniem samego nawet pojęcia moralności.

Napróżno to echo boskości w naturze ludzkiej dopomina się u Hume'a o światło przeświadczenia, o głos wolny w sercu człowieka. Wprawdzie Hume przyznaje, że *de facto* moralność istnieje pomiędzy ludźmi, że mocą tego *wrodzonego* uczucia, odróżniamy złe od dobrego. Ale podstawy metafizycznej Hume odmawia mu stanowczo. Czyn dobry, możnaby powiedzieć w imieniu Hume'a, jest to poprostu zaspokojenie instynktowego prawie popędu. Podług niego życie człowieka tyleż waży, co życie ostrzygi. A jednakże cześć gorącą i uznanie dla filozofii angielskiej, Śniadecki rozciąga i do Hume'a. „Naród ten, mówi Śniadecki, jak był pierwszym założycielem zdrowéj filozofii... doskonaląc tę naukę, utrzymuje jéj prawo, tak dziś, wierność i chwałę w pismach Hume'a, Reida, Stewarta, Campbella i innych (tom IV 178).

Uznanie to nie przystaje tak szczelnie do miary, jaką Śniadecki stosuje do Kanta w „przydatkach do pisma o filozofii.” „Wolno sobie bredzić i finesować w psychologii i logice, ale nie w fundamentach *etyki*, od których szczęście indywidualne i zbawienie towarzystwa zależy. Kant większą wyrządził cześć moralności przez swoje życie, aniżeli przez swoje dzieła.”

Czy podobna, zapytujemy się czytelnika, wytłumaczyć sobie tę podwójność miary, w ocenie mędrca angielskiego i Kanta, nie przypuszczając, że w poglądzie na trudy pracowników nieraz *człowiek modyfikuje filozofa?*

Ponętniejszym dla poglądów naszego mędrca zdawałby się irlandzki myśliciel Berkeley (nieco wcześniejszy od Hume'a), bodajby z téj, ujemnéj pobudki, że ogranicza z góry kompetencje umysłu ludzkie-

go w zaciekach metafizycznych, o co mocno chodziło dostojnemu ziomkowi. W systemacie mędrca, tak czujnie stojącego na straży pogranicza między tém, co się godzi a co nie godzi w przywilejach rozumu ludzkiego, dla mędrca takiego pożądaném byłoby powinno to zeznanie Berkeleya, „że człowiek naturze o rzeczy, t. j. o ich istocie obiektywnej nie ma prawa orzekać, że nie ma prawa ani wzmiankować nawet o stosunku wyobrażeń o rzeczach do rzeczy samych, porównywać obrazu z pierwowtorem, bo tym sposobem przypuściłoby należało, że pierwotwór znanym mu jest poprzednio” i t. p.

Jednakże Berkeley odstraszył Śniadeckiego dziwnym zasklepieniem swojego systemu, krańcowym idealizmem dającym się tak streścić lakonicznie „bez subjektu nie ma obiektu.” Z drugiej strony odstręczać musiała Śniadeckiego i ta stanowczość, z jaką Berkeley odpycha wszelką zmysłową rękojnią rzeczywistość naszego poznania dowodząc, że ani wciąganie oddechu, przy powonieniu, ani potracenie słuchu i t. p. bynajmniej nie dają wrażenia przedmiotu.

Pytanie, czyli w nakreślonej tu zarysowo sytuacji filozoficznej mógł dla siebie znaleźć zadawalniającą atmosferę umysł, domagający się od wiedzy czegoś innego, jak jej sądu o samej sobie, umysł, powiemy śmiało, upodrzedniający interesa teoretyczne? w obec zasadniczych zagadnień i wiar życiowych najbliższej mu społeczności; kiedy, *zdaniem jego* zmienić szkołę, znaczyło coś więcej, jak przesiedlić się z jednej sali odczytowej do drugiej, znaczyło owszem stanowczą zmianę frontu w ogólnych zasadach i natchnieniach: kiedy kwestya systemu, była kwestyą zachowania, lub przeciwnie, zwichnięcia dziejowego ciągu w kulturze.

Śniadecki (czy mylił się on w tym względzie, lub nie, tego nie rozstrzygamy) stawiając ów dogmat ciągłości kultury na pierwszym planie, wyobrażał siebie w pośród dwojakięj grozy: czém krańcowy materializm francuzki zagrażał naocznie, bezpośrednio, tém idealistyczny kierunek zagrażał niby oderwanięj, ale za to głębięj, bo zasadowięj. Skutek moralny z obu stron jednakowy. Powiedzieć człowiekowi, że świat i jego stosunki są to jedynie jego *wyobrażenia*, jest to samo co powiedzieć mu, że mrzonką jest to wszystko, czego zważyć dotykiem, zacerpnąć powonieniem nie można.

Oprócz zachwiania się powag etycznych, w razie nietrafnie obranego kierunku, Śniadecki obawiał się naruszenia téj ciszy umysłowej, jakiej wymaga każda uprawa naukowa, w jakimkolwiek rodzaju.

Pytanie, czyli mógł być w ówczesnym otoczeniu kierunek jakiś, nie stawiający badawczego umysłu pomiędzy młotem i kowadłem? Zdaniem Śniadeckiego istniała pewna droga; istniała nauka, którą mamy zwyczaj, niezupełnie słuszny, nazywać *środkiem* pomiędzy idealizmem a realizmem; była to grupa filozofii spokoju, załatwiająca się z najcelniejszymi zagadkami świata zazmysłowego na drodze zdrowego rozsądku, przecinająca instynktem ów węzeł gordyjski, za jaki uważa się zapytanie o związku duszy ze światem, o wiarogodno-

ści naszych wyobrażeń, pojęć i t. d. Nie bez uroku też była dla niego ta szkoła, z powodu rozbratu swego ze sceptycyzmem Hume'a. Powtarzamy: Śniadecki musiał być wyznawcą filozofii spokoju; zwrot jego ku tej grupie filozofii angielskiej, wywiązał się poniekąd *psychologicznie*, z umiłowanego przezeń stanowiska mędrca wśród kultury miejscowej. Przesnuwanie zasad, z tej szkoły powziętych żywiołami filozofii francuzkiej XVIII-go wieku, tłumaczy się łatwo; niechęć do poszukiwania pierwszych przyczyn, do konstruowania materii i t. d., zgola wymijanie wszelkich dziedzin transcendentalnych, stanowiło wspólny grunt, tak dla jednej, jak i dla drugiej. Do jakiego zaś stopnia w filozofii Śniadeckiego, *mędrzec* poddaje się naciskowi *człowieka*, pokazuje się dotykalnie z takiego np. zdania: „Choćby (Filoz. umysł. ludz. Wstęp st. 187) ten wniosek (że człowiek składa się z ciała i duszy) był wątpliwy i do okazania trudny; wszelako przypuszczenie to bierzemy za pewne, z powodu, że przez nie wszystko daje się wytłumaczyć, co jest naszemu pojęciu dostępne; że to przypuszczenie jest dla człowieka i towarzystwa *potrzebne, zbawiennie i pocieszające*.” „Tą tylko drogą, (doświadczenia i postrzegania) postępować i doskonalić się może nauka o umyśle ludzkim, zawsze atoli w tém tylko, co nam jest *potrzebne* i właściwe, t. j. co przystoi na nasze organa, sposoby i siły.”

Oto jest obraz warunków, w jakich się mogła zawiązać i ukształtować filozofia Śniadeckiego. Pozwoliliśmy sobie nakreślić go od siebie, z uwagi, że w oznaczeniu charakteru nauki wielkich myślicieli, a więc i Śniadeckiego, właściwiej byłoby z pośród innych prac, wyosobnić jego działalność filozoficzną. Odnoszenie do filozofa tego, co Śniadecki, wypowiedział np. z katedry astronoma, lub matematyka, wprawdzie dodaje o jeden rys więcej w jego ogólnej charakterystyce; ale zaciera jednolitość poglądu na to, czego dokonał w filozofii. Trudność ostatecznego sformułowania sobie tej potężnej osobistości, jako filozofa, pochodzi tu właśnie ztąd, że do jego zasad logicznych odniesiono to, co wyrzekł np. w rozprawie matematycznej: „ponieważ zaś cała masa wiadomości ludzkich, wyjąwszy prawdy matematyczne, jest tylko zbiorem myśli do *prawdy podobnych*, przeto rozumowania nasze, oparte na doświadczeniu, im się bardziej snują, tém więcej tracą na oczywistości, a droga samėj indukcji i analogii musi nas zawsze w rozumowaniu obłąkać.” Te słowa nie zdają się harmonizować wszystkimi tonami z ogólnym duchem teorii poznania naszego filozofa.

W tym obrazie pozostawiliśmy w uboczu najważniejszą dziedzinę rozwoju pojęć filozoficznych t. j. Niemcy, dla tego że Śniadecki z góry potępił ją, jako spekulacyą. Bez względu na to, że sam nawet kantyanizm ma swoje fazy, w rzędzie których spotykamy i przewodnictwo Hume'a i dobę poprzedzającą jeszcze krytycyzm, Śniadecki daje nam ryczałtowe oświadczenie, że z myśleniem niemieckim nie go nie łączy. Nawet Leibnic, pomimo ogólnie naukowych stron

swojej działalności, nader ogólnie wspomnianym jest przez Śniadeckiego.

Dla usprawiedliwienia postawy, jaką przybrał Jan Śniadecki w obec filozofii pojęciowej, w osobie głównego jój przewodzczy; p. Straszewski po historycznym gruncie doprowadza nas do Kanta. Oprócz przytoczonych powyżej rysów spotykamy się tu z historyzofem Condorcetem, który (Straszewski, J. Śniadecki str. 191) „jakkolwiek z powołania matematyk, był jednym z pierwszych, którzy usiłowali genetycznie wytłumaczyć postęp wiadomości ludzkich. Poglądy jego, wyrzeczony w Zarysach dziejowego obrazu postępów rozumu ludzkiego, jakkolwiek pod wieloma względami jednostronne i posiadające wszystkie cechy doktryneryzmu rewolucyjnego, pozostaną jednak przykładem, jak umysł ludzki, nie mogąc zadowolnić się samą różnaitością faktów naukowych, szukał nietylko sposobu połączenia ich, „w systematyczny organizm, ale pragnął zrozumieć także prawidłowy rozwój tego organizmu.”

Historyczna rola, w jakiej występuje Kant, określoną została przez autora wybornie. „Oto—powiada on—z pośród nauk ścisłych wytwarza się nowego rodzaju filozofia, ze stanowiskiem ostrożnym, najczęściej sceptycznym, pozytywnie ograniczonym do zjawisk, ale nie raz także przechylającym się na stronę materyalizmu; celem jój i dążeniem, to zrozumieć i ująć wiedzę ludzką w jeden obraz systematyczny i genetyczny.” Tym sposobem nauka, prowadzona w imię faktu, posuwa się i dokonywa wielkich zdobyczy, starą metafizykę pozostawiając daleko za sobą. Berkeley, doprowadzony do rozpacz, że nie może dowieść pojęciowo istnienia tego, co widzi, rzuca się w objęcia Wyższego Pośrednictwa, jak uczynił Dekart a poniekąd i Malbransz. Na taki akt abdykacyi Kant zdobyć się nie mógł. Nie mógł on również pozostawić głównej zagadki w zawieszeniu, sceptycyzm jest rozjemem, ale pokoju dać nie może. Pozostawało więc przedewszystkiem obejrzyć starannie instrumenta wiedzy ludzkiej, w jój materyale odróżnić brutto i netto, zgoła pozostawało treść wiedzy przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza. I ztąd to powstało owo powołanie rozumu przed trybunał, nad którym Śniadecki rozwodzi się tak szeroko i z takim dowcipem. Stanowisko jego ogólne, wraz z postawą w obec Kanta autor nasz tak streszcza:

1. „Przechodząc od nauk do filozofii, starał się on filozofią, wyłaniającą się z pośrodku nauki rozwinąć samodzielnie i uzasadnić w walce z filozofią Kanta, która *pod względem metody i podstaw rozumowania* zasadniczo od tamtój się różniła.”

2. „Wykształcony na gruncie umysłowym polskim i wynosząc nad wszystko praktyczno-moralne znaczenie nauki, nie mógł zadowolnić się *sensualizmem* i *sceptycyzmem*.”

3. „Stojąc na zupełnie innym gruncie umysłowym, upatrywał on w filozofii Kanta niebezpieczeństwo dla własnego narodu i dlatego ją zwalczał, a ponieważ nie chciał ograniczać się do ujemnej tylko krytyki, starał się dodatnio ustawić i rozwinąć zasady filozofii zgo-

dnęj tak z nauką na rozumowaniu z faktów opartą, jak i z umysłową przeszłością narodu opartą."

Przyklaskujemy szczerze zdaniu przytoczonemu (tu pod nr. 3). I bez tój aureoli, Jan Śniadecki byłby w każdym razie postacią pierwszją wielkości; pobudki zaś wzniosłe, któremi mąż społeczności gorował po nad mędrcom, nadają tój postaci obok blasku, jeszcze urok ogrzewczy. Wprawdzie umiejscowienie filozofii, a szczególnięj teoretycznej, wytrzymuje tylko krytykę serca; i owe nawiasowe pobudki prawowitszemi byłyby w dziedzinie filozofii moralnej. Ale z drugiej strony przyznajemy, że bywają kierunki, do których pewne społeczeństwa piérwěj dojrzeć powinny, zanim pod prąd postawionemi być mają.

Podkreśliliśmy tu w 2-ím zdaniu autora o J. Śniadeckim wyraz sensualizm. Zaprawdę trudno będzie autorowi usprawiedliwić je. Luźne odezwanie się Śniadeckiego w liście do Szopowicza (Straszewski str. 201), że „(Kantyanizm) przejdzie jak moda i to tylko zrobi tam dobrego, że zreformuje fałszywie zrozumianą a niebezpieczną naukę Kondyllaka” nie poprze zdania autora.

Psycholog, etyk, słowem filozof, nawet człowiek jakiegokolwiek dziedziny naukowej, nie potrzebuje wywieszać swojego sztandaru, jeżeli w zrębach, układzie ogólnym i członkach pojedynczych budowy widać naocznie ten lub inny porządek architektoniczny.

Czy uchwalony przez dzieje kultury powszechnęj piedestał dla imienia Jana obniży się przez to, że ten wielki człowiek tłumaczył sobie rodowód wiedzy ludzkiej nie w imię dat apriorycznych? Że Śniadecki był sensualistą i empirykiem, to widoczna; co więcj, on cenił w sobie wysoko oba te charaktery. To, o co, podług słusznego zdania autora, szło mu głównie nietylko w ogólnym zawodzie nauki ale i w podjęciu budowy filozoficznej, właśnie powinno było skierować go od hołdu dla filozofii zmysłu i doświadczenia, ku biegunowi odwrotnemu, ku budowie pojęciowej. Z tēj strony bowiem, jak już mówiliśmy, niebezpieczeństwo etyczne zagrażało oderwanięj i w nierównie dalszėj przyszłości, aniżeli ze strony tēj filozofii, która wyzywa do boju na polu faktów, a przez swój zmysłowy punkt wyjścia, jaskrawo udostępnia swoje wywody. Śniadecki mimo to silnie trzyma swoją barwę do ostatka. I tak, podejrzewając pokrewieństwo pomiędzy przedzmysłowemi kategoriami Kanta, a ideami wrodzouemi Platona, Dekarta i t. d., Śniadecki oprócz dodatnich pocisków, używa sprężyn pośrednich, zmniejszających doniosłość lub wiarogodność tych zdań, których bronią aprioryści wszelkich odcieni. „Że zaś wszystkie początki (principia) i prawdy ogólne są nabyte, tego dowiódł Locke; (słowa Jana Śniadeckiego t. IV, s. 195); na co mu dotąd nikt nie odpowiedział.”

Niepodobna przypuścić aby Śniadecki przeoczył tę szeroką odprawę, jaką Lockowi daje Leibnic, tuż na miejscu, punkt za punktem (Locke, An essay i t. d. księga I roz. III i Leibnic Nouveaux Essais...

taż księga i rozdział). Dlatego nie wspomniał głosu i drugiej strony? Nie pokazujesz się ztąd, że Śniadecki duszą i ciałem nietylko zerwał z zasadą i metodą filozofii pojęciowej, ale i miał niejako osobistą skłonność do swojej szkoły i nie chciał być posądzonym nawet o cień niechęci przeciw drogom aposteriori.

Podobnie ma się rzecz ze znaczeniem zmysłu w jego teorii poznania. Możnaż być czém inném w logice, a czém inném w psychologii?

Twierdzimy, że sam bohater streszczając swoje stanowisko, nie ująłby ani jednego rysu z tej wyborniej charakterystyki, jaką daje prof. Struve w swojej Logice (str. 189—192) i nie zaparł się bynajmniej i znamienia sensualizmu.

Z głęboką znajomością rzeczy oprowadza nas autor po drogach polemiki J. Śniadeckiego z Kantem. Zwraca uwagę na przypisywane przez niego Kantowi znięcie *dogmatyzmu*. Naturalnie, Śniadecki nie uznając, jak to się czyni dziś, systemu Kanta, zastaje rozgraniczające dzieje filozofii na dwa światy, nie uznaje też jaskrawego dla nas sprzeciwieństwa: krytycyzmu i dogmatyzmu.

Pomimo pewnego rodzaju namiętności, z jaką Śniadecki podnosi oręż, dostrzegamy jednak, że niejednokrotnie trafiał on w sam rdzeń rzeczy. Tak np. niefortunnym, podług autora (219), jest podział myśli według form i treści, przypominający perypatetyków. Ale autor potępia w Śniadeckim ryczałtowe wystąpienie, odmawiające nawet nazwy filozofii budowie Kanta, razi go też wmawianie w Kanta nieufności w świadectwo zmysłów. Podziela natomiast ten zarzut, iż Kant najwალniejsze punkta systematu stawia bezdowodnie, że podziałowi myśli ze względu na formę i treść nie daje należnej podstawy psychologicznej. Trafnie też podał nam autor obraz polemiki krajowej, w obronie Kanta (Dzieduszycki, pod pseudonimem Filopolskiego).

Zarzuty Jana Śniadeckiego przeciw oryginalności tak całości kształtu, jak odrębnych części budowę Kantowską stanowiących, należałoby autorowi rozwinąć obszerniej. Rozumiemy stosunek Kanta do Arystotelesa i Platona; bo i czegoż nie ma (zarodkowo) w Arystotelesie, poczynając od teorii przestrzeni: czasu. Ale wdzięcznymi bylibyśmy autorowi za obszerniejszą wycieczkę do genezy zasad Kantowskich, które bądź co bądź, są faktem epokowym, od którego wychodzą najgłówniejsze linie dalszego rozwoju, a które dziś zdają się odmładzać pod przeróżnemi postaciami. Wszakże, prawdę mówiąc, autor miał tu na scenie dwie tylko osoby dramatu.

W kwestyi czasu i przestrzeni, autor wraz ze Śniadeckim przyjmuje je za *pojęcia* wytworzone w drodze *oderwania*, wbrew Kantowi. Radziłybyśmy także usłyszeć czém autor udowodniłby tak ważną cechę?

Również zbyt przelotnym wydaje się nam pośrednictwo autora pomiędzy dwoma mocarzami w kwestyach filozofii moralnej. Tu bowiem, zdaniem naszym, budowa Kanta oparła się na niewzruszonej skale i w żaden sposób nie godzi się kłaść znaku równości pomiędzy

rdzennymi acz narysowanemi w liniach prostych uchwałami etyki Kanta, a tchnącemi jedynie świętą prostotą przestrogi.

W rozdziale „O filozofii umysłu ludzkiego,” w której Śniadecki (jak sam niestety niemylnie przemawia) spodziewał się zrobić dla naszój młodzi ostatnią moze, ale jej przydatną przysługę—w tym rozdziale autor streszcza przed nami wybornie ducha, rozkład i najwydatniejsze rysy nauki Śniadeckiego. Mamy tu wszystko, co Jan Śniadecki po rozprawieniu się ze spekulacją filozofa niemieckiego zbudować zamierzył dodatnio, na miejsce gmachu zburzonego, a raczej uważanego za godny zburzenia.

Autor wskazuje tu na pokrewieństwo z filozofami szkockimi co do planu i drogi pośredniej z ograniczeniem *common sensu*. Głównie zaś zestawia „Filozofią” z dziełem Dugalda Stewarta (*Elements of the philosophy of the human mind*), wspomina o wpływie i współpracownictwie brata Śniadeckiego, Jędrzeja, któremu oddaje hołd należy i przez całą Europę uprawniony.

W przebiegu głównych „władz umysłu ludzkiego” spotykamy się z pewnemi trudnościami, które oprócz natury obranego kierunku pochodzić się zdają z właściwego Śniadeckiemu sposobu nadawania znaczeń pewnym terminom. Takimi są znaczenie techniczne np. wyrazów: czucie, początek, oczywiście ukształtowane na terminologii angielskiej. W kwestyi woli, która u Śniadeckiego jest niby wolną, a jednak i wymusową, autor nasz dostrzega sprzeczność, i bardzo słusznie liczy ją na karb ogólnego ducha téj filozofii, nie pozwalającój upominać się o uzasadnienia metafizyczne.

Poglądy Śniadeckiego na charakter wiedzy naszój, autor ujmuje w 6 punktach ¹⁾, zwraca zaś szczególną uwagę na dwa ostatnie. Znajdujemy tu różnicę zjawiską zewnętrznego od fenomenu wewnętrznego. „Wrażenie zmysłowe, zauważane i odniesione na zewnątrz, jest zjawiskiem zewnętrzném. I tak np. spadanie ciał, siłą ciężkości, należy do zjawisk; każdy tego rodzaju fakt zależeć może od różnych warunków (massy, oporu i t. d.). Każdy więc, jednorazowy spadek, w skutek kombinacyi tych różnych czynników, ma w sobie coś odmiennego. Pomimo to jednak w każdym z tych zjawisk widoczną jest pewna jednostajność.” Otóż po dostrzeżeniu zjawisk, powtarzających się przy każdym fakcie, przychodzimy do wytworzenia tego kształtu poznawczego, który Śniadecki nazywa fenomenem *ogólnym*.

Ważna to uwaga, ani słowa; ale czy popiera ona protest, założony przez autora, przeciw zaliczeniu Jana Śniadeckiego do rzędu sensualistów? Nie sądzimy.

Oto są niektóre z wydatniejszych punktów sumiennój pracy p. Straszewskiego, dotyczących głównego zakresu i działalności Jana Śniadeckiego. W ogólném zestawieniu pojedynczych zdań i grup pojęciowych wielkiego meża, autor w końcu otrzymuje to samo, najrzetelniejsze i rdzennie wysłowione godło, które było dla niego punktem

¹⁾ Str. 255.

wyjścia: „Śniadecki Jan był myślicielem, który, pojmując nauczycielskie stanowisko swoje, jako rodzaj kapłaństwa narodowego, widział zawsze największą korzyść nauki i wiedzy w jej pożytkach moralnych i społecznych.” Powtarzając je za autorem, dodajemy, że wiek Jana Śniadeckiego może istotnie być taką dobą w kulturze krajowej, kiedy pojęciowa praca mędrca, powinna była stać pod kontrolą stanowiska człowieka danej społeczności. Ocena sumiennego i arcypożytecznego pisma dra. Straszewskiego może położyć tu i owdzie „veto” z powodu pewnych punktów, wypowiedzianych autorowi przez cześć dla swego bohatera, ale po nad temi uwagami nieodwołalnie górować musi gorące, literackie podziękowanie czytelnika, w imieniu prawdy i jej czcicieli.

F. J.

Sprawozdanie z czynności Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1875. We Lwowie, 1876 (w 8-ce str. 220).

W dniu 12 października 1875 roku odbyło się we Lwowie publiczne posiedzenie *Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich*, na którym odczytano sprawozdanie z czynności pomienionego Zakładu za rok 1875. Po zagajeniu posiedzenia przez Kazimierza hr. Krasickiego, Dr. Stanisław Smolka dał nam szczegółowy obraz z czynności całorocznych: stanu biblioteki, galeryi obrazów i muzeum starożytności, a zarazem o ile zbiory te już darami prywatnych, już nabytkami pomnożone zostały.

Inwentarz dzieł drukowanych wykazuje poważną cyfrę 69,721; rękopisów 1,966, autografów 2,632, dyplomatów 727, rycin 21,492, obrazów 615. Zbiór starożytności wzbogacony został zbrojownią Przeworską do muzeum Lubomirskich należąca, jak niemniej muzeum dawne przy Zakładzie monetami i medalami.

Wykaz pracujących w czytelni i korzystających z tak znakomitej biblioteki, coraz się więcej pomnaża: nie mało literatów zamiejscowych korzystało z tych skarbów, mając pozwolenie pożyczania ksiąg i rękopismów dla użytku w badaniach. Dr. Smolka następnie wykazawszy stan majątkowy Zakładu (wynoszący w ogóle do dwóch milionów złp.) zakończył sprawozdanie swoje podziękowaniem tym instytucjom i osobom, które w ciągu roku przyczyniły się swemi darami do pomnożenia zbiorów Zakładu.

Zamykając to posiedzenie dyrektor Zakładu August Bielowski, odczytał treściwe sprawozdanie z działalności naukowej Zakładu Imienia Ossolińskich. Otwarcie i szczerze mąż ten uczony i tyle zasłużony, daje do zrozumienia, że utworzenie Akademii umiejętności w Krakowie dopomogło nie mało do działalności szerszej Zakładowi Imienia Ossolińskich. Mówi bowiem:

„Przez ścisły z Akademią, umiejętności stosunek i przy pomocy funduszów, którymi też Akademia rozporządza, stało się też mo-

zliwém niektórym członkom tego oto Zakładu przedsiębrać naukowe podróże, rozpoznać dokładnie archiwum gnieźnieńskie bogate w dawne nadania, a tak mało dotąd zwiedzane i rozpoznane; rozpoznać najważniejsze kodeksy historyczne w bibliotekach warszawskich, mianowicie w bibliotece ordynacyi hr. Krasieńskich i hrabiów Zamojskich i zrobić z nich naukowy użytek; nakoniec za pomocą korespondencyi zamienić wierzytelne odpisy i podobizny rękopismów w Rzymie i Petersburgu, zawierających nieznaną dotąd źródła do dziejów Polski, celem wydania ich w III tomie Pomników dziejowych Polski z czasów przed-Długoszkowych, który to tom rozpocznie się niebawem tu drukować we Lwowie, nakładem Akademii umiejętności."

Niedosyć w skutek braterskiej naukowej łączności Akademii umiejętności z Zakładem Ossolińskich, znosili się wzajemnie pracownicy w działach filozoficzno-historycznych i filologicznych i częste odbywali posiedzenia, na których zdawano sprawę z naukowych podróży, rozpatrywano nowo odszukane kodeksy historyczne, odczytywano opracowania pojedynczych artykułów przygotowanych do trzeciego tomu „Pomników dziejowych Polski” i zdawano sprawę z postępu robót około rejestrów dyplomatycznych i historycznego repertoryum.

Wydawnictwem jedném z najważniejszych, które sam Zakład staraniem swoim i nakładem przed kilką laty przedsięwziął, a w tym właśnie roku dokonał, jest Dyplomatarysz klasztoru Tynieckiego.

Klasztor ten Benedyktynów, jeden z najstarszych w Polsce, w ostatnich latach X-go wieku założony, posiadał sławną niegdyś bibliotekę i archiwum, które w kolei wieków różnym losom ulegały. Po zniesieniu tego klasztoru za rządów austriackich, to co jeszcze z tej biblioteki i archiwum pozostało, zwieziono w latach 1817 i 1827 do Lwowa i złożono w bibliotece uniwersytetu lwowskiego, nie jako własność téj biblioteki, lecz jako depozyt, pod wyłączny nadzór samego bibliotekarza oddany i nikomu więcej niedostępny. Tu znajdowało się archiwum drogocenne, bo przeszło 4000 sztuk dyplomów i tym podobnych dokumentów częścią pergaminowych, a częścią papierowych. Aleksander Batowski umiejący cenić wartość tych zabytków, część szczególnie z dawniejszych wieków przepisał i opracował naukowo, w chęci ogłoszenia drukiem. Po jego zgonie Zakład nabył tę spuściznę naukową i wydał w roku 1871 część jedną, przez ówczesnego sekretarza literackiego tego Zakładu dra. Władysława Skrzydelkę opracowaną, które to opracowanie wymaganiom znawców nie odpowiedziało. Postanowiono przeto wziąć się do tego wydawnictwa na nowo, a niepolegając na samych odpisach Batowskiego, zrobić skrzętne poszukiwania co do wyalezienia oryginałów, bądź tych z których Batowski odpisywał, bądź téż takich, których nie miał w swym ręku. Jakoż znalazła się cząstka oryginałów w zbiorach naukowych Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, inna znowu cząstka w Skawinie i po jednym dyplomie oryginalnym tynieckim w Uniwer-

sytecie Jagiellońskim w Krakowie, w bibliotece uniwersytetu lwowskiego i w bibliotece samego Zakładu. Te więc oryginalne dyplomy za główną podstawę wzięwszy, a mając jeszcze do pomocy, oprócz Batowskiego odpisów, dwa wielkie tomy kopiarzów tynieckich z XVII wieku, z których pierwszy jest własnością Wiktora hr. Baworowskiego, drugi własnością Zakładu; przystąpiono do dzieła z całą ścisłością należną. Podzielono go na dwie części, z których pierwszą po rok 1400 sięgającą opracował dr. Wojciech Kętrzyński, drugą sekretarz literacki Zakładu Ossolińskich dr. Stanisław Smolka, znany badacz ojczyźtych dziejów. Dyplomatarysz pomieniony już oddany pod prasę drukarską. W końcu swęj przemowy A. Bielowski zapowiedział nową publikacją, to jest „Jerzego Ossolińskiego kanclerza wielkiego koronnego, autobiografią, obejmującą pierwszych lat 26 jego życia” wydaną wiernie według autografu.

Znakomity ten mąż stanu, zawołany mówca i jeden z ludzi najuczestniejszych w swoim czasie sprawował różne poselstwa od Zygmunta III i Władysława IV do dworów zagranicznych, a między innymi sławne owo poselstwo do Rzymu w roku 1633 do Urbana VIII papieża, w którym wspaniałością i przepychem swego orszaku, wywołał podziw stolicy katolickiej, a pamięć owęj chwili, stara Roma dotąd przechowała.

Pamiętnik ten, bogaty przyczynek do dziejów naszych z XVII stulecia, stanowi właściwą książkę od str. 29—229; tym sposobem Zakład Imienia Ossolińskich rocznym swoim *Sprawozdaniem* nadaje cenną wartość, gdyż z czasem utworzą zbiór szacownych materyałów historycznych; w roku bowiem 1874 wydanym został Pamiętnik księcia Antoniego Jabłonowskiego, a w następnym J. Ossolińskiego. Pożyteczna to myśl, do rocznych Sprawozdań dołączanie zabytków z piśmiennictwa nieznanych, sądzimy jednakże, że odpowiednio godności téj instytucyi, jako téż i posiadany funduszom, powinna przybrać szersze rozmiary. Nie format broszury ale tomu, księgi okazańej, tego rodzaju publikacja nosić winna, a obejmować nie jeden pamiętnik, ale zbiór ważniejszych rękopisów, w jakie biblioteka miejscowa obfituje. Sądźmy że na to fundusz łatwoby się znalazł, gdy Zakład przez lat tyle i w mniej pomyślnych okolicznościach wydawał swoje „Bibliotekę,” którą ze szkodą dla literatury krajowej przerwano. Na to sił naukowych sam Lwów dosyć posiada. Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich powinien wziąć za wzór działalność Akademii umiejętności w Krakowie, która w krótkim lat przeciągu, tyle świetnych publikacji ogłosiła. Mogą być one skromniejszych rozmiarów, ale wymagać tego mamy słuszne prawo.

W.

Pamiętnik damy Polskiej z XVII wieku, (Urszuli z Ustrzyckich Tarnowskiej). Wydał W. T. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1876 r. z drukarni K. Pillera (w 8-ce stronnic 139).

Sam napis książki zdawał się zapowiadać, że poznamy żywo nas obchodzące szczegóły z życia domowego upłynionego wieku. Ale zawód nas spotyka, bo autorka zapisawszy tylko datę swego zamąż pójścia, dalej wspomina jedynie narodziny swoich dzieci, i śmierć ukochanego brata. Całą jej uwagę zajmują sprawy krajowe zaczynając od początków roku 1781.

Opisuje przybycie do swego domu króla Stanisława Augusta, w drodze gdy jechał na spotkanie się z Imperatorową Katarzyną II; sama z mężem udaje się na ten zjazd głośny w owe czasy, i zapisuje w swym pamiętniku, z pewnym rodzajem radości, że pomieniona cesarzowa z królem trzymali do chrztu jej najstarszego syna Władysława. Obrzędu tego dopełnił biskup Naruszewicz.

W dalszym ciągu ważniejszych lat następnych zapisuje wypadki zajmujące, podaje szczegóły o wzięciu Adama Łodzi księcia Ponińskiego i odczytaniu mu wyroku śmierci, to o wybuchu rewolucyi francuzkiej, z którą gorąco sympatyzuje; opisuje sejm w Warszawie 1791 r. i ogłoszeniu ustawy poświęca obszerny ustęp; zwraca oczy na Austryą i Szwecyą, kreśli rys kampanii 1792 r., śmierć Ludwika XVI a następnie i Maryi Antoniny. Przechodzi do konfederacyi Targowickiej; chwile ostatnie oporu i wystąpienia T. Kościuszki w roku 1794. Cały ten okres pilnie rozważa, zbiera każdy szczegół tego dramatu, który się skończył na polach Maciejowic.

Po abdykacyi Stanisława Augusta w roku 1795, szczegółowo rok 1796 opisuje, idąc miesiąc po miesiącu, głównie zajmując się rzeczospolitą francuzką i jej walkami z Austryą. Tu występuje Napoleon Bonaparte i całą uwagę autorki zajmuje, nie zapomina jednakże i zdarzeń w Szwecyi i Rosyji, jak śmierci cesarzowej Katarzyny II, przywdzianie korony cesarskiej przez Napoleona, jego zwycięstw i pojawienie się w Warszawie armii francuzkiej. Krótkie wspomnienie autorka poświęca 1809 r. i kończy swój Pamiętnik „D. 3 octobra 1811.”

Obejmuje on wspomnienia lat okrągło trzydziestu, kiedy sędziwa matrona go zamknęła. Później dotknięta ślepotą, już tylko obcą ręką używać mogła do skreślenia swoich wrażeń, myśli i uczuć. W roku 1831 skończyła życie.

Pamiętnik ten zasługuje z tego względu głównie na uwagę, że daje nam wymowny dowód charakterystyki Polek z upłynionego stulecia. Matrona poważna, jakkolwiek zajmująca się gospodarstwem domowem i wychowaniem swój dziatwy, żywo i gorąco zajmuje się zara-

zem sprawami publicznymi. Od rodzinnego ogniska myśl jój wybiega na szersze pole, na którém rozgrywają się losy jój ojczyzny. Nie spuszcza z baczenia wypadków, które wydatnieją współcześnie w różnych krajach Europy. Sympatye jój ku stronom szlachebnym i dającym rękojmię polepszenia bytu ludom, są serdeczne i z zapałem nieraz wypowiedziane. W dostojnej postaci autorki, mamy wizerunek matrony polskiej, przejętej duchem czystego obywatelstwa, która nieraz zdolną była podać zdrową radę swemu mężowi.

Z pism jój pozostały piękne acz prywatnego charakteru tylko korespondencye z opiekunem swych dzieci Ignacym Potockim, równie z sąsiednimi sobie Puławami, i pełne humoru listowne rozmowy z codziennym, zażyłym przyjacielem domu J. U. Niemcewiczem, które wydawca przyrzeka ogłosić drukiem, wraz z życiorysem Rafała Tarnowskiego konfederata barskiego, pióra tójże autorki, a zarazem „Dzieje królów elekcyjnych” skreślone przez Ignacego Potockiego marszałka litewskiego.

Tak ten pamiętnik o którym mówiliśmy jak i pomienione prace wychodzą pod ogólnym napisem: „Z archiwum Wróblewieckiego.” Była to główna siedziba dostojnej autorki, położona o mil sześć od Lwowa i w niej się przechowały powyższe pamiętniki. R.

Umysł i ciało. Mniemania o ich wzajemnym stosunku. Przez Aleksandra Bain, profesora logiki przy uniwersytecie w Aberdeen ¹⁾. Z wyboru Biblioteki Naukowej Międzynarodowej. Tłumaczenie z angielskiego. Warszawa. Nakład Spółki wydawniczej księgarzy. 1874 r. str XVIII i 206.

Aleksander Bain, profesor logiki przy uniwersytecie w Aberdeen, autor wielu dzieł z dziedziny filozofii i fizyologii, z których najgłówniejsze: *The Senses and the Intellect, On the Study of Character, including an Estimate of Phrenology, Mental and Moral Science*, ogłosił niedawno, bo przed trzema zaledwie laty, ostatnie swoje dzieło pod powyższym tytułem, które Spółka wydawnicza księgarzy warszawskich wydała w polskim przekładzie. Uczony filozof angielski należy do szkoły empirycznej i w książce powyższej rozbiera kwestyc z dziedziny psychologii, nad któremi od tak dawna, bo przeszło od dwudziestu lat niezmordowanie pracuje. Poglądy swoje przedstawia w niej w języku tak zwięzłym, jasnym i przystępnym, jak tylko poz-

¹⁾ *Mind and Body. The Theories of their Relation.* By Alexander Bain, professor of Logic in the University of Aberdeen. Henry S. King and Co. 1873.

wala na to treść samego przedmiotu. I dlatego książka profesora Baina, który przytém swoje badania psychologiczne opiera głównie na obserwacjach fizyologicznych, znalazła rozgłos i zasłużone uznanie u wszystkich tych, którzy wysoko cenią stosowanie metody naukowej do objaśniania zjawisk duchowych; gdyż objaśnianie podobne, jakkolwiek nie byłoby w zupełności zadawalające, jak to powiedzieć można i o książce rozbieranój, zawsze jednak bliższe jest prawdy, niż wszelkie inne, nie ujęte w systemat racjonalny.

Empiryczna szkoła angielska, do której należy prof. Bain, w następujący mniej więcej sposób zapatruje się na zjawiska umysłowe. Podług niej, przedmiotem psychologii są zjawiska świadomości, ich prawa, bezpośrednie przyczyny i skutki. Zajmując się jedynie zjawiskami, nie pyta wcale, czém jest umysł, nie wie o tém nic, i zadanie to zostawia metafizyce. Psychologia empiryczna angielska nie jest ani spirytualistyczną, ani materyalistyczną, ale doświadczalną. Zjawiska umysłowe bada podmiotowo i przedmiotowo, t. j. za pomocą rozbioru świadomości, pamięci i rozumowania, za pomocą roztrząsania zjawisk i czynności, objaśniających stany umysłowe. Nie poprzestaje na rozważaniu zjawisk świadomości dojrzałój, dochodzi stopniowego jój wzrostu, traktuje zatém rzecz morfologicznie. Opierając się na fizyologii i pamiętając o tém, że nauka ta postęp swój zawdzięcza przedewszystkiem badaniu porównawczemu, dokonywanemu nad najniższymi organizmami, używa również metody porównawczój, nie zaniedbując nawet najniższych objawów życia psychicznego w ogóle, oznaczanych ogólném mianem świadomości, na którą składają się czucie, wyobrażenie, pożądanie i tym podobne objawy.

W dziele swojém „La psychologie anglaise contemporaine“ ¹⁾, Ribot tak dalej charakteryzuje kierunek empiryczny badań psychologicznych w Anglii, z którego, idąc za zdaniem tłumacza rozbieranego dzieła Baina, wyjmujemy treść niektórych ustępów, celem dostarczenia wskazówek do lepszego zrozumienia książki psychologa angielskiego.

Pierwszém zjawiskiem zasadniczém, stanowiącém świadomość, jest pojmowanie różnicy; drugim—pojmowanie podobieństwa. Jedy-
nym zaś pierwotnym objawem psychicznym, nie dającym się rozłożyć na inne, jest czucie, które rozpada się na siedem rzędów, a mianowicie: 1) czucie mięśniowe, pokazujące nam naturę i stopień nateżenia naszych mięśni, 2) czucie organiczne, świadczące o zdrowym lub niezdrowym stanie naszych organów wewnętrznych; 3) smak; 4) powonienie; 5) dotyk; 6) słuch; 7) wzrok.

Najogólniejszém prawem, rządzącém zjawiskami psychologicznymi, jest prawo assocyacji czyli kojarzenia, a które jest tém w świecie umysłowym, czém jest Newtonowskie prawo ciężenia powszechnego w świecie fizycznym. Kojarzeniu temu, które odbywa się

¹⁾ Paryż, 1870 r.

pomiędzy zjawiskami téj saméj natury, służyć za podstawę: podobieństwo i przyległość. Kojarzenie wytwarza bądź następnicze, bądź spółbytnie wyobrażenia. Przedmioty zewnętrzne, jak człowiek, dom i. t. d., są to skupienia, utworzone przez skojarzenie spółbytnie. Pojmowanie ich, i w ogóle całego świata zewnętrznego, nie jest czynnością bierną, nie jest to odbijanie się z konieczności tych przedmiotów w umyśle, jak w zwierciadle, ale jest wyrobem wspólnym i podmiotu czującego i przedmiotu uczuwanego. Świat zewnętrzny istnieje po za nami i niezależnie od nas, i świat ten, wzięty sam przez się, nie jest podobny ściśle do wyobrażeń, jakie sobie o nim utworzyliśmy. Wyobrażenia te są to stany wewnętrzne, które *odpowiadają* przedmiotom zewnętrznym, ale nie są do nich *podobne*, nie są ich kopia.

Co się tyczy początku wyobrażeń, szkoła empiryczna angielska nie trzyma ani z sensualistami, ani z idealistami, ani téż nie hołduje poglądom Kanta. Uważa przypuszczenie pierwszych, że umysł jest to *tabula rasa*, za fałszywe i przeciwne faktom, dodając, że w akcie poznania umysł tyle swego wkłada, ile odbiera. Dwaj ludzie jednakowo wychowani, doznający takich samych wrażeń, żyjący w tém samym otoczeniu, nieraz zupełnie się między sobą różnią. Idee wrodzone idealistów, podług téj szkoły, nie dają się utrzymać. Jeżeli bowiem są wrodzone, to powinnyby być pierwsze w porządku chronologicznym, a nie objawiać się tak późno, jak to rzeczywiście ma miejsce. Doktrynę transcendentálną kantystów o formach myślenia, uchodzącą w logice, szkoła empiryczna uważa za nieprzydatną na nic w psychologii. Prawda, powiada, że te formy leżą u podstawy naszych poznań, gdyż z nich można je wydobyć; ale jakim sposobem tam się znalazły? Pytanie to zwolennicy Kanta wymijają, nie troszcząc się o rodowód form owych, i zawsze rozumują tak, jak gdyby mieli do czynienia z umysłem dojrzałym.

W ten sposób krytykując inne systemata, szkoła empiryczna przyznaje umysłowi samorzutność, mocą której przerabia on materiały z zewnątrz otrzymywane, i źródło téj samorzutności widzi w układzie nerwowym, objaśniając niektóre zjawiska za pomocą dziedziczności.

Z dwóch najogólniejszych stosunków, jakie rozum ludzki może pojąć, pierwszy, t. j. stosunek następstwa, stanowi pierwotne zjawisko świadomości; drugi, t. j. stosunek spółbytności, jest podwojeniem poprzedniego, polega bowiem na następstwie, które może być odwrócone. Ze stosunkiem następstwa wiąże się ważne wyobrażenie przyczynowości, czyli, jak powiada szkoła empiryczna, wyobrażenie następniczości. Przyczynowość jest to następstwo ciągłe i jednostajne; przyczyna, zjawisko niezmiennie poprzedzające; zjawisko niezmiennie, tuż za pierwszém idące, jest to skutek. Przypuszczanie jakiegoś ogniwa, łączącego te dwa zjawiska, jest wymysłem chimerycznym, wnikającym prosty związek.

Ogół stosunków wynikających z następstwa nazywamy czasem; ogół stosunków wynikających ze spółbytności, nazywamy przestrzenią. Z pomocą prawa kojarzenia, objaśniamy charakter nieskończoności, jaki noszą na sobie wyobrażenia czasu i przestrzeni. Nie możemy pojąć chwili czasu, żeby się w nas zaraz nie obudziło pojęcie drugiej, która po pierwszej następuje, potem trzeciej i t. d. To samo rozumieć należy i o przestrzeni.

Co do zjawisk uczuciowych i innych, przedstawiciele szkoły empirycznej angielskiej zgadzają się na następujące uwagi:

Dwa zjawiska zasadnicze są: przyjemność i przykreść. Wrzucenia bywają dwojakie: proste i złożone. Źródłem woli jest częścią organizm, a częścią instynkta, żądze, namiętności. Przed dojściem do stanu dojrzałego, w którym jest zdolnością kierowniczą, wola przechodzi szereg prób i doświadczeń. Uchodząca z pozoru za zjawisko proste, jest rzeczywiście machiną złożoną. Czyny dowolne podlegają powszechnemu prawu przyczynowości; wynikają one z całej summy stanów świadomości, poprzedzających zdecydowanie się na jakiś czyn, a ogół tych stanów stanowi nasze *ja*.

Z tego stanowiska uważana, psychologia opiera się na fizjologii, a sama ze swój strony służy za podstawę naukom moralnym, społecznym i politycznym.

Tak mniej więcej charakteryzuje psychologią empiryczną angielską Ribot.

Po tém krótkim zboczeniu powrócmy do głównego naszego przedmiotu.

Fakta, dowodzące związku umysłu z ciałem, okazujące, że związek ten nie jest przypadkowy lub częściowy, ale zewnętrzny i zupełny, są rozmaite i bardzo liczne.

Po wszystkie czasy i narody zwracano na to uwagę, że uczucie ma swój naturalny język czyli wyraz. Na zgodności pomiędzy uczuciami a ich cielesnym wyrazem polega sąd nasz o umyśle i charakterze innych ludzi. Wszystkie nasze uczucia i wzruszenia nie istnieją niezależnie, ale w każdym razie przejawiają się w naszej cielesnej istocie. Mimo, iż takie jest powszechne świadectwo rodu ludzkiego, na fakt ten, tak uderzający sam przez się, nie zwracali uwagi metafizycy i w ogóle filozofowie.

Innego szeregu dowodów o ścisłym związku umysłu i ciała dostarczają skutki, jakie wywołują zmiany cielesne w stanie umysłu, oraz zmiany umysłowe w stanie cielesnym. Faktów pod tym względem jest tak wielkie mnóstwo, że nabawiają one rzeczywiście kłopotu przy ich wyliczaniu, stanowiąc owe, jak je Francuzi nazywają *embarras de richesse*. Bain rozpoczyna od kilku pospolitych i znanych przykładów, przechodząc następnie do obszernych uogólnień, do jakich doszli fizjologowie. Dowodem wpływu zmian cielesnych na stan umysłowy są takie fakta, jak zależność uczuć od głodu, stanu żołądka, powietrza, ciepła, zimna, lekarstw, choroby, snu i t. d. Nie-

moc cielesna stanowi nieraz przyczynę zupełnej zmiany w naturze moralnej. Codzienne życie nasze jest odbiciem umysłowego. Zdrowy człowiek budzi się rano ze świeżą energią, którą wzmacnia ranny posiłek. Jego zdolności umysłowe są podówczas u szczytu. Pod koniec dnia następuje znużenie, i człowiek popada w sen głęboki, bezwiedny. Że władze umysłowe są podległe wpływom czynników fizycznych i nie stanowią wyjątku od ogólnego prawidła, dowodzą tego następujące fakta. Pamięć wzmaga się i słabnie odpowiednio do stanu cielesnego: jest mocna, gdy ciało świeże; słaba zaś, gdy człowiek zmęczony lub wyczerpany na siłach. Sir Henryk Holland powiada, że jednego razu, kiedy tego samego dnia zeszedł był do dwóch głębokich kopalni na Harcu, przebywając w każdej po kilka godzin, uczuł się tak znużonym w skutek głodu i utrudzenia, że stracił zupełnie pamięć i nie mógł przypomnieć sobie ani jednego wyrazu niemieckiego; po przyjęciu pokarmu i napiciu się wina, pamięć wróciła.

Pomijając liczne inne fakta, powtórzmy z Bainem, że równe co do siły dowody przemawiają za wpływem zmian umysłowych na ciało. Silny wylew uczucia sprowadza nieład w czynnościach ciała. Strach tamuje trawienie. Wielki upadek na duchu osłabia wszystkie organa ciała. Długotrwała i uciążliwa praca umysłowa wywołuje chorobę organów cielesnych.

Z szeregu licznych faktów, wykazujących związek umysłu z mózgiem, Bain przytacza między innymi następujące, zaznaczając, że zmiany mózgowe oddziałują na umysł, i że zmiany umysłowe oddziałują na mózg. Co do pierwszych, wiadomo powszechnie, że uderzenie w głowę zawiesza na pewien czas świadomość i myślenie, przyczem, w razie jeżeli było zbyt silne, następuje uszkodzenie władz umysłowych, osłabienie pamięci, lub inne zboczenia. Czasami *leczy* zboczenia umysłowe. Wszelkie obrażenia uszkadzające władze umysłowe, działają na istotę nerwową. Przytaczają liczne przypadki, w których choroba umysłu da się wyraźnie odnieść do przyczyn, wpływających na odżywianie mózgu. Badania fizyologiczne wykazały, że mózg, jako całość, jest nieodzowny do myślenia, uczucia i woli, że zboczeniom mózgowym towarzyszą zboczenia umysłowe, a najbardziej stanowczych dowodów pod tym ostatnim względem dostarczają liczne doświadczenia, dokonane nad obłąkanymi.

Nie idziemy za Bainem w rozbiórce tych kwestyi i nie przytaczamy dalszych przykładów, przechodząc do następnego rozdziału jego dziełka, w którym wykazuje związek umysłu i ciała, uważany jako odpowiedniość czyli jako zmiana spółistniejąca.

Zależność jednej rzeczy od drugiej—powiada Bain—okazuje się zwykle w dwóch szeregach faktów, a mianowicie: 1) gdy przyczyna jest obecna, natenczas i skutek następuje, 2) gdy brak przyczyny, wtedy i skutku niema. Tym sposobem dowodzimy, że palący się ogień jest przyczyną dymu, że tlen jest przyczyną guicia i rozkładu. Z dwóch tych przykładów drugi jest najbardziej stanowczy; zachowa-

nie mięsa przez niedopuszczenie powietrza jest najlepszym dowodem, że powietrze, albo pewna jego część składowa, jest przyczyną gnicia. Szczególniej przekonywającym jest nagłe usunięcie przypuszczalnej przyczyny, pociągające za sobą odrazu zawieszenie skutku. Zdarzają się wszakże przypadki, w których nie można zastosować usunięcia przyczyny. Tak np., że już pominiemy inne przykłady, przytaczane przez Baina, w sprawie dotyczącej związku umysłu i ciała, metoda polegająca na usunięciu przyczyny nie daje się zastosować; nie możemy bowiem istoty złożonej, jaką jest człowiek, rozciąć na ciało i umysł, nie możemy usunąć umysłu w celu przekonania się, czy i ciało zniknie. Usuwając ciało, przekonywamy się, że umysł zniknął. Ale doświadczenie to—ciągnie dalej Bain—nie jest stanowcze, gdyż usuwając ciało, usuwamy jednocześnie skazówkę umysłu, t. j. objawy cielesne, co jest podobne do tego, jak gdybyśmy przy doświadczeniach nad magnetyzmem usunęli igiełkę magnesową i inne znaki, dowodzące jego obecności. Również nie można do głównego organu myślenia zastosować metody, według której nieobecność przyczyny pociąga za sobą brak skutku. Usunięcie bowiem mózgu pociąga za sobą niechybnie ustanie czynności umysłowych, a nawet ustanie życia. Ważne wypadki osiągnięto przez częściowe usuwanie mózgu i tym sposobem zbliżono się do najlepszej formy dowodu doświadczalnego; ztąd wnosić można, coby nastąpiło po całkowitem jego usunięciu.

Przez porównywanie stopniowego rozwoju mózgu i układu nerwowego starano się badać, czy zachodzi podobne stopniowanie we władzach umysłowych. Nie dziemiemy w tych wywodach za prof. Bainem, który przywołał na to liczne przykłady, opierając się na doświadczeniach uczonych specjalistów, gdyż na to nie pozwalają szczupłe ramy sprawodawczego artykułu. Powiemy tylko w ogóle, iż przy porównywaniu przyrostu objętości mózgu z przyrostem władz umysłowych, uderza nas nieproporcjonalność obu tych przyrostów. Kiedy zwyczajnie mózg u mężczyzny dochodzi 48 uncyi (3 funty), mózg zaś znakomitych ludzi rzadko wyrównywa mózgowi Cuviera, (który wynosił 64 uncye), umysłowe zdolności tego uczonego przewyższały umysłowe zdolności pospolitych ludzi więcej niż o taki stosunek, t. j. więcej niż o $\frac{1}{3}$. Biorąc na uwagę tylko pamięć, będącą podstawą umysłu, widzimy, że zwyczajny człowiek nie zdołałby ogarnąć $\frac{1}{3}$, $\frac{1}{4}$, a nawet $\frac{1}{10}$ faktów, nagromadzonych w głowie Cuviera. Z tych i tym podobnych danych, Bain wyprowadza prawdopodobny wniosek, że kiedy objętość mózgu wzrasta w stosunku arytmetycznym, władze umysłowe powiększać się mogą w stosunku geometrycznym.

Rozbierając wzajemny stosunek dwóch szeregów narzędzi, zmysłowych i ruchowych, przychodzi do wniosku, iż widząc, jak po pewnym skutku regularnie, w pewnych odstępach czasu, następuje inny skutek, przypuścić musimy, iż istnieją pośrednie ogniwa, przez które czynnik lub siła przechodzi z jednego miejsca do drugiego. Z kolei

rozbiera szczegółowo dwa rodzaje istoty mózgowej: szarą i białą, wykazując następnie że droga, łącząca jedną część ciała z drugą, nie jest bezpośrednia z jednego miejsca do drugiego, ale za pośrednictwem ośrodka nerwowego.

Każde włókno nerwowe, idące od powierzchni ciała, od oka lub ucha, dochodzi najprzód do rdzenia pacierzowego, lub do jakiejś części mózgu; podobnie i bodziec powodujący ruchy przez pobudzenie tych włókien wychodzi z jakiegoś ośrodka nerwowego. Jak w przesyłce listów pocztą miejską, niema bezpośredniej komunikacji między jedną ulicą a drugą, ale każdy list musi dojść najprzód do biura głównego, tak téż i przesyłka wrażenia od jednego człowieka ciała do drugiego odbywa się za pośrednictwem ośrodka, lub za pośrednictwem pewnej części istoty nerwowej, zawartej w czaszce i stosie pacierzowym. Wszelka komunikacja jest ześrodkowaną, a w skutek tego nie tylko się bardzo oszczędza maszynerya przewodnia, ale nadto unika się starcia między zleceniami.

Prowadząc paralelę pomiędzy czynnościami umysłowymi a zmianami cielesnymi, Bain na przykładach wykazuje, że wszędzie zewnętrzne okoliczności powodują różnice pomiędzy naszymi wrażeniami.

Rozbierając prawa, dotyczące związku umysłu z ciałem, zaznacza, że umysł występuje w trzech formach, w trzech różnych czynnościach, nazywanych *uczuciem*, *wolą* i *myśleniem* czyli *rozumem*. Stanowią one niby trójcę w jedności, mają swoje cechy w rozmaitych objawach, są jednakże tak od siebie zależne, iż żadne nie występuje samo, pojedynczo: nie może być ani woli, ani rozumu, bez uczucia; ze swjej strony uczucie w swoich objawach mieści zarody dwóch pierwszych.

Rozbierając drugi z tych czynników (str. 75), powiada: „Charakterystyczną właściwość naszych ruchów dowolnych stanowi to, że biorą początek z czucia, a kierowane są rozumem ¹⁾.” Otóż na zdanie to bezwarunkowo zgodzić się nie można, ile że wyrażenia samego Baina w innych miejscach tegoż dzieła niezupełnie są zgodne z powyższą opinią. Do tego wniosku dochodzimy porównyując zdanie powyższe z tém, co powiedziane jest niżej, w rozdziale VI zatytułowanym: „Jak umysł i ciało są połączone ²⁾.” Niektóre rozdziały książki prof. Bain są czysto hypotetycznej natury. Do takich między innymi należy rozdział V o rozumie.

Czytelnicy darują nam, że nie wdajemy się w szczegółowsze sprawozdanie i bliższy rozbiór książki prof. Bain, i że, kierując się zasadą, wypowiedzianą już poprzednio przy rozbiorze dziełka prof.

¹⁾ Woryginalie stoi: „The distinguishing peculiarity of our voluntary movements is that they take their rise in Feeling, and are guided by Intellect.“

²⁾ Tamże, str. 133.

Balfaur Stewarta „Zasada zachowania energii ¹⁾,” po dalsze szczęgoły odsyłamy ich do samego źródła. W każdym razie, przyznać to należy, przyswojenie literaturze naszej pracy Baina jest cennym nabytkiem i tłumacz pod tym względem na uznanie zasługuje za dokonany wybór. Przekład w ogóle zaleca się językiem dość poprawnym. W niektórych jednak miejscach wyrażenia wydały nam się niewłaściwe, w innych znowu znaleźliśmy makaronizmy lub galicyzmy, jak: „zapytanie *położone* w formie czysto retorycznej” (str. 4). Dziś o takiej bezwarunkowej niezależności... *nie może być mowy, wiedząc*, jak wszystkie części organizmu ludzkiego solidarnie są ze sobą związane” (str. 206), i t. d.

T. Skomorowski.

Ksiądz Jakób Falkowski założyciel Instytutu Głuchoniemych. Przyczynek do dziejów dobroczynności. Napisał Władysław Nowicki Magister Nauk Hist. Fil. b. Szkoły Głównej. W stu-letnią rocznicę jego urodzin. (Z trzema drzeworytami). War-szawa 1876. (W 8-ce str. 81).

W piśmie naszym w zeszycie na luty r. b. zdaliśmy już sprawozdanie o wydanym „Pamiętniku Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, z roku szkolnego 1874/5.” W nim zwró-ciliśmy uwagę na obchód uroczysty, przy wystawionym pomniku w ogrodzie miejscowym dla ś. p. Falkowskiego.

W powyższej pracy, młody nauczyciel tegoż Instytutu Włady-sław Nowicki, b. uczeń b. Szkoły Głównej, której pamięć i zasługi zacni jej wychowawcy tak szaczą, przagnął uczcić stu-letnią rocznicę urodzin świętobliwego kapłana.

„Żyjemy w czasach (pisze autor na wstępie), w których podobne zasługi jak ks. Falkowskiego nie bywają należycie ocenione. Dziś ogół innych uwielbia bohaterów. Mimo to setna rocznica urodzin tego męża, obchodzona w Instytucie przez niego założonym, zyskała przychylnie słowo i współdział prasy i publiczności. Snać Fal-kowski godzien jest szerszego uczucia i współczucia.

„Najważniejszą jest zasługa na polu oświaty, podniesienia i umoralnienia bliźniego; nie przepada ona, a całe zgromadzenie Pi-jarów z którego ksiądz Falkowski wychodzi, trudniące się jedynie edukacją młodzieży i szerzeniem światła w narodzie, zawsze na wdzięczność zasługuwać będzie. Niniejszą pracą chcemy dorzucić gałązkę do wieńca zdobiącego dziś skronie tego nauczyciela, filan-tropa.“

¹ „Biblioteka Warszawska,” zczyt za miesiąc luty roku bieżącego.

Sześć rozdziałów składa całość, największą część zajmuje życiorys samego ks. Falkowskiego, uważany ze strony pedagogicznej jako téż i pisarskiej. Ostatni rozdział zawiera „ocenę współczesnych i potomnych.“ Trzy drzeworyty starannie wyrobione przedstawiają wizerunki ks. J. Falkowskiego, ks. Jana Nepomucena Kossakowskiego biskupa wileńskiego, który pierwszy myśl powziął założenia Instytutu głuchoniemych na Litwie, i pomnik ks. Falkowskiego, jaki wystawionym mu został w ogrodzie Instytutu, a wykonany ręką rzeźbiarzy głuchoniemych.

Przyczynek to rzeczywisty nietylko do dziejów dobroczynności ale zarazem i oświaty krajowej.

R.

Sylwetki, przez Kazimierza Chłędowskiego. We Lwowie, nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1876.

Należy cieszyć się, iż utalentowani pisarze nasi, jak Henryk hr. Rzewuski, Michał Grabowski, K. Wł. Wójcicki, a za przewodem ich tyłu innych, postarali się w pismach swoich odtworzyć tak żywo i wszechstronnie najbliższą naszą przeszłość, ostatnie czasy ubiegłego i pierwsze dziesiątki lat obecnego stulecia. Pod ich piórem malowniczym i ciepłym, przechowają się na długi szereg nadchodzących pokoleń obyczajowe i społeczne rysy tego znikającego za powiewem nowych, kosmopolitycznych prądów, towarzystwa polskiego, silnie odrębnego wyobrażeniami, cnotami i formami życia od dzisiejszego i przyszlých pokoleń. Chociaż resztką już tylko zacnych przedstawicieli téj epoki dożywa ostatka dni swoich, jako żywa chodząca tradycja, nie możemy przecież twierdzić, abyśmy fizyognomii jój nie znali. I owszem znajomość ta bywa częstokroć, dzięki materiałowi zebranemu przez tych pisarzów, tak gruntowną, że pisarz o miernym nawet talencie, o ubogiej wyobraźni, chcący na tle tego czasu osnuć utwór czy to powieściowy, czy poetyczny, czy wreszcie teatralny, przyswoiwszy sobie tylko to, co we formie gawędy, powieści lub szkicu historycznego spisały już pióra naocznych, a ustępujących z dniem każdym świadków przeszłości, może wcale udatny pod względem wierności kolorytu i charakterystyki obyczajowej stworzyć obraz. Sympatyczny ten przedmiot omal że nie został już prawie wyczerpanym. Przynajmniej doświadczenie poucza nas coraz dosadniej, iż mało już w tym kierunku powiedzieć można nowego; typy powieściowe czerpane z tych czasów, poczynają się coraz gęściej powtarzać, o świeży rys, któryby nie raził mamieniem konwencyonalnej reprodukcji, coraz trudniej. Czytając każdy nowy utwór osnuty na téj znikającej epoce, przypomina co chwila, iż ten a ten typ, tę a tę sytuacją, poznaliśmy już w lepszym, wyrazistszym, szerszym odtworze-

niu. Gdyby w podobny sposób umiano dawniej traktować obyczajową stronę bytu narodowego, gdyby w XVI, XVII lub XVIII wieku literaci posiadali świadomość znaczenia takich wizerunków charakterystycznych dla przyszłych pokoleń, o ileż lepiej znalazlibyśmy dzisiaj te czasy, o ileż mniej tworzonoby dziś szablonów, ilekroć przychodzi zacerpnąć motyw z życia naszych przodków.

Czując wysoką doniosłość takich artystycznych odtworzeń każdej ulatującej bezpowrotnie fazy życia narodowego, z przyjemnością witamy każdą książkę, która nie pragnie bujać po imaginacyjnych przestworach, ale wiąże się z prawdą i rzeczywistością, przedstawia chwilę ubiegłą albo współczesną w jej istotnych kształtach, i czytelnikowi dostarcza w ten sposób pewnego zapasu wiedzy o rzeczach rodzinnych. Taką to książką są p. Chłędowskiego „Sylwetki.”

Są to drobne kilkokartkowe szkice charakterystyczne rysujące kilku śmiałymi rzutami ołówka, typowe postacie z ostatnich kilku lat dziesiątków. Typy te z każdym dniem znikają. Jutro nie będziemy już mieli ani takiego szambelana przykrojonego na modłę gładkiej aż do ekliwkości, wytworniej aż do przesady, arystokratycznej emigracji francuskiej, która z upadkiem Ludwika XVI rozproszyła się po świecie i przybyła nas uczyć swych zasad, zaprawionych salonowym sceptycyzmem, i swych gustów delikaconych na rymach Delilla; nie będziemy mieli takiego senatora Rzeczypospolitej Krakowskiej, albo radcy stanu z czasów Księstwa, dyplomatów godzących gile w klatce, ani takiego dworca modrzewiowego istniejącego „arki Noego” państwa Michałostwa, z którego nie wychylają się na świat boży, pokrajany kolejami i telegrafami: słowem nie będziemy mieli ani jednej może z tych serdecznych, po swojemu rozumnych i po swojemu dziwacznych figur, które o tyle bliżej były rodzinnej tradycji obyczajowej, o ile dalej od nich te właśnie „koleje i telegrafy.” Pan Chłędowski z właściwem sobie zamiłowaniem śledził za takimi znikającymi typami, podpatrywał ich nieszkodliwe, ich dziwnie częstokroć ujmujące słabostki, a z wrodzoną ku takim studjom obyczajowym skłonnością połączył istotny, śmiało rzec mógłbym, rzadki zmysł spostrzegawczy. „Sylwetki” jego zdradzają wytrawność społecznego psychologa, którego pogodnemu, pobłażliwemu wzrokowi nie ujdzie żadna drobnostka: ani typowy kształt cybuszka, ani kolor szlafroka. Z drobnostek tych stwarza tak charakterystyczną ornamentykę, że na tle jej kreślona sylwetka nabiera znamion ładującej, czerstwej prawdy. Największą też zaletą tych obrazków jest przejmujący urok prawdy, pochwyconej na uczynku; znać, że autor nie wertował pamiętników, ale sam patrzył własnym okiem na przedmioty swoich studyów, z jednego napotkanego wzoru stwarzał typ, nie tracący życia indywidualnego. Każda ze sylwetek jest zarazem zbiorowym typem i żyjącą indywidualnie a odrębnie postacią.

A wszystkie prawie budzą w czytelniku szczerą sympatyę; brudnych i odartych z moralnej cechy człowieczeństwa nie bierze autor

pod swój pędzel, nie chcąc chmurzyć jasnego kolorytu książki. Nie wszystkie sylwetki dorównywiają sobie pod względem artystycznego wykończenia i trafnego ujęcia; kilka jest i bledszych i luźnie powiązanych z całością; że tu wymienimy np. „panią Helenę,” natomiast inne bez przesady możnaby nazwać klejnocikami w swym rodzaju, np. „Błaziej,” „Pan August” i t. d.

Jeżeli pierwszą część książki p. Chłędowskiego, stanowiącą właśnie ową galerię typów, powiększej części już znikających, bezwzględnie możemy pochwalić, to część druga zatytułowana: „Siedem grzechów towarzyskich” nie dorosła do miary zakreślonego szerzej zadania. Tu już nie typom każe występować autor, ale zbiorowym przywarom towarzyskim, nie zindywidualizowanym w jednej postaci, ale rozrzuconym chaotycznie po wszystkich warstwach towarzystwa ludzkiego. Jedną i tę samą wadę przedstawia w rozmaitych odcieniach, tak jak się takowa przejawia w salonie, na poddaszu, w życiu publicznym i prywatnym, we formie gładkiej lub rubasznjej, lecz o istocie zawsze jednej. Do tych grzechów towarzyskich policzono: zarozumiałość, blagę, brak galanterji, koteryjność, chińszczyznę, czyli przesadną natarczywość gospodarskiej uprzejmości, miłość chrześcijańską kryjącą w swym zanadrzu egoizm i obłudę, a wreszcie słabostki.

O ile wytrawnym był autor artystą w indywidualizowaniu typów, o tyle niezręcznym w analizie zbiorowych przywar. Siedem tych szkiców obyczajowych wypadło o wiele bledziej, niż „znikające typy.” Tam potrzeba było przede wszystkim bystrości spostrzegawczej i pewnego sympatycznego ciepła w ujęciu rzeczy, tu zakroił autor na humorystykę obyczajową, ale werwa dowcipu częstokroć mu nie dopisywała. Znajdujemy w tej seryi wiele rysów, zbyt płytko wykrojonych, zbyt powierzchownie zdjętych, nie rzadko pewną naiwnością poglądu lub stylu nacechowanych. Naturalnie, że i tym obrazkom nie brak wielu istotnych zalet, ale nie ma w nich już tej pełnej jednolitości rysunku, która tak wybornie miała zaokrąglać sylwetki z pierwszej części; trafniejsza uwaga albo przebłysk prawdziwego dowcipu mięsza się tu z jałowością lub nieudałą rakieta myśli. Obrazek zaś, zatytułowany „Chińszczyzną” uważamy za pomysł z gruntu fałszywie obrany.

Jakiebykolwiek jeszcze uwagi krytyczne nasuwały się z przeczytania „Sylwetek” nie zmniejszą one przyjemnego wrażenia, jakie się z nich odnosi. Najnowsza książka autora, znanego nam już z kilku prac dawniejszych, napisaną jest z rzeczywistym talentem *sui generis*, a w całym jej układzie jest jakiś ujmujący wdzięk, harmonia umysłu, pogodny humor. Jak zaś jest pożyteczną, wyływa to ze wstępnych uwag naszego artykułu.

Br. Z.

Zbiór rachunkowych wiadomości i objaśnień, dotyczących działań Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego od chwili zawięzania tegoż, to jest od r. 1826 do 1869 włącznie. Warszawa. W drukarni Jana Jaworskiego. 1875. (W 4-ce str. 381).

Instytucya Towarzystwa kredytowego ziemskiego niedawno już półwiekowy byt swój obchodziła. Obszerne dzieło powyższe obejmuje okres tylko lat czterdziestu trzech, to jest, od chwili wypuszczenia pierwszych listów zastawnych 4^o/_o, do chwili nowój seryi tychże listów ale już pięcioprocentowych.

Jakkolwiek dzieje powstania i rozwoju pomienionėj instytucyi przez ś. p. Floryana Czermińskiego podaliśmy już w naszym piśmie (żałować przychodzi że nieukończone wedle pierwotnego planu, przez zawczesny zgon autora), należało przed tym szacownym zbiorem rachunkowych wiadomości, podać krótkie objaśnienie, któreby każdemu ułatwiło znaczenie i donośność téj pracy. Jak jest jednakże, podaje wszelako dla bliżej sam przedmiot znajdujących ciekawe spostrzeżenia, które dla historyka przyszłego Towarzystwa kredytowego ziemskiego, cennym będą materiałem.

Zajmującą są częścią *tabele* wykazujące kurs Listów zastawnych na giełdzie warszawskiej. Kiedy się po raz pierwszy ukazały w roku 1826 płacono w przecięciu mało co wyżej nad 76 ¹⁾. W roku 1831 spadły na 74, w następnych latach zwolna się podnosząc i wahając pomiędzy 86 a 90, szły coraz w górę, aż doszły wyżej nad sto od 1850 r. W drugim półroczu 1853 płacono po 101, w r. 1855 doszły do 102 z górą; trzymały się wyżej nad sto do r. 1863 i spadały aż do 1869 r., wykazując kurs między 88 i 91.

Ogólna liczba dóbr prywatnych obciążonych pożyczką Towarzystwa kredytowego ziemskiego wynosiła liczbę 5812 z końcem 1869 r.

Co do sprzedaży dóbr prywatnych przez Towarzystwo kredytowe ziemskie widzimy, że od 1826 do połowy 1829 roku żadnych niesprzedano; w drugim półroczu tegoż roku sprzedano jeden ma-

¹⁾ Dnia 11 marca r. b. ubiegło lat 50, jak dyrekcya główna Towarzystwa kredytowego ziemskiego, w dniu 16 marca 1826 r., przyznała pierwszą pożyczkę w Listach zastawnych. Pożyczkę takową w summie złp. 20,100 otrzymały dobra *Żabice-Wielkie* w b. powiecie Zgierskim, obwodzie Łęczyckim położone, własnością Mikołaja Okołowicza będące. Referentem pożyczki był dotąd żyjący ówczesny radca dyrekcji głównej Henryk hr. Lubieński, a decyzję stanowiącą pożyczkę, oprócz referenta podpisali: prezes dyrekcji radca stanu Kalinowski, oraz radcy dyrekcji głównej: Psarski, Rutkowski, Gostkowski, Żebrowski, Kochanowski, Dziekoński, Humnicki, Rościszewski i pisarz dyrekcji, Drewnowski. Z tych żaden już nie żyje.

jątek ziemski. Od r. 1832 zaczyna się większa liczba sprzedanych, uderzające zaś są cyfry w latach:

1864	sprzedano dóbr	22
1865	„ „	24
1869	„ „	32

Widzimy jak te cyfry dobrze się godzą z pomyślnością ekonomiczną kraju lub jój zachwianiem.

W okresie lat 43 sprzedało Towarzystwo kredytowe ziemskie dóbr 486.

Z tych w dyrekcji szczegółowej:	Warszawskiej	dóbr	58
„ „	Kaliskiej	„	66
„ „	Radomskiej	„	50
„ „	Kieleckiej	„	72
„ „	Lubelskiej	„	61
„ „	Siedleckiej	„	42
„ „	Płockiej	„	103
„ „	Suwalskiej	„	34
			486

Z tych trzy tylko dobra przeszły na własność Towarzystwa.

Najwyższa summa pożyczek obciąża dyrekcję szczegółową Warszawską, najniższa Suwalską.

Z tak pracowitego dzieła jakim jest *Zbiór* powyższy należałoby więcej wydatne tabele uwypatnić, i sposobem przystępnym dla ogółu przedstawić. Rzecz ta, oczywiście podjęta przez pióro specjalisty, a takich w urzędnikach swoich dyrekcja główna Towarzystwa kredytowego ziemskiego ma wielu, nie tylko dałaby obraz działalności samej instytucji, ale dla niej należy mir i uznanie mogłaby zjednać.

W.

Słów kilka o księdze Ewangelii pisanej złotemi literami na pergaminie, a znajdującej się w kościele metropolitalnym Gnieźnieńskim i zwanęj powszechnie mszą św. Wojciecha.

Ks. Kazimierz Wieruszewski S. J. w kazaniu mianem w Trzemesznie w roku 1722 ¹⁾ wspomina, że św. Wojciech kościołowi Trze-

¹⁾ Nawa Najprzewieleb. Franciszka Ponińskiego Coadjutora *cum successione Archiabbcacji* trzemesznieńskiej w brzegu zakonnym przez publiczną kanoników św. Augustyna regularnych kongregacji lateraneńskiej processyą w ręce Najprzew. JW. IMX. Hieronima Wisockiego gnieźnieńskiego i kujawskiego kustosa z kościoła Trzemesznieńskiego z ambony, herbownym konwentu Porajem przez ks. Kazimierza Wieruszewskiego S. J. ukoronowana. Poznań 1723 in fol.

meszeńskiemu pozostawił na pamiątkę: kielich szczerozłoty, ornat w którym celebrował i pisaną Ewangelią; ale czy te drogie dary, w roku rzezonym w którym miał kazanie, znajdowały się jeszcze w kościele Trzemeszeńskim, o tém i słowem nie nadmieniam.

Co do kielicha to żadnej nie ulega wątpliwości, gdyż droga ta relikwia po św. męczenniku, przechowana jest dotąd w Trzemesznie z tą tylko różnicą, że kielich ten nie jest szczerozłoty, ale agatowy w złoto oprawny ¹⁾; ornatu zaś i księgi Ewangelii nie masz teraz w Trzemesznie i nie jest wiadomo gdzieby się podziały.

Kronika Trzemeszeńska ²⁾ szacowny manuskrypt z wieku XVII przepisany z dawniejszych źródeł i kontynuowany w późniejszych latach, znajdujący się dotąd w Trzemesznie o tych ss. pamiątkach, te mieści słowa: „Interim cursu temporis labente, inundavit tempestas valida Svetici exercitus in Regnum Poloniae. Rex ipse Svecus Carolus Gustavus pedem in terra nostra figens disposuit per loca celeberrima suos ut vocant Commendants. Pro civitate Gnesnensi et Abbatia Tremesnensi deputati sunt *Joachimus* et *Appel* fratres germani. Qualiter fuerit Ecclesiae Gnesnensi per *Joachimum* commendatum ³⁾ expulatio inaeestimabilis thesauri, nunquam succedentibus saeculis recuperandi, testatur. Ecclesiae vero Tremesnensis et Conventus, etiam abditissima loca insatiabili avaritiae pervia fuerunt...

Itaque dum omnia per Poloniam sacra profanaque manus hostilis a fundamentis evertit, mirabilis Deus in sanctis suis, sacra ossa D. martyris Adalberti, et aliorum plurium Sanctorum Ecclesiae nostrae salva et intacta conservavit. Conservavit et ea quae cum sacris pignoribus relicta sunt Ecclesiae Tremesnensi, videlicet quae erant ad sacrosancta Mystera peragenda S. Pontifici utensilia: Calicem ex lapide praetioso, intus auro investitum aureoque pede ad ima sustentatum...

Casulam sive planetam cum Stola et manipulo ⁴⁾ quibus nostra aetate adhuc utamque integris JI. Dnus Mathias Łubieński Archiepiscopus Gnesnensis, Primatiali inthronizatione functus de more Archiepiscoporum Gnesnensium Tremesnam visitans, ad altare Sepulchri S. Adalberti, in Missae Sacrificio usus est. Librum Evangeliorum scriptum, ac literis majoribus deauratum (powinno być raczej deauratis) illuminatum, quo Sanctus ad Missae Sacrificia utebatur *et nunc eodem nos utimur* solemnioribus festis, quibus subdiaconus praecedentibus ceroferariis reverenter a majori altari ad Altare S. Sepulchri accedens, librum cum reverentia accipit, et publice ante pectus deportans, praeparat Diacono Evangelium decantandum, quo decantato, datur oscu-

1) Wzory sztuki średniowiecznej. I serya nr. 7. Przyjaciel ludu 1849 I.

2) Lelewel. Polska wicków średnich, wspomina o Annaliście Trzemeszeńskim I str 82 i 84.

3) Bujdecki Vita M. Łubieński pag 252. Rzepnicki Vitae praesulum I 168, dowódcę łupieżców gnieźnieńskich zowią Engel.

4) Manipularz przechowywany w skarbcu widziałem w roku zeszłym w Trzemesznie.

lum pacis officinali et choro, ac eadem reverentia Subdiaconus librum reportat, et in suo loco super Altare sepulchri collocat ¹⁾.

Ponieważ obecnie ani ornatu ani księgi Ewangelii św. Wojciecha w Trzemesznie nie znachodzimy; ponieważ ani z pism żadnych ani z ustnego podania nie można powziąć wiadomości, gdzie i kiedy uronione zostały te drogie pamiątki, są tacy którzy domyślają się i utrzymują, że ornat i Ewangelia św. Wojciecha przewiezione zostały do Gniezna a kielich tylko w Trzemesznie pozostał.

Znajdująca się obecnie w Gnieźnie szacowna księga zwana mszałem Ś. Wojciecha, a właściwie księga Ewangelii, gdy nie jednego na tenże sam domysł naprowadziłyby mogła, mam sobie za obowiązek rzecz interesującą stanowczo wyjaśnić i piśmiennemi stwierdzić dowodami, że i w Gnieźnie i w Trzemesznie znajdowały się jednocześnie ornat i księga Ewangelii św. Wojciecha, bo to posłużyć może do odszukania zaginionej księgi Ewangelii Trzemeszeńskiej, a do ustalenia autentyczności księgi Gnieźnieńskiej.

W cytowanym wyżej ustępie wyjętym z kroniki Trzemeszeńskiej znajdujemy niewątpliwe świadectwo, że w Trzemesznie znajdowały się ornat i księga Ewangelii Ś. Wojciecha, nie tylko w pierwszej połowie XVII wieku, skoro arcybiskup Maciej Łubieński, po swojej w Gnieźnie inkonizacji a więc w roku 1640, celebrował w tymże ornacie w Trzemeszeńskim kościele; ale znajdowały się tamże i w drugiej jeszcze połowie tegoż wieku, skoro przed grabieżą szwedzką Karola Gustawa a więc po roku 1655 ocalone były. Nadto w tymże XVII wieku, jak mówi kronika, we wszystkie większe uroczystości używane tam były; zkąd naturalny płynie wniosek, że w tym samym czasie gdzieindziej nie mogły się znajdować i być używane przy większych uroczystościach, które tak w Gnieźnie jak w Trzemesznie na jedne i te same dni przypadają.

To ogólne orzeczenie; przejdźmy teraz do szczegółów. W archiwum kapituły Gnieźnieńskiej niewątpliwe znajdujemy dokumenta, że w Gnieźnie od niepamiętnych czasów znajdowały się: ornat Ś. Wojciecha i księga Ewangelii, którą On do mszy św. używał.

W najdawniejszym znanym spisie czyli inwentarzu zakrystyi katedry Gnieźnieńskiej, spisany z rozkazu arcybiskupa Władysława Oporowskiego przez kanonika Butcona, de Czyecchel w roku 1450 ²⁾ czytamy: „*Casula aurea beati Adalberti*” „*Item liber evangeliorum auro scriptus*” a więc w połowie XV wieku znajdował się w Gnieźnie ornat ś. Wojciecha, znajdowała się księga Ewangelii złotem pisana. Dalej w drugim voluminie dekretów kapitulnych pod rokiem 1455 ³⁾

¹⁾ Kronika Trzemeszeńska pag. 17—19.

²⁾ Inwentarz ten znajduje się przy Kronice Galla. Szacowny ten mszał z XV wieku, własność niegdyś kanonika Butcona do Czyecchel, potem kościoła Gnieźnieńskiego, należy teraz do księcia Władysława Czartoryskiego.

³⁾ Acta Capituli ad an. 1455 fol. 77.

czytamy: że przed wojną krzyżacką razem z innemi kosztownościami wywieziono do Uniejowa ornat ś-go Wojciecha „*Casula S. Adalberti in sacco rubro sigillato*,” w roku zaś 1478 tenże ornat przywieziono napowrót do Gniezna, w spisie bowiem przywiezionych rzeczy tak jest zanotowany: „*Casula sive palium S. Adalberti*” ¹⁾).

W inwentarzu zakrystyi w roku 1608 w czasie wizyty archidjakona de Seve, ornat ś. Wojciecha tak jest opisany: „*Casula S. Adalberti rubra ex armesino more Graecorum confecta et effigie s. s. suis cum titulis sparsim ubique acu pictis condecorata*.”

Według dekretu kapituły z roku 1643 ²⁾), żeby droga ta pamiątka przez używanie choćby najrzadsze nie niszczała, polecono aby tylko w największe uroczystości wykładano na ołtarzu ku uczczeniu. W czasie rabunku kościoła Gnieźnieńskiego przez Szwedów w roku 1655, ornat ten wraz z innemi kosztownościami zabranemi z katedry uwieziono do Szwecyi ³⁾).

Tyle o ornatcie, który iż nie był Trzemeszeńskim dowiedliśmy stanowczo i dowodzi tego kronika sama, która o ornatcie tym wspomina jeszcze po szwedzkiej wojnie.

Co się tyczy teraz księgi Ewangelii ś. Wojciecha, najdawniejsza o niej wzmianka sięga roku 1318, w którym to roku arcybiskup Janisław, uwożąc do Chańcyc przed grabieżą krzyżacką kosztowności z kościoła metropolitalnego, uwiózł między innemi i *Ecangeliare auro scriptum*, to jest księgę Ewangelii ś. Wojciecha ⁴⁾).

Za panowania Kazimierza Jagiellończyka, gdy dla obrony ziem pruskich przeciw Krzyżakom do groźnej sposobiono się wojny, kapituła gnieźnieńska obawiając się rabunku katedry przez nieprzyjaciół, wysłała kosztowności kościelne do zamku arcybiskupiego w Uniejowie, między któremi i Ewangelię tak opisaną przez notaryusza ksiąg kapitulnych: „*Liber Ecangeliorum graeca scriptura aurea circumferentialiter argento deaurato coopertus et in una parte passio Domini cum imaginibus Sanctae Mariae et S. Joannis a lateribus, et in alia parte crux deaurata*” ⁵⁾).

Aczkolwiek opis ten nie jest zupełnie zgodny z znajdującą się dziś w katedrze gnieźnieńskiej księgą Ewangelii ś. Wojciecha, bo najprzód księga ta nie jest greckim pisana charakterem, ale łacińskimi głoskami i w oprawie, tylko pierwsza strona zgodna jest z opisem, bo druga strona zamiast krzyża ma dziś herb kapituły; nie możemy jednak powątpiewać że księga ta uwieziona do Uniejowa, jest ta sama, która dziś znajduje się w katedrze gnieźnieńskiej. Bo najprzód co do słów *graeca scriptura*, pisarz kapitulny, pismo swoje któ-

1) Acta Capituli ad an. 1478 fol. 425.

2) Toż ad annum 1643 fol. 551.

3) Ks. Siciński Monumenta Ecclesiae Gnesnensis pag. 53.

4) Drugi inwentarz przy kronice Galla wzmiankowany w notce 7.

5) Acta Capituli ad an. 1454 fol. 77 pod N. 5.

rém pisał księgi kapitulne lubo to było gotyckim czyli niemieckim pisane charakterem za łacińskie uważał, a pismo księgi Ewangelii złożone z samych inicjałek czyli wielkich liter za greckie poczytał. Co się tyczy oprawy, ta w późniejszym niewątpliwie wieku zmienioną została i krzyż odwrotnój strony oprawy zastąpił herb kapituły.

Po siedmiu latach w spisie rzeczy zakrystyjnych czytamy: „*Liber evangeliorum in toto scriptus auro cum Imaginibus* 1), widać więc że w tym czasie lub krótko przed tym, księga ta z Uniejowa przywieziona była, czego jednakże w aktach kapituły nie zanotowano.

Przez długie potem lata nigdzie w aktach nie spotykamy się choćby z najmniejszą wzmianką o księdze téj, aż dopiero w roku 1608 w inwentarzu rzeczy kościelnych, archidyakon Wincenty de Seve tak opisuje księgę Ewangelii ś. Wojciecha.

„*Liber Evangeliorum solemnium festorum in pargameno folio literis aureis conscriptus ac Imaginibus exornatus. Holoserico rubro viloso opertus ac desuper imagine Crucifixi fusili, iconibus B. Virginis et S. Joannis Evangelistae ac Angelorum argento aurato ornatus. In marginibus lamellis pariter argenteis ab utraque parte opere ecussorio confectis, munitis, ac armis Ven. Capituli ad medium, suo cum ornatu notatus. Cujus una clausura desideratur* 2).”

Opis ten jest zupełnie zgodny z oprawą, jaką obecnie znajdujemy na księdze Ewangelii ś. Wojciecha, z tą jednak różnicą, że pod srebrnymi ozdobami znajdował się niegdyś aksamit czerwony (*Holoserico rubro viloso*), a po roku 1608, mocno nadniszczony aksamit zastąpiono grubą trwałą safianową skórą koloru czerwonego.

Z tych piśmiennych śladów w archiwum kapitulnym znajdujących się wnosić należy, że księga Ewangelii nazywana pospolicie Mszą ś. Wojciecha nie pochodzi z Trzemeszna, ale że od wieków była i jest własnością kościoła metropolitalnego Gnieźnieńskiego i prawdopodobnie przez brata jego arcybiskupa gnieźnieńskiego Radzyna ofiarowana jako droga po Świętym męczenniku pamiętka.

Te piśmienne z akt kapitulnych zanotowawszy szczegóły, przystępuję teraz do opisu samej téj księgi, a najprzód opiszę oprawę.

Oprawna jest w skórę safianową ciemno-czerwoną, na której srebrnymi gwoździkami przymocowane są srebrne pozłacane następujące ozdoby:

Na stronie głównej jest krzyż z figurą ukrzyżowanego Chrystusa, nad brzegiem wyobrażenie słońca i półksiężyc, pod ramionami krzyża dwóch aniołów, z których każdy kielich trzyma; pod krzyżem trupia głowa z jedną leżącą kością, a obok krzyża figury Najświętszej Maryi Panny i ś. Jana Ewangelisty. Te opisane ozdoby, porównyując styl i robotę, wykonane są przed XVII wiekiem, to zaś co opiszemy niżej, już jest wykonane w samym początku XVII wieku,

1) Inventarium do anno 1468 fol. 242.

2) Inventarium Ecclesiae Gnesnensis de anno 1608.

wkrótce po roku 1608. Dalsze ozdoby oprawy te są: w górze nad krzyżem na półtuku Bóg Ojciec, a pod łukiem Duch Ś. w postaci gołębia. W czterech narożnikach czterech Ewangelistów z ich symbolami i łacińskimi napisami. Te cztery narożniki połączone są brzegowemi ozdobnemi ząbkowanemi listewkami i dwiema klamerkami do zamykania księgi. Na odwrotnej stronie w samym środku jest ozdobiona różnemi floresami i ośmiu główkami aniołków tarcza, na środku której jest herb kapitulny: trzy lilie. Na czterech narożnikach są cztery srebrne obrazki z napisami: S. Adalbertus, S. Stanislaus, S. Venceslaus i S. Paulus Apostolus, odpowiednie zupełnie w robocie i stylu czterem Ewangelistom. Narożniki te tak jak na stronie głównej połączone są brzegowemi ząbkowanemi listewkami ¹⁾.

To jest zewnętrzna szata. W wewnętrznej uderza najprzód to, że na samym początku wprawionych jest 6 kart pergaminowych, pochodzących najwidoczniej z innego manuskryptu Ewangelii, a nadto charakter pisma odmienny, ozdoby miniaturowe zupełnie innego rodzaju, a treść żadnego nie ma związku z następnymi kartami. Pierwsza strona jest próżna a na drugiej zaczyna się początek Ewangelii literą *L* wyminiaturowaną na całej podłużnej połowie, a zaczynającą te wyrazy: „*Liber generationis Jesu Christi etc.* Na szóstej stronie zaczyna się Ewangelia *in Dominica Indulgentiae* to jest na niedzielę palmową, która nie jest skończona a ostatnie jej wyrazy te są: „*duxerunt ad Caipham principem Sacerdotum....* dalszego ciągu nie znajdujemy ²⁾. Po tych sześciu kartach widocznie dołożonych z innej księgi, a pochodzących co najwyżej to z XIII w., następuje dopiero właściwa księga Ewangelii złożona z 112 kart pergaminowych in folio a zawierająca Ewangelie na uroczyste święta i niedziele roku całego, pięknem piśmem złożonem, samemi inicjałkami, z brzegami ozdobnemi i licznymi obrazkami. Przecież każdy w ramkach arabeskowych odmienny i to tak że dwóch podobnych trudno dopatrzeć, bo jeśli układem są jednakie, to kolorami różne.

Pierwsza karta pergaminowa jest czysta, i na niej niezgrabną ręką XVII wieku spisano Ewangelią Ś. Mateusza przypadającą na dzień Ś. Wojciecha: *Ego sum vobis vera.* Na czterech następnych stronach są obrazki czterech Ewangelistów, a na szóstej obraz Józefa śpiącego, którego anioł napomina słowy: „*Joseph filii David noli timere accipere Mariam conjugem tuam.*” Na siódmej stronie zaczyna się napis księgi: *In nomine S et individuae Trinitatis. Incipiunt Ewangelia in summis festiuitatibus ad missam legenda,* a najpierwsza Ewangelia jest na wigilią Bożego Narodzenia, potem wszystkie trzy Ewan-

¹⁾ Wierny fotodruk tej oprawy zamieściłem między tablicami katedry Gnieźnieńskiej.

²⁾ Nadto w środku widocznie brak dwóch kart, bo kiedy szósta strona kończy się wyrazami „*Ut Jesum dolo tenerent....* (Math. XXVI 4), siódma strona zaczyna się od słów: „*Bibite ex hoc omnes*” (Math. XXVI v. 27).

gelie na Boże Narodzenie, na Ś. Szczepan, Jan, Młodzianków, na oktawę Bożego Narodzenia, (a więc nie na żaden Nowy rok jak to czytają niektórzy, ani na Obrzezanie Pana Jezusa, jak tego fałszywy wstyd czytać zabrania, ale po prostu na oktawę Narodzenia Pańskiego), na niedzielę po Narodzeniu Chrystusa, na Epifanią, na I—IV niedzielę po Epifanii, potem na Oczyszczenie Najświętszej Maryi Panny i Zwiastowanie, na niedzielę LXX, LX, L, XL, I, II, III; potem *Dominica in Passione, in Palmis, in Coena, in vigilia Resurrectionis (sic) In die Resurrectionis, feria II III In Octava Paschae Dnica I V* po Zmartwychwstaniu Pańskim, 25 Ewangelii na niedzielę po Zesłaniu Ducha Ś., 4 niedziele adwentowe, i Ewangelie na święta uroczyste. Ostatnia Ewangelia jest na poświęcenie kościoła. Między temi Ewangeliami na czystych tu i owdzie stronnicach spisano w późniejszym czasie Ewangelią na dzień Ś. Trójcy, *In festo Visitationis B. M. Virginis et in translatione S. Adalberti.*

Obrazków oprócz wymienionych wyżej pięciu jest jeszcze na piętnastu stronnicach 25, a mianowicie: Narodzenie Chrystusa, Pokłon Trzech królów, Chrztost Chrystusa, Ofiarowanie Chrystusa, Zwiastowanie Najświętszej Maryi Panny, Wysłanie dwóch uczniów po oślicę, Wjazd Chrystusa do Jeruzalem, Wieczerza Pańska, Umywanie nóg, Zdrada Judasza, Modlitwa w Ogrójcu, Pojmanie Chrystusa, Chrystus przed Kaifaszem, Zaparcie się Piotra, Policzkowanie, Biczowanie, Naigrawanie, Ukrzyżowanie, Zdjęcie z krzyża, Zmartwychwstanie umarłych, Straż przy grobie, Trzy niewiasty, Wniebowstąpienie, Obranie Ś. Macieja, Zesłanie Ducha Ś-go.

Z stylu tych malatur sądząc, na pewno powiedzieć można, że nie przechodzą X wieku. I to byłby pierwszy znak do naznaczenia epoki, w której pisana była i malowana jednocześnie ta księga.

Użyte głoski w rękopiśmie samej inicjałki to jest wielkie litery wskazują wiek VIII, IX i X, i to druga cecha epoki pisania.

O skróceniach najlepiej, gdy przekopujemy tu jedną stronicę Ewangelii wiersz w wiersz, czytelnik osądzi.

AD MISSAM MAJOREM
INITIV SCI EVANGELII SE
CVNDU IOHANNEM.
IN PRINCI
PIO ERAT
VERBV; ET VERBVM
ERAT APVD DM ET DS
ERAT VERBY HOC ERAT
IN PRINCIPIO APVD DM
OMNIA PER IPSVM
FACTA SVN. ET SINE

1) Podobiznę tej stronicy z obrazkiem obok, umieściłem w Katedrze Gnieźnieńskiej.

IPSO FACTV EST NIHIL QO
FACTV EST IN IPSO VITA
ERAT; ET VITA ERAT LVX

Czwartą i najważniejszą cechą, że X-go nie przechodzi wieku zgadzamy się najzupełniej z notą ks. biskupa Brodziszewskiego, zamieszczoną na ostatniej stronnicy, że ponieważ w tej księdze Ewangelii niema wymienionych tych świąt ani Ewangelii przypadających na nie, które po roku tysięcznym ustanowione zostały, jak np. Dzień Zaduszny, Boże Ciało, Ś. Trójcy i Przemienienie Pańskie; wniosek przeto oczywisty że księga pisana była przed ustanowieniem tych świąt, pisarz bowiem nigdyby ich był nie pominął; a że z wymienionych świąt Dzień Zaduszny *Commemoratio omnium fidelium defunctorum* ustanowiony był za Jana XIX, roku 1033, wniosek przeto oczywisty że księga ta była pisana przed tym rokiem niewątpliwie.

Inny jeszcze dowód że księga ta nie przechodzi X-go wieku. Od IV wieku, jak to się pokazuje z ustaw soboru w Saragocie (380), rok kościelny zaczynał się od Bożego Narodzenia i dopiero w końcu X lub też w samym początku XI wieku rok kościelny zaczynał się od niedzieli pierwszej adwentu. Gdyby więc księga ta pisana była po X-ym wieku, pisarz byłby się niezawodnie zastosował do nowego podziału.

Otóż gdy wszystko przemawia za dawnością tej księgi, a liturgicznej bodaj najstarszej w całej Polsce, można trwać przy pobożnej tradycyi, że przyniósł ją z sobą na ziemię polską Wojciech Ś., a brat jego Radzyn ofiarował ją matce kościołów polskich, katedrze Gnieźnieńskiej.

Lubochoń, 7 stycznia 1876 roku.

Ks. Ignacy Polkowski.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Kwiecień 1876 r. — Księgarnia Gebethnera i Wolffa ogłosiła prenumeratę na wydanie dzieł Dominika Magnuszewskiego w trzech tomach. Tom pierwszy obejmuje poezye liryczne i *Niewiastę polską w trzech wiekach*; tom drugi *dramata*; tom trzeci, powieści historyczne i obyczajowe. Dołączony zostanie portret zgasłego poety i przedmowa K. Wł. Wójcickiego. Publikacya ta ze wszystkich względów zasługująca na rozpowszechnienie, wychodzi nakładem nowej księgarni

we Lwowie Władysława Zawadzkiego, zasłużonego pisarza i autora *Opisu Podola* (z ilustracyami J. Kossaka), monografii *Huculów*, Górali i wielu innych prac szacownych. W ogłoszonym prospekcie czytamy:

„Znana to prawda, wypowiedziana przez jednego z wielkich myślicieli naszego wieku, że najlepszym dowodem żywotności każdego narodu jest twórczość i bogactwo jego literatury. Naród, któryby nie umiał ocenić należycie pracy i natchnień swoich poetów, uczonych i w ogóle pisarzy, stojących u steru życia umysłowego, a dziełom ich piętnem geniuszu nacechowanym, dozwalał się rozpraszać i ginąć w zapomnieniu, popełniłby samobójstwo i stał się niegodnym przyszłości. Ten to wzgląd był pobudką iż od niejakiemu czasu zaczęto się u nas gorliwie krzątać około zbiorowego wydania znakomitych naszych pisarzy najnowszej epoki, i że myśl tę publiczność z chlubnym przyjęła zapałem i szlachetnie popiera. Dziś w obec tylu arcydzieł poetów i pisarzy naszych w całości zgromadzonych, w obec zupełnych wydań pism Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Korzeniowskiego, Dzierżkowskiego i t. d., nikt nie poważy się zarzucić żeśmy marnotrawnie i lekomyślnie dozwolili rozproszyć się najcenniejszym skarbom naszego ducha.

„Jednym z pisarzy mających w pierwszym rzędzie prawo do takiego czynu sprawiedliwości, w imię dobrze pojętego interesu narodowego, jest Dominik Magnuszewski. Echo uwielbienia i sławy, jakiej doznawał u współczesnych, rozbrzmiewa dziś jeszcze szeroko, pomimo że pisma jego rozproszone, są nie znane prawie młodszemu pokoleniu; a nawet część ich najpiękniejsza, nie mogąc ukazać się na widok publiczny za życia autora, pozostała do dzisiejszego dnia w ukryciu. Genialny poeta nie stanął dotąd przed nami w całej pełni i świetności, a literatura nie mało zaiste ponosi na tym szkody. Czy jako poeta liryczny, niezrównany rzewnością i wdziękiem, czy jako powieściopisarz historyczny i obyczajowy, czy wreszcie jako pisarz dramatyczny, Magnuszewski pozostawił prawdziwe perły znakomitego i wielce oryginalnego talentu. On pierwszy pokazał drogi, któremi dramat historyczny iść u nas powinien. W epoce, w której *Barbara* Felińskiego była ostatecznym wyrazem doskonałości dramatycznej, gdy umysł społecznych, odurzony deklamatorskim i patetycznym pseudoklasyccyzmem francuzkim, niezręczną dłonią chwycił za rodzime temata, odziewając je w sztuczną, obcą barwę, Magnuszewski pierwszy wyzwolił u nas dramat z tych pęt niewolniczych, i w arcydziełach olbrzymiego zakroju jak *Radziejowscy*, *Władysław Biały*, pokazał jak odgadywać i odtwarzać należy istotę i koloryt narodowych dziejów. Z artystycznego punktu widzenia, postacie przezeń stworzone czynią wrażenie posągów, powstałych pod ciosem potężnego dłuta: taka w nich prostota i siła. Ludzie jego tętnią krwią żywą i przemawiają językiem, którego dosadności nikt potem nie dorównał.

„Sądzimy że rozpoczynając szereg wydawnictw, nie mogliśmy lepiej odpowiedzieć obowiązkom względem literatury i publiczności, jak wydaniem zupełnym dzieł Magnuszewskiego. Otrzymałszy od wła-

ściciela tychże zezwolenie ogłoszenia wszystkich, tak dawniej znanych, jak i nie drukowanych dotąd pism zmarłego poety, zajęliśmy się gorliwie przygotowaniem ich do druku, a oddając pod prasę ogłaszamy niniejszém przedpłatę, w przekonaniu że wydaniem tém zasłużymy się dobrze literaturze i że mamy prawo liczyć w tym względzie na poparcie ze strony światłej publiczności."

— S. Lewental wydawca „Kłosów,” który już się przysłużył wydaniem zupełném pism J. Korzeniowskiego, obecnie od rodziny ś. p. Józefa Kremera nabył wszystkie zmarłego filozofa i estetyka prace, wraz z *Logiką* pozostałą w rękopiśmie. Publikacya ta z końcem r. b. zacznie wychodzić arkuszami i tomami przy czasopiśmie „Kłosy” i w cenie nadzwyczaj przystępnej dla prenumeratorów tego pisma, celem rozpowszechnienia dzieł jednego z najznakomitszych myślicieli polskich.

Tenże wydawca kończy już trzeci i ostatni zeszyt „Albumu Jana Matejki,” który jak poprzednio mówiliśmy, obejmie wszystkie najznakomitsze utwory tego mistrza, w największych rozmiarach. Obecnie w drzeworytni Kłosów wykonywa się karta tytułowa, do téj pomnikowej dla sztuki polskiej publikacyi.

— Nakładem Spółki wydawniczej księgarzy wyszedł tom III-ci dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej i obejmuje głównie wypisy z dawnych pisarzy polskich, służące do ukształcenia serca i stylu. Stanowiły one przeważny dział w piśmie czasowém „Rozrywki dla Dzieci,” które redagowała pomieniona autorka.

Nakładem téjże Spółki tom drugi dramatów Szekspira, znacznie posunięty został.

— Nakładem księgarni Celsa Lewickiego i spółki wyszła rozprawa Władysława Smoleńskiego: *Stan i sprawa żydów polskich w XVIII wieku*. Z godłem na czele: „Gdy jeden członek ciała trapienie jakie cierpi,—drugim miły żywot nie może być” (A. F. Modrzewski). Warszawa 1876 (w 8-ce str. 95). Jest to ważny przyczynek a pełen erudycyi do historyi żydów polskich.

— „Kronika Rodzinna” drukuje prelekcję J. K. Plebańskiego b. profesora b. Szkoły Głównej „O pedagogiczném znaczeniu nauk klasycznych” mianą na dochód Towarzystwa osad rolnych, w wielkiej sali ratusza warszawskiego dnia 26 marca r. b.

— „Ognisko Domowe” mieści wśród wielu zajmujących artykułów: „Szkic historyczno-etnograficzny: Zwyczaj ludowe w święta Wielkanocne i początek święconego w kraju naszym,” przez ks. Władysława Siarkowskiego, zasłużonego na tém polu badacza.

— W czwartym tonie zbiorowego wydania dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej, znajdujemy słynną powieść historyczną: *Dziennik Franciszki Krasuskiej*, która do najznakomitszych utworów w téj gałęzi należy, w okresie przed rokiem 1830.

— W dalszym ciągu wydawnictwa Michała Glücksberga, wydane zostały przekłady piérwszych arkuszy dzieł: *Obowiązek* przez Juliusza Simona, w tłumaczeniu K. Kaszewskiego i *Islam*.

— Z drukarni J. Korzeniowskiego wyszedł udatny przekład z Wiktora Hugo *Piękny Pecopin i Piękna Bauldour*, przez F. Stoppelle'a (w 12-ce str. 128).

— Wyszły dwa zeszyty z pod prassy „Podręcznika dla sądów gminnych Królestwa Polskiego.” Wydanie dra. profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Miklaszewskiego.

— Z drukarni „Gazety Lekarskiej” wyszła rozprawa dra Tymoteusza Stępniewskiego: *Kobieta, jej udział w rzeczach miłosierdzia, lecznictwa i niezależnej pracy.* Jest to odczyt jaki miał sam autor, dotyczący jednej z najważniejszych kwestyi dla naszej społeczności. O ile odpowiedział swemu zadaniu, krytyka oceni.

— *Sprawozdanie Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem za rok 1875.* Warszawa 1876 (w 8-ce str. 88). Oprócz zwykłych sprawozdań co do funduszków i zbioru Towarzystwa, mamy tu listę jego członków; katalog dzieł sztuki umieszczonych na wystawie w ciągu roku 1875, w końcu zaś zajmującą rozprawę znanego artysty i pisarza Wojciecha Gersona p. n. „Konkursu Towarzystwa Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem.”

— Monografie historyczno-genealogiczne niektórych rodzin polskich, przez Stanisława hr. Kossakowskiego wychodzą w drugim wydaniu. Tom pierwszy już w druku ukończony. Edycya ta nakładem F. Stoppelle'a księgarza nakładowego podjęta, wyjdzie w wielkiej 8-ce, ozdobiona kolorowanemi herbami.

Nakładem tegoż księgarza wyjdzie „Geografia Królestwa Polskiego” przez Aleksandra Makowieckiego. Dzieło to oddawna było pożądane, tém bardziej obecnie, gdy Królestwo Polskie podzielone zostało na dziesięć gubernij, wiele miast przeszło na osady wiejskie i przybyła liczba powiatów. Wychodzić będzie zeszytami po dwa arkusze, całość obejmie XII zeszytów.

— P. Zygmunt Gloger pisze do naszej redakcyi: „W dziele *Etudes Bulgares* zasłużony autor (Aleksander Chodźko) mówi, iż ludy słowiańskie zachowały w swym języku wedyjską nazwę *wołu* i indyjską nazwę *mleku*, każe porównać wyraz sanskrycki *sara-s* (twarog), perskie *szyr*, łacińskie *serum*, bułgarskie *cyrat* (doić) i polskie *serwatka* (Biblioteka Warszawska t. I, str. 583). Uderzyło nas, że pominiętym tu został starożytny wyraz polski dziwnie do sanskryckiego *sara-s* zbliżony i najbardziej ze wszystkich doń podobny, a mianowicie *siara*, nazwa nieczystego, zsiadłego mleka krowy po ocieleniu. Marcin Sienik w swoim *Ziwniku* wydanym w r. 1568 pisze: „Nie zła rzecz jest tego dnia, gdy się dziecię urodzi, nie dawać mu matczynego mleka pożywać, bo przy tym czasie niewiastom *siara* albo plugawość niejaka gęsta z piersi odchodzi.” Książd Kluk wyraża się znowu w swojej *Zwierząt domowych i dzikich historyi naturalnej*: „*Siara*, mleko krowy ocielić się mającej, im jest bielsza, tém bliższe ocielenie.” Wyraz ten znajdujący się u Lindego i znany wszystkiemu ludowi naszemu, jest obok innych historycznym poniekąd dowodem starożytnej wspólności

w sposobie życia ludów aryjskich, u których zapewne domowa hodowla bydła poprzedziła znacznie wywędrowanie Słowian nad Wisłę.”

— Sędziwy Franciszek Palacki, w 78 roku życia ukończył *Historię Czech*. Pracę tę rozpoczął pisać w roku 1828 w języku niemieckim, po roku 1848 pisał ją w języku czeskim, poczem i część poprzednią sam przełożył na język ojczysty. Nie potrzebujemy przypominać ile to dzieło jest ważne i dla naszych dziejów, nietylko w okresie Piastowskiej, ale sięga jeszcze poza czasy Jagiellońskie.

— Dwa lata upłynęły jak wyszły z pod prasy Antoniego Edwar-da Odyńca *Tłumaczenia* w 4-ch tomach, obejmujące przekłady Byrona, Walter-Skotta, Tomasza Moore, Szyllera i w. i.

Żadne z pism naszych nie podało o tych mistrzowskich tłumaczeniach krytycznej oceny, któraby wykazała wszystkie zalety tak ważnej publikacji. Podajemy więc takowe, skreślone piórem znakomitego pisarza, z tego powodu, że już pismo nasze zaraz po ich zjawieniu się w pierwszej edycji, obszerne złożyło sprawozdanie we właściwym dziale.

„Poezya, którą przysiadł dzisiejszy pozytywizm, i gorsze niemal od pozytywizmu rymowane pasożyty, co jeźli niepodrzeźniają Słowackiego, to czerpią natchnienie w źródłach pozytywnej Hippokreny; poezya, ma się rozumieć niesfałszowanego stępla, nie utraci żadnego z praw sobie przynależnych i znajdzie zawsze umysły, dla których ideał dobra i piękna nie będzie mrzonką, lecz rzeczywistością. Podobnie jak szkoła materyalistów usiłuje dowodzić nam, że to tylko nie jest złudzeniem naszej wyobraźni, co pod zmysły podpada; tak i w świecie duchowym są rzeczywistości i złudzenia; prawdziwa poezya należy wyłącznie do rzeczywistości duchowych, i dlatego odróżniać ją należy od duchowych złudzeń, podszywających się pod poezyą rzeczywistości. Że nie każdy wiek, nie każdy okres czasu wydaje poetycznie usposobione dusze, to więcéj niż pewna; ale za to jeden taki moment wystarcza nie-rzad dla kilku lub kilkunastu pokoleń. U nas okres romantycznego odrodzenia się wzbudził nowy prąd w literaturze, który dotąd ożywiać ją nie przestaje, tak za pośrednictwem znamienitych utworów stanowiących epokę, jak przez tych, co jeszcze należą do wielkiej tradycji.

„Jednym z takich jest A. Edward Odyniec, którego imię wiąże się z pamięcią Mickiewicza, ich młodość spleta się ze sobą jak dwie gałązki bliźnie; zaraz bowiem w pierwszych balladach Adama objawił się pokrewny mu talent wdziękiem i prostotą niezrównaną w owéj sielskiej powiastce o „paniczu i dziewczynic.” Później w drodze, która Litewskiego wieszczą wiodła na Zachód, towarzyszy mu Odyniec i dziś, w listach pełnych głębokiego interesu opowiada tę epopeę młodzieńczych marzeń rozkwitających wśród przepychów nowożytnéj cywilizacji, lub olbrzymich pamiątek starożytnéj Italii. Tradycja romantycznego renesansu wiernie przechowała się w Odyńcu; prace jego życia wciąż idące w tym kierunku znalazły w nim dzielnego przedstawiciela owéj epoki, która może się nazwać pierwszą i jedyną wiosną naszéj

poetycznej literatury; u nas bowiem poezya choć miała swoje początki historyczne, nie miała wiosny aż do chwili, kiedy poraz pierwszy zaśpiewał słowik „Kowieńskiej doliny.”

„Można powiedzieć o całym pisarskim zawodzie Odyńca, że się wiernie trzyma raz wytkniętej drogi. Romantyk, nie tylko w oryginalnych utworach wyobraża ten kierunek, a raczej tego ducha; lecz jeszcze co najcenniejsze skarby tej literatury, jakimi się szczycą Angliacy i Niemcy, stara się nam przyswoić. Byron, Walterskot, Moore, Szyller, najgłówniejsi romantyzmu reprezentanci znajdują w nim dziełnego, mało powiedzieć tłumacza, lecz przyswoiciela; dość bowiem czytać te przekłady wykonane przez poetę, aby zapomnieć, że są obcym nabytkiem: taka w nich swoboda polotu, taka naturalność dykcji, taki urok dobrze użytego słowa. Jeżeli Mickiewicz pokazał w przekładzie Byronowskiego *Giaura*, czém powinno być dobre tłumaczenie, to Odyniec wierny przykładowi przyjaciela, dowiódł tego w *Korsarzu*, w *Dziewicy z Jeziora* i w *Dziewicy Orleańskiej*.

„Nie wiem czy jest która z europejskich literatur mogąca się poszczycić tak udatnemi przekładami jak te, co właśnie wyszły w czterech tomach w Warszawie pod napisem: *Antoniego Edwarda Odyńca Tłumaczenia*, a obejmują najcenniejsze klejnoty poezyi, jak: Walter-Skotta *Dziewica z Jeziora* (the Lady of the Lake), tegoż: *Pieśń ostatniego Minstrela* (the Lay of the last Minstrel); następnie Byrona: *Korsarz*, *Naręczona z Abydos*, *Mazeppa*, *Niebo i ziemia*; Tomasza Moore: *Czciciele ognia* (the Fireworshippers), tegoż: *Peri i Raj* (Paradise and the Peri), a nakoniec Fryderyka Szyllera tragedia: *Dziewica Orleańska*.

„Poemata te bywały różnemi czasy tłumaczone przez różnych, atoli, o ile można się przekonać z porównania innych przekładów z przekładami Odyńca, pierwsze spotkało lub spotka prędkie zapomnienie. Jeden Karol Sienkiewicz, lubo tylko poetyczną prozą przełożył poemat Walter-Skotta: *Pani Jeziora*, może się z Odyńcem dobijać o palmę. Kiedy w r. 1822 zjawiła się *Pani Jeziora* Sienkiewicza, niezwykłe sprawiła wrażenie, wrażenie równające się pod pewnym względem pierwszym poezjom Mickiewicza, i nie bez wpływu na styl piszących. Takięj werwy, takięj plastyki słowa, tak oryginalnych zwrotów, tak malowniczych wyrażeń nie spotkało się w naszym piśmiennictwie. Przy Sienkiewiczowskim wyiskrzonym i ukolorowanym stylu wszystko poblądło.

„Niemniej jednak tłumaczenie Odyńca dokonane wierszem ma za sobą przymiot wierności; powieść leje się potoczystym prądem i oddaje wszelkie dlikatne półcienia oryginału, na co znowu Sienkiewicz nie baczył, bo chwycił tylko wybitniejsze i grubsze rysy, i dobierał kolorów wycięj w oczy bijących.

„Lubo możemy być dumni z poezyi naszej, która zajęła bardzo wysokie szczyty nawet w porównaniu z wielkościami literatur obcych, niemniej jednak nabytek arcydzieł angielskich, włoskich, hiszpańskich, francuzkich, niemieckich, liczy się także do bogactw narodowego piś-

miennictwa. *Dziewica z Jeziora* uznana powszechnie za bardzo udatny utwór jednego z największych pisarzy angielskich, który przez kilka lat dziesiątków umiał zachwycać obie półkule opowiadaniem z dziejów przeszłości Szkocyi, ma swoją ważność nietylko w historii poezyi, ale jako kreacya w duchu czysto narodowym.

„Walter-Skott uważany za głowę, za środkowy punkt romantycznej szkoły odrodzenia, ma do tego tytułu wszelkie prawo; u niego bowiem romantyka nie rodzi się z jakiegóś idealno-filozoficznej teoryi, lub z dowolności fantazyi, ale jest koniecznym wynikiem jego silnych narodowych i patryotycznych uczuć, ugruntowanych na ścisłej znajomości i głębokiem przeniknięciu się przeszłością rodzinną ziemi, a niemniej i na wybornym zmyśle umiejącym chwytać rzeczywiste strony historii. Działając w tym zakresie wprawdzie dość ograniczonym, wybierał odpowiednie mu przedmioty i nie lubił przekraczać pewnych lokalnych i historycznych granic, a jednakże umiał na tém określonym polu przedstawiać ogólną naturę człowieka we wszystkich jęj przeobrażeniach i w całej jęj rozciągłości, a nadto najważniejsze kierunki wyobrażeń i interesów nowoczesnej historii chwytać i z życiem oddawać. Tym własnościom swego genialnego talentu zawdzięcza on, że się wzniosł na stanowisko o wiele wyższe, niż inni z współczesnych mu specyficznych romantyków, którzy uczepliwszy się wieków średnich, patrzyli na świat i jego sprawy innych wieków oczami. Nigdy romantyka, acz odpowiadała skłonnościom Walter-Skotta, nie ośwładła tak dalece umysłem jego, ażeby na jęj ołtarzu miał złożyć wolność swoją i autonomią samodzielną myśli. Zawsze on z wysokiego ludzkiego stanowiska patrzy na grube wieki i barbarzyńskie postacie, jakie na scenę wprowadza i żyć im każe.

„Zadziwiająca wielostronność rozwinięta po mistrzowsku w jego romansach, nie jest jeszcze tak uderzającą w poetycznych powieściach, które epickiego zakroju wcale nie mają, ani tój majestatycznej pełności z jaką powinien płynąć wiersz bohaterki: są to właściwie romanse, w których opisowość przemaga, a mocno zaplątana sieć wypadków utrzymuje czytelnika w chwilowém napięciu. Co jednak najwięcej zaleca jego poemata, to szczęśliwy wybór przedmiotu, świetny sposób kreślenia sytuacji, a nadewszystko rozmaitość zdarzeń, sypiących się jedne po drugich jak w kalejdoskopie. *Dziewica z Jeziora* uznana za najlepszy z poetycznych utworów Walter-Skotta, posiada pełno kwalifikacyj mogących jęj naznaczyć nader wysokie miejsce w każdej literaturze. Nawet zbyt lokalny koloryt nie przeszkadza do zakochania się w tym czarodziejskim obrazku gór Szkoekich i ich mieszkańców. Poeta czytający *Dziewicę z Jeziora* rad nieraz westchnie i w duchu zapraśnie, żeby podobną perłą poezyi mógł swój naród obdarzyć; jakoż w nie jednej literaturze wzór ten posłużył do kompozycyi, w którą weszły żywotne soki ludu, osiadłego w poetycznym zakątku gór lub pól z wszystkimi własnościami podań, legend, zwyczajów i miejscowych tradycyi.

„Przekład *Dziewicy z Jeziora* dokonany podług wszelkich reguł ścisłości, z przymieszką daru słowa umiającego przemawiać językiem bogów, należy bezwątpienia do cennych bogactw naszej poetycznej literatury.

„W drugim tomie *Tłumaczeń* znajdujemy: *Pieśń ostatniego Minstrela*, a następnie przekład kilkunastu ballad tak z Walter-Skotta, jak Bürgera, Szyllera, Żukowskiego, Puszkina, Southeya. *Pieśń ostatniego Minstrela* najmniej jest u nas znana, bo też treść poematu opisująca mało znaczące zdarzenie z angielsko-szkockich pogranicznych wojen, mniej obudza żywego interesu, aczkolwiek nie brak tam bardzo pięknych ustępów, tchnących gorącym patryotyzmem.

O Kaledonio! posepna i dzika,
 Piastunko marzeń wieszca samotnika!
 Ziemi skał mrocznych i lasów zielonych,
 Przejrzystych jezior i rzek zapienionych;
 Ziemi mych ojców! jakażby potęga
 Zerwać zdołała łańcuch co nas sprzęga;
 Dziś, gdy odwieczne twe drzewa i skały
 Jedne już tylko na ziemi zostały,
 W których mi jeszcze żyje przeszłość wspólna,
 Gdym ja szczęśliwy, a tyś była wolna!
 I których moją nie znudzę żałobą,
 Nie zdziwię łzami—nad sobą i tobą!...

„Piękne te wiersze bywają w Anglii tak powtarzane jak nasze: „Święta miłości kochanej ojczyzny.”

„Trzeci tom cały poświęcony Byronowi, szczególnie *Korsarz* przedziwnie jest tłumaczony. *Mazepę* przekładał gen. Morawski; porównywając obie te prace, ścisłość i dokładność zostaje przy Odyńcu; Morawski niewa niekiedy wiersze świetnie brzmiące. Dawniejsze przekłady *Dziewicy z Abydos* były nie do przełknięcia, Odyniec nam ją przyswoił. Przecudny to liryczny kawałek, gdzie poeta opisuje los miłości na Wschodzie.

Tam jedna tylko tchnąc samotną wonią
 Róża rozkwita—posepna i blada,
 Rzekłbyś rozpaczy zasadzona dłonią:
 Tak mdła, tak słaba, że zda się wiatr lada
 Liść jój po polu rozprószy;
 Jednak choć wichur, choć burza się wścieka,
 Kwiat jój trwa cało;—choć ręka człowieka
 Co wszystko piękne w tym kraju pustoszy,
 Kwiat jój oberwie;—niepojęta władza
 Kwiat ten nazajutrz na nowo odradza:
 Jakby duch jakiś miał ją w swojej pieczy,
 Który jój rany łzami niebios leczy,

I czarodziejską mocą swego śpiewu
 Co noc kwiat nowy wykołysz z krzewu.
 Nie dziw że dotąd Helleńskie dziewice
 Wierzą że kwiat ten nie jest z tego świata,
 Co mu ni szkodzić nie śmia nawałnice,
 Ni szrony zimy, ani skwary lata:
 On zawsze smutny, lecz piękny jak w maju,
 Zdaje się tęsknić po kraju swym—raju.

„Byron, ten najsobiektowniejszy z poetów, ten najlotniejszy i najszczytniejszy z nowożytnych liryków, wymaga niepospolitego talentu aby mógł być tłumaczonym. Z wszystkich też, którzy się podejmowali tego zadania, nie wielu wyszło obronną ręką. Krom Mickiewicza, Odyniec stoi najwyżej. Jego wiersz posiada dziwną gibkość, ma dźwięk spiżowy. Rzadkim u niego wiersz drewniany. Przekłady Pajgerta, Wiktora Baworowskiego (*Don-Juana*) wiele mają zalet, osobliwie ostatniego łamanie się z humorem kapryśnego oryginału, wymagało czegoś więcej niż wierności. Z małemi wyjątkami cały prawie Byron jest już przełożony na nasz język. Warto aby jaki przedsiębiorczy wydawca wydał przekład wszystkich jego dzieł, ma się rozumieć nie tandetny, ale doskonały, prawdziwie literacki.

„Z Tomasza Moore są *Czciele Ognia* i poemat *Peri i Raj*. Nie jest to poeta wysokiego polotu, nie odznacza się nadzwyczajną oryginalnością pomysłów, wynalazczą twórczością, ale prawdziwość jego lirycznych uczuć, zapewniła mu szeroką wziętość. Poeta ten znalazł drogę do serc ludzkich. Szczególniej jego *Melodye Irlandzkie* postawiły go wysoko w opinii.

„Szereg tych przekładów z trzech największych angielskich poetów nowożytnych zamyka *Dziewica Orleańska* Szyllera. Jest to jeden z dramatów tego niemieckiego poety, który robi największe wrażenie na scenie.

„Mając tak znamienite próby przekładów jak te, które w 4-ch tomach wydał Odyniec, należałoby aby w połączeniu z innemi siłami, pomyślał jaki wydawca o zbogaceniu naszej literatury zupełnemi dziełami Byrona, Moora i innych poetów i pisarzy angielskich, włoskich, hiszpańskich i t. p. Arcydzieła wysoko kształcą, a bynajmniej nie zabijają darów oryginalnych.”

— Duch pobożności i gotowości do ofiar dla świątyń Pańskich nie wygasł jeszcze u nas. Dowodem tego jest: kościół Wszystkich Świętych na Grzybowie; zaopatruje się po trosze w sprzęty i aparaty kościelne, dzięki darom prywatnym. Z pomiędzy wielu innych wymienimy tu kielich złoty matowy, 11 cali wysoki; środek kuty, otoczony cierniową koroną, z koralami przeplatanych cierniem ze srebra na czarno oksydowanym. Podstawa przedstawia złote gałązki cierniowe; w około kufy jest napis:

„Ojcie nasz w niebie,
Daj, byśmy wiernie,
Doszli do Ciebie
Przez krwawe ciernie.”

Na podstawie: „Do Kościoła W.W. Świętych w Warszawie.” A na bokach podstawy: „Jadwiga Łuszczewska 1875 roku.”

Drugi kielich srebrny, cyzelowany, w którym kufa zewnątrz i wewnątrz złocona, z taką patyną (wagi 1000 g), ozdobiony gustownie 23 drogiemi kamieniami, między któremi znajduje się brylant ważący 1½ karata, tudzież ampułki srebrne i także tacka, otoczona imitacją z pereł, pochodzą z daru Teofili i Bogusławy Garlowskich, a wyrobione zostały w zakładzie p. Swinarskiego.

Wreszcie trzeci kielich srebrny, ozdobnie wyrobiony, przez Filomenę Drażkiewiczową z daru jej matki s. p. Katarzyny Treszczkowskiej, i wiele innych ofiar parafian, jak wielka okrągła puszcza srebrna zewnątrz i wewnątrz wyzłocona, a przeznaczona na komunikanty, z ozdobami matowemi, z nakryciem opatrzonem koroną i krzyżykiem. (Dar p. Józefy Kożuchowskiej.)

— Według Katalogu duchowieństwa katolickiego diecezji lubelskiej, wydanego r. b., w gubernii lubelskiej znajduje się katolików obojój płci 479,019, księży świeckich 173, zakonników 57, zakonnic 28, szarytek w 4-ch szpitalach 19, kościołów 161 i kaplic 82. W gubernii siedleckiej: katolików 330,319, księży świeckich 135, zakonników 28, szarytek w 5-ciu szpitalach 22, kościołów 119 i kaplic 65.

— Mieszkańcy Olkusza i parafianie, zachęteni przez duchownych miejscowych, w roku zeszłym uporządkowali, rozszerzyli i obwiedli murem dotychczasowy cmentarz grzebalny, oraz podźwignęli z upadku i upiększyli, przywracając do pierwotnego stanu, mieszkanie Ś-go Jana Kantego, niegdyś proboszcza olkuskiego, które po rozpoczęciu procesu o kanonizację tego świętego było zamienione na kaplicę i ozdobione malowidłami *al fresco* z jego życia. Jednak z następstwem czasu kaplica ta upadła, opustoszała i straciła pierwotny swój charakter i znaczenie, do tego stopnia iż przed kilku laty oddana była proboszczowi w charakterze zabudowania gospodarczego, i w tym też stanie zastała ją szesznoroczna restauracja. Obecnie kaplicę tę otynkowano, ustawiono w niej ołtarz ze statuą Ś-go Jana Kantego, wiodący do niej dziedzińiec uporządkowano, piękny zaś front z marmurowemi drzwiami i herbem Akademii krakowskiej, zaopatrzono w odpowiednią tablicę marmurową z napisem o odrestaurowaniu. W roku bieżącym, w uroczystość Ś-go Jana Kantego, ma się odbyć poświęcenie tej kaplicy.

— Czytamy w *Wiek*: „Muzyka orientalna przestała być nareszcie rzeczą nieznaną dla muzyków europejskich, dzięki Polce zamieszkałej w Stambule, która zrobiła zadaniem swego życia zebranie melodyj do śpiewów tureckich, oraz muzyki do tańców tureckich, i ułoże-

nia ich na fortepian. Nazwisko kompozytorki jest pani: Herzmaińska ze Słupna, krótko w pismach tureckich nazywanéj pani Słupno, zamieszkałéj w Konstantynopolu, na Pera, przy ulicy Serkis Nr. 6. Wydała ona właśnie wspaniałe „Album muzyki tureckiej“, w którym się mieści 75 utworów muzycznych, tańców, pieśni i melodyi ludowych, przedstawiających dla artysty bogaty skarb motywów prawdziwie orientalnój muzyki. Praca to była ogromna zebrać i ułożyć na fortepian tyle utworów; zasługa téż za to niezmierna, ona bowiem dopiero pierwsza zapełniła lukę w powszechnéj muzyce, wprowadzając do niéj i popularyzując arye i tańce tureckie. Gazety konstantynopolińskie, które mamy przed sobą, nie mają dość słów dla pochwały pracy pani Herzmaińskiej. Pochwały te są zupełnie zasłużone. My do nich to tylko dodać możemy, iż za chlubę uważamy, iż Polsce przypadł zaszczytny tytuł pierwszéj kompozytorki tureckiej, iż pracą Polki otworzyły się dla świata cywilizowanego skarby dotąd zakłéte narodowéj tureckiej muzyki. Warto byłoby zapoznać się z Albumem pani Herzmaińskiej ze Słupna, które na filadelfijskiej wystawie przedstawiać będzie jedyny dotąd zbiór orientalnój muzyki. Dla naszych kupców nut podajemy adres, który im ułatwić może sprowadzenie tego Albumu. Jest on na składzie w magazynie muzycznym pana Adama w Konstantynopolu, na Pera w pasażu Hazzopoolo.“

— Rezultat konkursu dramatycznego krakowskiego ogłoszony został. Pierwszéj nagrody zhr. 600 nie dano, nagrodę za sztukę ludową zhr. 300 przyznano *Emigracyi chłopskiej*, Wł. Anczyca. Zalecono grać jednomyślnie: „Dwojakie gwichty“, Wiktora Burzana (z Warszawy), większością zaś głosów drama: „Iwan Podkowa“, Jerzego Horwata (z Warszawy), „Czaple pióro“, Leopolda Starzeńskiego, i komedya, „Trzy Flory“ Samolińskiego z Chicaga.

— Nowa akwarella Juliusza Kossaka, większych rozmiarów, przedstawia elekcyą króla Jana Kazimierza pod Wolą. Prymas Maciej Łubiński objeżdża pole elekcyjne zbierając wota. Artysta przedstawił ostateczną już chwilę, kiedy całe zgromadzenie elekcyjne, zgromadziwszy się na wybór Kazimierza, wznosi radośne okrzyki na cześć elekta. Radość i otucha promienieje na wszystkich twarzach; wiele z nich artysta skopiował ze współczesnych portretów, tak iż na pierwszy rzut oka poznajemy w nich osoby, które w chwili ówczesnéj dziejów Polski przeważną grały rolę, jak Lubomirski, Kazanowski, Ossoliński, Radziejowski i wielu innych.

— W zeszycie marcowym naszego pisma, podaliśmy sprawozdanie o nowém wydaniu *Maryi* Malczeskiego z ilustracyami M. Andriollego. W *Gazecie lwowskiej* czytamy z powodu téj publikacji: „Znaliśmy dotąd śmiały rzut Andriollego ołówka, typową charakterystyczność, z jaką umie wykrawywać z ram życia swoje sylwetki, tę czerstwą i wybitną werwę jego figur, mniej przywykliśmy dopatrywać w nim poety o głębokiém rzewném uczuciu. Przyznajemy iż obawialiśmy się, ażeby melancholia i piéknosc Maryi nie wyszły w rysunku Andriollego

konwencyonalnie lub płytko patetycznie. Obawy nasze okazały się nieuzasadnione. Andriolli stworzył z Maryi postać, stojącą niemal na tej samej wyżynie, co kreacya samego poety. Postać ta urosła nie z przedmiotowej wyobraźni, ale z rzeczywistego uczucia. Głębia cichłej boleści, która rysuje się dziwnym powabem na jęj obliczu, nie jest owocem kompozytorskiej biegłości, ale plastyczném, uroczo piękném wcieleniem ideału, wypiastowanego przez fantazyą, istotnie, szczerze natchnioną. Jest ona jedną z tych widzeń szczęśliwych duszy artystycznej, które przeniesione ołówkiem, pędzlem czy dłutem w świat formy, promienieją tak silnie nowym idealnym blaskiem, iż widz, raz je ujrawszy, pomimo natłoku wrażeń, jakie mu późniejsze życie przynosi, nigdy ich z wobraźni i pamięci nie straci. Podobnie ujmującą i do głębi wzruszającą jest postać Miecznika. Liryzm obu tych głównych figur nie ma w sobie nic kliwego, nic teatralnego; prostota i prawda, te znamiona wszelkiej prawdziwej sztuki, wywołują tu efekt zdrowy i tak wyrazisty, że chciałoby się, oglądając dwie te postacie, zapomnieć o reszcie szczegółów i figur, składających się na całość poematu. I stałoby się tak może, gdyby i reszta nie była w swoim rodzaju, chociaż mniej pełną i wybitną duchowo, nie mniej przeto mistrzowską. Całość składa się z ośmiu obrazów, będących fotograficzném odbiciem z oryginalnych rysunków Andriollego. Fotografie te nie zacierają ani jednego rysu z dzieła artysty, i dlatego zastąpienie niemi w tym razie kolorytów uważamy za pomysł szczęśliwy. Przedmiotem tych ośmiu obrazów są wstąpienie wojewody ze synem do wielkiej sali, w której cały orszak dworski kornie wita pysznego możnowładcę; grupy te wybornie rozmieszczone, kostiumy i emblemata harmonijnie dobrane; dalej miecznik z córką pod starodrzewiem, w tkliwém ujęciu; z głębi drzew wysuwa się Wacław; trzeci obraz przedstawia scenę pożegnania kochanków, ów sławny dyalog:

Maryo! czyś ty nie chora?...

Zalecamy przyjrzenie się szczególnie bacznie temu rysunkowi; tyle wyrazu i uczucia nie często znaleźć można, jak ktoś powiedział, „na końcu ołówka,“ sceny tańca masek i rozprawy z Tatarami, szczególniej ta ostatnia, mogą być miniaturowymi wzorami kompozycyi; tyle tam ruchu, życia, taka troskliwość w traktowaniu czynników, zbiorowo wywołujących efekt, tak umiejętne skupienie akcji w pewnym ognisku. O wiele mniej szczęśliwie powiodły się dwie następne kompozycje: Wacław przy łożu Maryi i jego nocna jazda z owém zagadkowym bajroniczném chłopięciem. W pierwszym z obu tych rysunków poza Wacława wydaje nam się chybioną, nieszczerą; jest to, jak powiedzieliśmy „poza,“ a nie bezwiedny układ ciała; na obliczu zaś Maryi nie malują się te uczucia, które przeszły przez jęj duszę w chwili konania i powinny były zastygnąć marmurem na martwém obliczu; toż samo żałujemy, że nie pokazał nam artysta wyrazu twarzy ujeżdżającego Wacława, tak jak to uczynił w ostatnim rysunku, przedstawiającym

miecznika na grobie córki, gdzie na zimnem obliczu starca odbiła się cała epopeja jego strat i cierpień. Peizaże Andriollego uzupełniają poetycznie i trafnie osnowę obrazów; jest w nich tyle prawie uczucia, co w cmentarzach i ruinach Ruysdaela.“

— Dla uczczenia pamięci Seweryna Goszczyńskiego odpowiednim pomnikiem, tudzież wydaniem dzieł zgasłego poety, zawiązał się pod przewodnictwem p. Alfreda Młockiego komitet, który właśnie ogłasza odezwę, wzywając czcicieli autora *Zamku Kaniowskiego* do składek na cele powyższe. Summa, jaka pozostanie od kosztów wzniesienia pomnika, obroconą będzie na zasilenie wieczystej fundacyi imienia Goszczyńskiego, dla weteranów literatury polskiej, której początek dany był r. z. podczas pięćdziesięcioletniego jubileuszu. Komitet oznajmia przytém, iż wziął w opiekę swoją rękopisma pozostałe po ś. p. Sewerynie Goszczyńskim, które przejrawszy i przeczytawszy z pomocą zaproszonych literatów, a przyjaciół zmarłego, postara się oddać na użytek publiczny tę część z nich, jaka zostanie uznana, że już dzisiaj może być drukowana; resztę zaś złoży w jednej z publicznych narodowych bibliotek, gdzie przechowaną zostanie.

— Bank włościański w Poznaniu, jak widzimy z jego sprawozdania za rok 1875, wymownym jest dowodem, jaki rozwój i jakie potrzeby rodzi dobrobyt stanu włościańskiego, gdy ten ostatni dostąpi samostnego położenia przez zniesienie wszelakich szachownic, służebności i innych zależności, w jakich żyć musi, póki kwestya włościańska w sposób dokładny uregulowana nie zostanie. Młoda ta instytucya kredytowa, trzeci rok dopiero istniejąca, a powołana do życia przez istotną potrzebę własności włościańskiej w Księztwie, przez pierwsze dwa lata istnienia zajmowała się wypożyczeniem na hypoteki i skupem ziemi włościańskich, w roku zaś zesłtym zebrawszy całkowity kapitał zakładowy w kwocie 577,740 marek (około 200,000 rub.) przez ściągnięcie dopełniających rat na akcye, bank włościański poznański, *ku użytkowi włościan*, otworzył interes depozytowy, przekazowy, rachunku bieżącego, efektów, lombardowy, w ogóle wszelkie czynności bankowe. Z uwagi, że szczegółowe cyfry obrotu tego młodego zresztą zakładu, nie przedstawiają dla nas ważnego interesu, ze sprawozdania tego podnosimy tylko tyle, że bank ten do końca 1875 roku na hypotekę 46 własności włościańskich, udzielił razem 157,826 marek pożyczki, a kredytu przez bank udzielonego wypada po 267 marek na hektar, czyli po 67 marek (około 23 rub.) na morg. Zaiste, taki kredyt hypoteczny może być drobnej własności bardzo pomocny! Obroty roczne banku przyniosły czystego zysku 30,940 marek; z tego wypłacono akcyonaryuszom 4% procentu od akcji i 1% superdywidendy. Dyrektorem banku jest dr. Rakowicz, przewodniczącym rady nadzorczej M. hrabia Kwilecki.

— W Wielkiem Księztwie Poznańskiem w jednym z powiatów zawiązało się „Towarzystwo wstrzemięźliwości od kart.“ Całym statutem Towarzystwa jest słowo honoru: dający je wyrzeka się drogiej za-

bawki karcianej. I rzeczywiście znajduje licznych zwolenników, którzy uważają zabawę w karty za czas daremnie zmarnowany i rozrywkę szkodliwą.

— W Bytomiu pod redakcją księdza Franciszka Przynicznyńskiego wychodzi dwa razy tygodniowo „Gazeta Górnoszląska.” Format jej znacznej objętości; prenumerata na kwartał kosztuje jedną markę czyli około 35 kopiejek.

— Resursa kupiecka polska w Berlinie założona niedawno została „Pod Lipami.” Pierwsze walne zebranie Towarzystwa odbyło się w kwietniu r. b., i odznaczało się największym porządkiem. Przyjęto ustawy en bloc i przystąpiono do ukonstytuowania zarządu. Na przewodniczącego resursy obrano jednogłośnie Piławskiego, na zastępcę Oborskiego, na sekretarza Majewskiego, a na kassjera Bukowieckiego. Celem resursy: wspólna nauka, wspólna pomoc i wspólna zabawa; środkami zaś prowadzącymi do tego celu są: odczyty, pożyczki lub wsparcia w czasie choroby, a wreszcie gry, pogadanki i tym podobne zabawy. Zebrania poświęcone zabawie odbywają się zwyczajnie co tydzień w każdy wtorek, a walne zebrania w pierwszy wtorek po pierwszym każdego miesiąca, celem załatwienia spraw resursy dotyczących. Do Towarzystwa przystąpiło odrazu 22 członków. Myśl skojarzenia wszystkich kupców w jedno grono, głównie staraniem swoim urzeczywistnił p. Franke, członek Towarzystwa przemysłowego berlińskiego, zabrawszy się skrzętnie do wszystkich prac przedwstępnych. Resursa kupców Polaków jest czwartym z rzędu towarzystwem polskim w Berlinie.

— Muzeum Kopernika, którego myśl poruszono w czasie czterechsetletniego jubileuszu narodzin wielkiego naszego ziomka w r. b., zapewne zostanie otwartym w Rzymie. Wdzięczność należy się dr. Antoniemu Wołyńskiemu za gorliwe zajęcie się wykonaniem tego dzieła. W nowym muzeum pomieszczone zostaną wszystkie wydania dzieł Kopernika, dalej wszystkie dzieła i pisma o nim traktujące, wszystkie medale na cześć jego bite, narzędzia astronomiczne, których własną ręką używał, jego listy i autografy i t. d. Około utworzenia księgozbioru Kopernikowskiego, zasłużył się obok wspomnianego powyżej dr. Wołyńskiego, głównie Kraszewski; oni to obadwaj ofiarowali prawie trzy czwarte części ksiąg tutaj zgromadzonych. Ministerjum zaś włoskie ofiarowało wszystkie publikacje we włoskim języku, odnoszące się do wielkiego astronoma. Znakomity nasz rzeźbiarz Brodzki, wykonał wielkie popiersie Kopernika w marmurze, które przyozdobi muzeum; inny z rzeźbiarzy polskich, bawiący obecnie w Rzymie, kończy dla muzeum dwa inne pomniejsze medaliony Kopernika i Galileusza. Na uroczystość inauguracyjną, która niezawodnie ściągnie do Rzymu wielu Polaków, pisze p. Wołyński rozprawę o Galileuszu i Koperniku, która uczestnikom uroczystości rozdawaną będzie. Obecnie wszystko prawie, co ma się pomieścić w muzeum przed chwilą jego otwarcia, zostało już zgromadzone, oprócz niektórych najnowszych publikacji o Ko-

perniku, które niebawem nadejdą; trudniejszym będzie jednak wynalezienie do tego czasu sztychu Falka, przedstawiającego astronoma, jakotóż medali na cześć jego bitych w Polsce w r. 1830 i w r. 1843, przez Adryana Krzyżanowskiego.

Inauguracya zaś będzie zależała całkiem od przyjazdu Kraszewskiego, który w lecie lub na początku jesieni ma być nieodbicie w Rzymie, niemniej jak i od nadejścia innych pamiątek z naszego kraju. Trzeba wiedzieć, że rząd włoski, ani uniwersytet sam grosza nie dają na ten zbiór, który jest dziełem zupełnym i wyłącznym Kraszewskiego i publiczności naszej. Włosi oprócz dobrych chęci, kadzidła i wszelkiego rodzaju rozgłosu i czci, nic a nic polskiemu astronomowi nie ofiarują. Gabinet Kopernika jest tedy czysto słowiańskim utworem, aby dowieść świata, że wielki ten geniusz do Słowiańszczyzny, nie zaś do Germanii należy. Potrzeba, aby zbieranie i przesyłka pamiątek jak najrychlej postępowały, jeśli chcemy aby inauguracya prędko nastąpiła. Na uroczystość tę zaproszeni zostaną wszyscy uczeni włoscy, a więc i inne strony przyślą zapewne swych reprezentantów na obchód Kopernikowy w wiecznym grodzie, gdzie astronom nasz nauczał, i który między wszystkimi miastami nosi sam jeden nazwę: *caput mundi*.

— Czytamy w *korrespondencyi* z Paryża do Gazety Warszawskiej. „W czasach, kiedy Mickiewicz był professorem przy Kolegium Francuzkiem, Francuzi uczyli się po polsku. Dzisiaj kiedy katedrę po Mickiewiczzu obejmuje Aleksander Chodźko, i kiedy Ludwik Léger jest professorem języków słowiańskich w Szkole Wyższej, Francuzi pilnie się uczą języka rosyjskiego. Nastąpiły inne czasy, a z niemi wyrodziły się nowe potrzeby. Francya weszła w bezpośrednie stosunki handlowe z Rosyją; dzisiaj kupcy rosyjscy z Petersburga, z Moskwy, z Tyflisu, z Astrachania, a nawet z Irkucka, dają zlecenia kupcom paryżkim w języku rosyjskim. Z tego powodu kupcy paryżcy zmuszeni są szukać tłumaczy z rosyjskiego na francuzki, albo sami uczyć się po rosyjsku. Nadto kupcy rosyjscy z Petersburga i Moskwy każą drukować w Paryżu po rosyjsku rozmaite etykiety do swoich towarów, bo jak się pokazuje, druk tego rodzaju taniej kosztuje we Francyi, aniżeli w Rosyi. Z czysto handlowo-przemysłowych względów Francuzi, a szczególnie Paryżanie, zmuszeni są uczyć się po rosyjsku.

Znakomitsi kupcy rosyjscy zgłaszają się do Paryża w języku ojczystym, zaś kupcy z nad Warty, Wisły i Dniepru sławni Rothschildowie warszawscy, po *niemiecku* piszą do Paryża w interesach handlowych, i głównie w języku *niemieckim* wystawiają weksle na Paryż. Sprawdza się, co Elizeusz Reclus wyrzekł w *Nowej Geografii Powszechnej*: „Izraelici w swoim pochodzie na Wschód stanowią przednią straż germanizmu...“ Właśnie warszawscy kupcy i bankierowie pochodzenia izraelskiego używają języka niemieckiego w korrespondencyi z Francuzami.“

— Wydawca paryżki Plon ogłosił dwa dzieła, odnoszące się do spraw polskich. Pierwszém jest *Historya literatur zagranicznych*

przez p. Alfreda Bougeault, zawierająca między innymi i streszczoną historią literatury polskiej. „Autor (pisze *Gazeta Lwowska*) czerpał szczególnie z wykładu Mickiewicza w kolegium francuzkiem; szkoda tylko, że poprzekręcał nazwiska autorów i tytuły dzieł, a Słowackiego Juliusza zrobił łącznikiem między klassycyzmem a romantyzmem, przytaczając z jego dzieł samego tylko *Mazepe*, którego ocena jest więcęć jak dziwaczną. Ale cudzoziemcowi nie zarzucamy tych niedokładności; jeszcze dobrze, że starał się przynajmniej obeznać rodaków swoich z literaturą naszą. Tak pobłażliwymi być nie możemy dla p. Karola de Noire-Isle, bo pod pseudonimem kryje się nazwisko polskie. Otóż p. de Noire-Isle ogłosił u tegoż wydawcy pod tytułem *Les Poetes illustres de la Pologne au XIX siècle* tłumaczenie wierne poematu J. Słowackiego *W Szwajcaryi* i Z. Krasieńskiego *Przedświtu*. Wzięliśmy do ręki to dziełko z radością na myśl, że Francuzi poznają te dwa arcydzieła, ale i z pewną obawą, która niestety była więcęć niż uzasadnioną. Nie chcielibyśmy być dla autora, którego nie znamy, zbyt nieprzyjemnymi, ale doprawdy niepodobna się go nie zapytać, dlaczego, kompromitując siebie samego wydaniem tój karykatury klejnotów naszej poezyi, skompromitował zarazem i te dwa wielkie nazwiska? Nic w życiu nie czytaliśmy tak płaskiego, tak niepoprawnego pod względem języka, tak niedokładnego jako tłumaczenie, tak że musimy tu wyrazić szczere życzenie, „aby nikt z Francuzów przekładu tego dla Francuzów dokonanego do ręki nie wzięł!“ Niech krytycy nasi, zbyt pobłażliwi w ogóle dla tych prób nieszczęśliwych, nie pozwolą bezkarne okrywać śmiesznością największych poetów. Do nich to szczególnie zwracamy te słowa.“

— Czytamy w *Kuryerze Warszawskim*. „W Ameryce południowej, państwie Uruguay (stolica Montevideo) w mieście *Melo*, inaczęć zwanem *Cero-Largo*, na czele niedawno urządzonego tam wyższego zakładu naukowego stoi ziomek nasz Erazm Skotnicki, rodem z Królestwa Polskiego. Mamy przed sobą obszerny program instytutu, którego przewodnikiem jest p. Skotnicki. Program ten skreślony w języku hiszpańskim („Programma del Colegio Oriental en la villa de Melo dirigido por Erasmo Bogoria de Skotnicki“), obejmuje w sobie szczegółowy spis wykładanych w pięciu klassach zakładu przedmiotów, tudzież opisanie urządzenia samego kolegium; o ile sobie przypominamy, podobne programy drukował niegdyś corocznie najdawniejszy z tutejszych prywatnych zakładów naukowych, zakład p. J. N. Leszczyńskiego.“

— Dla udających się do Filadelfii jedno z pism codziennych donosi, iż po wylądowaniu w Nowym-Yorku mogą stawać w niedawno założonym „Hotelu Polskim“ przy ulicy Henry Street (New-York) nr. 320, blisko kościoła polskiego. W hotelu tym oprócz restauracji polskiej, znajdują mieszkania wygodne i czyste z pościelą i wszelkie informacje potrzebne dla Polaków, za cenę umiarkowaną. Właścicielem tego hotelu jest p. Wilhelm Budzyński. Jest także w Nowym-Yorku

Polska agentura, utrzymywana przez p. S. Ledóchowskiego przy ulicy 42 Westh 4-th obok redakcyi *Kuryera Nowo-jorskiego*, który w języku polskim wychodzi dwa razy na tydzień. Polska agentura dostarcza biletów na przeprawy morskie i spełnia akuratnie wszelkie zlecenia, dostarcza tłumaczy, udziela informacji. Jest to wielką wygodą dla podróżników polskich, iż w mieście tak wielkiem jak Nowy-York, znajdują schronienie i posługę u swoich współziomków. W Filadelfii mogą Polacy informować się u p. J. N. Popielińskiego nr. 342,—6-th street.

— Były minister oświecenia i członek honorowy Akademii krakowskiej, Józef Iireczek, wydał temi dniami monografią hr. Slavaty, którego nazwisko tak ściśle jest związane z wybuchem wojny 30-letniej. Wilhelm Slavata na Chlumie i Kozumberku, pochodził z dawniej rodziny czeskiej, a urodził się dnia 1 grudnia 1572 r. w Czeście Kościelskim. Nauki pobierał w Pradze i na uniwersytetach włoskich. Pobyt w czasie niejakim w klasztorze OO. Jezuitów, wyrzekł się wyznania braci czeskich, do którego należała rodzina jego, i w r. 1597 powrócił na łono kościoła katolickiego. Dopiero w r. 1600 powrócił do kraju rodzinnego, i niebawem przez cesarza Rudolfa zamianowany został marszałkiem dworu. Przy wystawieniu sławnego „listu majestatu,” zabezpieczającego prawa dyssydentów w Czechach, Martinic i Slavata wzbranił się podpisać tego przywileju cesarskiego, za co od przywódców stronnictwa narodowego ostro byli zaczepiani. Gdy arcyksiążę Ferdynand został koronowany na króla w Pradze, ale niebawem przeniósł się do Wiednia, pomiędzy siedmioma namiestnikami Czech, obok Martinica, właśnie Slavata pierwszorzędne zajmował miejsce, i głównie narażał się stronnictwu narodowemu.

To też przy znanych rozruchach dnia 23 maja 1618 r. obaj zostali wyrzuceni z okna sali radnej, a Slavata ciężko zraniony pozostał kilka miesięcy ukryty w pałacu Lobkoviców. Po upadku powstania czeskiego rozpoczęły się konfiskaty dóbr patryotów czeskich i haniebne targi, w których odznaczył się Waldstein, późniejszy książę Frydlandu, nabywając za bezcen ogromne dobra. Slavata jednak poprzestał na pozyskaniu tytułu hrabiowskiego, a nawet potępił niegodne owo frymarczenie.

W r. 1627 został kanclerzem nadwornym, i odtąd mieszkał w Wiedniu. Z Waldstein'em, przewidując dalekie zamysły tego awanturnika, w złych pozostawał stosunkach. W ogóle mimo szczerego przywiązania do dworu cesarskiego i mimo gorliwości katolickiej, Slavata nie pochwałał systematycznego niszczenia narodu czeskiego, jakie w tych czasach stało się polityką wiedeńską. To też od śmierci Ferdynanda II, aczkolwiek zatrzymał tytuł kanclerza, nie mieszał się już do spraw politycznych.

Zaczął on teraz pisać dzieje Austrii i Czech od r. 1608 i pracując na tém polu pilnie, pozostawił nam 14 tomów, które mimo ciasnych poglądów, w odpisach czytane wówczas u dworów, cieszyły się wielką wziętością, a i dziś jeszcze, ze względu na udział autora w ów-

czesnych wypadkach, tworzą dość ważne źródło historyczne. Dziesiąty tom zaginął, reszta zaś przechowywa się w archiwum Czerninów w Neuhausie.

Umarł Slavata w r. 1652. Z trzech synów przeżył go jeden tylko, hr. Adam, a już w r. 1691 ród ten zgaśł. I hr. Martinic zmarł także bez męzkiego potomstwa; tak samo hrabia Waldstein, albo Wallenstein, zabity w Chebie. Tak więc wkrótce wygasły trzy wielkie rody czeskie, które odznaczyły się w walce przeciw własnemu krajowi.

Ciekawą monografię Waldstein'a, wyświecającą brzydką chciwość tego działacza cesarskiego, ogłosił w roku zeszłym Gindely. Świeża praca Jireczka w zajmujący sposób uzupełnia znajomość owéj epoki.

— Czytamy w korespondencji z Rzymu: „Rzućmy ruchliwe tłumy, niech się bawią i weselą, depczą i krzyczą, intrygują i kłócą, a przejdźmy na *Monte Pincio*, gdzie na jednej z ulic, w kamienicy przyrosłej do samej ściany góry, o wielkich oknach otoczonych zwojami bluszczu i innych pnących się roślin, mieści się pracownia znakomitego artysty, a współrodaka naszego H. Siemiradzkiego. Dziwnie piękne i malownicze to miejsce wywołuje uroczyste wrażenie, jakby przygotowując do zdumienia przejmującego z dalekich stron przychodnia, gdy wszedłszy po kamiennych omszonych schodach, uchyli niskie poczerńiałe drzwi i ujrzy się nagle w pracowni artysty, w obec obrazu, jak się to piszącemu list ten zdarzyło, przedstawiającego z siłą i prawdą krwawą epokę Nerona. Męczeństwo jest podwaliną zwycięstwa prawdy, oto myśl, jaką nasuwa obraz naszego wielkiego artysty, który w swém arcydziele, rozwiniawszy w całej potędze widok pogańskiej siły i rozkosz uciech materyalnych, z dymem płonących na palach chrześcijańskich męczenników wznoszących się w górę, porywa i wyobraźnię widza, i wznosi ją wyżej po nad poziome, więc niskie zwyczajne ziemskie pragnienia i namiętności. Chwilowo dłużej lub krócej, brać one górę i panować mogą i trzymać świat w okowach znikomego materyalizmu; prędzej jednak czy później prawda światła i ducha, czysta i nieskalana, a wielka i potężna w swój prostocie samej, zwycięstwo i tryumf odnosi i odnosić będzie. Na lewej stronie obrazu przedstawia artysta w jaskrawych grupach lud rozpasany w zmysłowych uciechach, pijane szaleńki kobiety z rozwianym na ramionach włosem, starców z wieńcami róż na siwizną przyprószonych głowach z czarami w rękę, dzieci bezmyślnie uśmiechnięte i zdające się podzielać wyuzdanie starszych. Tłum ten zalega stopnie portyku złotego pałacu Nerona, a po nad nim czterech murzynów niesie w pysznej lektyce imperatora, którego chmurne zwykle oblicze rozjaśnione błyska szatańską radością na widok męczenników przywiązanych do słupów, pod którymi oprawcy podpalają ognie, rzucające światło na całą drugą część obrazu. Zdaje mi się, że podobnie wielki utwór tylko w Rzymie osnuć i wykonać można, bo bądź co bądź i sam pobyt w miejscowości, gdzie tyle się tak różnych rozegrało dramatów, i z drugiej strony jasne niebo ojczyzny

tylu artystów silniejsze wzbudzają natchnienie, a bogate wzory mistrzów nagromadzone w przystępnych łatwo galeryach i muzeach, nastrożają szerokie pole do studyowania zamarkłej przeszłości i tajemnic sztuki. Pierwotną myślą Siemiradzkiego było wysłać obraz ten na wystawę filadelfijską; porzucił ją jednak, przewidując niemożność wykończenia przed zbliżającym się terminem. Ziomkowie za to, a szczególnie Warszawiaci, na tém skorzystają, wystawiony bowiem będzie zapewne jeszcze w tym roku w sali ratusza Warszawy."

— W dniu 23 kwietnia r. b. municypalność miasta St. Germain, w połączeniu z miejscowymi kupcami, wyprawiła świąteczną fete na korzyść ubogich, która zakończyła się równie świetnym bale. Była to feta warta widzenia, gdyż kalwakata, którą uorganizowano, przedstawiała świetny widok, a była to zarazem rzecz ciekawa i nau czająca, tak dla Francuzów jak i dla cudzoziemców, bo widzieli defilujących przed sobą wojskowych różnej broni, i rycerzy różnych wieków, w zbrojach i mundurach charakteryzujących epoki historyczne, a wykonanych nie z fantazyi, ale podług danych rysunków, z dokładnością pedancką, a zarazem z dobrym gustem i przepychem, który uwydatniał jeszcze pełniej malowniczą stronę tego historycznego obrazu. Maskarada była tém świetniejszą, że wzięty w nią udział dwa pułki liniowe i pułk dragonów.

Pochód orszaku był następujący: pokazał się najprzód pluton huzarów. Za nimi postępowało kilku chorążych ze sztandarami i kilku zbrojnych heroldów; w ślad za nimi trębacze z epoki średniowiecznej, z surmami, poprzedzali pułk liniowy w średniowiecznych wojskowych ubiorach.

Z kolei jechał rycerz z chorągwią miasta St. Germain, w asystencyi czterech heroldów; zanim postępowała muzyka pułku w mundurach z czasów Ludwika XIII; potem jechał naczelnik kalwakaty, za nim chorąży ze sztandarem i grupa rycerzy w pełnym przyborze wojennym, po której szła kompania heroldów z maczugami.

Postępowali dalej uroczyście nadworni królewscy magnaci Karola V, Ludwika XI, Ludwika XII. Franciszka I, Henryka II, i pięciu innych monarchów; średniowieczni urzędnicy z rydwanem miasta, członkowie komisji przed rydwanem muzyki municypalnej, eskortowanym przez halabardników, kompania gwardyi średniowiecznej z muzyką przed rydwanem allegorycznym, gwardya konna Karola IX z muzyką w mundurach z epoki Ludwika XV, muszkietierowie—rydwan Flory, szwadron dragonów de Villars, w mundurach swojej epoki i trębacze.

Z kolei jechał rydwan drukarni, eskortowany przez kompanię piechoty i dragonów w mundurach z czasów Ludwika XV, rydwan Bachusa, rydwan rolnictwa, i maszerowała dalej kompania saperów z tambur-majorem, złożona z małych chłopczyków w saperskich mundurach, z fartuchami—każdy z toporem i z pełnym rynsztunkiem. Ten hufiec saperów w miniaturze był najoryginalniejszym cackiem orszaku. Wojeune miny tych malców, trzymających się w należywym

porządku i regulujących swoje małe kroki do taktu muzyki, zachwycały publiczność i wywołały szalone oklaski.

Dyabły, małpy i kłowny przewracający kozły, świątynia nowożytna Terpsychory w asystencji najrozmaitszych masek i fantastycznych postaci, i liczna grupa Arabów eskortująca wypasione bydło, zamykały ten pyszny i malowniczy pochód.

— W Paryżu zaczęło wychodzić pismo: *Le Courrier Litteraire*, dwa razy na miesiąc co 10 i 25. Otrzymaliśmy pierwszy zeszyt z d. 10 marca r. b. Obejmuje: dwutygodnik literacki, bibliografią, przegląd pism peryodycznych, krytykę, przegląd teatralny, korrespondencje. Są to działy główne, jakie zdaje się publikacja ta zatrzyma.



Dnia 13 lutego r. b. zakończyła życie w Hyères w Południowej Francji *Felicja z Zalewskich Iwanowska* autorka znakomitego w pięciu tomach dzieła p. n. *Słowa Żywota*, zawierającego dzieje Starego i Nowego Testamentu dla młodzieży.

— W dniu 18 kwietnia r. b. zakończył życie *Kajetan Lubicz Niezabitowski* licząc lat 76 wieku. Urodzony w r. 1800 na Żmudzzi, skończył wyższe nauki na uniwersytecie wileńskim. W r. 1825 przybywszy do Warszawy pomieszczony został w ministerjum oświecenia; stąd przeszedł do cenzury rządowej i tu jako jej prezes dosłużył się emerytury. W języku litewskim wydał dwa dziełka „O pszczolnictwie” 1823 r. i „Elementarz litewski” 1824 r., oba drukowane w Wilnie. Z obcych języków tłumaczył kilka utworów, z oryginalnych najważniejsze *Rys życia króla Leszczyńskiego*. Od roku 1835 do 1846 redagował *Kalendarz powszechny*, który do najlepszych publikacji tego rodzaju w tym okresie należy. Pozostawił w rękopiśmie: „Gramatykę języka żmudzkiego i Słownik polsko-litewski.”

— O zmarłym w Krakowie r. b. *Aleksanderze Kurcu*, jednym z głównych założycieli naszego pisma, w następnym zeszycie podamy obszerniejszą wiadomość.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger*.